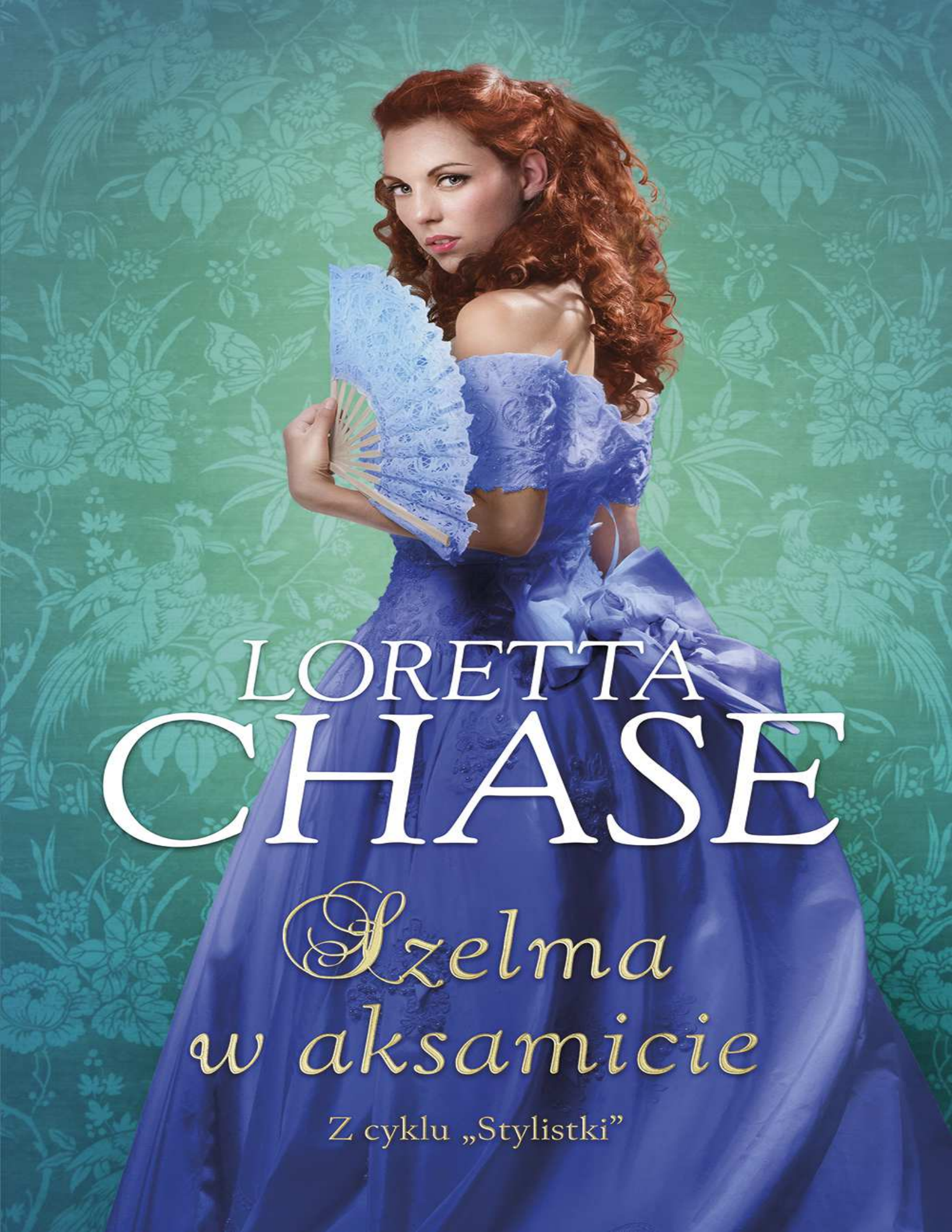

LORETTA
CHASE

Szelma w aksamicie

Z cyklu „Stylistki”

LORETTA
CHASE

Szelma w aksamicie

przełożyła
Magdalena Sikorska

bis
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *Vixen in Velvet*

Projekt okładki: Dorotea Bylica

Copyrigh © 2014 by Loretta Chekani
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2017

ISBN 978-83-7551-556-5

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Epilog
Nota autorki
Podziękowania
Przypisy

Pamięci mojej matki

Rozdział 1

INSTYTUT BRYTYJSKI – DAWNI MISTRZOWIE.
Ta doroczna wystawa najlepiej rekompensuje małostkowość,
z jaką nasi możnowładcy zamykają obrazy
przed publicznością – przekształcając swoje kolekcje
w, jakkolwiek by było, prywatne folwarki.
– „The Athenaeum”, 30 maja 1835 roku

Instytut Brytyjski, Pall Mall, Londyn
Środa, 8 lipca

Leżał nagi, jeśli nie liczyć płótna udrapowanego na jego męskości. Z odrzuconą do tyłu głową, zamkniętymi oczami i rozchylonymi ustami spał zbyt głęboko, by zauważyć diabliki bawiące się jego zbroją i bronią albo tego, który dmuchał mu w ucho przez muszlę. Kobieta spoczęła w pobliżu, półleżąc, wsparta łokciem na czerwonej poduszce. W przeciwieństwie do mężczyzny była w pełni ubrana w obrębioną złotem szatę i całkowicie rozbudzona. Przyglądała mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Na jej wargach igrał cień uśmiechu czy niezadowolenia, a może błądziła myślami zupełnie gdzie indziej?

Leonie Noirot nasuwało się szesnaście różnych odpowiedzi, przy czym żadna jej nie satysfakcjonowała. Nie ulegało natomiast wątpliwości, jakiemu zajęciu oddawała się para, zanim mężczyzna – rzymski bóg Mars, jak informował katalog wystawy – zasnął.

Jeśli jakiekolwiek inne kwestie krążyły Leonie po głowie – na przykład powód, dla którego tutaj przyszła, albo gdzie owo „tutaj” się znajdowało, albo kim była – przewędrowały w odległy zakątek. Nie liczyło się, ba!, wręcz nie istniało nic poza obrazem.

Stała przed dziełem Botticellego, zatytułowanym *Wenus i Mars*, lecz równie dobrze mogłaby przebywać na innej planecie lub w innej epoce, tak zaabsorbował ją ten obraz. Wpatrywała się w niego i dałaby radę policzyć wszystkie pociągnięcia pędzla, usiłując dotrzeć do jego sedna. Nie mogłaby natomiast przed nim uciec…

Udusiłaby, gdyby ktoś zasłonił jej widok. Doroczna letnia wystawa Instytutu Brytyjskiego cały czas przyciągała nie tylko zwiedzających, lecz także licznych artystów, którzy desperacko rozstawiali sztalugi w galeriach, aby skorzystać z być może jedynej okazji stworzenia kopii dzieł dawnych mistrzów. Mimo to nikt nie przeszkadzał Leonie ani nie perorował jej nad uchem. Nie odnotowała tego, a tym bardziej nie zastanawiała się nad przyczyną. Nie przybyła tutaj dla sztuki, lecz z jednego konkretnego powodu.

Szalenie ważnego powodu… który odszedł w niepamięć, kiedy jej wzrok spoczął na tym obrazie.

Stałaby przykuta do tego miejsca aż do dnia Sądu Ostatecznego, ewentualnie do momentu, w którym wyrzuciłby ją któryś z dozorców. Ale…

Jakiś łoskot, nagły jak trzask pioruna, zakłócił ciszę w pomieszczeniu.

Podskoczyła, po czym cofnęła się chwiejnie.

I wpadła na ścianę, której nie powinno tam być.

Nie, nie na ścianę.

Na coś dużego, ciepłego i żywego.

To coś pachniało mężczyzną: mydło do golenia, krochmal i wełna. Dwie silne dłonie w rękawiczkach, które chwyciły ją lekko za ramiona i płynnie przywróciły do pionu, utwierdziły ją w tym wrażeniu.

Odwróciła się prędko i podniosła wzrok – wysoko, wysoko w górę.

O bogowie…

Czy też, ściślej – o Marsie…

Może nie do końca przypominał postać na obrazie. Przede wszystkim ten żywy mężczyzna był w pełni ubrany, do tego kosztownie. Ale nos i czoło, i usta były uderzająco podobne.

Zieleń oczu znaczyły drobinki złota, korespondujące z jasnymi pasmami w ciemnoblond włosach. Te z kolei, kręcone jak u Marsa, były pociągająco niesforne. Coś jednak w tych oczach i ustach sugerowało niesforność innego rodzaju: lekki uśmiech, oczy otwarte minimalnie zbyt szeroko i niewinnie. Czyżby to była głupota?

– W całym tym zamieszaniu chyba podstawiłem pani nogę – powiedział. – Najmocniej przepraszam.

Czyli głupi nie był.

Co ważniejsze, od jakiejś chwili stał zbyt blisko, a ona tego nie zauważyła. Leonie nigdy nie dopuszczała, by się do niej podkradano. W Paryżu taka nieuwaga mogłaby się okazać fatalna w skutkach. Nawet w Londynie była ryzykowna.

Zatrzymała obawy dla siebie, jak nauczyła się to robić wieki temu.

– Mam nadzieję, że nie wyrządziłam panu trwałej szkody – powiedziała.

Z rozmysłem spuściła oczy. Buty miał nieskazitelnie czyste. Jego lokaj wypolerował je tak, że oślepiony tym przerażającym blaskiem kurz z londyńskich ulic nie miał szans.

Jego zielone spojrzenie również ześlizgnęło się w dół.

– Drobna stópka obleczona w odrobinę satyny i skrawek skóry miałaby wyrządzić szkodę? Marne szanse, nie sądzi pani?

– Te skrawki satyny i skóry to hiszpańskie trzewiki – odparła. – A moje stopy nie są drobne. Niemniej to szlachetnie z pana strony, że pan tak mówi.

– W tych okolicznościach wypada, bym powiedział coś miłego – stwierdził. – Wypada także, bym wynalazł mądry powód, dla którego podkradłem się do pani. Albo powód szarmancki, jak zamiar osłonienia pani przed upadającą sztalugą. Jednak wówczas uznałaby mnie pani za idiotę. Jak widać, od sprawcy zamieszania dzieli nas kilkanaście kroków.

Dotarło do niej, że kilka metrów dalej ktoś głośno przeklina. Z tego samego kierunku dobiegał odgłos drewna trącego o drewno i szelest ciężkiego materiału. Nie popatrzyła w tamtą stronę. Dziewczyny, które nie zachowują zimnej krwi, gdy na ich drodze stają bogowie, pakują się w kłopoty. Zapytajcie Dafne, Ledę albo Danae.

Słońce, tego dnia kapryśne, postanowiło w tej właśnie chwili wlać się przez świetlik. Jego promienie padły na głowę znaczoną złotymi pasmami.

– Może urzekł pana obraz – podsunęła. – I przestał pan zważać na otoczenie.

– Wyśmienita wymówka. Ponieważ jednak obraz jest mój i miałem dość czasu, żeby się w niego wpatrywać, nie nada się.

– Pański – powiedziała.

Nie wyszukała dotąd nazwiska wypożyczającego na końcu katalogu. Założyła, że arcydzieło należy co najmniej do znamienitego członka rodziny królewskiej.

– To znaczy nie jestem Botticellim, wie pani, biedaczysko nie żyje od kilku wieków. Jestem Lisburne.

Leonie wzięła się w garść, skupiła na interesach i zaczęła przerzucać strony prowadzonej w głowie księgi, gdzie gromadziła prywatne kompendium wiedzy o brytyjskiej arystokracji, jak również godne uwagi kąski z gazet plotkarskich i od rozgadanych klientek.

Odnalazła rzeczony wpis z łatwością, ponieważ aktualizowała go całkiem niedawno: „Lisburne” oznaczał Simona Blaira, czwartego markiza Lisburne’a. Lat dwadzieścia siedem, jedyny potomek wielce opłakiwanego trzeciego markiza Lisburne’a. Wdowa po nim dopiero co wyszła ponownie za mąż i rezydowała we Włoszech.

Lord Lisburne, który przez pięć lub sześć ostatnich lat również mieszkał za granicą, przed dwoma tygodniami przybył z kontynentu ze swoim kuzynem pierwszego stopnia i bliskim przyjacielem, lordem Swantonem.

To właśnie z powodu lorda Swantona Leonie zawitała do galerii przy Pall Mall w dzień roboczy.

Znów popatrzyła na obraz. Następnie rozejrzała się wokół, w gruncie rzeczy po raz pierwszy. Dopiero wtedy zrozumiała, dlaczego wcześniej nikt jej nie przeszkadzał. Wszędzie na ścianach galerii wisiały krajobrazy, wizje mitologicznych i historycznych śmierci czy bitew oraz madonny tudzież inne obrazy o tematyce religijnej. Botticelli nie miał z nimi nic wspólnego. Żadnych kazań, żadnej przemocy i z całą pewnością ani śladu sielankowej niewinności.

– Interesujący wybór – stwierdziła.

– Rzeczywiście, cokolwiek się wyróżnia – przyznał. – Ostatnimi czasy Botticelli najwyraźniej nikogo nie interesuje. Przyjaciele nalegali, żebym zamieścił jakąś scenę bitewną.

– Zamiast tego wybrał pan moment po bitwie – podsumowała.

Jego zielone spojrzenie spoczęło przelotnie na obrazie, po czym wróciło do niej.

– Przysiągłbym, że uprawiali miłość.

– A ja bym przysięgła, że Wenus go rozgromiła.

– Ach, lecz on powstanie, żeby… eee… walczyć dalej – odparł.

– Zapewne.

Odwróciła się w stronę obrazu i zbliżyła o krok, choć wiązało się to z ryzykiem, że w nim zatonie. Ponownie. Bez wątpienia widywała równie piękne dzieła – na przykład w Luwrze. Ale to tutaj…

Jego właściciel stanął obok niej. Przez chwilę podziwiali obraz w milczeniu, dla niej połączonym z dotkliwie odczuwaną fizycznością.

– Intryguje mnie wyraz twarzy Wenus – odezwała się. – Zastanawiam się, o czym myśli.

– Oto różnica między mężczyznami a kobietami. On śpi, a ona myśli.

– Ktoś musi myśleć. I jakże często są to kobiety.

– Zawsze mnie ciekawi, dlaczego także nie kładą się spać.

– Nie wiem – odparła Leonie.

Naprawdę nie wiedziała. Jej rozumienie fizycznego aktu między mężczyzną a kobietą, jakkolwiek szczegółowe i precyzyjne dzięki relacji najstarszej siostry, w żadnym punkcie nie opierało się na osobistym doświadczeniu – a w tej chwili, napomniała się, nie była pora, żeby sobie takie doświadczenie wyobrażać. Najpierw interesy, zawsze. Zwłaszcza teraz.

– Zajmuję się tym, jak dama prezentuje się światu.

Otworzyła torebkę, wyjęła niewielki kartonik i podała mu. Bilet był piękny, co oczywiste, skoro jej butik uchodził za najprzedniejszy w Londynie. Rozmiarów damskiego bileciku wizytowego, elegancko tłoczona i kolorowana, była to jednak wciąż wizytówka firmowa – Maison Noirot, Krawiectwo dla Modnych Dam, St. James’s Street 56.

Oglądał ją przez chwilę.

– Jestem jedną z właścicielek – wyjaśniła.

Podniósł wzrok znad wizytówki i spojrzał jej w oczy.

– To nie pani poślubiła mojego kuzyna Longmore’a?

Nie zdziwiło jej, że trafiła na kuzyna swego świeżo upieczonego szwagra. W eleganckim świecie wszyscy zdawali się ze sobą spokrewnieni, a w przypadku rodu Fairfaiksów, do którego należał hrabia Longmore, z potężnej głównej gałęzi wyrastały liczne gałązki i pędy.

– Chodzi panu o moją siostrę Sophy – wyjaśniła. – Na przyszłość, to ta blondynka.

Wiedziała, że w ten sposób trzy właścicielki Maison Noirot funkcjonują w świadomości socjety: Trzy Siostry – niekiedy Trzy Wiedźmy lub Francuzeczki – brunetka, blondynka i rudzielec.

– No tak. A jedna z pań poślubiła księcia Clevedona.

– Moja siostra Marcelline. Brunetka.

– Jak dobrze, że rodzice pań postarali się, żeby łatwo dało się je odróżnić – skomentował. – I jak miło z pani strony, że udzieliła mi pani wyjaśnień. Gdybym, na przykład, pomylił hrabinę Longmore z panią i spróbował z nią flirtować, ten brutal, jej małżonek, zareagowałby przemocą, co z pewnością miałoby niekorzystny wpływ na stan mojego halsztuka. Poświęciłem pełne pół godziny, żeby odpowiednio go zawiązać.

Leonie była doświadczoną dwudziestojednoletnią kobietą interesu, fachowo przyjrzała się więc halsztukowi – czy też próbowała. Zadanie okazało się jednak ponad jej siły.

Halsztuk pod szlachetnie wycyzelowaną linią szczęki był nie tylko nieskazitelnie czysty, lecz również tak bezbłędnie zawinięty i przymarszczony, że wyglądał jak wykuty w marmurze.

Reszta stroju także zdawała się nadludzko doskonała – podobnie jak twarz i sylwetka.

Leonie zakręciło się przez chwilę w głowie i pomyślała, że to idealny moment, aby zemdleć. Jednak poczucie zawodowego obowiązku kazało jej zmierzyć halsztuk krytycznym okiem.

– Wyśmienicie spożytkował pan czas – orzekła.

– Nie żeby robiło to jakąkolwiek różnicę – stwierdził. – Żadna nawet nie spojrzy na innego mężczyznę, kiedy on kręci się w pobliżu.

– On – powtórzyła.

– Mój rozpoetyzowany kuzyn. Cierpię na nadmiar kuzynów. O, są, niech to licho.

Leonie uzmysłowiła sobie, że słyszy głosy dobiegające od strony głównych schodów.

Odwróciła się w tym kierunku, a jej oczom ukazały się kapelusze i głowy. Wkrótce pojawiły się całe sylwetki. Młode kobiety pospieszyły ku łukowemu przejściu do galerii, w której stała Leonie. Tam panny się zatrzymały, przepychając się i trącając łokciami w sposób nieprzystający damom, aczkolwiek robiły to z umiarem. Po chwili rozstąpiły się, by przepuścić wysokiego, smukłego, eterycznego dżentelmena. Miał przydługie słomkowe włosy, odziany był z teatralnym zacięciem.

– On – powiedział lord Lisburne.

– Lord Swanton – uzupełniła.

– W kogóż innego dwa tuziny dziewcząt wlepiałyby oczy z wyrazem zadurzenia na twarzach?

Leonie omiotła wzrokiem kobiety, w jej wieku lub młodsze, z wyjątkiem garstki matek lub ciotek, zobowiązanych pełnić funkcję przyzwoitek. Na skraju kręgu wielbicielek lorda Swantona i ich niechętnych towarzyszek wytropiła nową szwagierkę Sophy, lady Clarę Fairfax, która wyglądała na znudzoną. Dama stała obok pospolitej młodej kobiety, niesłychanie źle ubranej.

Leonie szybciej zabiło serce. Przyszła tutaj z zamiarem powiększenia klienteli, nie śmiała jednak liczyć na aż tak wiele.

Przez chwilę niemal zapomniała o bogu Marsie, a nawet obrazie. Niemal. Stłumiła ekscytację i na powrót skierowała uwagę na lorda Lisburne'a.

– Dziękuję, milordzie, że ocalił mnie pan przed pójściem w ślady tej nieszczęsnej sztalugi – powiedziała. – Cieszę się, że wybrał pan na wystawę ten konkretny obraz. Nie interesują mnie sceny przemocy, a święte istoty wydają mi się wielce irytujące. Jednakże było to wyborne doświadczenie.

– Które dokładnie doświadczenie? – zapytał. – Nasza znajomość, choć krótka, obfituje w wydarzenia.

Kusiło ją, żeby zostać i kontynuować flirt. Celował w tym. Co więcej, nie dość, że piękny, był arystokratą – właścicielem obrazu, który, popularny czy nie, przypuszczalnie uchodził za bezcenny. Bez wątpienia posiadał kilka setek innych oszałamiająco kosztownych przedmiotów, a do tego dwie lub trzy olbrzymie rezydencje z przynależną do nich sporą częścią terytorium Wielkiej Brytanii. Jeśli – czy raczej kiedy – weźmie sobie żonę i/lub zainstaluje kochankę, będzie płacił za jej kwatery, służbę, powóz, konie oraz, co najważniejsze, za jej stroje.

Niemniej dziewczyna, przyjaciółka Clary, sprawiała wrażenie, jakby miała lada moment stąd czmychnąć. Taka zdobycz nie trafia się codziennie. Leonie tak czy owak pozyskała już uwagę lorda Lisburne'a. Była przekonana, że w najbliższych dniach markiz zajrzy do butiku.

– Istotnie – odparła. – Przyszłam tu jednak w interesach.

– W interesach – powtórzył.

– Damy – wyjaśniła. – Suknie. – Szybkim gestem omiotła swoją garderobę, której przygotowaniu poświęciła znacznie więcej aniżeli pół godziny. – Reklama.

Następnie dygnęła i ruszyła ku lordowi Swantonowi oraz jego czcicielkom. Za plecami usłyszała stłumiony dźwięk, ale nie miała czasu

oglądać się za siebie. Źle ubrana dziewczyna właśnie ciągnęła lady Clarę za ramię.

Leonie przyspieszyła kroku.

Mając oczy utkwione w towarzyszce lady Clary, nie zauważyła rozłożonego na posadzce płótna.

Zahaczyła o nie noskiem buta i runęła do przodu.

Usłyszała, jak wiele osób naraz gwałtownie wciąga powietrze, czemu towarzyszyły chichoty, kiedy upadała, niewdzięcznie kręcąc młynka ramionami.

* * *

Lisburne również nie zauważył rozłożonego przez malarza płótna. Zbyt zaabsorbowało go podziwianie panny Noirot od tyłu, jakkolwiek przyjrzał się już tym partiom do woli – zarówno z daleka, jak i z nieprzyzwoicie bliska – kiedy stała przed Botticellim, nieświadoma nie tylko jego obecności, lecz także tego, że świat wokół niej wciąż się kręci. Kiedy odwróciła się, żeby nań spojrzeć, nieomal się zatoczył, przekonany, że to ożywiona Wenus Botticellego: ta sama twarz w kształcie serca i kusząco niedoskonały nos… soczyste usta z cieniem uśmiechu lub głębokiego namysłu, a może kłopotliwego wspomnienia… zaskakująco stanowczy podbródek.

Jakkolwiek jego myśli wędrowały ku nieprzyzwoitym fantazjom, zdołał zachować refleks i jednym płynnym ruchem postąpił naprzód, złapał ją i zagarnął w ramiona.

Od czasu jego ostatniego pobytu w Anglii, blisko sześć lat temu, suknie dam stały się jeszcze bardziej wymyślne. Trudno było rozpoznać, które części dziewczyny są prawdziwe, a które wykreowano dla wzmocnienia efektu. Choć doceniał wyraz artystyczny, z radością odkrył, że w tym przypadku na oko cudownie kształtna sylwetka okazała się zafałszowana jedynie w najbardziej powierzchownym sensie. Wnosząc z ciepłych części, z którymi wszedł w kontakt, jej ciało całe składało się z idealnych krągłości. Do tego pięknie pachniała.

Zobaczył, jak jej oczy się rozszerzają – oczy barwy tak żywo niebieskiej, że zawstydziłyby szafiry i toskańskie niebo – a soczyste wargi rozchylają

nieznacznie.

– Udało się pani – szepnął. – Wszyscy na panią patrzą.

Nie przesadzał. Każda osoba w zasięgu wzroku porzuciła swoje aktualne zajęcie bądź urwała w pół słowa, żeby na nią spojrzeć. Trudno się dziwić. Olśniewające rudowłose panny nie co dzień padają mężczyznom w ramiona.

Poruszenie zaczęło przyciągać ludzi z innych pomieszczeń.

Wbrew jego oczekiwaniom, ten dzień bynajmniej nie okazał się nudny.

– Panna Noirot!

Swanton przepchnął się przez tłum wielbicielek – rozdeptując po drodze kilka palców u nóg – by pospieszyć ku nim. Wielbicielki ruszyły jego śladem. Nawet kuzynki Lisburne'a, Clara i Gladys Fairfax, podążyły za grupą, jakkolwiek nie wzbudziło to ich entuzjazmu.

– Na Zeusa, co się stało? – zapytał gwałtownie Swanton.

– Dama zemdlała – odparł Lisburne.

Wiedział, że sporo obecnych – przynajmniej tych, którym udało się oderwać wzrok od Swantona – widziało, jak dziewczyna się potyka. Potoczył wokół spojrzeniem, leniwie zapraszając świadków, żeby zaprzeczyli jego słowom. Nikt tego nie zrobił. Nawet ci hultaje, Meffat i Theaker, trzymali język za zębami.

Prawda, lady Gladys Fairfax chrząknęła, ale nikt nie zwracał na nią uwagi – no, chyba że komuś zależało na tym, aby wprawić się w stan morderczej furii. Także i ona dopiero co wróciła do Londynu po kilkuletniej nieobecności, nikt jednak nie zdołałby jej zapomnieć, tak jak nie zapomina się dżumy, wielkiego pożaru albo wścieklizny.

– *Merci* – podziękowała mu półgłosem panna Noirot.

Lisburne nie tyle to usłyszał, ile poczuł, mniej więcej na wysokości piersi.

– *Je vous en prie*[1] – odparł.

– Na moment zakręciło mi się w głowie, to nic takiego – odezwała się głośniej. – Może mnie pan już postawić, milordzie.

– Na pewno, madame? – zapytał Swanton. – Zarumieniła się pani, nic dziwnego. To piekielne gorąco. Ani tchnienia wiatru dzisiaj. – Popatrzył na świetlik. Publiczność zrobiła to samo. – A oto i słońce, poraża nas, jakby źle skręciło w drodze na Saharę. Czy ktoś byłby tak uprzejmy i przyniósł madame szklankę wody?

Madame? Potem Lisburne przypomniał sobie elegancką wizytówkę firmową. Do krawcowej, zwłaszcza z gatunku tych droższych, zwyczajowo zwracano się per „madame”, bez względu na jej stan cywilny.

A Swanton znał tę konkretną madame. Nawet się na ten temat nie zająknął, podstępna bestia. Ale nie, podstępność nie leżała w jego naturze. Najprawdopodobniej opętała go poetycka ekstaza i po prostu zapomniał o niej, dopóki nie zobaczył jej ponownie. Typowe.

Ojciec Swantona poległ młodo pod Waterloo, a jego rolę przejął ojciec Lisburne’a. Tym sposobem Lisburne stał się opiekuńczym starszym bratem, którą to pozycję zajmował do tej pory ze względu na fakt, że Swanton był Swantonem.

– Milordzie, nazbyt pan uprzejmy – powiedziała. – Dziękuję za wodę, nie trzeba. Czuję się całkiem dobrze. To była tylko przejściowa słabość. Markizie, gdyby zechciał mnie pan już postawić.

Wykręciła się lekko w ramionach Lisburne’a. Co za zabawa.

Jako mężczyzna tryskający zdrowiem, absolutnie sprawny pod każdym względem, nie palił się do tego, by ją uwolnić. Nie mógł jednak przeciągać tej chwili w nieskończoność, toteż opuścił Leonie na ziemię z najwyższą ostrożnością, tak że ześlizgiwała się wolno po jego ciele. Jej stopy dotknęły posadzki, lecz mimo to jeszcze przez chwilę trzymał ją w ramionach.

Zamknęła oczy i wymamrotała coś pod nosem, po czym otworzyła je znowu i przywołała na twarz uśmiech, równie olśniewający jak jej oczy. Efekt przyprawił go o lekki zawrót głowy.

– Madame, jeśli czuje się pani na siłach, pozwoli pani, że przedstawię ją moim przyjaciołom? – zapytał Swanton. – Zabijają się, żeby panią poznać.

Dżentelmeni, to bez wątpienia. Z dziką rozkoszą zostaną przedstawieni jakiejkolwiek atrakcyjnej kobiecie, zwłaszcza teraz, gdy graniczyło z niemożliwością, by zwrócili na siebie uwagę gromadki tłoczącej się wokół Swantona.

Ale damy? Czy życzyłyby sobie zostać przedstawione właścicielce sklepu?

Nie byłoby w tym nic niezwykłego, uznał Lisburne. Trzy siostry Noirot zdobyły już sławę. Ostatnio słyszał o nich na kontynencie. Ich prace, mówiono, rywalizowały z dziełami słynnej Victorine z Paryża, która nawet od królowych wymagała wcześniejszego umawiania się i wizyt w swej pracowni.

Leonie przesunęła po zebranych wzrokiem i obdarowała ich rozbrajającym uśmiechem.

– Nazbyt pan uprzejmy, milordzie – powiedziała. – Jednak dostatecznie już dziś wszystkim przeszkodziłam. Damy będą wiedziały, gdzie mnie znaleźć: za rogiem, pod numerem 56 przy ulicy St. James. A damy, jak panu wiadomo, są dla mnie najważniejsze.

Pod koniec tej przemowy posłała spojrzenie komuś w tłumie. Kuzynce Clarze? Następnie dygnęła i zaczęła się oddalać.

Pozostali odwrócili się w drugą stronę, najpierw kobiety. Swanton na nowo podjął poetyzowanie, uromantycznianie, czy czemukolwiek się oddawał, a towarzystwo przeszło do *Między Cnotą a Występkiem* Veronesego.

Lisburne wszakże obserwował odchodzącą pannę Noirot. Stąpała jakby nie do końca pewnie, gdzieś zniknęła wcześniejsza niewymuszona gracja. U szczytu schodów przytrzymała się poręczy i skrzywiła usta.

* * *

Leonie nie było dane wymknąć się po cichu.

Usłyszała, że podąża za nią markiz Lisburne. Rozpoznała go bez patrzenia – zapewne dlatego, że za sprawą skrajnie nieprzystojnego sposobu, w jaki moment wcześniej opuścił ją na ziemię, z daleka wyczuwała jego obecność.

A może przesłał przez salę swego rodzaju impuls, tak jak niektórzy bogowie, którzy – jak dawniej wierzono – obwieszczali swoje przybycie za pomocą dziwnych świateł, magicznych dźwięków lub boskiego zapachu?

– Zdaje się, że coś panią boli – powiedział. – Mogę służyć wsparciem?

– Miałam nadzieję wyślizgnąć się chyłkiem – odparła.

– Z tym nie będzie trudności. Wszyscy wiszą nad moim kuzynem. Mędrkuje na temat *Cnoty i Występku*, a oni wierzą, że kryje się w tym jakiś sens.

Mówiąc to, zarzucił sobie na szyję jej lewe ramię, po czym objął ją w talii.

Wstrzymała oddech.

– Musi panią piekielnie boleć – stwierdził. – Może lepiej sprawdzę, co z pani kostką, zanim ruszymy dalej. Niewykluczone, że szkoda jest większa, niż sądzimy.

Jeśli dotknie jej kostki, Leonie zemdleje, niekoniecznie z przyczyn medycznych.

– Tylko ją skręciłam – zapewniła. – Gdyby było gorzej, siedziałabym na stopniu, łkając w równym stopniu z bólu, co z upokorzenia.

– Poniosę panią – zaproponował.

– Nie – odparła, z opóźnieniem dorzucając: – Dziękuję panu.

Wolno zeszli po schodach. Dodawała w głowie kolumny liczb, żeby odwrócić myśli od ciepła potężnego ciała służącego jej za oparcie. Nie było to łatwe. Zbyt długo wpatrywała się w Botticellego, wskutek czego jej umysł mógł jedynie tworzyć obrazy muskularnych ramion i torsu pozbawionych jakiegokolwiek przyodziewku.

Do momentu, w którym dotarli na półpiętro, jej zwykle tak uporządkowany umysł zapuszczał się w dziwne boczne drogi i przesadnie koncentrował na doznaniach fizycznych.

Zmusiła się, żeby się odezwać.

– Pozostaje mi żywić nadzieję, że ludzie założą, iż tak mnie oszołomiło to krótkie spotkanie z lordem Swantonem.

– Tak będę mówił, jeśli pani sobie życzy – zadeklarował. – Ale odniosłem wrażenie, że się znacie.

– Paryż. Wieki temu.

– Raczej nie wieki – zaoponował. – Jest pani nieco uszkodzona, ale nie w ruinie.

– To była jego pierwsza wizyta w Paryżu – doprecyzowała.

– Czyli ponad pięć lat temu.

Kiedy Leonie miała niespełna szesnaście lat, była szczęśliwa w pracy i na łonie rodziny, zwłaszcza z powodu swej pięknej maleńkiej siostrzenicy, i radowała się sukcesem Emmeline, luksusowego butiku ciotki Emmy.

Dopóki świat się nie rozpadł.

– Lord Swanton zaszedł do butiku mojej ciotki, żeby kupić prezent dla matki – wyjaśniła. – Był miły i uprzejmy. W Paryżu dżentelmenom dość często zdarzało się pomylić dom mody z burdelem.

Tym, którzy upierali się przy pomyłce, przydarzały się nieszczęśliwe wypadki.

Jedna z pierwszych zasad, jakie przyswoiła sobie Leonie, brzmiała: „Mężczyźni chcą tylko jednego”. Ciotka Emma udzieliła swoim młodym podopiecznym wskazówek nie tylko w zakresie szycia sukien, lecz także obrony przed napastliwymi mężczyznami. Jej nauki nie obejmowały jednak relacji z rzymskimi bogami. Utrzymanie zawodowego dystansu okazało się zaskakująco trudne, mimo że Leonie była najbardziej przedsiębiorcza z trzech sióstr. Marcelline i Sophy zawsze bujały w obłokach: marzycielki i intrygantki, typowe Noirot, typowe DeLucey.

Pachniał tak czysto jak powietrze po deszczu. Jak to robił? Czy to była jakaś woda? Cudowne nowe mydło?

Zanim dotarli na parter, rwący ból w kostce jakby nieco się zmniejszył.

– Sądzę, że dam radę, wspierając się tylko na pańskim ramieniu – powiedziała.

– Na pewno?

– Z moją kostką jest już lepiej. Nie muszę się na panu tak uwieszać.

W istocie wcale nie musiała, tak zdecydowanie trzymał ją przy swoim boku. Była świadoma każdego centymetra jego muskularnego ramienia i – pomimo warstw halki, gorsetu, sukni i pelerynki – konkretnego miejsca w dolnych rejonach jej klatki piersiowej, gdzie spoczywały jego palce.

Puściła jego szyję, on z kolei mocno chwycił jej obleczoną w rękawiczkę dłoń.

Trudno było nazwać to intymnością w porównaniu z tym, jak jeszcze przed chwilą dociskał ją do swego ciała, ale pozostawało faktem, że od lat żaden mężczyzna nie znalazł się tak blisko niej. Nadal wszakże nie tłumaczyło to jej chęci ucieczki. Umiała się bronić, czyż nie? Była za mądra na to, żeby dać się oczarować przystojnej twarzy i kształtnej sylwetce tudzież niskiemu, uwodzicielskiemu głosowi.

Nie mogła ulegać panice. Stan jej kostki nieco się poprawił, lecz i tak nie uśmiechała jej się droga w upale do butiku. Zanim dotarłaby do celu, pogorszyłaby uraz i konieczna okazałaby się dłuższa kuracja.

Interesy na początku, na końcu, zawsze. Kiedy wyszli na Pall Mall, zaczęła szacować wartość markiza, przypomniała sobie o rychłych żonach i/lub kochankach i zdusiła niepożądane emocje liczbami, jak to miała w zwyczaju. Niewykluczone, że jej niezdarność odstręczyła towarzyszkę lady Clary. Ten tutaj może okazać się jedynym nowym nabytkiem.

– Mówiła pani coś o interesach – odezwał się.

– Mówiłam?

Serce zabiło jej gwałtownie. Czyżby myślała na głos, nie zdając sobie z tego sprawy? Czyżby doznała wstrząśnienia mózgu i nawet tego nie zauważyła?

– Wcześniej, kiedy pospieszyła pani do mojej kuzynki.

– Ach, wtedy – powiedziała. – Tak. Tam, gdzie udaje się lord Swanton, można zwykle znaleźć sporo młodych dam. Wspomniał jednej z naszych klientek, że tego popołudnia zamierza odwiedzić Instytut Brytyjski. Uznałam, że to dobra okazja, by zapoznać z propozycjami butiku te panie, które jeszcze ich nie znają.

– Czyli nijak nie wiąże się to z jego poezją.

Wzruszyła ramionami, za co zapłaciła bolesnym ukłuciem w kostce.

– Prowadzę butik, milordzie – odparła. – Brak mi romantycznej wrażliwości.

Pracowała od dziecka. Młode kobiety, które wielbiły lorda Swantona, nie żyły w Paryżu w czasach chaosu, nędzy i zniszczenia niesionego przez cholerę. W jej odczuciu smutek, cierpienie i śmierć były dalekie od romantyzmu.

– Kompletnie tego nie rozumiem, przyznaję – rzekł. – Nie dostrzegam w tej poezji nic romantycznego. Z drugiej strony, nie różnię się w tym od większości mężczyzn. Choroba zdaje się dotykać młode kobiety – z nielicznymi wyjątkami. Mimo że jest w krytycznym wieku, kuzynka Clara wyglądała moim zdaniem na znudzoną. Kuzynka Gladys sprawiała z kolei wrażenie skwaszonej, ale ona zawsze tak wygląda, trudno zatem ocenić, czy zalicza się do czcicielek.

– Kuzynka Gladys – powtórzyła. – Ta młoda towarzyszka lady Clary?

– Lady Gladys Fairfax – wyjaśnił. – Córka lorda Boulswortha. Wie pani, ciotecznego dziadka Clary. Bohatera wojennego. Nie jestem pewien, co zwabiło Gladys z powrotem do Londynu, aczkolwiek żywię pewne denerwujące podejrzenie.

Dotarli do wylotu ulicy St. James, gdzie uderzył w nich gorący wiatr, który niósł kurz wzniecany przez pojazdy, jeźdźców i pieszych. Głowa dokuczała Leonie równie mocno jak kostka. Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni słyszała wzmiankę o lady Gladys Fairfax, ale ból, upał i zmieszanie zawładnęły jej umysłem.

– Dość tego – oznajmił markiz. – Zaniosę panią.

Najzwyczajniej w świecie nachylił się i zrobił to, co zapowiedział, nim Leonie zdążyła zaprotestować.

– Tak, wszyscy będą się gapić – powiedział. – Dobra reklama, nie sądzi pani? Chyba zaczynam łapać, o co chodzi z tymi interesami.

* * *

Tymczasem w Instytucie Brytyjskim

Sir Roger Theaker i wielmożny pan John Meffat należeli do nielicznych osób, które zwróciły uwagę na odejście lorda Lisburne'a z panną Noirot. Obydwaj przybyli do Instytutu z koterią lorda Swantona, choć zasadniczo do niej nie należeli. Jako szkolni koledzy Swantona dręczyli go bezlitośnie przez blisko rok, dopóki jego kuzyn nie spuścił im cięgów. Wielokrotnie. Ponieważ wolno kojarzyli. I jeszcze wolniej zapominali.

Wcześniej oddalili się nieco od tłumu podążającego za lordem Swantonem, po części dlatego, by utrzymać bezpieczną odległość od jego niebezpiecznego kuzyna.

Spojrzenie Theakera zawisło na schodach. Kiedy Lisburne i boża krówka zniknęli im z oczu, zawyrokował:

– Lisburne wpadł po uszy.

– Jeśli ktoś tu przepadł, to ta Francuzeczka – zaoponował Meffat. – Stawiam dziesięć funtów.

– Nie masz dziesięciu funtów – stwierdził Theaker.

– Ty też nie.

Theaker z powrotem skierował uwagę na poetę. Przez chwilę obserwowali, jak młode kobiety przepychają się, bynajmniej nie ukradkiem, żeby znaleźć się bliżej swego idola, podczas gdy ten perorował o Veronesem.

– Irytujący zasmarkaniec, czyż nie? – odezwał się Theaker.

– Zawsze taki był.

– Wypisuje czyste brednie.

– Zawsze tak było.

Nikt nie mógłby powiedzieć, że nie dołożyli starań, by oświecić czytelników. Jeszcze przed powrotem Swantona do Anglii przesłali do

różnych gazet pół tuzina anonimowych paszkwili na jego poezję, a ponadto dwa obelżywe limeryki. Większość krytyków podzielała zresztą ich opinię.

Jednakże pewna młoda dama zignorowała krytyków i zakupiła *Alcintusa i inne wiersze*, tomik smętnych utworów Swantona, po czym najwyraźniej wypłakała sobie oczy. Opowiedziała wszystkim przyjaciółkom, że to nowy lord Byron czy coś w tym guście. Nim ktokolwiek się zorientował, drukarze nie nadążali z zamówieniami.

Ponieważ przyglądanie się zasmarkańcowi nieszczególnie ich bawiło, Theaker i Meffat skierowali uwagę na pechowego artystę, który ustawiwszy na powrót sztalugi, próbował naprawić zniszczony obraz.

Podeszli, żeby służyć żartobliwymi radami i przypadkiem przewrócić kilka przedmiotów, które malarz zdążył pieczołowicie ulokować na poprzednich miejscach. Podsuwali mu własne ulubione tematy i spierali się o to, czy w rogu obrazu widać czepek, czy raczej kobiece części intymne. Zaabsorbowani dręczeniem kogoś zbyt słabego, biednego lub zastraszonego, żeby się odgryzł – ich typowe *modus operandi* – nie zauważyli zbliżającej się kobiety, dopóki ich nie osaczyła.

Kiedy zaś oznajmiła, że potrzebuje ich pomocy, nie roześmiali się, jak również mieli w zwyczaju, gdy osoba pozbawiona znaczenia zwracała się do nich o pomoc lub ochronę. Nie pozwolili sobie nawet na niewybredne sugestie, co dziwiło, zważywszy, że kobieta była nadzwyczaj piękna – urodziwa, smukła i młoda. John Meffat spojrzał na nią raz, potem drugi, a później zrobił szalenie zakłopotaną minę. Theaker popatrzył pytająco na przyjaciela, który przelotnie zmarszczył brwi, jakby coś przyszło mu na myśl. Widząc jednak ostrzegawcze spojrzenie posłane mu przez towarzysza, szybko ugryzł się w język.

Następnie Theaker uśmiechnął się uprzejmie – co ani chybi wywołało niejaki ból jego niewyćwiczonej twarzy – i odparł:

– Ależ oczywiście, moja droga. Znajdźmy miejsce nieco mniej publiczne, a wtedy opowie nam pani, w czym rzecz.

Rozdział 2

Jakkolwiek nie uchodzi, żeby toaleta absorbowała na tyle, by przeszkadzało to w wypełnianiu wyższych obowiązków, to jednak, jako że suknia młodej damy, choćby najprostsza, uznawana jest za kryterium jej smaku, bez wątpienia warto poświęcić jej uwagę.
Księga młodej damy**,** 1829

Lord Lisburne poniósł Leonie ulicą St. James w potwornej spiekocie, mijając sznur gapiów. Dwa pojazdy sczepiły się kołami, a przechodzący przez ulicę dżentelmen wpadł na słupek.

Sophy postrzegałaby tę sytuację jako cudowną reklamę, napomniała się Leonie. Zignorowała więc ból głowy tudzież rwanie w kostce i przybrała stoicki wyraz twarzy, jakby codziennie bywała noszona do butiku. Przez rzymskiego boga. Który nawet się nie zasapał.

Spojrzawszy w górę, dostrzegła cień uśmiechu na jego idealnie wyrzeźbionych ustach.

– Przednia zabawa – oznajmił. – Który numer, mówiła pani? Ach tak, pięćdziesiąty szósty. O, proszę spojrzeć. Czarujące. Takie francuskie. Czy ten chłopiec w zapierającej dech liliowo-złotej liberii należy do pań?

– Tak – odparła Leonie, nawet nie patrząc. – To Fenwick, nasz chłopak do wszystkiego.

– Otwiera drzwi czy służy jedynie za nader barwną dekorację?

– Otwieranie drzwi również należy do jego zadań.

Sophy zgarnęła Fenwicka z ulicy w trakcie jednej ze swoich wypraw, kiedy młodzian przyuczał się na kieszonkowca. Gdy już zdrapały z niego liczne pokłady ulicznego brudu, ich oczom ukazała się zaskakująco anielska aparycja. Cieszył się ogromnym powodzeniem wśród dam. Ponadto…

I wtedy Leonie przypomniała sobie o wszystkim. Sophy znalazła Fenwicka w dniu, kiedy wybrała się na przeszpiegi do ich rywalki w interesach. Aby dostać się do sklepu pani Downes, Sophy przebrała się za lady Gladys Fairfax. A w każdym razie tak, jak wyobraziła sobie lady

Gladys na podstawie opisu lady Clary i zgodnie z własną przerażającą pomysłowością.

Ale Leonie nie miała czasu dłużej rozmyślać o lady Gladys. Fenwick otworzył drzwi, lord Lisburne wniósł ją do butiku, a sprzedawczynie natychmiast potraciły głowy.

Rozległy się okrzyki „Madame!” i ciche piski, dziewczęta wybiegły zza lad i stłoczyły się wokół Leonie i lorda Lisburne’a, po czym zawołały: „Nie, nie, trzeba jej powietrza!” i pomknęły w przeciwnym kierunku, żeby zaraz wrócić. Mówiły jedna przez drugą, żeby przynieść wodę i sole trzeźwiące oraz wezwać lekarzy, i toczyły o to spory. Tymczasem nikt nie zwracał uwagi na klientów, którzy mogliby wynieść pół butiku, z manekinami włącznie, podczas gdy obsługa oddawała się histerii.

Na szczęście Selina Jeffreys, kierowniczka butiku, pospieszyła do salonu sprzedaży, zwalniając obolałą Leonie z obowiązku dyscyplinowania wojsk. Jeffreys błyskawicznie zaprowadziła porządek i skierowała lorda Lisburne’a przez drzwi na zaplecze. Tam Leonie pokazała mu drogę do swojego kantorka.

Posadził ją w fotelu. Znalazł podnóżek i nie zważając na zapewnienia Leonie, że potrafi poruszać własną stopą, ukląkł, po czym delikatnie umieścił na nim jej nadwerężoną nogę. Dotyk jego dłoni wywołał magnetyczny dreszcz, ten zaś przewędrował po jej nodze w górę i rozprzestrzenił się wszędzie, włączając rejony, których spora grupa kobiet nie odsłania nawet przed samymi sobą.

– Przydałoby się coś na pokrzepienie – rzekł, gdy się podniósł.

Sprawiał wrażenie, jakby ani trochę się nie zgrzał. Jej marzyła się kąpiel w lodzie.

– Odpowiada panu brandy? – zapytała.

– Chodziło mi o coś dla pani – sprostował. – Marnie pani wygląda.

– Zrobiłam z siebie pośmiewisko na oczach najmodniejszego londyńskiego poety. Potknęłam się dwa razy w tym samym pomieszczeniu i wszyscy będą twierdzić, że się upiłam. Za drugim razem potknęłam się tak niezdarnie, że skręciłam kostkę. Markiz Lisburne nosił mnie po ulicy ku uciesze gawiedzi, czym doprowadził do obłędu moje pracownice. Cała jestem obolała i spocona, mimo że mój wysiłek ograniczył się do tego, że dałam się nieść. Oczywiście, że marnie wyglądam. A do tego jestem

zagniewana, inaczej podziękowałabym panu przed przystąpieniem do narzekań.

– Nie ma potrzeby dziękować, zapewniam panią. Nie bawiłem się tak dobrze, odkąd wróciliśmy ze Swantonem do Londynu. – Zdjął rękawiczki. – Gdzie trzyma pani brandy?

Kierowany jej wskazówkami, nalał trunku do dwóch szklanek. Następnie zaczął przechadzać się po jej kantorku jak po własnym. Nic dziwnego. Arystokraci zawsze zachowywali się tak, jakby byli u siebie, bez względu na to, czy dane miejsce formalnie do nich należało, do nich należała bowiem cała Anglia.

Później jednak zaczął d o t y k a ć j e j r z e c z y.

* * *

Lisburne odczuwał fascynację.

Wzdłuż jednej ściany na trzech lśniących półkach stały w doskonale równej linii księgi rachunkowe. Na biurku, również wypolerowanym do granic możliwości, obok podstawki na kałamarz i pióra umieszczono tacę z zabójczo naostrzonymi ołówkami. Na pozostałych ścianach wisiały, idealnie prosto i w równych odległościach, francuskie ryciny przedstawiające modne stroje oraz kilka widoczków z Paryża. Cokolwiek jeszcze znajdowało się w kantorku, ukryte było w starannie pozamykanych szufladach i szafkach.

Mężczyzna przekrzywił głowę, odczytując napisy na grzbietach ksiąg, po czym wyciągnął jedną, żeby spojrzeć na okładkę. Przerzucił strony. Skrupulatnie prowadzone tabele zawierały zwięzłe opisy transakcji. Obok nich maszerowały, w tym samym rygorystycznym porządku, kolumny cyfr.

– Nigdzie ani jednego kleksa – skomentował. – Pani je prowadzi? Jak udaje się pani zapisywać wszystkie te cyfry i całą resztę, nie robiąc kleksów?

– Milordzie, to są prywatne informacje finansowe. – Głos z nieznacznym akcentem wspiął się o ton wyżej.

– Pani sekrety nie mogłyby być bezpieczniejsze – zapewnił. – Dla mnie to jak hieroglify. Choćbym spędził długie dni na czytaniu, niewiele bym z tego wyniósł. Nie, to nie do końca prawda. Wiem, co oznacza czerwony

atrament. Mój agent dostatecznie często zwraca mi uwagę na ten szczegół. To znaczy zwracał, dopóki nie zostawiłem tego rodzaju spraw Uttridge’owi, mojemu sekretarzowi. On mnie ostrzega, kiedy wynosi mnie na czerwone terytorium.

– Sekretarz zarządza pańskimi finansami? – spytała ze zgrozą. – W ogóle nie zagląda pan do ksiąg?

Jakże interesujące miała pismo! Tak precyzyjne i zdyscyplinowane, a zarazem czysto kobiece.

– Problem z zaglądaniem do ksiąg polega na tym, że są one obrazem ludzkich niedoskonałości – odparł, zręcznie omijając nudną prawdę. – Odnotowuję tu bardzo niewiele czerwieni, panno Noirot. I zajmuje się pani tym wszystkim sama, bez pomocy Uttridge’ów i innych takich? Zwyczajnie zapisuje pani każdą przeklętą pozycję i jej koszt i jakimś sposobem na koniec wszystko się pani zgadza?

– Na tym polega moja praca – odparła. – Księżna Clevedon specjalizuje się w projektowaniu strojów. Lady Longmore odpowiada za reklamowanie Maison Noirot. Ja zarządzam interesem.

– Innymi słowy, pilnuje pani pieniędzy.

– To część moich obowiązków. Zatrudniam i odprawiam szwaczki, zajmuję się ich przeróżnymi kryzysami i histeriami, wypłacam wynagrodzenia i doglądam zakupów.

Zamknął rejestr i patrzył na nią przez chwilę. A było co podziwiać. Olbrzymie niebieskie oczy i miękkie usta, i bezkompromisowy podbródek.

Ten podbródek współgrał z kolumnami schludnych cyfr i brakiem kleksów.

Natomiast suknia pochodziła ze świata baśni.

Białe falbany i koronki spływały kaskadą jak morska piana. Od filigranowej talii odcinała się spódnica wyszywana, jak się zdawało, tysiącami maleńkich niebieskich kwiatków. Suknia była tak rozkosznie kobieca, że mężczyzna pragnął dotknąć jej właścicielki jedynie po to, by usłyszeć szelest materiału.

No dobrze, nie tylko z tego powodu.

Co za radość nieść takie cudo po St. James!

Patrzył na tę twarz i tę suknię i myślał o starannie zapisanych cyfrach i kolumnach.

Wsunął księgę na miejsce.

Z ust Leonie wyrwał się bliżej nieokreślony dźwięk.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Boli panią stopa? Dolać pani brandy?

– Nie, nie, dziękuję – odparła. – Milordzie, nie mogę pana dłużej zatrzymywać. Był pan tak miły, tak szarmancki…

– Cała przyjemność po mojej stronie, zapewniam panią. – Przystąpił do inspekcji jej biurka. – Nastawiłem się na kolejne nudne popołudnie spędzone z rozemocjonowanym Swantonem.

Wziął jeden z zatrważająco ostrych ołówków i przytknął do opuszki palca wskazującego. Powstało niewielkie wgłębienie. Zapewne trudno by go uznać za śmiertelnie niebezpieczną broń, chyba że ktoś dźgnąłby nim z całą zawziętością, do czego ona skądinąd niewątpliwie była zdolna. Obejrzał z uwagą pedantycznie zaostrzone pióra. Kiedy odkładał je kolejno na miejsce, słyszał ciche posapywanie ich właścicielki.

– Za gorąco pani, panno Noirot? – spytał. – Otworzyć okno? Czy też wpuszczę tylko więcej skwaru z zewnątrz?

Wydała z siebie zduszony dźwięk.

– Skoro już musi pan tu węszyć, milordzie – powiedziała – a zdaję sobie sprawę, że arystokraci muszą robić to, na co im przyjdzie ochota, czy może pan przynajmniej odkładać moje rzeczy na miejsce?

Odstąpił od biurka i splótł ręce za plecami. Bynajmniej się nie stropił, mało tego, okrutnie go kusiło, żeby doprowadzić do nieładu wszystko w tym pokoju, włącznie – zwłaszcza – z nią.

Popatrzył na ołówek i pióra, a potem raz jeszcze na księgi rachunkowe.

– Eee, nie. To znaczy mógłbym spróbować, ale nie wiadomo, co by z tego wynikło. Właśnie dlatego Uttridge interweniuje, rozumie pani. Bardzo szybko się nudzę, a wtedy wszystko idzie na opak.

Nie była to do końca prawda. Ogarniało go znudzenie, kiedy już w pełni opanował dany temat.

– Pański strój jest nieskazitelny – stwierdziła.

Spojrzał na siebie.

– Dziwne, nieprawdaż? Nie wiem, jak to robię. No cóż, swój udział ma w tym Polcaire, oczywiście, mój lokaj. Bez niego bym sobie nie poradził.

Przez chwilę kontemplował swoją kamizelkę. Należała do jego ulubionych i był pewien, że dobrze się w niej prezentuje. Najwidoczniej jakiś przewidujący duszek szeptał mu dziś do ucha.

Nie, to był Polcaire.

Polcaire: „Ależ wasza lordowska mość nie może założyć na tę okazję rdzawoczerwonej kamizelki”.

Lisburne: „Ta okazja to Swanton, co oznacza, że wszystkie dziewczęta będą patrzeć na niego. Mój wygląd nikogo nie obejdzie”.

Polcaire: „Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka, milordzie”.

Co dowodziło, że Polcaire był nie tylko geniuszem wśród lokajów, lecz także wyrocznią.

Lisburne przeniósł wzrok z kamizelki na pannę Noirot.

Blady rumieniec omywał jej kości policzkowe jak delikatne fale przyboju, pojawiając się i znikając. Smakowity widok.

– Czy powinienem podjąć ryzyko uporządkowania tych rzeczy? – zapytał. – Mogę nie sprostać pani standardom… a wtedy, jak podejrzewam, zerwie się pani z fotela i… – Zastanowił się. – Dźgnie mnie nożykiem do ostrzenia piór?

Miał świadomość, że Leonie sili się na spokój. Niełatwo było to dostrzec. Jej twarz byłaby doskonałą ilustracją hasła „nieprzenikniony”. Niemniej, jakiekolwiek Lisburne miał wady, nie zaliczał się do nich brak spostrzegawczości, zwłaszcza gdy chodziło o kobiety. W przypadku panny Noirot jak jastrząb śledził każdy jej gest.

– Przemknęło mi to przez myśl – powiedziała. – Ale piekielnie trudno pozbyć się trupa, zwłaszcza trupa arystokraty. Ludzie zauważają, kiedy ktoś szlachetnie urodzony znika.

Jako że drzwi pozostały na wpół otwarte, uzmysłowił sobie, że ktoś zbliża się do kantorka, a jego towarzyszka natychmiast przybrała czujniejszą postawę.

Kiedy w odpowiedzi na szybkie pukanie rozbrzmiało „*Entrez*” panny Noirot, do kantorka weszła jedna z młodych kobiet, które wcześniej tłoczyły się w salonie sprzedaży.

– Och, madame, bardzo przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała dziewczyna, a w każdym razie tyle zdołał zrozumieć z jej wybitnie kalekiej francuszczyzny, nim darowała sobie próżny trud i przeszła na angielski. – Ale to lady Clara Fairfax i… druga dama.

– Druga dama?

Panna Noirot rozpromieniła się i poderwała z fotela, zapominając o urazie kostki. Skrzywiła się i zaklęła cicho po francusku, ale jej oczy

błyszczały, a twarz jaśniała.

– Skieruj je na górę do pokoju konsultacji i podaj napoje. Zaraz przyjdę.

Dziewczyna wyszła.

– Na górę? – powtórzył. – Zamierza pani wspinać się po schodach w tym stanie?

– Lady Clara przyprowadziła lady Gladys Fairfax – odparła. – Czy pan jej nie widział?

– Oczywiście, że widziałem Gladys. Nie sposób jej przeoczyć, tak jak walącego się budynku albo czterdziestodniowej powodzi. Pokazałem ją pani.

– Chodziło mi o jej suknię – sprostowała.

– Odwróciłem wzrok natychmiast, acz nie dość szybko. Katastrofa jak zwykle.

Braki w miłym usposobieniu Gladys nadrabiała złym gustem.

– W rzeczy samej – zgodziła się panna Noirot, a jej nieprzenikniona twarz promieniała ekscytacją równie niezrozumiałą, co zapierającą dech w piersiach. – Potrzebuje mnie. Pokonałabym te schody, choćbym musiała się po nich czołgać.

Psiakrew!

A popołudnie tak dobrze się zapowiadało.

Na Gladys zawsze można było liczyć – zepsuje wszystko, czego się dotknie.

– Co za bzdury pani opowiada – obruszył się. – Nie może pani czołgać się po schodach. Pogniecie pani suknię.

Podszedł do panny Noirot i zaofiarował jej ramię, zanim jeszcze podjęła próbę dokuśtykania do drzwi.

– Zaniósłbym panią – rzekł – ale gdyby Gladys nas zobaczyła, zrobiłaby się sarkastyczna. Bardziej niż zwykle. A i bez tego zepsuje pani popołudnie. Na pewno chce się pani z nią widzieć? Nie mogłaby pani posłać jednej ze swoich dziewcząt?

– Wepchnąć ją byle podwładnej? – Przyjęła jego ramię. – Musi się pan dużo nauczyć o interesach, milordzie.

– A pani musi się dużo nauczyć o Gladys. Widzę jednak, że sprawa jest beznadziejna. Niektórzy ludzie uczą się tylko na własnych błędach.

Pomógł jej wejść na piętro, ale wycofał się, kiedy zobaczył otwarte drzwi i usłyszał głos Gladys. Już pobrzmiewało w nim rozdrażnienie.

Koszmarnie wspominał pierwsze spotkanie z Gladys, kiedy czekała u nich w domu po pogrzebie jego ojca. Pryszczata, grubiańska piętnastolatka o ciętym języku. A jej ojciec! Sławny bohater wojenny, który usiłował zastraszyć pogrążoną w smutku wdowę, by zaręczyła syna z tym odpychającym dzieckiem. Lord Boulsworth zachowywał się tak, jakby ojciec Lisburne'a był jego oficerem, poległym w boju, nad którego pułkiem on musi teraz przejąć dowodzenie – a jedyną rolą żon, synów i córek innych ludzi pozostało maszerowanie w rytm jego rozkazów. Lisburne natknął się na Gladys kilkakrotnie od czasu swego powrotu do Londynu. Pomijając nadzwyczaj gładką cerę, nie zauważył u niej żadnych oznak poprawy po wejściu w dorosłość. Przeciwnie, coraz bardziej przypominała swego ojca.

– Przepraszam, że czmycham w popłochu jak ostatni tchórz – powiedział – ale nie przysłużę się pani, kręcąc się w pobliżu. Clarze nie przeszkadzam, oczywiście. Gladys to inny temat. Ograniczmy się do stwierdzenia, że ona i ja nie będziemy wymieniać uprzejmości. Na mój widok wpadnie tylko w gorszy humor, jeśli potrafi pani to sobie wyobrazić, a nie chciałbym dodatkowo utrudniać pani pracy.

* * *

Czterdzieści pięć minut później

– Ślepe jesteście? – spytała lady Gladys. – Spójrzcie tylko na mnie! Wykluczone, żeby piersi wylewały mi się z sukni. Ludzie pomyślą, że rozpaczliwie zabiegam o uwagę.

Spiorunowała wzrokiem trzy przyglądające jej się bacznie kobiety, a rumieniec na jej twarzy pogłębił się, przybierając nieszczęśliwy odcień nosa byle pijaczyny.

Mówiła z furią, ale Leonie dostrzegła w jej oczach cierpienie. Dama była trudna: apodyktyczna, opryskliwa, niecierpliwa, niechętna do współpracy i skora wszędzie dopatrywać się obrazy. Innymi słowy, zachowywała się jak typowa klientka.

Aktualnie lady Gladys stała przed lustrem rozebrana do gorsetu i halki dzięki fachowej pomocy Jeffreys i przy moralnym wsparciu lady Clary. Mimo to dotarcie do tego punktu wymagało stoczenia bitwy. Tymczasem

Leonie bolała kostka, no i głowa, przy czym żadna z tych spraw nie miała znaczenia, podobnie jak nie miało go nieznośne zachowanie lady Gladys.

Trafiła jej się życiowa szansa.

– Milady, w przypadku sukni jedną z głównych zasad jest podkreślanie walorów damy – powiedziała Leonie. – Tam, gdzie chodzi o mężczyzn, pani biust stanowi pani największy atut.

– Jeśli przez „największy” rozumie pani, że jest olbrzymi, nie będę się kłócić – odparła lady Gladys. – Wiem, że w tym pokoju to nie ja jestem sylfidą.

Zerknęła gniewnie na lady Clarę, która była co prawda zbyt posągowa na sylfidę, kwalifikowała się jednak na nieprawdopodobną piękność: niebieskooka blondynka, obdarzona perłową cerą i kształtnym ciałem. I rozumem. I uroczym usposobieniem.

Natura w żadnym razie nie obdarzyła lady Gladys klasycznym pięknem. Nijakie brązowe włosy. Oczy w równie mdłym odcieniu brązu, a przy tym, podobnie jak usta, zbyt małe przy jej okrągłej twarzy. Figura daleka od ideału ze względu na brak wcięcia w talii. Faktem było, że miała niezły biust i znośne biodra, jakkolwiek aktualnie mógł to dostrzec jedynie najbieglejszy obserwator.

– To nie oznacza, że nie ma pani kształtów – powiedziała Leonie.

– Słyszysz, Gladys? – odezwała się lady Clara. – Czy nie mówiłam ci, że ukrywasz swoje atuty?

– Nie mam atutów! – odparowała lady Gladys. – Nie traktuj mnie protekcjonalnie, Claro. Doskonale widzę swoje odbicie w lustrze.

– Ośmielę się z panią nie zgodzić – zaprotestowała Leonie. – Gdyby istotnie widziała pani doskonale, zauważyłaby pani, że gorset został niewłaściwie dobrany do jej figury.

– Jakiej figury? – zainteresowała się lady Gladys.

– No cóż, przekonajmy się, co się stanie, kiedy zdejmiemy gorset.

– Nie! Jestem już dostatecznie rozebrana. Moja krawcowa…

– Chyba lubi sobie wypić – weszła jej w słowo Leonie. – Nie wyobrażam sobie, żeby jakakolwiek elegancka krawcowa na trzeźwo upchnęła swoją klientkę w tę… tę osłonkę do kiełbasy.

– Kiełbasy?! – wrzasnęła lady Gladys. – Claro, dosyć już wycierpiałam zuchwalstwa ze strony tej kreatury.

– Jeffreys, bądź uprzejma pomóc lady Gladys z gorsetem – powiedziała stanowczym tonem Leonie.

Elegancka krawcowa, która pozwala klientce przejąć dowodzenie, może równie dobrze zamknąć butik i zacząć zarabiać na chleb cerowaniem.

– Nie tkniesz mnie, dziewczyno – rzuciła ostro lady Gladys. – Ani się waż. Nie będzie mną poniewierać jakaś suchotnicza smarkula, która obraża moje uszy najbardziej odrażającą namiastką francuszczyzny w tym mieście cierpiącym na karygodny nadmiar ciemnoty.

Jeffreys dorastała w brutalnym świecie. Ten atak brzmiał jak słowa matczynej miłości w porównaniu z doświadczeniami jej dzieciństwa. Niezrażona podeszła do klientki, gdy jednak sięgnęła do sznurówek gorsetu, lady Gladys okręciła się i zamachała ramionami, warcząc.

Jak osaczone zwierzę.

– Ależ, ależ, szanowna pani nie obawia się przecież mojej pracownicy – powiedziała Leonie.

– Jeffreys z pewnością nie cierpi na suchoty – dodała lady Clara. – Gdyby tak było, padłaby trupem, umęczona wydzieraniem cię z sukni i półhalek.

– Mówiłam ci, że to będzie strata czasu!

– A ja ci mówiłam, że obmierzły mi już filuterne uwagi pewnej osoby na temat tego, jak to pamięta twoje suknie z pierwszego sezonu. Na co ty powiedziałaś…

– Nie obchodzi mnie, co mówią!

– *Ça suffit*[2] – zarządziła Leonie. – Proszę pozostałe panie o wyjście. Lady Gladys i ja musimy porozmawiać w cztery oczy.

– Nie mam pani nic do powiedzenia – oznajmiła lady Gladys. – Jest pani najuciążliwszą… nie, Claro, nie wychodzisz!

Ale lady Clara wyszła, a za nią podążyła Jeffreys, delikatnie zamykając drzwi.

Lady Gladys nie mogła pobiec za nimi w samej bieliźnie. Nie mogła też się ubrać, ponieważ – jak większość dam – nie miała pojęcia, jak to zrobić. Znalazła się w pułapce.

Leonie wyjęła z szafki peniuar, do przesady francuski. Kremowej barwy, bogato wyszywany w różowe pąki i jasnozielone pnącza i liście. Nie został uszyty z muślinu, jak większość eleganckich koszul nocnych. To był doskonałej jakości jedwab, prawie że przezroczysty.

Przytrzymała peniuar w górze. Lady Gladys prychnęła i spojrzała z ukosa, ale się nie odwróciła. Jej wzrok spoczął na frywolnym kawałku jedwabiu.

– Chyba nie chce mi pani tego wcisnąć – powiedziała. – To rzecz w sam raz dla jawnogrzesznicy.

Leonie podeszła i udrapowała peniuar na sztywnych ramionach lady Gladys.

Odwróciła damę twarzą do lustra. Jej buntownicza mina złagodniała. Zamrugała gwałtownie.

– Ja… ja nigdy nie mogłabym założyć czegoś takiego i to podłość, że pani w ogóle to sugeruje.

Leonie usłyszała w jej głosie tęsknotę i zabolało ją twarde serce stylistki.

Lady Gladys nie była pięknością. Nigdy nią nie będzie, niezależnie od tego, na jakie wyżyny swej sztuki wespnie się krawcowa.

A mimo to mogła być czymś w i ę c e j.

– Nie sugeruję, żeby pani ją kupiła – powiedziała Leonie. – Jeszcze nie. Nada się raczej na pani wiano.

– Wiano! To jakiś żart!

– Oto, co zrobimy – oznajmiła Leonie. – Uwolnimy panią od tego monstrualnego gorsetu.

– Jest pani najbardziej przebiegłą, bezczelną…

– Dam pani coś lepiej dopasowanego, dopóki nie wykonam gorsetu, który dokładnie odpowiada pani potrzebom.

Gorsety stanowiły specjalność Leonie.

– Ja nie… Pani nie… – Lady Gladys znów gwałtownie zamrugała i przełknęła ślinę.

– Szanowna pani nigdy więcej nie założy gotowego gorsetu – ciągnęła energicznie Leonie. Uleganie emocjom przy klientkach nie popłacało. Same dawały im upust w stopniu więcej niż wystarczającym. – Nie zapewniają należytego podparcia i pozbawiają panią kształtów.

– Ja nie mam kształtów. Albo inaczej, mam piękne kształty, jeśli ktoś lubi beczki.

– Ależ ma pani figurę – zapewniła Leonie. – Nie klasyczną, lecz dla mężczyzn to nie jest ważne. Nie są tak wybredni, jak wydaje się młodym kobietom. Natura obdarzyła panią świetnym biustem, a kiedy zdejmiemy

ten koszmarek, przekona się pani, że jej biodra i pupa zachowują zgrabne proporcje.

Lady Gladys spojrzała w lustro. Po chwili opadła na krzesło.

– Zróbmy przegląd pani walorów – zaproponowała Leonie.

– Walorów! – Głos lady Gladys był zduszony.

– Oprócz już wymienionych ma pani czystą cerę, elegancki nos i ładne dłonie – powiedziała Leonie.

Lady Gladys z zaskoczeniem popatrzyła na swoje dłonie.

– Oczywiście, najważniejszy jest dekolt – ciągnęła Leonie. – Mężczyźni lubią oglądać biusty. W rzeczy samej, to tam zwykle patrzą najpierw.

Gladys nadal wpatrywała się w swoje dłonie, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu.

– Nie patrzą – powiedziała. – Nigdy na mnie nie patrzą. Mówią różne rzeczy i… – urwała. Po jej nosie potoczyła się łza.

Leonie podała jej chusteczkę.

– Pani pierwszy sezon okazał się więc niezbyt udany – stwierdziła.

Przypomniała sobie, że napomknęła o tym lady Clara – albo Sophy? Tak czy owak, nie znała szczegółów. Nie musiała.

Gladys wydmuchała nos.

– Cóż za niedopowiedzenie! Wie pani. Cały świat wie. Byłam kolosalną katastrofą. Byłam tak koszmarna, że umknęłam do domu w Lancashire i już nie wróciłam.

– A jednak jest pani tutaj – zauważyła Leonie.

Lady Gladys zarumieniła się, tym razem ładniej.

– To nijak nie wiąże się z sezonem – wyjaśniła pospiesznie. – Zresztą prawie się skończył. Ale przeczytałam w gazetach, że lord Swanton będzie czytał swoje dzieła i wygłosi kilka wykładów o poezji. Jest… jest całkowicie literacki. Powód mojego przyjazdu. Nie ma nic wspólnego z… to znaczy, drugi raz przez to nie przejdę. Bale, podpite towarzystwo i takie tam.

– Zawsze uważałam, że pierwszy sezon młodej damy przypomina walki na pięści albo wyścigi konne – stwierdziła Leonie. – Mnóstwo dziewcząt pcha się do towarzystwa w tym samym czasie, wyłącznie z zamiarem zdobycia męża, przy czym nie walczą czysto. Pani rywalki może i nie używają szpicruty bądź ostróg, kiedy biegnie pani obok nich, ale ich słowa służą temu samemu celowi.

Lady Gladys się roześmiała.

– Rywalki! Z nikim nie rywalizuję. No i proszę, debiutowałam razem z Clarą, akurat z nią. Afrodyta może by miała szansę. Albo i nie.

– Rozumiem trudność – przyznała Leonie. – Pamiętajmy jednak, że debiutowała pani, zanim moje siostry i ja osiadłyśmy w Londynie. Nie była pani należycie przygotowana. – Prawdę mówiąc, guwernantki i nauczyciele tańca lady Gladys przysłużyli jej się równie fatalnie jak jej krawcowa. Dama nie chodziła; ona człapała. – Z całą pewnością nie była pani odpowiednio ubrana.

– O, tak, to wszystko tłumaczy. Gdybym wtedy słuchała pani rad, zostałabym królową balu.

Leonie odstąpiła o krok, splotła ramiona i krytycznie zmierzyła nową klientkę wzrokiem. Po długiej, pracowitej chwili, kiedy to jej umysł przeprowadzał skomplikowane obliczenia, oznajmiła:

– Tak, milady. Tak, zostałaby nią pani. I tak, może pani nią zostać.

* * *

Wczesny wieczór, piątek, 10 lipca

– Ty podła kanalio! Ja ją zawsze obsługuję!

– Zawsze? Raz, dwa miesiące temu.

– A właśnie że w zeszłym tygodniu to ja obsługiwałam pannę Renfrew, kiedy ty flirtowałaś z panem Burnsem.

– Nie flirtowałam!

– Może on nie flirtował z tobą, ale ty starałaś się, ile wlezie.

Usłyszawszy podniesione głosy, Leonie pospieszyła z kantorka do pracowni, podczas gdy Jeffreys w tym samym celu biegła tam z salonu sprzedaży.

Zanim wpadły przez drzwi, Glinda Simmons dorwała już Joanie Barker. Drapały, kopały, okładały się nawzajem po twarzy, ciągnęły za włosy, a wszystko z wrzaskiem. Inne dziewczęta także krzyczały. Jeszcze kilka minut i postrącają bele kosztownych materiałów, porozrzucają zawartość pudełek ze wstążkami, kwiatami i piórami.

Leonie zaklaskała, ale nie zwracano na nią uwagi. Ona i Jeffreys musiały się wmieszać i siłą rozdzielić walczące dziewczyny. Nie zakończyło to wrzasków. Wojowniczki wzywały świadków rozmaitych zbrodni, jakich dopuściła się strona przeciwna, co audytorium uznało za zaproszenie, by dać wyraz własnym pretensjom wobec jednej czy drugiej.

Przywrócenie ładu zajęło blisko godzinę. Przestrzegłszy dziewczęta, że zostaną zwolnione w trybie natychmiastowym i bez referencji, jeśli pozwolą sobie na kolejne ekscesy, Leonie pospieszyła na górę, by przebrać się z codziennej sukni. Jeffreys podążyła za nią.

– Lepiej przyślij mi do pomocy Mary Parmenter – powiedziała Leonie. Mary przejęła dowodzenie w salonie sprzedaży pod nieobecność Jeffreys. – Ty miej oko na szwaczki. Najlepiej panujesz nad tymi bitwami.

Był to zaledwie jeden z powodów, dla których Selina Jeffreys, pomimo młodego wieku i pozornej słabowitości, została kierowniczką butiku.

Jeffreys zignorowała sugestię i zaczęła odpinać krótką pelerynkę Leonie.

– Spóźni się pani, madame – powiedziała. – A wie pani, że Parmenter robi się nerwowa i niezdarna, kiedy czuje, że się ją pogania. Mnie to nie grozi.

Leonie zamiast „spóźnić się” wolałaby „nigdy się nie zjawić”. Nie wyczekiwała dzisiejszego wieczoru z radością.

Lord Swanton dawał wykład o poezji, by zebrać fundusze dla przytułku dla głuchoniemych. W tego rodzaju zadaniach celowała Sophy. Zajrzałaby na chwilę, a potem wyślizgnęła się i drobiazgowo opisała wydarzenie dla ulubionej gazety plotkarskiej Londynu, „Porannego Zwierciadła” Toma Foxe’a. Relacja uwzględniałaby detale kreacji każdej z klientek Maison Noirot.

Leonie cieszyła się na tę pisaninę mniej więcej tak, jak jej francuski przodek na spotkanie z Madame Gilotyną.

Mylnie zinterpretowawszy mars na jej czole, Jeffreys powiedziała:

– Proszę się nie martwić o dziewczęta, madame. Teraz będzie już dobrze. To są te dni, a wie pani, jak to jest z kobietami, które nieustannie przebywają razem.

Wszystkie miały Te Dni w tym samym czasie.

– W tym miesiącu jest gorzej i obie wiemy dlaczego – odparła Leonie.

Marcelline wyszła za księcia, a Sophy za przyszłego markiza. Choć każda inna kobieta skwapliwie skorzystałaby ze sposobności, by rzucić

pracę, Marcelline i Sophy to nie dotyczyło. Nie zrezygnują z Maison Noirot bez walki.

Dziewczęta tego nie rozumiały, niełatwo też było dowieść, że tak w istocie jest, gdyż starsze siostry niemal przestały się pokazywać w butiku. Marcelline, która źle znosiła poranne nudności, spędzała sporo czasu w łóżku, zgodnie z zaleceniami jej lekarza. Sophy musiała wyjechać na dłużej, aby eleganckie towarzystwo zapomniało, jak wyglądała francuska wdowa, w którą ostatnio się wcieliła.

W ten sposób Leonie pozostała sama i wprawdzie mogła przejąć obowiązki sióstr, lecz nie z taką samą błyskotliwością i polotem. Każda z ich trójki miała szczególne umiejętności i Leonie nieznośnie brakowało talentów sióstr. Oraz ich towarzystwa.

Ponadto bardziej niż ktokolwiek inny martwiła się o przyszłość Maison Noirot. Włożyła w ten butik wszystko, co miała – umysł, ciało, duszę. Cholera zabiła ciotkę Emmę i przekreśliła ich dawne życie w Paryżu. Emma umarła zbyt młodo, lecz tutaj, w Londynie, jej duch i geniusz przetrwały w ich sercach i nowym życiu, zbudowanym z takim mozołem.

– Dziewczęta będą miały się lepiej, kiedy moje siostry zaczną regularniej bywać w butiku – powiedziała Leonie. – Rutyna i nawyk, Jeffreys. Wiesz, że nasze dziewczęta potrzebują nie tylko zajęcia, ale porządku w życiu. – Wiele z nich skończyło swego czasu w instytucjach dobroczynnych. Ich wcześniejsze lata były trudne i chaotyczne. – Ale świat się zmienia i wszyscy muszą się do tego przystosować. – Tym dziewczętom przystosowywanie się nie przychodziło łatwo. Zmiany wytrącały je z równowagi. Rozumiała to. Ona też nie mogła sobie z tym poradzić. – Przytniemy pracę do naszych możliwości, przyzwyczajając je do nowej rutyny.

– Nie potrzeba pani więcej pracy – zaoponowała Jeffreys. – Potrzeba pani odpoczynku, madame. Nie roztroi się pani.

Leonie się uśmiechnęła.

– Nie, choć z twoją pomocą prawie. Ale pospieszmy się. Muszę zdążyć przed końcem.

* * *

Później tego wieczoru

Leonie w pośpiechu weszła do sali spotkań przylegającej do sali wykładowej w Nowym Zachodnim Ateneum…

…i zatrzymała się gwałtownie, kiedy z cienia niszy okiennej wyłoniła się wysoka, odziana na czarno postać.

– Już myślałem, że pani nie przyjdzie – rzekł lord Lisburne.

Mogła teraz dostrzec, że nie ubrał się całkiem na czarno. Oprócz nieskazitelnie białej koszuli i halsztuka miał na sobie kamizelkę z zielonego jedwabiu, przepięknie wyszywanego złotą nicią. Podkreślała jego wąską talię… spojrzenie Leonie powędrowało niżej, do wieczorowych spodni, które czule dopasowywały się do umięśnionych i długich nóg.

Poświęciła chwilę na uspokojenie oddechu.

– Czyżbyśmy się umawiali? – zapytała. – Jeśli tak, najwyraźniej w istocie doznałam wstrząśnienia mózgu, ponieważ nie przypominam tego sobie.

– Och, nie wątpiłem, że pani tu będzie. – Dłonią w rękawiczce machnął ku drzwiom sali wykładowej. – Swanton. Tłumy młodych dam. – Wskazał jej suknię. – Reklama.

Wybrała na tę okazję zielony jedwab. Choć suknia była wieczorowa, a więc odsłaniała więcej szyi niż strój dzienny, dzięki swej prostocie nadawała się na publiczny wykład. Żadnej jasnej koronki czy falban, jedynie minimalne hafty w ciemniejszym odcieniu zieleni nad listwą nisko u dołu sukni i wzdłuż jej rąbka. Główną atrakcję stanowiły ogromne rękawy, rozcięte, by ujawnić, jak się zdawało, rękawy halki – mignięcie bielizny, innymi słowy. Na tę kreację narzuciła, na pozór niedbale, elegancki jedwabny szal z roślinnym motywem barwy czerwonego wina i złota na kremowobiałym tle.

– Planowałam przybyć wcześniej – wyjaśniła. – Ale w butiku mieliśmy pracowity dzień, a przez ten upał wszyscy chodzą zagniewani i niecierpliwi. Klienci ostro traktują dziewczęta w sklepie, a one idą potem do pracowni i kłócą się ze szwaczkami. Zdarzył się drobny kryzys. Zażegnanie go trwało dłużej, niż powinno.

– Szczęściara – stwierdził. – Ominął panią *Martwy drozd*.

– Martwy drozd? – powtórzyła.

Przyłożył cylinder do serca, skłonił się i zaintonował grobowym głosem:

Gdy raz ostatni spokojna ta ballada
Uszy me koiła słodyczą,
Anim pomyślał, że tak rychło się nada
Pożegnać mi ptaszka z goryczą!

Oko chmurne poranek śnieżny otwiera,
A drozda na cierniu nie widzę!
Gdy tęsknota za nim dotkliwie uwiera,
Łez ronić dłużej się nie wstydzę.

– Ojej – powiedziała.

– To się ciągnęło – dodał – przez, rzekłbym, nieskończoną liczbę strof.

Podłamała się. Chwaliło się lordowi Swantonowi, że używał swoich wpływów, by zebrać fundusze dla wartościowej organizacji. Gdyby jednak musiała słuchać *Martwego drozda* przez dwie godziny albo i dłużej, niewykluczone, że rzuciłaby się do Tamizy.

– Lord Swanton bierze sobie mocno do serca drobne życiowe smutki – stwierdziła.

– Nic na to nie poradzi – wyjaśnił lord Lisburne. – Mówi, że próbuje iść w ślady Byrona, kiedy ten pisał *Don Juana*, lecz efekt nieodmiennie przypomina bezgranicznie łzawą wersję *Childe'a Harolda*. W najlepszym razie. Niemniej, szczęśliwie dla pani, nie ma już miejsc.

Brak miejsc. Ulga była niczym orzeźwiająca bryza. Nie będzie musiała godzinami wysłuchiwać kiepskiej poezji…

Ale nie przyszła tutaj dla rozrywki, napomniała się. Chodziło o interesy. Gdziekolwiek pojawiał się lord Swanton, można było liczyć na potencjalną klientelę Maison Noirot. Mało tego, będzie tu lady Gladys.

– Jeśli przybyły tłumy, tym lepiej – oświadczyła Leonie. – A późne wejście zwróci uwagę.

– Choćby spuściła pani powietrze z rękawów i spódnicy, nie zdoła się pani tam wcisnąć – przestrzegł. – Sam odstąpiłem swoje miejsce dwóm kobietom. Sala wykładowa jest wypełniona po brzegi. To tam, nawiasem mówiąc, wycofała się większość mężczyzn. Jako że im się nudzi, a pani jest młoda i ładna, może się pani spodziewać spotkań z licznymi spoconymi dłońmi, które będą usiłowały dostać się tam, gdzie stanowczo by ich sobie pani nie życzyła.

Leonie poczuła dreszcz obrzydzenia. Bywała już obmacywana. Fakt, że potrafiła się obronić, nie czynił tego doświadczenia ani trochę mniej odrażającym.

– Powiedziałam lady Gladys, że tu będę – wyjaśniła.

– Co też panią do tego podkusiło?

– Interes.

– Nie mój, innymi słowy – skwitował.

Nie zamierzała wspominać mu o Paryżu, o tej nocy, kiedy spieszyła się do domu, żeby ostrzec siostry przed niebezpieczeństwem, i nagle otoczyła ją hałastra mężczyzn, obmacujących ją tak pożądliwie, że ledwie uniknęła gwałtu.

To nie jest Paryż, powiedziała sobie. To Londyn, a w tym miejscu nie uświadczysz hałastry. Panował tu zwyczajny tłok, jak na wielu innych zgromadzeniach towarzyskich. Ruszyła ku drzwiom sali wykładowej.

Podążył za nią.

– Gorące, duszne pomieszczenie, pełne egzaltowanych młodych kobiet i poirytowanych mężczyzn, podczas gdy Swanton i jego rozpoetyzowani przyjaciele łkają nad opadłymi liśćmi, martwymi ptakami i zwiędłymi kwiatami – powiedział. – Tak, rozumiem, czemu nie chce pani, żeby ominęła ją ta uczta.

– Chodzi o interesy – odparła z naciskiem.

Uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

Mogła dostrzec co nieco przez wąską przestrzeń, którą odźwiernym udało się utrzymać przed drzwiami. Miejsca na parterze zajmowały głównie panie, tak ściśnięte, że niemal siedziały jedna drugiej na kolanach. Kobiety i nieliczni mężczyźni – najprawdopodobniej ojcowie i bracia – tłoczyli się także na pierwszym balkonie i galerii. Ta ostatnia zdawała się uginać pod swym ciężarem. Mężczyźni zapełniali każdy centymetr kwadratowy pozostałej przestrzeni. W sali panowała potworna duchota, a nozdrza Leonie zaatakowała woń ciasno upakowanych ciał.

Tymczasem ktoś, lecz nie lord Swanton, wibrującym od bólu głosem czytał odę do więdnącej róży.

Leonie cofnęła się o krok. Plecami wpadła na ciepłą, twardą masę. Jedwab zaszeptał o jedwab.

Lord Lisburne nachylił się, by spojrzeć ponad jej ramieniem, a zmieszane wonie świeżo wyprasowanego płótna, mydła do golenia i mężczyzny

wymiotły smród tłumu i zalały jej zmysły.

– Czy nie cieszy się pani, że się spóźniła? – zapytał. – Mogłaby pani siedzieć tam w środku. – Oddechem łaskotał jej ucho. – I nijak nie wydostałaby się pani przed końcem.

Znalazłaby się w pułapce, godzinami wysłuchując poetyckich lamentów. Zamknęła oczy i powiedziała sobie, że chodzi o interesy, po czym nabrała tchu dla uspokojenia i uniosła powieki. Wejdzie tam. Mężnie…

Wielka dłoń w rękawiczce wsparła się o drzwi tuż obok jej ramienia, po czym je zamknęła.

– Mam pomysł – oznajmił. – Chodźmy do cyrku.

Rozdział 3

Przestróg, abym serca strzegła, oszczędź mi, kochana,
Kiedy lansjer sprytny w tańcu zwodzi mnie do rana;
Fantazje dzierlatki umysłu młodego
Dla kobiety czaru nie niosą żadnego.
– Maria Abdy, *Kawaler do wzięcia* (1835)

Panna Noirot odwróciła się szybko. Jako że Lisburne się nie przesunął, wpadła na niego, przez rozkoszną chwilę dotykając biustem jego kamizelki. Ona także rozkosznie pachniała.

Uniosła rękę i pchnęła go – bynajmniej nie były to kokieteryjne dziewczyńskie przepychanki. Cios nie był co prawda na tyle silny, żeby ruszyć Lisburne’a z miejsca, stanowił jednak czytelny sygnał, że nie chodzi jej o flirt.

Przyswoił wiadomość i cofnął się o krok.

– Do cyrku – powtórzyła. Równie dobrze mogłaby powiedzieć: „Na Księżyc”.

– Astleya – uzupełnił. – Będzie niezła zabawa.

– Zabawa.

– Po pierwsze, żadnych rzewnych wersów – wyliczał. – Po drugie, żadnych rzewnych wersów. I po trzecie…

– To po drugiej stronie rzeki! – zaoponowała, jakby istotnie wybierali się na Księżyc.

– Tak – przyznał. – Tym sposobem od rzewnych wersów odgrodzi nas cała szerokość Tamizy.

– Nas.

– Wystroiła się pani. Byłoby niepowetowaną stratą, gdyby tyle wysiłku poszło na marne i nie zażyła pani rozrywki.

– W cyrku.

– Będzie się pani dobrze bawić – zapewnił. – Obiecuję. Aktorzy, akrobaci i klowni. Ale najlepsze są popisy jeździeckie. Ducrow, dyrektor, jest genialnym woltyżerem.

Choć na pozór tak niefrasobliwy, Lisburne rzadko pozostawiał cokolwiek przypadkowi. Odrobił swoją lekcję na temat pięknej stylistki. Miała na imię Leonie i tak jak mówiła, prowadziła interesy Maison Noirot. Jedna z jej sióstr wyszła za księcia, druga za przyszłego markiza, lecz ona mimo to codziennie udawała się do butiku, jakby wejście jej rodziny do najwyższych sfer niczego nie zmieniło. Była to osobliwa i pouczająca okoliczność.

Szwaczki, jak ustalił, pracowały sześć dni w tygodniu, od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem, a godziny jej pracy były najwyraźniej takie same lub dłuższe. W ten sposób doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej nie miewała czasu na Astleya czy jakiekolwiek inne rozrywki.

Pokręciła nieznacznie głową i uroczo władczym machnięciem ręki dała znak, żeby ustąpił jej z drogi.

Wiedział, że stoi zbyt blisko – najbliżej, jak dało się stanąć, nie przydeptując skraju jej sukni, przy czym ostatnimi czasy kobiety zajmowały szalenie dużo przestrzeni w rejonie ramion i barków, a także poniżej talii.

Posłusznie usunął się z drogi, żeby ruszyć u boku Leonie.

– Sprawa przedstawia się tak – powiedział, kiedy przecinali salę spotkań. – Możemy wziąć dorożkę do Astleya, oglądać widowisko przez jakąś godzinę, a nadal zdążymy wrócić tutaj przed końcem pogrzebu. Do tej pory tłum powinien się przerzedzić. Dziewczęta przybyły tutaj z przyzwoitkami. Sporo z nich, zapewniam panią, zostanie odholowanych do domów wcześniej, niżby im się podobało, gdyż, wie pani, istnieją granice poświęcenia, na jakie, powiedzmy, brat zdecyduje się dla siostry. To samo dotyczy papy, mamy i ciotecznej babki Philomeny.

Dotarli tymczasem do drzwi prowadzących do westybulu. Przepłynęła przez nie z ekscytującym szelestem jedwabiu.

– Wiem, że raczej nie znajdzie pani preferowanej przez nią klienteli w miejscu takim jak Cyrk Astleya – ciągnął. – Pomyślałem jednak, że spodobają się pani kostiumy kobiet.

– Zapewne nawet w połowie nie tak bardzo jak panu. Skąpe, czyż nie?

– Tak, oczywiście, zwłaszcza te baleriny czy nimfy, czy kogokolwiek będzie odgrywała panna Woolford – przyznał. – Ją szczególnie warto zobaczyć. Ale całe widowisko jest wspaniałe. Artyści stoją na końskich grzbietach, raz za razem okrążając arenę. Konie też dorównują akrobatom, prezentując najzmyślniejsze sztuczki.

Podniosła na niego badawcze niebieskie spojrzenie.

Mężnie zniósł lustrację. Urodziwy chłopiec staje się łatwym celem dla innych chłopców, a w szkołach, do których uczęszczał, nigdy nie brakowało dręczycieli. Bardzo wcześnie nauczył się głęboko ukrywać uczucia, chyba że były mu do czegoś potrzebne.

„Przypominasz diament”, powiedziała mu kiedyś jedna z kochanek. „Taki piękny, tyle blasku i ognia. Gdy jednak usiłuje się znaleźć skrytego w środku mężczyznę, trafia się na same odbicia i migotliwe powierzchnie”.

Po co komuś widzieć więcej?

Prawda, nie był już tym samym zdruzgotanym młodzieńcem co sześć lat temu, kiedy umarł jego ojciec. Strata przytłoczyła wszystkich członków niewielkiej zżytej rodziny. Familia ta, obejmująca oprócz Lisburne’a i jego matki także siostrę tej ostatniej – matkę Swantona – i samego Swantona, uciekła razem z Anglii. Trzeba było jednak sporo czasu z dala od Londynu i modnego świata, zanim doszli do siebie.

Nieliczni, nawet spośród jakże wielu osób, które szanowały i kochały jego ojca, rozumieli ogrom owej straty. Nie żeby Lisburne pragnął ich współczucia. Jego emocje były wyłącznie jego sprawą.

W każdym razie wiedział, czym jest prawdziwy smutek, i ckliwostki budziły w nim chęć, żeby kogoś grzmotnąć.

Nie mógł grzmotnąć Swantona ani jego wyznawczyń.

O wiele rozsądniej było rozpocząć grę, która obiecywała liczne wyzwania: uwodzenie fascynującej rudowłosej dziewczyny.

– Spodoba się pani – rzekł. – Obiecuję. I obiecuję odstawić tu panią z powrotem przed końcem wykładu.

Umknęła wzrokiem.

– Nigdy nie widziałam woltyżera – powiedziała.

A wtedy, ku jego zaskoczeniu, serce zabiło mu szybciej.

* * *

W Cyrku Astleya jak zawsze panował tłok, ale ta rzesza ludzi zdawała się nie niepokoić panny Noirot tak bardzo jak tłum na wykładzie Swantona. Może wynikało to z faktu, że wszyscy znajdowali się na większej, bardziej otwartej przestrzeni. Tak czy owak, Lisburne zabrał ją do prywatnej loży,

gdzie nikt nie będzie jej popychał i skąd rozciągał się wyśmienity widok zarówno na scenę, jak i na arenę.

Przybyli za późno na przedstawienie, a szkoda, zwykle bowiem obejmowały one wyśmienite popisy jeździeckie na świetnych koniach oraz poruszające sceny bitewne. Zdążyli natomiast w sam raz na widowisko na arenie.

Lisburne nie zachodził tutaj od wieków, toteż sądził, że teraz, kiedy był starszy, długo mieszkał za granicą i oglądał widowiska na kontynencie, Cyrk Astleya wyda mu się zapyziały. Możliwe jednak, że to miejsce obudziło w nim chłopca, który jakimś sposobem przetrwał otrzymane od życia wstrząsy i lekcje, który nigdy w pełni nie dorósł ani nie ucywilizował się do końca. Bez wątpienia spoglądał na cyrk oczami wyrostka, wydał mu się on bowiem równie wspaniały jak zawsze. Wokół areny zapłonęły światła, żyrandole olśniewały, a orkiestra urzekała tak jak za dawnych czasów.

Lub też oglądał to wszystko na nowo jej wspaniałymi niebieskimi oczami.

Odnotował u niej niewielkie oznaki lęku, kiedy tu weszli, później zaś obserwował, jak jej niepokój się rozprasza, gdy wreszcie usadowiła się na swoim miejscu. Siedziała nieco zbyt sztywno, kiedy klown zaczął żartować z publicznością. Z beznamiętnym wyrazem twarzy patrzyła, jak na arenę wychodzi aranżer programu, niosąc długi bat. Jej spojrzenie niczego nie zdradzało, gdy mężczyzna krążył po arenie, wdając się w zwyczajowe przekomarzanki z klownem.

Później aranżer zapytał o pannę Woolford. Tłum wybuchnął entuzjazmem, a Leonie nachyliła się do przodu, mocno chwytając poręcz.

Słynna woltyżerka wyszła na arenę do wtóru wiwatów widowni, a panna Noirot z dziecięcym entuzjazmem chłonęła cały pokaz. Kiedy artystka stanęła na końskim grzbiecie, Leonie zaparło dech w piersi.

– Nadzwyczajne! – powiedziała. – Ja nie potrafię nawet usiedzieć na koniu, ona stoi na jego grzbiecie… w biegu!

Kiedy, po licznych okrążeniach, panna Woolford zrobiła przerwę, żeby dać odpocząć sobie i zwierzęciu, panna Noirot klaskała i klaskała, krzycząc: „*Bravo! Bravissimo!*”.

W przerwie klown i aranżer programu wdali się w kolejne utarczki, ale Leonie odwróciła się od tych błazeństw – i przyłapała Lisburne’a na

gapieniu się.

Przez chwilę odwzajemniała jego spojrzenie. Potem się roześmiała, swobodnie, na całe gardło.

A on zamarł.

Ten dźwięk. Jej roziskrzone oczy, promienna twarz.

– Miał pan słuszność – oznajmiła. – To znacznie zabawniejsze od kiepskich wierszy. Jakaż ona zręczna! Wyobraża pan sobie, ile godzin poświęciła, żeby opanować tę sztukę? Jak pan myśli, w jakim wieku zaczynała? Czy do tego ma się wrodzony talent, jak często w przypadku aktorek… albo stylistek, skoro o tym mowa?

Ach, ten zapał w jej głosie… Była tak młoda, tak pełna życia.

– Jak mniemam, bez względu na wrodzony talent zaliczają wiele upadków, nim załapią, w czym rzecz – odparł. – Niemniej muszą zaczynać w młodym wieku, kiedy kości są bardziej giętkie.

– Czyli inaczej niż w krawiectwie – skonstatowała. – Prędzej czy później przyszła woltyżerka musi dosiąść konia. Nam jednak nie wolno uciąć skrawka jedwabiu, dopóki nie spędzimy wieczności na nanoszeniu szwów i nie uszyjemy tysiąca chusteczek i fartuchów. Co za przyjemność widzieć kobietę, która opanowała taką sztukę! W woltyżerce specjalizują się głównie mężczyźni, nieprawdaż?

– Ten fakt po części tłumaczy popularność panny Woolford.

– Ale ona jest bardzo dobra… czy przemawia przeze mnie totalna nieznajomość tematu?

– Jest nadzwyczaj utalentowana – zapewnił. – Woltyżerka-balerina.

– Wspaniałe. Siostry stale mi powtarzają, że powinnam oderwać się trochę od butiku, ale niedziela jest tylko raz w tygodniu, a wtedy lubię spędzać czas z siostrzenicą albo na świeżym powietrzu, a najchętniej obie te rzeczy naraz. Niekiedy wybieramy się do teatru, ale tutaj to zupełnie co innego. Na pewno zapach jest inny.

– Winiłbym konie – podsunął.

– Piękne stworzenia.

Wychwycił rzewną nutę. Przeanalizował ją, podobnie jak jej reakcję na pannę Woolford, i zapamiętał, aby wykorzystać to w przyszłości.

Zaczęła się druga część pokazu woltyżerki i panna Noirot znów odwróciła się ku arenie.

On także popatrzył w tym kierunku, na zewnątrz opanowany, w istocie wytrącony z równowagi. Przed chwilą zmieniła się na jego oczach z wyrafinowanej paryżanki w podekscytowaną dziewczynkę i przelotnie wydała mu się tak bezbronna, że poczuł… co? Wstyd? Ale dlaczego? Był mężczyzną. Ona kobietą. Czuli do siebie pociąg i prowadzili grę starą jak świat. Mimo to oprócz dreszczu towarzyszącego pościgowi odnotował coś jakby ukłucie bólu w sercu.

I cóż w tym niezwykłego? Czy nie przecierpiał pełnej godziny zgonów i konania ujętych w rymy? I czy nie zobowiązał się tam wrócić?

* * *

Leonie odniosła wrażenie, że minęła zaledwie chwila, nim znów znalazła się z lordem Lisburne’em w dorożce, jadąc ulicą Westminster Bridge z powrotem na „uroczystości pogrzebowe”, jak to ujął.

Dotrzymał słowa.

Z drugiej strony, nie wątpiła, że to zrobi, inaczej by z nim nie poszła.

Tak, w trakcie przedstawienia miała świadomość, że ją obserwuje, przekonany, iż ona nie zwraca na niego uwagi. Jakby dało się siedzieć obok tego mężczyzny i zapomnieć o jego obecności, choćby na arenę spłynął z nieba zastęp anielski albo wtargnęło stado słoni. Kiedy zaś odwróciła się i go na tym przyłapała, miał minę chłopca zdybanego na psocie – chłopca, którego pragnęła poznać – i jej logiczny umysł na moment się zaciął, coś w niej pękło.

Ale tylko na moment.

Teraz on znów był czarującym światowcem, ona zaś Leonie Noirot, racjonalną, przedsiębiorczą kobietą, która potrafi dodać dwa do dwóch.

– Nie podoba się panu jego poezja, a mimo to wrócił pan z lordem Swantonem do Londynu w związku z ukazaniem się jego książki – powiedziała. – Zdumiewająca lojalność.

Zaśmiał się.

– Mężczyzna powinien trwać u boku przyjaciela w godzinach próby.

– Aby bronić go przed rozentuzjazmowanymi młodymi kobietami?

– Pierwotny plan wyglądał zupełnie inaczej. Byliśmy przygotowani na upokorzenie. Recenzenci nie zostawili na nim suchej nitki. Nie wiedziała

pani?

– Nie interesuję się zanadto literaturą. Zaglądam do recenzji sztuk, koncertów i tym podobnych, ale ciekawi mnie głównie, co miały na sobie damy. Rzadko znajduję czas na recenzje książek.

– Zanim wyszedł *Alcintus i inne wiersze*, Swanton opublikował kilka utworów w gazetach – wyjaśnił. – Recenzenci okazali się jednomyślni w bezwarunkowej odrazie wobec jego twórczości. Znęcali się nad nim. Parodiowali go. Dosłownie go zmasakrowali. Dopóki Swanton nie zobaczył recenzji, wahał się, czy wracać do Londynu, kiedy książka trafi do szerszej publiczności. Po nich wybór stał się jasny: wrócić i zebrać cięgi albo trzymać się z dala i zasłużyć na miano tchórza.

– Nie miałam pojęcia – przyznała. – Wiedziałam, że jego lordowska mość wrócił do Londynu, kiedy ukazała się książka, ponieważ wszyscy o tym mówili. Nasze damy na pewno. Nie słyszałam takiej ekscytacji od czasu ostatniego wielkiego skandalu.

Będącego skądinąd dziełem Sophy.

– Nadal nie wiemy, co właściwie zaszło – rzekł. – Przybyliśmy do Londynu na dzień przed pojawieniem się książki w sklepach. Wydaliśmy skromne przyjęcie, a Swanton godnie znosił podłe recenzje: sam nie ma o sobie zbyt wysokiego mniemania, toteż nie wpędziły go w rozpacz bez dna. Żartowaliśmy sobie z tego w klubie Whithe’a. Później, kilka dni po naszym przyjeździe, musieliśmy zamówić dodruk, i to szybko. Tłumy młodych kobiet szturmowały księgarnie. Księgarze mówili, że nie oglądali czegoś takiego, odkąd Harriette Wilson opublikowała swe wspomnienia.

Harriette Wilson była słynną kurtyzaną. Dziesięć lat temu mężczyźni płacili jej, żeby p o m i n ę ł a ich w swoich memuarach.

– Widocznie lord Swanton poruszył czułą strunę w sercach młodych kobiet – powiedziała.

– I jest tym równie zdumiony jak krytycy. – Lord Lisburne wyjrzał przez okno.

O tej porze roku ciemność nadciągała późno, przy czym nawet wówczas bliżej jej było do półmroku niż faktycznej czerni. Tego wieczoru dodatkowo rozjaśniała ją pełnia księżyca i Leonie zorientowała się, że już jakiś czas temu pokonali Westminster Bridge. Przyuważyła także mięsień drgający na szczęce Lisburne’a.

– Nagła sława bywa niebezpieczna – rzekł. – Zwłaszcza gdy wiąże się z młodymi kobietami. Z chęcią zabrałbym go z powrotem na kontynent, zanim… – Urwał i wzruszył ramionami. – Dzisiejszy tłum panią zaniepokoił. Ten na wykładzie.

– Kiedy widzę tylu ludzi stłoczonych razem – odparła wolno – mam tendencję postrzegać ich jako niebezpieczny motłoch.

Nastała chwila ciszy.

– Podzielam to zapatrywanie, panno Noirot – stwierdził. – Powinienem był tam zostać i go pilnować. Ale… – Umilkł na dłużej.

– Ale… – podpowiedziała.

– Miałem sposobność wykraść z tłumu śliczną dziewczynę, więc żal było nie skorzystać.

* * *

Leonie i lord Lisburne przybyli akurat na wydarzenie wieńczące wieczór poetycki, kiedy to, zgodnie z programem, lord Swanton miał po raz pierwszy zaprezentować jeden ze swoich najnowszych utworów.

Zgodnie z przewidywaniami lorda Lisburne’a, tłum się przerzedził. Chociaż sala pozostała zapełniona, mężczyźni nie tłoczyli się już pod ścianami, lecz przenieśli się na miejsca w tylnych rzędach. Galerie przestały grozić rychłym zawaleniem.

Kiedy Leonie i lord Lisburne przystanęli w wejściu, rozglądając się za wolnymi krzesłami, natarła na nich grupa osób, najprawdopodobniej rodzina. Markiz, czy to z uprzejmości, czy dlatego, że nie palił się dołączać do widowni, zrobił przejście dla wychodzących. Gdy nieznajomy dżentelmen mu podziękował, lord Lisburne uśmiechnął się współczująco i mruknął w odpowiedzi coś, co wywołało uśmiech na twarzy mężczyzny.

Oto był urok osobisty w akcji, urok z gatunku tych najbardziej podstępnych: żartobliwy, autoironiczny, rozbrajająco szczery i budzący zaufanie.

Leonie doskonale rozumiała ten typ uroku. Jej rodzina się w nim specjalizowała.

Dlatego akurat ona powinna okazać się na tyle mądra, żeby mu nie ulegać. Problem w tym, że ten urok zaiste był podstępny. Przyciągał

człowieka, nim zdążył się zorientować. Z łatwością nabierało się przekonania, że wytworzyła się prawdziwie intymna więź, podczas gdy chodziło jedynie o mistrzowską imitację.

Robiła sobie wykład na ten temat, kiedy Lisburne prowadził ją w kierunku, z którego nadeszła tamta grupka, czyli ku dopiero co zwolnionym siedzeniom na krańcu ostatniego rzędu.

Choć wolałaby usiąść bliżej drzwi ze względu na możliwość ucieczki, miejsca były lepsze od tych, które wypatrzyła wcześniej sama. Odkąd tłok zmalał, powietrze w pomieszczeniu zaczęło żwawiej krążyć, a przez otwierane przez wychodzących drzwi napływał do środka chłodniejszy powiew.

Fakt, że u swego boku miała potężnego, silnego mężczyznę – nawet jeśli był to typ zagrażający spokojowi kobiecego umysłu – dodatkowo pomagał jej zachować zimną krew.

Jako że naprawdę nie ciągnęło jej do słuchania poezji, a niemądrze było zbyt długo rozmyślać o rzeczonym mężczyźnie, skierowała uwagę na salę. Naliczyła dwadzieścia dwie kreacje Maison Noirot. Niezła reprezentacja. Może napisanie artykułu dla „Porannego Zwierciadła” nie okaże się aż tak trudne.

Wśród dam w sukniach Maison Noirot była lady Clara i… O, tak! Lady Gladys założyła nową kreację w kolorze wina! Zwycięstwo!

Leonie się uśmiechnęła.

Jej towarzysz nachylił się ku niej.

– O co chodzi? – szepnął.

Poczuła ten szept na uchu i szyi. Stamtąd zdawał się przemieszczać pod jej skórą, mknąc prosto ku dolnym rejonom brzucha.

– Nadmiar ekscytacji poezją – wymamrotała.

– Nie zarejestrowała pani ani jednego słowa Swantona – stwierdził. – Lustrowała pani widownię. Kto wywołał ten uśmiech? Mam rywala?

Na przykład kogo? Apolla? Adonisa?

– Dziesiątki – odparła.

– Nie powiem, że mnie to dziwi.

Jednakże jego zielone spojrzenie już wędrowało ponad tłumem. Obserwowała, jak markiz kontynuuje przegląd sali, po czym zatrzymuje się i cofa do grupy również siedzącej w ostatnim rzędzie, tyle że bardziej na prawo, bliżej drzwi.

– Clara – rzekł. – A z nią Gladys. Nie zauważyłem ich, kiedy wchodziliśmy, dzięki tamtemu dżentelmenowi, który tak desperacko pragnął wyciągnąć stąd rodzinę. Niemniej po tamtej stronie tak czy owak nie ma miejsc, nie musimy więc do nich dołączać… och, dzięki niech wam będą, łaskawi bogowie i duchy tego miejsca! Zatem… – Przekrzywił głowę i zmarszczył brwi. – Nie żebym rozpoznał Gladys tak od razu.

Odwrócił się do Leonie z błyskiem w zielonych oczach.

– Przynajmniej raz nie wystąpiła w tych swoich zjełczałych kolorach. Czy to pani zasługa?

Przytaknęła z dumą.

Odwrócił się znów w stronę kuzynek.

– I jest też Valentine, przywleczony tu jako eskorta, biedaczysko.

Lord Valentine Fairfax był jednym z braci lady Clary. W przeciwieństwie do ciemnowłosego lorda Longmore’a lord Valentine wyglądał jak typowy Fairfax: niebieskooki blondyn, przystojny aż do przesady.

– Tkwi tu od samego początku, nieszczęśnik – ciągnął lord Lisburne. – Ani chybi spożytkował ten czas na snucie ponętnych fantazji samobójczych. Albo, co bardziej prawdopodobne, jako że Val jest człowiekiem praktycznym, jego marzenia krążą wokół zamordowania Swantona w taki sposób, by nie zostać przyłapanym.

– Skoro mężczyźni tak nie znoszą poezji, dlaczego przychodzą, by jej słuchać? – zapytała.

– Żeby dziewczęta uznały ich za wrażliwców.

Zdusiła śmiech, lecz nie dość skutecznie lub nie dość szybko. Młoda kobieta przed nią odwróciła się, by spiorunować ją wzrokiem.

Leonie wyjęła chusteczkę i udała, że ociera łzę.

Publiczność nie była tak cicho jak wtedy, gdy Leonie zajrzała do sali po raz pierwszy. Jakkolwiek osoby w pierwszych rzędach siedziały zaabsorbowane – lub spały, w przypadku mężczyzn – pozostali szeptali, a z galerii dobiegał szmer toczących się w tle konwersacji, które zwykle przeważały na publicznych recytacjach.

Zwiększony poziom hałasu zdawał się nie przeszkadzać lordowi Swantonowi. Ktoś nauczył go, jak przemawiać w trakcie publicznych wystąpień, a on dobrze pożytkował te umiejętności, dzięki czemu każde jego zbolałe słowo było wyraźnie słyszalne:

…Tak, przewrotnie tryskają jej wartkie strumienie,
Silne jak wczesna młodości radość, jak nadziei
rumieniec;
Gdy bowiem w górze dusze się spotkają,
jak na ziemi ludzie,
Przeszkody żadnej się nie zoczy w jej głębi
czarownym cudzie!

– Nie, do cholery, nie będę cicho! – huknął męski głos, wybijając się nad poszum na widowni.

Leonie spojrzała w kierunku hałasu. Tuż obok Fairfaksów dobrze odżywiony dżentelmen w średnim wieku zaganiał swoją rodzinę ku drzwiom.

– Co za strata czasu! Na cele dobroczynne, a niech mnie! Gdybym wiedział, posłałbym dwukrotność ceny biletów i został w domu, uważając, że wykpiłem się tanim kosztem!

Żona usiłowała go uciszyć, znów na próżno.

– Toma Moore’a posłucham, kiedy tylko chcesz! – huczał. – Albo Robbiego Burnsa. Ty to nazywasz poezją! Dla mnie to puszczanie wiatrów.

Lordowi Lisburne’owi wyrwało się zduszone sapnięcie.

Inni mężczyźni w pobliżu nie trudzili się, by stłumić śmiech.

– To przecież jakiś żart – ciągnął krytyk. – Mogłem pójść do Vauxhall, zamiast marnować piątkowy wieczór na wysłuchiwanie tej jęczącej bandy. Zatwardzenie, nic dziwnego. Na tym polega ich problem. Trzeba im dobrego środka na przeczyszczenie, ot co!

Teraz dało się słyszeć, jak damy wokół głośno wciągają powietrze.

– Nie słyszałam, żeby ktoś prosił pana o opinię – rozległ się melodyjny głos lady Gladys. – Nikt tutaj nie bronił panu udać się do Vauxhall. I z pewnością nikt tutaj nie zapłacił za bilet, żeby słuchać p a ń s k i c h wynurzeń. Nie przypominam sobie, bym widziała w programie wzmiankę o udziale niedokształconych, niekulturalnych krytykantów.

– Rad dzielę się nimi gratis, szanowna pani – nadeszła szybka odpowiedź. – A co do „niedokształcony”: niektórzy z nas mają dosyć rozumu, by dostrzec, że cesarz jest nagi.

Lord Valentine wstał.

– Szanowny panie, uprzejmie proszę nie zwracać się tym tonem do damy – rzekł.

– Zaczepiła mnie pierwsza!

– Do diabła! – powiedział lord Lisburne. On także wstał. – Na Gladys zawsze można liczyć. Przez nią Valentine poczuje się zobowiązany wyzwać tego jegomościa.

Mężczyźni zaczynali podnosić się z miejsc. Lord Swanton zorientował się, że coś jest nie w porządku. Usiłował dalej czytać wiersz, lecz widownia skupiła się już na sprzeczce, a poziom hałasu narastał, zagłuszając poetę.

Leonie dostrzegła poruszenie na galeriach. Spojrzała w górę. Mężczyźni wstawali z miejsc i zmierzali ku drzwiom. Już pojedynek byłby fatalny, ale to wyglądało na początki zamieszek.

W jej głowie rozbłyskiwały obrazy paryskiego motłochu szturmującego ulice, podkładającego ogień pod domy ofiar cholery… jej maleńka siostrzenica Lucie, taka chora… tupot setek stóp, coraz głośniejszy, kiedy się zbliżali…

Ogarnęła ją panika.

Zamknęła oczy, otworzyła je znowu i potrząsnęła głową, by uwolnić się od przeszłości. Policzyła rzędy na sali, oszacowała liczbę widzów i jej umysł się wyciszył.

To był Londyn, całkiem inne miejsce. Różniły się także czas i okoliczności. Ci ludzie umierali z nudów, nie wskutek siejącej spustoszenie zarazy.

– Panie i panowie, jeśli mogę prosić o uwagę – powiedział lord Swanton.

– Miałeś ją pan przez trzy godziny z okładem! – zawołał ktoś. – Nie wystarczy?

Inni krzykacze dodali własne spostrzeżenia.

Tymczasem lord Lisburne dotarł do kuzynostwa i wściekłego dżentelmena, który z chwili na chwilę rozsierdzał się coraz bardziej, jeśli wnioskować z pogłębiającej się czerwieni jego oblicza.

Na widowni wrzało.

Leonie napomniała się, że jest Noirot i DeLucey. Spośród jej francuskich przodków jedynie nielicznych ścięto, mimo że wielu na to zasługiwało. Chyba żaden, czy to po mieczu, czy po kądzieli, nie okazał się na tyle głupi lub nieudolny, żeby dać się powiesić. Albo choćby wtrącić do więzienia.

Marcelline czy Sophy rozgromiłyby tę bandę z zawiązanymi oczami, powiedziała sobie.

Przełknęła ślinę i wstała.

– Dziękuję za miłe zaproszenie, milordzie – odezwała się, podnosząc głos, by ją usłyszano. – Chciałabym wyrecytować wiersz pani Abdy.

– Więcej poezji! – krzyknął ktoś. – Powieście mnie.

– Pohamuj się, świński móżdżku! To dziewczyna!

– Panie i panowie – przebił się przez komentarze lord Swanton – panna Noirot, to znaczy madame z Maison Noirot, uprzejmie zgodziła się wnieść swój wkład w nasz poetycki melanż.

Leonie ubrała się odpowiednio na tę okazję. Wiedziała, że pozyska uwagę mężczyzn, ponieważ jest młoda i wystarczająco atrakcyjna, kobiet zaś – ze względu na piękną suknię.

Miała świadomość kłótni, toczącej się ciągle na prawo od niej, i jeszcze większą tego, jak mocno wali jej serce i nieopanowanie drżą ręce. Powtarzała sobie, że reaguje niedorzecznie: codziennie występowała przed krańcowo trudnymi klientkami, a mimo to udawało jej się zapanować nad takim przeciwnikiem.

Znużyło mnie już życie samotne… – zaczęła.

– Czemu od razu nie mówiłaś?! – wykrzyknął ktoś. – Chodź, usiądź przy mnie, kruszynko.

– Och, cicho tam! – zawołał inny głos. – Dajcie damie powiedzieć wiersz.

Leonie zaczęła od nowa:

Znużyło mnie już życie samotne,
Kluby obmierzłe mi odpycham;
Uśmiech budzą małżonków markotne
Skargi, gdy sam za żoną wzdycham;
Lecz brak tej, co napełni szczęścia trzos
Hołdy me każdej cierpkim winem –
Gdyż ach! smutny, wstydliwy czeka los
Tego, kto ledwie drugim synem!

Wybuch śmiechu.

Ta pierwsza oznaka wesołości wystarczyła jej za zachętę. Nerwowość i skrępowanie zniknęły bez śladu, władzę przejęła w niej DeLucey.

Kontynuowała, tym razem wzbogacając recytację o teatralne gesty.

Profilem, co rad przyzna cały świat,

Z Byronem iść mógłbym w zapasy. (odwróciła głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę)

Na czole loków kasztanowych kwiat (nawinęła na palec loczki przy uszach)

I słuszny wzrost dodają klasy; (wyciągnęła szyję, ku ogólnej wesołości)

Na widok gracji pełnych ruchów mych

Ducrowowi by zrzedła mina, (sparodiowała jedną z eleganckich póz słynnego woltyżera)

Lecz jakaż korzyść z atutów tych

Dla biednego drugiego syna?

Pośród śmiechu mężczyzn wychwyciła chichoty kobiet.

Miała ich.

Recytowała dalej.

* * *

Przez chwilę, kiedy zagniewany dżentelmen rozsierdzał się coraz bardziej, a jego twarz mieniła się wszystkimi odcieniami czerwieni, Lisburne był pewien, że sprawa zakończy się pistoletami o świcie. Jedynej nadziei upatrywał w ogólnej bijatyce. Gdyby mężczyźni zaczęli okładać się pięściami, a kobiety krzyczeć, Valentine i ten drugi mogliby przestać robić z siebie durniów.

Kiedy usłyszał, jak panna Noirot woła do Swantona, miał chęć nią potrząsnąć. Czy postradała zmysły? Proponować więcej poezji, która doprowadzała do szału wszystkich racjonalnych mężczyzn na sali? W dodatku drwić sobie z nich teraz, kiedy miał zerowe szanse dotrzeć do niej na czas?

Spodziewał się, że rozpęta się piekło.

Nie wziął jednak pod uwagę…

…tego czegoś, co w sobie miała: pewnej jakości, tak oczywistej, dla której jednak trudno było znaleźć satysfakcjonującą nazwę. Ta sama moc jej osobowości, która przyciągnęła i uwięziła jego uwagę w Instytucie Brytyjskim, wyraźnie oddziaływała również na szerszą publiczność.

Jeśli dodać tę frapującą jakość do jej wyglądu, trudno, żeby mężczyźni nie zareagowali. Była nadzwyczaj śliczna, no i rudowłosa, a do tego jeszcze ta suknia z zielonego jedwabiu, szalona wprawdzie, lecz zarazem upojnie zmysłowa.

Ale żeby kobiety także?

No tak, oczywiście. Suknia z zielonego jedwabiu.

Co więcej, pani Abdy, oprócz typowych sentymentalnych bzdetów, popełniła trochę wierszy komicznych, za umiejętność powielenia których Swanton dałby sobie wyciąć niezbędny do życia organ.

Ulubiony poeta Londynu się uśmiechał. Łagodnie podpowiedział pannie Noirot, kiedy zająknęła się na zwrotce. To był całkiem długi wiersz – ani w połowie nie tak długi, jak niektóre dzieła Swantona, ale nadal sporo tekstu do wyuczenia się na pamięć.

A mówiła, że nie interesuje się literaturą, kokietka.

Nawet rozsierdzony dżentelmen się rozpogodził.

– No, to już zdecydowanie bardziej przypomina poezję – stwierdził.

– Nieprawda – sprzeciwiła się Gladys. – Zabawne rymowanki, nic więcej.

– Gusta bywają różne – odezwał się Lisburne. – Czy to nowa suknia, kuzynko? Bardzo elegancka.

Ku jego zdumieniu zarumieniła się, z czym było jej niemalże do twarzy.

– Trudno, żebym na taką okazję założyła suknię z minionego sezonu.

– No i proszę, sprawa wyjaśniona – zwrócił się Lisburne do rozsierdzonego dżentelmena. – Dama przyszła w nowej sukni, a pan wspomniał o nowych szatach cesarza. Drobne nieporozumienie, to wszystko.

Gladys sapnęła z irytacją.

– Kuzynie, dobrze się czujesz? Ale po co w ogóle pytam? Wiesz doskonale…

– Wiem, że chciałby pan wyjść, zanim zrobi się ścisk – rzekł Lisburne do rozsierdzonego dżentelmena. – Pomyślności życzę.

Żona mężczyzny przytrzymała go za ramię i powiedziała coś półgłosem. Po krótkim wahaniu – i kolejnej chwili, kiedy to piorunował wzrokiem Valentine’a – mężczyzna pozwolił się wyprowadzić.

Od strony mównicy nadpłynął głos Swantona:

– Dziękujemy, panno Noirot, za ten wspaniały występ. Ktoś jeszcze chciałby się przyłączyć?

Wstał Crawford, wieloletni kompan Longmore’a.

– Mam limeryk – oznajmił.

– Jeśli przyprawi o rumieniec choć jedną damę, z przyjemnością pana uduszę – uprzedził z uśmiechem lord Swanton.

– Lord Swanton jest taki szlachetny – powiedziała Gladys, a jej głos zabrzmiał wyjątkowo miękko. – Dżentelmen doskonały.

– Który lubi sprośne limeryki jak każdy inny mężczyzna – odparł Lisburne. – Jeśli tylko Crawford nie przesadzi, Swanton na pewno go nie tknie. Kuzynie, sugeruję, żebyś zabrał damy do domu, dopóki towarzystwo zachowuje się przyzwoicie.

– Despota jakich mało – przygadała mu Gladys, ewidentnie nie widząc belki we własnym oku. – Wykład ciągle trwa i z pewnością nie zamierzamy jeszcze wychodzić.

– Z pewnością zamierzamy – powiedziała Clara. – Boli mnie głowa, że o siedzeniu nie wspomnę. Val, chodźmy już, proszę.

– Wreszcie, po godzinach nurzania się w cierpieniu i rozpaczy, mamy okazję trochę się pośmiać, a ty chcesz iść – skomentował Valentine.

– Tak, zanim znowu cię podkusi, żeby zetrzeć się z kimś z powodu w i e r s z a – odparła jego siostra.

Innymi słowy, zanim Gladys narobi więcej kłopotów, pomyślał Lisburne. Z łatwością przekształciłaby wykład o poezji w publiczną bijatykę.

Bijatykę, którą rudowłosa stylistka powstrzymała, najzwyczajniej w świecie wstając i rzucając w powietrze garść wersów.

Bez ceregieli porzucił kuzynostwo. Salę opuszczały kolejne rodziny i grupy kobiet, co opóźniało jego przeprawę do miejsca, gdzie widział pannę Noirot po raz ostatni, gdy stała w falach zielonego jedwabiu i recytowała zabawny wiersz równie udatnie jak niejedna aktorka komiczna.

Kiedy jednak dotarł do celu, już jej tam nie było.

* * *

Lisburne przepchnął się przez tłum wychodzących i stanął na ulicy. Nigdzie nie dostrzegł choćby mignięcia sukni z zielonego jedwabiu albo kremowego szala. Tymczasem przed wejściem stłoczyły się dorożki i prywatne powozy. Woźnice klęli, konie rżały, brzęczała uprząż. Słuchacze trajkotali o poezji i niedoszłej bijatyce, i krawcowej w szykownej zielonej kreacji.

A ona się wymknęła. Obliczył, że w tej chwili dochodzi już pewnie do swojej ulicy.

Rozważał, czy podążyć w tamtym kierunku, czy zostawić ją w spokoju. Zrobiło się późno, a ona jutro pracuje. Z wielką chęcią zabawiałby ją do późnej nocy, niemniej dzisiaj do tego nie dojdzie. Pościg tego wieczoru zostałby odebrany jako nietakt i zniweczyłby jego dotychczasowe osiągnięcia.

Wrócił do sali wykładowej i w końcu dopadł Swantona w jednym z gabinetów.

Poeta upychał papiery do teczki z aż nazbyt dobrze znaną Lisburne’owi rozpaczą w ruchach.

– Widzę, że udało ci się czmychnąć – powiedział Lisburne. – Ani jedno dziewczę nie wisi uczepione twojego fraka.

Swanton wepchnął do teczki garść wierszy.

– Wiesz, co jest okropne? Typ, który krzyczał: „Zgadzam się z nim w całej rozciągłości. To stek bzdur!”.

– Nie są genialne, ale…

– Powinienem od jutra dać sobie spokój, ale draństwo jest silniejsze ode mnie – ciągnął Swanton. – A najgorsze jest to, że według lady Gorrell tego jednego wieczoru zebraliśmy więcej pieniędzy niż sponsorzy przytułku dla głuchoniemych przez ostatnie pół roku. – Urwał i podniósł wzrok znad miażdżonej w dłoniach poezji, która zaskarbiła sobie serca tak wielu dziewcząt. – Widziałem, jak wchodzisz. Z panną Noirot.

– Próbowała wejść wcześniej, ale nie było miejsca. Dlatego w zamian zabrałem ją do cyrku.

– Do cyrku – powtórzył Swanton.

– Astleya – uzupełnił Lisburne. – Podobało jej się. A ponieważ dzięki temu jej umysłu nie zalewały fale smutku i rozpaczy, po naszym powrocie okazała się na tyle przytomna, żeby ocalić twą skórę.

Na znękanej twarzy Swantona pojawił się uśmiech. Po chwili poeta parsknął śmiechem.

– Pamiętałem pannę Leonie, oczywiście. Z Paryża. Któż by zapomniał te oczy? I ten tajemniczy uśmiech. Zapomniałem natomiast, jaka jest bystra. To nie byle co, tak odmienić nastrój publiczności.

– Nie wiesz nawet połowy – rzekł Lisburne. – Ocaliła nie tylko twoje poetyckie wydarzenie. Moja kuzynka Gladys nieomal wpakowała Valentine’a w pojedynek.

– Czy twoja kuzynka Gladys to dziewczyna, która utarła nosa tamtemu awanturnikowi? Nie widziałem jej. Mężczyźni wstawali z miejsc, a ją zasłaniał słup. Nie słyszałem też, co dokładnie powiedziała. Ale głos ma wspaniały! Taki śpiewny. Piękna melodia.

Lisburne nie zastanawiał się dotąd nad głosem Gladys. Jej słowa były tak prowokacyjne, że nie zauważało się przymiotów wokalnych.

– Gladys najlepiej słucha się z oddali – stwierdził.

Aktualnie za odległość do przyjęcia uznałby Lancashire.

Swanton zamknął teczkę, ściągając brwi.

– Będę musiał podziękować pannie Noirot. Nie, to za mało. Muszę się jej jakoś zrewanżować. Bez niej to byłoby fiasko. Mam nauczkę, żeby nie przeciągać takich imprez. Na przyszłość godzina, nie dłużej.

– Ale dziewczęta chcą słuchać twoich poetyckich wynurzeń od rana do wieczora i przez całą noc – powiedział Lisburne. – Połowę z nich trzeba było siłą wywlekać z sali. Jeśli podarujesz im tylko godzinę, poczują się oszukane.

Swanton nadal marszczył brwi.

– Chodziło o coś z dziewczętami – powiedział. – Przyjmują rozpaczliwe przypadki czy coś w tym rodzaju.

– Kto?

– Panny Noirot – odparł Swanton. – Ktoś mi o tym wspominał. Panna Noirot? A może Clevedon?

– Wiem, że przygarnęły sierotę z ulicy – powiedział Lisburne.

Swanton przytaknął.

– Właśnie takie rzeczy robią. Zbadam temat. Może zorganizowałbym dla nich zbiórkę funduszy. – Skrzywił się. – Ale nie tak nudną… i żałobną.

– Rozeznam się – zadeklarował Lisburne. – Ty masz pełne ręce roboty z odpieraniem ataków wszystkich tych niewinnych panien, których bezkrytycznego podziwu nie wolno ci wykorzystać. Ja natomiast zbijam bąki.

Rozdział 4

SYMETRYCZNA DOSKONAŁOŚĆ. – Pani N. GEARY,
nadworna gorseciarka, St. James's Street 61, ma
zaszczyt obwieścić Szacownym Szlachetnie Urodzonym,
że powróciła z kontynentu i oferuje aktualnie (oprócz
wielce cenionego fiszbinowego corset de toilette swego
autorstwa) GORSET o najbardziej nowatorskim
i eleganckim kształcie, jaki kiedykolwiek wykonano…
całkowicie eliminujący ów morderczy ucisk, który
dominował w gorsetach przez ostatnie trzysta lat… dwie
gwinee, gotówką.
„Court Journal", 16 maja 1835 roku

Poniedziałek, 13 lipca

– Najważniejsza jest niezmienna rutyna – tłumaczyła pryncypałka. – Cztery godziny lekcji, cztery godziny pracy, dwie godziny na ćwiczenia i obowiązki domowe, pół godziny na posiłki. Jak wasza lordowska mość zobaczy, Stowarzyszenie dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet jest skromnym przedsięwzięciem. Przyjmujemy zaledwie ułamek potrzebujących. Ale to dopiero początki. Towarzystwo Filantropijne, jak być może panu wiadomo, zaczynało w niewielkim domu w Cambridge Heath, obecnie zaś udziela schronienia około dwustu dzieciom w Southwark. My także spodziewamy się rozrosnąć dzięki dobroczynnym datkom i sprzedaży prac naszych dziewcząt, które z przyjemnością panu pokażę.

Ze swego miejsca na korytarzu Leonie nie mogła zostać dostrzeżona przez osoby znajdujące się w pracowni. Sama wszakże, choć widziała jedynie jego plecy, bez trudu rozpoznała dżentelmena, któremu nadskakiwała pryncypałka.

O tak, lord Lisburne bez wątpienia wprost marzył o oglądaniu robótek ręcznych.

Leonie zastanawiała się przez chwilę. Nie nad tym, co zrobić, ponieważ w tym względzie rzadko bywała zagubiona. Frapowało ją jednak, co sprowadziło markiza akurat w to miejsce. Wiedziała, że nudził się w Londynie. Mówił, że chce wrócić na kontynent. W międzyczasie wydawał się zainteresowany głównie szukaniem rozrywek, ona zaś najwyraźniej się do nich zaliczała.

Doskonale. Z łatwością obróci sytuację na swoją korzyść. Interes to interes, on był bogaty, a do tego zjawił się t u t a j.

Z gracją weszła przez otwarte drzwi.

– Dziękuję, że podjęła się pani oprowadzenia naszego gościa – zwróciła się do pryncypałki. – Wiem, że w poniedziałki ma pani urwanie głowy. Zaopiekuję się lordem Lisburne'em, a pani może wracać do swoich zajęć.

Pryncypałka wypuściła markiza z nieudolnie skrywaną niechęcią. I któż by ją winił? Tyle męskiego piękna. Tyle uroku.

Niestety, rzeczone męskie piękno i urok najwidoczniej zawróciły pryncypałce w głowie. W przeciwnym razie wystarczyłoby jej rozsądku, żeby nie przyprowadzać gościa do pracowni. Wiele dziewcząt w tym jasnym, przewiewnym pomieszczeniu stało u progu pokwitania, a niektóre dawno go przekroczyły. Prezentowanie im oszałamiającego arystokraty było proszeniem się o kłopoty.

Większość siedziała jak zamroczona. Trzy ukłuły się igłą i w rozkojarzeniu ssały zranione palce. Verity Sims przewróciła kosz ze swoją pracą. Bridget Coppy przyszywała sobie właśnie rękaw sukni do fartucha, nad którym pracowała.

Przez kilka dni z żadnej z nich nie będzie pożytku.

Nawet Leonie zdawała sobie sprawę, że jej umysł otula romantyczna mgiełka. Minionej nocy wkradł się w jej sny. I dziś od rana także ją prześladował. Mimowolnie odtwarzała obrazy z Cyrku Królewskiego Astleya, te kuszące uśmiechy serdecznego chłopca, jakim zapewne niegdyś był.

Tak czy owak, szybko wyprowadziła jego lordowską mość na korytarz.

– Ciasnawo tutaj, jak pan widzi – powiedziała.

– Mimo to jakże skutecznie wykorzystała pani dostępne pomieszczenia – pochwalił. – Biorąc pod uwagę pani upodobanie do porządku, nie powinno mnie to dziwić. Aczkolwiek jedną rzeczą jest schludnie zapisywać

w księgach liczby, a zupełnie inną przekształcić obskurny budynek w miłe, przytulne miejsce.

Choć Leonie miała się na baczności, nie zdołała stłumić dreszczu satysfakcji. Ona i jej siostry ciężko pracowały, by jak najlepiej wykorzystać to, co miały do dyspozycji. A nie było tego wiele. Sukces finansowy odniosły dopiero niedawno, Leonie zaś była zbyt rozsądna, żeby uznawać go za pewnik. W krawiectwie porażka mogła nadejść z dnia na dzień, zarówno wskutek naturalnych katastrof, jak i zwykłego widzimisię modnych dam. W przypadku Stowarzyszenia dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet działały ostrożnie, nie ponosząc wydatków, których nie zdołałyby pokryć gotówką.

Założyły Stowarzyszenie ze względu na ciotkę Emmę, która podarowała trzem zaniedbanym dziewczynkom dom i wykształcenie. Nauczyła je robić piękne rzeczy i ocaliła przed pozbawionym celu życiem włóczęgów, jakie wiedli ich rodzice.

I umarła zbyt młodo, ledwie zakosztowawszy własnego sukcesu.

Leonie podziękowała markizowi, siląc się na spokój, i dodała:

– Mimo wszystko wolałybyśmy nieco mniej przytulności. Planujemy poszerzyć placówkę o sąsiedni budynek.

– Nie wątpię. Zawsze warto się rozwijać.

Tymczasem znaleźli się już poza zasięgiem słuchu pozostałych pracowniczek butiku.

– No dobrze, jestem w kropce – oznajmiła. – Po prostu natknął się pan na to miejsce i postanowił zajrzeć do środka czy chodzi o część większego planu?

– Plan – odparł. – Swanton obarczył mnie zadaniem odnalezienia pani instytucji dobroczynnej. Chce zebrać dla pań fundusze, dopóki cieszy się powszechnym uwielbieniem. Wie pani, jak kapryśna bywa publiczność, zwłaszcza płci żeńskiej.

– Obarczył pana.

– Aby pozostać w całkowitej zgodzie z prawdą, zgłosiłem się na ochotnika – przyznał. – Skwapliwie. To dlatego, że aktualnie mam do wyboru dwa zajęcia. Po pierwsze, mogę sekundować jego poetyckim uniesieniom. Po drugie, mogę kręcić się przy nim pod pretekstem chronienia go przed kobietami, które jego poezja doprowadziła do

szaleństwa, a w istocie obijać się i rozkoszować budującym doświadczeniem bycia niewidzialnym dla płci pięknej.

– Proszę nie wpadać w rozpacz – pocieszyła go. – Dla pryncypałki i dziewcząt w pracowni bynajmniej nie był pan niewidzialny.

– Tak czy owak, bawiłem się o wiele lepiej, przyglądając się pani aktywności.

W jej głowie mnóstwo spanikowanych Leonie biegało w popłochu, krzycząc: „Co? Co odkrył? Co zobaczył? Dlaczego?”.

Na zewnątrz nie drgnął jej ani jeden mięsień.

– Raczej się pan wynudził – stwierdziła.

– Zadanie okazało się znacznie trudniejsze, niż się spodziewałem – przyznał. – Pani i jej siostry z niewiadomych względów zachowujecie dyskrecję w kwestii swojej dobroczynności.

Wewnętrzne Leonie ochłonęły i powiedziały: „Och, czyli wszystko w porządku”.

– Niespecjalnie jest się czym chwalić.

– Czyżby? – Obejrzał się w stronę pracowni. – Żyłem sobie dotąd bezpiecznie pod kloszem. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek widział w jednym pomieszczeniu tyle dziewcząt, które… – Umilkł, zamknął oczy i zastanawiał się przez chwilę. – Powiedzmy, że nie żyły pod kloszem. – Otworzył oczy, a ich zieleń pociemniała, kiedy przyglądał się bacznie Leonie przez przedłużającą się chwilę. – Robi się pani coraz bardziej interesująca. To spore wyzwanie.

– To interesy – odparła. – Niektóre dziewczęta okazują się bardziej utalentowane od innych. Mamy szansę zebrać dla Maison Noirot samą śmietankę. Ponadto osobiście szkolimy je i przyuczamy, wiemy zatem, co dostajemy. Nie działamy tak bezinteresownie jak pańskie księżne czy hrabiny. Nie chodzi o czystą filantropię.

– Pozostaje faktem, że zgarniacie je z ulicy, sierocińców i przytułków.

Uśmiechnęła się.

– W ten sposób dostajemy je tanio. Często za darmo.

Poprowadziła go do sklepiku, gdzie prezentowano wyroby dziewcząt.

– Gdyby wasza lordowska mość zniżył się do zakupienia kilku ich drobiazgów, oszalałyby z radości – powiedziała.

Podeszła do pokancerowanej lady i otworzyła szklaną gablotę.

Stał przez chwilę, patrząc na kolekcję tasiemek i sznurków do zegarków, poduszeczek do igieł, chusteczek, szarf, portmonetek i tym podobnych szpargałów.

– Panno Noirot – rzekł.

Podniosła wzrok. Nadal wpatrywał się w zawartość gabloty z wyrazem poruszenia na twarzy.

– Dziewczęta zrobiły te rzeczy? – zapytał. – Dziewczęta z tamtej klasy?

– Tak. Pamięta pan, jak pryncypałka mówiła, że zbieramy fundusze, sprzedając ich prace?

– Pamiętam, ale nie sądziłem…

Odwrócił się i podszedł do niewielkiego okna, jedynego w sklepiku. Założył ręce za plecy i wyjrzał na zewnątrz.

Poczuła się zbita z tropu. Spojrzała na zawartość gabloty, a później znów na fachowo skrojony i odszyty tył jego surduta.

Po, jak się zdawało, bardzo długim czasie odwrócił się od okna. Zbliżył się do lady z delikatnym uśmiechem na ustach.

– Jestem poruszony – oświadczył. – Niebezpiecznie, prawie że do łez. Bardzo się cieszę, że wyręczyłem Swantona w tej misji. On łkałby tu co krok i tworzył liczące po pięćdziesiąt strof lamenty nad niewinnością utraconą, skrzywdzoną, odnalezioną lub inny tego typu bełkot. Na szczęście to tylko ja, ogółowi nie grozi więc zasypanie wersami inspirowanymi tym miejscem.

Na moment się pogubiła. Zaraz wszakże rozsądek zepchnął na bok zdumienie. Może poruszył go los tych dziewcząt, a może jedynie udawał wielkoduszność i filantropijne skłonności, tak jak wielu arystokratów. Uważali dobroczynność za obowiązek i oddawali się jej ostentacyjnie, ale w gruncie rzeczy niewiele ich obchodziła. Gdyby choć połowa z nich naprawdę się przejmowała, Londyn byłby innym miejscem.

Prawdziwe uczucia markiza nie grały jednak roli, powiedziała sobie. Liczyły się dziewczęta. A pieniądze pozostają pieniędzmi, nieważne, ofiarowane ze szczerego współczucia czy na pokaz.

– Można by pomyśleć, że poezja przyjaciela zaraziła pana nadmierną tkliwością – stwierdziła.

– Niewykluczone, madame, choć zastanawiam się, jak ktokolwiek zdołałby oprzeć się temu. – Gestem wskazał zawartość gabloty. – Proszę na

nie spojrzeć. Serduszka i kwiatki, i zakrętasy, i konwalie, i koronki. Prace dziewcząt, które zaznały w życiu głównie nędzy, brudu i przemocy.

Przyjrzała się z uwagą poduszeczkom do igieł, sznurkowym dewizkom, mitenkom i chusteczkom.

– Nie jest im dane podziwiać dzieła Botticellego – powiedziała. – Jeśli pragną piękna w swoim otoczeniu, muszą je stworzyć same.

– Madame, czy uważa pani za absolutnie konieczne łamać mi serce do końca?

Popatrzyła w jego zielonozłote oczy i pomyślała, że łatwo byłoby się w nich zatracić. Te oczy, podobnie jak jego niski głos, zdawały się nieść nieskończone obietnice. Zapraszały, by odkryć fascynujące głębie charakteru i sekrety nieznane nikomu innemu.

– Czy to znaczy, że bierze pan wszystko? – zapytała.

* * *

Później w Lisburne House

Swanton wpatrywał się w przedmioty, które Lisburne wyłożył na jednym ze stołów w bibliotece – kiedy już oczyścił blat ze stosów listów i arkuszy papieru zapełnionych poetyckimi bazgrołami.

Po długim czasie Swanton podniósł wreszcie wzrok.

– Zostawiłeś w sklepie cokolwiek?

– Trudno mi się było zdecydować – odparł Lisburne.

– A mimo to twierdzisz, że to mojej uprzejmości ciągle nadużywają – wytknął mu Swanton.

– Panna Noirot niczego nie nadużyła – sprzeciwił się Lisburne. – Jak przystało na dobrą kobietę interesu, wykorzystała chwilę mojej słabości.

Nadal nie rozgryzł, skąd wzięła się ta słabość. Nie była to wszak jego pierwsza wizyta w instytucji dobroczynnej. Wraz z ojcem uczestniczył w niezliczonych filantropijnych kolacjach, odwiedzał przytułki, sierocińce i prowadzone z datków szkoły dla ubogich. Oglądał wychowanków w mundurkach i z plakietkami, prężących się sztywno na baczność, paradujących przed dobroczyńcami albo śpiewających hymny pochwalne na cześć Boga, monarchy bądź możnych łaskawców.

Przywykł do takich rzeczy. A mimo to miał chęć usiąść, ukryć twarz w dłoniach i zapłakać nad tymi dziewczętami i ich filigranowymi serduszkami tudzież chusteczkami haftowanymi w bratki, fiołki i niezapominajki.

Niech piekło pochłonie Swantona za to, że wciągnął go w tę swoją poetycką wylęgarnię emocji!

– Zapewne nie zdawałeś sobie sprawy z tego, jaka jest sprytna – podsunął Swanton.

– Nie zdawałem – przyznał Lisburne. – Istna z niej diablica w interesach.

Kiedy już rozdarła mu serce na strzępy i opróżniła gablotę, podobnie jak jego portfel, odprawiła go w wielce czarującym stylu.

– Całe szczęście, że cię tam nie było – poinformował Swantona. – Takie doświadczenie mogłoby cię zabić. Mnie prawie zabiło, gdy powiedziała: „Nie jest im dane podziwiać dzieła Botticellego. Jeśli pragną piękna w swoim otoczeniu, muszą je stworzyć same”.

Swanton zamrugał gwałtownie, ale w jego przypadku sztuczka ta rzadko spełniała swoje zadanie. Emocje wygrywały w dziewięciu przypadkach na dziesięć, przy czym teraz nie był to ten dziesiąty przypadek. Jabłko Adama powędrowało w górę i w dół, a oczy napełniły się łzami.

– Ani się waż łkać – przestrzegł go Lisburne. – Zmieniasz się w prawdziwą konewkę, gorszą niż dowolna z tych obłąkanych dziewcząt, które się za tobą włóczą. Weź się w garść, człowieku. To ty zaproponowałeś zbiórkę funduszy na ulubioną działalność dobroczynną Maison Noirot. Ja zgromadziłem dla ciebie informacje na ten temat. Przyniosłem ci liczne dowody ich pracy. Planujesz ułożyć z tej okazji żałobny sonet czy przedyskutujemy kwestie praktyczne?

– Łatwo ci mówić o braniu się w garść. – Swanton wyjął chusteczkę i wydmuchał nos. – To nie ty boisz się wyściubić nos za drzwi, żeby nie wpaść na jakieś dziewczę. Muszę uważać, by nie zranić ich delikatnych uczuć, a zarazem nie powiedzieć niczego zbyt miłego, gdyż zinterpretowano by to natychmiast jako podstępne uwodzenie.

– Tak, tak, paskudna sprawa – zgodził się Lisburne. – Jeśli chcesz jutro wracać do Florencji czy Wenecji, z radością z tobą pojadę.

I pojechałby. Cóż miał tutaj do roboty poza chronieniem Swantona przed omdlewającymi dziewczętami? Choć dorosły i teoretycznie zdolny do tego, aby sam się o siebie troszczyć, poeta bywał roztargniony. To czyniło go

łatwym łupem dla mnóstwa nieprzyjemnych kobiet, takich jak choćby młodsza córka lady Bartham, Alda.

Co do panny Leonie Noirot…

Czy gdyby Lisburne istotnie wrócił jutro do Włoch, odczułaby jego zniknięcie czy po prostu zaczęła romansować z innym osobnikiem, przystępując zarazem do opróżniania jego kieszeni?

Swanton podniósł poduszeczkę do igieł, jedną z tych, które dźgnęły Lisburne'a prosto w serce.

– Dzieło Bridget Coppy – wyjaśnił Lisburne. – Panna Noirot mówi, że poduszeczkom do igieł tradycyjnie nadaje się kształt serca. Zamiast jednak użyć pospolitej czerwieni, dziewczyna wysiliła wyobraźnię i wykorzystała biały materiał z koralową lamówką, żeby uwydatnić barwne kwiaty. Ten sznurek przywiązuje się w talii.

– Kwiaty są urocze. Takie delikatne.

– Bridget zmienia się w uzdolnioną hafciarkę.

– Mojej matce by się spodobała – stwierdził Swanton.

– Zatem dostarczmy podarek osobiście. Widzę tu też mnóstwo drobiazgów dla mojej matki. I jej nowego męża. Oboje będą zauroczeni.

Jego matka wybrała drugiego męża równie mądrze jak pierwszego. Lord Rufford był dobrym, wielkodusznym mężczyzną, który ją uszczęśliwił. Zaprzyjaźnił się także z pasierbem, co wcale nie stanowiło łatwego zadania.

– Piekielnie pilno ci wracać – skomentował znaczącym tonem Swanton.

Lisburne się roześmiał.

– Może i tak. Niby taki ze mnie światowiec, a dałem się podejść francuskiej krawcowej. Może pragnę oddalić się chyłkiem, pognębiony.

– Ośmielę się w to wątpić. Moim zdaniem wcale nie pragniesz wyjechać, bo nawet w tej chwili łamiesz sobie głowę, jak tego dokonała, aby zaplanować, jak być górą w kolejnej potyczce.

Lisburne popatrzył na niego uważnie.

– To jedyna kobieta, której poświęciłeś choć trochę uwagi, odkąd przybyliśmy do Londynu – wyjaśnił Swanton. – A ja cię znam. To znaczy na tyle, na ile ktokolwiek może cię znać.

– Jakby było co poznawać – powiedział Lisburne. Ale Swanton był poetą. Wyobrażał sobie, że każdy nosi wewnątrz ukryte głębie. Jeśli nawet Lisburne takowe posiadał, ani myślał w nich grzebać, z pewnością też nie

zachęcałby do tego nikogo innego. – A ty? Czujesz się w obowiązku zostać?

– Chyba muszę – odparł Swanton.

– Naprawdę? Osobiście wolałbym, żeby osaczyły mnie wilki niż banda szlachetnie urodzonych panien.

– Szybko im obrzydnę. Ale dopóki to nie nastąpi, zachowałbym się jak tchórz, gdybym uciekł, kiedy mogę zrobić tyle dobrego. Pohańbiłbym tym pamięć twego ojca.

– Tak, tak, dołóż mi moim ojcem, zapraszam – burknął Lisburne.

– Wiem, że gram nieczysto, ale nie znam innego sposobu na pokonanie cię w sporze.

– Świetnie – rzucił Lisburne. – Zostaniemy, dopóki nie uznają cię za wroga numer jeden. A wtedy módlmy się, żeby umknąć na czas.

Spojrzał na sterty listów, które niedawno przetransportował na biblioteczne sofy.

– Czy twój sekretarz nie potrzebuje przypadkiem sekretarza? Od wczoraj te stosy korespondencji tylko urosły. – Przypomniawszy sobie, co powiedział Swanton, dodał: – Listy błagalne, mówiłeś. Jedno z zagrożeń, jakie niosą pozycja i bogactwo. Każdy wyciąga rękę, a ktoś musi zdecydować, które z tych osób zasługują na wsparcie.

– To najmniejszy problem – odparł Swanton. – Choćby dzisiaj dostałem dwa żądania, bym łożył na dziecko, i liścik szantażystki grożącej procesem o zerwanie zaręczyn.

Roszczenia te były absurdalne dla każdego, kto znał Swantona, mimo to nie należało ich lekceważyć.

Sława budziła w niektórych zazdrość, chciwość i, ogólnie rzecz biorąc, najgorsze instynkty. Nazbyt wielu z chęcią uwierzy w najgorsze plotki na temat Swantona.

– Pokaż mi te listy – zarządził Lisburne.

* * *

Wtorkowy wieczór, 14 lipca

Gdyby nieprzyjemna korespondencja kuzyna nie zaabsorbowała Lisburne’a do tego stopnia, może zwietrzyłby tę drugą sprawę wcześniej. A może i nie.

Mimo że dosyć często bywał w klubie Whithe’a, od dawna nie zaglądał do księgi zakładów. Bo i po co? Tak wiele z nich było głupich, podyktowanych nudą. Na przykład, jak długo mucha będzie spacerować po szybie, zanim umrze lub odleci.

Lisburne, przynajmniej na razie, nie czuł się znudzony. Nużyło go oglądanie, jak kobiety w zamroczeniu snują się za Swantonem, i nawet kryjące się w tej sytuacji potencjalne zagrożenia nie dodawały jej dreszczyku ekscytacji. Potem jednak na scenę wkroczyła panna Leonie Noirot i Londyn zrobił się znacznie bardziej interesujący.

Jako że nie miała ona w sobie absolutnie nic nudnego, Lisburne bez zaskoczenia odkrył, że ostatnio plotkuje się właśnie na jej temat.

On i Swanton udali się na spęd towarzyski u hrabiny Jersey, gdzie damy jak zwykle urządziły zamieszanie wokół poety. Podczas gdy młodsze kobiety miotały się w pobliżu Swantona, Lisburne podryfował w kierunku pokoju do gry w karty. Już miał tam wejść, kiedy zatrzymała go lady Alda Morris, żeby pod osłoną wachlarza szepnąć mu kilka słów.

* * *

Maison Noirot
Środa, 15 lipca

Lady Gladys stała przed lustrem, zarumieniona.

Cztery kobiety – Leonie, Marcelline, lady Clara i Jeffreys – obserwowały ją wyczekująco.

Dziś lady Gladys po raz pierwszy założyła gorset zaprojektowany przez Leonie specjalnie dla niej.

W przeciwieństwie do gorsetu, który pospiesznie przystosowały w ubiegłym tygodniu, by zastąpił monstrum przywiezione przez damę z domu, ten tutaj wykorzystywał całą wiedzę Leonie z zakresu matematyki, fizjologii i fizyki. Aż do tej chwili nie było jej wszakże dane cieszyć się

osiągnięciem, ponieważ lady Gladys odmówiła wyjścia i zaprezentowania się w gorsecie. Oznajmiła, że nie będzie brykać w samej bieliźnie.

Wtedy jednak nie widziała jeszcze złotej sukni wieczorowej.

Kiedy zaprezentowały jej kreację, wykrzywiła się i obwieściła, że w tym kolorze wyglądałaby, jakby dokuczała jej wątroba. Niemniej protest był słaby jak na lady Gladys. Moment później stwierdziła, że skoro już tu jest, może przymierzyć suknię. Następnie nalegała, by Jeffreys – władająca podłą francuszczyzną domniemana suchotniczka – pomogła jej w przymierzalni.

Damy przeważnie były kapryśne, jednak ta konkretna najwyraźniej poświęciła swe młode życie temu, by w każdej osobie z otoczenia wzbudzić chęć uduszenia jej.

– Cóż – odezwała się wreszcie.

Jedno słowo, niemniej Leonie wychwyciła w nim banieczkę zadowolenia. Lady Gladys miała piękny głos, ekspresyjny jak u śpiewaczki operowej.

– Nigdy nie sądziłam, że to kolor dla mnie – dorzuciła.

– Dałaś nam to dostatecznie jasno do zrozumienia – powiedziała Clara. – Już myślałam, że będziemy musiały odurzyć cię alkoholem, żebyś cokolwiek przymierzyła.

– Nieprawda. Nie miałam nic przeciw temu, żeby przymierzyć gorset. Nie chciałam tylko paradować w bieliźnie, kiedy wszyscy się na mnie gapią.

Wygładziła przód sukni, mimo że Jeffreys zadbała o to, by każdy szew znalazł się idealnie na swoim miejscu.

– Gorset jest wygodny – orzekła lady Gladys. – Nie wiem, co pani zrobiła, ale… – Umilkła, przyglądając się sobie z uwagą. – Coś pani zrobiła – dokończyła.

Leonie zrobiła bardzo dużo. Zaprojektowała gorset tak, by podpierał obfite krągłości damy. Jego kształt wygładzał talię w taki sposób, że sprawiała wrażenie węższej, choć ucisk był minimalny.

Figura lady Gladys wciąż pozostała o wiele pełniejsza i mniej kształtna niż obowiązujący wzorzec. Ale wzorzec to tylko wzorzec. Liczyło się, by dama wyglądała najpiękniej, jak to możliwe w danym przypadku. A złota satyna zaskoczyła Leonie nie mniej niż samą lady Gladys.

Marcelline jak zwykle stworzyła tę suknię całkowicie w wyobraźni. Tym razem wszakże opierała się wyłącznie na dostarczonym przez Leonie szczegółowym opisie nowej klientki.

A jednak ze swego łoża boleści, pomimo nieustających nudności, zaprojektowała cud, nie suknię. Złota satyna obrębiona czarno-białą lamówką. Proste, lecz pełne wyrazu. Ostro zakończony gorsecik stwarzał iluzję smuklejszej talii, który to efekt pogłębiały mocujące go od przodu czarne języczki.

Ostre zakończenia gorsecików wyszły już ponoć z mody, ale Marcelline nigdy nie przejmowała się tym, co uważała za małostkowe wahania gustu.

Leonie szacowała zresztą, że za sprawą tej sukni ostro zakończone gorseciki znów staną się modne. Czarna koronkowa mantylka, przyszyta od góry do rękawów, nie tylko dodawała sukni dramatyzmu, lecz także zwracała uwagę na wydatny biust lady Gladys. Nie była to być może kreacja w pełni stosowna dla niezamężnej młodej damy, ale lady Gladys wyglądałaby niedorzecznie w sukniach, które pasowałyby przeciętnym panienkom.

Dama podniosła dłoń do skraju stanika.

– Jest bardzo mocno wycięty – powiedziała.

– Ależ oczywiście, moja droga – odparła Marcelline. – Ma pani piękny biust. Chcemy przyciągnąć do niego spojrzenia.

– Będę się czuła naga – zaprotestowała lady Gladys.

– A co to szkodzi? – spytała lady Clara. – Będziesz się czuła naga, wyglądając absolutnie przyzwoicie.

– Raczej nie a b s o l u t n i e przyzwoicie – sarknęła jej kuzynka.

– Nie ma nic złego w tym, że wygląda się kusząco – sprzeciwiła się lady Clara.

– Przestaniesz wreszcie?! – warknęła lady Gladys, zaskakując wszystkich tą zaciekłością. – Przestań być taka miła. Nie potrafię wyrazić, jakie to prowokujące. Nie, poczekaj, potrafię. Wystarczy, że kiwniesz palcem, a możesz mieć każdego mężczyznę. Nie masz pojęcia, jak to jest być… być… nie być piękną i pełną słodyczy!

– Wcale nie jestem słodka – zaprotestowała lady Clara. – Ludzie tylko tak myślą z powodu mojego wyglądu.

– W tym właśnie rzecz! Możesz powiedzieć cokolwiek!

– Nie, nie mogę – odparła ostro lady Clara. – Nie mogę być sobą. Przypomnij sobie o mamie, która stale nade mną wisi. Nie masz pojęcia, jak się z tym duszę.

– Och, tak, wszyscy ci mężczyźni, tłoczący się wokół ciebie, bijący się o twój uśmiech.

– Dostrzegają tylko to, co na zewnątrz. Nie wiedzą, kim jestem, ani ich to szczególnie nie obchodzi. Ty mnie znasz… albo powinnaś. I wiesz, że stoję po twojej stronie, zawsze stałam, bez względu na to, jak bardzo to utrudniasz.

Lady Gladys oblała się szkarłatnym rumieńcem, do oczu napłynęły jej łzy.

– Nie umiem się zachować! – krzyknęła. – W ogóle niczego nie umiem! Narzekasz, że matka nieustannie cię nadzoruje, ale przynajmniej masz matkę. Zawsze otaczały cię kobiety, uczyły cię kobiecości. A spójrz na mnie! Mój ojciec jest żołnierzem, niemalże dorastałam w obozie wojskowym. Traktuje mnie jak swój pułk. Wydaje rozkazy i znika, aby zmiażdżyć kolejnego wroga Anglii. – Wyrzuciwszy z siebie te słowa, z furią ruszyła z powrotem do przymierzalni. – Jeffreys! Zdejmij to ze mnie!

Posławszy Leonie spanikowane spojrzenie, Jeffreys potruchtała za nią.

Lady Clara ciężkim krokiem podeszła do krzesła i osunęła się na nie.

Marcelline popatrzyła na Leonie.

Ta rozłożyła ręce i samym ruchem warg powiedziała: „Nie mam pojęcia”.

– Co się stało? – zwróciła się Marcelline do lady Clary.

– Nie wiem – odparła lady Clara.

– Ja wam powiem, co się stało – odezwała się zza zasłony lady Gladys. – Nie idę dziś wieczorem do Almacka bez względu na wszystkie przymilne perswazje. Powiedziałam im, że nigdy więcej nie zrobię czegoś takiego, a mimo to Clara przez cały czas mnie nęka. A teraz dałyście jej amunicję w postaci tej przeklętej sukni!

– Wyglądasz w niej bardzo dobrze, ale jesteś zbyt uparta, żeby to przyznać! – krzyknęła lady Clara.

– Nie obchodzi mnie, czy dobrze wyglądam. Nie powinny były jej szyć, ponieważ nie znajdę okazji, żeby ją założyć. Nie chcę jej! Żałuję, że w ogóle przyjechałam do Londynu!

Lady Clara westchnęła, wsparła czoło na dłoni i wpatrzyła się w podłogę.

Zza zasłony przymierzalni dobiegło zduszone łkanie.

Poza tym w pokoju do konsultacji panowała cisza, pozorny spokój.

Właśnie wtedy zjawiła się Mary Parmenter, cała spłoniona, z meldunkiem, że oto przybyli lord Lisburne i lord Swanton. Powiedzieli, że mają sprawę do panny Noirot. Czy Mary ma poprosić, żeby zaczekali w salonie sprzedaży albo w kantorku?

– Jesteśmy zajęte – odparła Leonie. – Przekaż im, żeby się umówili.

Za zasłoną gwałtownie wciągnięto powietrze.

– Nie może pani kazać czekać lordowi Swantonowi! – zawołała drżącym głosem lady Gladys. – Mną się już pani nie zajmuje. Równie dobrze może pani zobaczyć, czego życzą sobie ci dżentelmeni.

– Powiedz im, żeby się umówili – poleciła Leonie dziewczynie.

Następnie odesłała wszystkich i weszła za zasłonę.

* * *

Leonie znalazła lady Gladys siedzącą na skraju podestu krawieckiego, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Nie rozmawiam z panią – wymamrotała dama. – Pani jest jak ludzka wersja zgniatacza kciuków.

– Jednym z sekretów naszego sukcesu jest znajomość tego, co kryje się w głowach naszych klientek – zagaiła Leonie. – Wydobędziemy to z pani w taki lub inny sposób. Niech mi pani po prostu powie, a obie zaoszczędzimy energię, którą dzięki temu szczęśliwie spożytkujemy gdzie indziej.

– Szczęśliwie!

Leonie opadła na podest obok niej.

Lady Gladys uniosła głowę.

– Tylko pani udaje moją przyjaciółkę. Zależy pani wyłącznie na tym, żebym zamówiła więcej ubrań.

– Jak na razie nie dotarłam do etapu udawania pani przyjaciółki – odparła Leonie. – Ale istotnie, zależy mi, żeby zamówiła pani więcej ubrań. Inaczej po co prowadziłabym interes?

– Nie przyszło pani do głowy, że przeze mnie może pani wylecieć z interesu? Cały Londyn wie, że wzięła mnie pani pod swoje skrzydła. Już

się zakładają o rezultat.

Prawdę mówiąc, ze wszystkich kwestii, które mogły odpowiadać za irracjonalne zachowanie lady Gladys, akurat ta nie nasunęła się Leonie jako pierwsza – prawdopodobnie ze względu na potężne rozkojarzenie, zwące się markiz Lisburne.

Mimo to wieść o zakładach jej nie zdziwiła. Ludzie z towarzystwa, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, uprawiali hazard głównie z nudów i bezczynności. Zresztą, zakładano się czy nie, kobiety i tak będą dogłębnie zainteresowane rezultatami wizyt lady Gladys w butiku.

Leonie o tym wiedziała. W rzeczy samej, po części to właśnie ta świadomość pchnęła ją ku lady Gladys. Kiedy Maison Noirot odniesie sukces, ukazując atuty rzeczonej damy, cały modny świat będzie łomotał do ich drzwi.

Niemniej w tym celu niezbędna była współpraca klientki.

– Arystokraci zakładają się o wszystko – rzekła szybko Leonie. – Oczywiste, że to panią drażni…

– Zwłaszcza kiedy irytująca córka lady Bartham zadaje sobie tyle trudu, żeby objaśniać warunki – weszła jej w słowo lady Gladys. – Pewnie nie zaskoczy pani, że więcej niż raz była mowa o małpie, która będzie małpą choćby i w jedwabiu.

Lady Bartham przyjaźniła się, a zarazem jadowicie rywalizowała na gruncie towarzyskim z matką lady Clary, lady Warford. Leonie nie pojmowała, dlaczego ktokolwiek zaprzyjaźnia się – bądź też, uczyniwszy to nieświadomie, kontynuuje przyjaźń – ze żmiją. Wiedziała również, że jedna z córek lady Bartham, lady Alda, dorównuje matce złośliwością.

– Niektórzy ludzie są takimi ignorantami, egoistami lub czują się tak głęboko nieszczęśliwi, że ranienie innych poprawia im nastrój – powiedziała Leonie. – To perwersja, ale tak już jest. Najlepszy sposób walki z nimi to znaleźć powód do śmiechu lub zadowolenia. Takie podejście zbije ich z tropu i zdenerwuje. Moim zdaniem, dobry odwet.

Lady Gladys spojrzała na nią wilkiem.

– Niech mi pani powie, co jest w tym zabawnego. Niech mi pani powie, z czego powinnam być zadowolona.

– Czemuż zadawałaby sobie tyle trudu, żeby panią obrazić i zranić, jeśli nie dlatego, że usiłuje podkopać pani pewność siebie? Może boi się, że stanie się pani dla niej konkurencją?

Lady Gladys posłała jej spojrzenie z gatunku „pani chyba powinna się leczyć”.

– Proszę sobie wyobrazić – ciągnęła Leonie – że klepie ją pani uspokajająco po dłoni i mówi: „Och, kochana, przykro mi, że przysparzam ci zmartwień, ale obiecuję, że postaram się nie ukraść żadnego z twoich wielbicieli, jeśli tylko będzie to w mojej mocy”. A potem mogłaby się pani roześmiać. Ma pani taki ładny śmiech. Odeszłaby znacznie bardziej zdenerwowana od pani.

– Ładny śmiech? – powtórzyła lady Gladys.

Odwróciła się i wpatrzyła w rycinę z francuskiego żurnala wiszącą na przeciwległej ścianie.

– W ogóle piękny głos. – Leonie wstała. – Proszę przestać marzyć o tym, by wyglądać jak kuzynka. Przez to nie dostrzega pani własnych walorów. Nigdy nie będzie pani wyglądać jak lady Clara. Ale ona nigdy nie będzie mieć pani głosu.

– Jakby jedno równoważyło drugie!

– Bitwę nie zawsze wygrywa największa armia, choćby i w najszykowniejszych mundurach – powiedziała Leonie. – Czy jego lordowska mość nie mówił pani nigdy, że liczą się także spryt i szczęście?

* * *

Nieco później

O tej porze dnia, kiedy modne damy stroiły się na paradę w Hyde Parku, Lisburne spodziewał się zastać w butiku względny spokój. Inaczej nie zgodziłby się, żeby Swanton mu towarzyszył. W sklepie istotnie było spokojnie. Kilka sprzedawczyń chowało do szuflad wstążki i ozdóbki, układało towar w gablotach, wyrównywało kapelusze przekrzywione przez niedawnych gości i poprawiało spódnice na manekinach. Jedyną klientką była starsza dama, która nie potrafiła się zdecydować między kilkoma odcieniami brązowej wstążki.

Swanton przechadzał się na uboczu, kiedy dziewczyna wróciła z informacją, że muszą się umówić.

– Widocznie mają ważną klientkę – zwrócił się do niego Lisburne. – Może przejdziesz się do Whithe’a? W klubie nie będzie kobiet, ukoisz wzburzony umysł kieliszkiem wina albo miarką whisky.

Swanton rozejrzał się, jakby zapomniał, gdzie się znajduje.

– Do Whithe’a – powtórzył.

– Tak. Tam nie dopadną cię młode damy.

– A ty?

– Ja poczekam – odparł Lisburne. – Doskonale poradzę sobie z naszym zadaniem sam. I wypadnie bardziej profesjonalnie, kiedy nie będziesz snuł się nieprzytomnie w pobliżu.

– Muszę napisać sześć nowych wierszy w mniej niż tydzień! – obruszył się Swanton. – Też byłbyś rozkojarzony.

– Tym więcej masz powodów, żeby schronić się w spokojnym miejscu, gdzie kobiety nie chichoczą, nie rumienią się ani nie wymyślają pretekstów, żeby znaleźć się bliżej ciebie.

Naturalnie Swanton nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokół niego działo. Sprzedawczynie musiałyby grzmotnąć go w głowę stojakiem na kapelusze, żeby pozyskać jego uwagę. Niemniej, w przeciwieństwie do młodych dam z towarzystwa, ekscytowały się głównie tym, że odwiedziła je znakomitość. Zapewne nie miały czasu na czytanie poezji – jeśli w ogóle potrafiły czytać. Innymi słowy, ich zainteresowanie nie było natury osobistej.

Swanton rozejrzał się, rejestrując jakąś sobie tylko znaną, zamgloną wersję rzeczywistości.

– Dobrze – powiedział. – Umiem zrozumieć aluzję.

Nie, nie umiesz, pomyślał Lisburne.

Przy odrobinie szczęścia Swanton zdoła przejść na drugą stronę ulicy St. James, nie pakując się prosto pod nadjeżdżający powóz. Gdyby jednak stało się inaczej i gdyby ewidentnie zmierzał ku niebezpieczeństwu, jakaś współczująca niewiasta pospieszyłaby mu na ratunek, choćby była jedną z dwóch osób w Londynie, które nie wiedzą, kim on jest. Wyglądał bowiem jak anioł.

Tak czy owak, Lisburne nie był jego niańką. Co więcej, w ciągu ostatnich dwóch dni mierzył się z dostatecznie wieloma problemami poety.

Musiał się od nich oderwać.

Na przykład dzięki pannie Leonie Noirot.

Która była zbyt z a j ę t a, żeby się z nim zobaczyć.

Przechadzał się po butiku, studiując manekiny i zawartość gablot. Dał się nawet wciągnąć w konsultacje w kwestii brązowych wstążek.

Z powagą oglądał je przez monokl z rączką, starając się zdecydować, która z nich ma żółtawy odcień, kiedy do salonu sprzedaży wparowała Gladys, przecięła go szybkim krokiem i wypadła przez drzwi na ulicę. Tuż za nią podążała Clara. Żadna z nich go nie spostrzegła, on zaś nie próbował przyciągnąć ich uwagi.

– Może teraz panna Noirot mnie przyjmie – powiedział do dziewczyny, która przekazała mu wcześniej, że musi się umówić.

Dziewczyna wyszła.

Wróciła po kwadransie i poprowadziła go do kantorka panny Noirot.

Rozdział 5

Dawniej spory rozstrzygano za pomocą rozsądku
i argumentacji; jednakże nowe metody uzgadniania wszelkich
różnic poglądów obejmują szablę lub
zakład: tak zatem dżentelmen może wyrazić swe
odmienne zdanie, jedynie stawiając tysiąc funtów
lub narażając się na przeszycie ostrzem.
„The Connoisseur” (1754)

Kiedy Lisburne wszedł, panna Noirot porządkowała księgi, wkładając w tę czynność nadmierną siłę.

Ponieważ spędziła z Gladys ponad godzinę, zdiag-nozował tłumioną furię. Żadne zaskoczenie.

Rozkojarzył go jednakowoż obraz wzburzonej Leonie Noirot w do szaleństwa kobiecej pianie białego muślinu: świst wzdętych rękawów, sposób, w jaki wierzchnia suknia – szata – jak zwał, tak zwał – unosiła się i opadała na suknię właściwą, gniewny trzepot koronek. Jej pierś pracowała, hafty przywodziły na myśl białe grzywy fal na wzburzonym morzu.

To była tylko kobieta w złym humorze, widok bynajmniej nie rzadki. A przecież potrzebował chwili, żeby uspokoić oddech i odciągnąć zmysły od mrocznych głębi, w których już się nurzały.

– Posłałem Swantona do Whithe’a, sam jednak wolałem zaczekać – odezwał się głosem o odcień bardziej chropawym, niż być powinien.

Uniosła mały zegarek u pasa i otworzyła kopertę.

– Godzinę i dwadzieścia minut – powiedziała.

– Ale czekałem na p a n i ą. Sama przyjemność. No i dzięki temu bez większego trudu spełniłem dobry uczynek.

– Dobry uczynek. Pomagał pan moim pracownicom utracić zmysły? A może miłosiernie podtykał pan sole trzeźwiące klientkom, które wcześniej doprowadził do omdlenia?

Zrobił zranioną minę.

– Pomogłem czyjejś prababce wybrać wstążki.

– Lepiej niech pan zachowa ostrożność, spiesząc czynić to pańskie „dobro” wobec starszych osób – poradziła. – Ich organizm może nie znieść takiej dawki męskiego piękna i uroku. Zapewne nie zdaje pan sobie sprawy, jakie to niekorzystne dla interesów, kiedy damy dostają ataku apopleksji w naszym butiku.

Schowała zegarek, splotła ręce na piersi i przybrała beznamiętnie uprzejmy wyraz twarzy.

Jakby był pierwszym lepszym klientem.

Zdusił ukłucie irytacji i powiedział sobie, że nie może zachowywać się jak nadwrażliwy uczniak.

– Dziękuję za tę uwagę, madame – rzekł, bacząc, by nadać głosowi gładkie brzmienie. – Na przyszłość zadbam, żeby narzucać się ze swym pięknem i urokiem jedynie hożym dziewojom.

– Wiem, że nic pan na to nie poradzi. Taki się pan urodził. Niemniej wśród moich najlepszych klientek są starsze damy i nie chciałabym wyprawić ich przedwcześnie na tamten świat.

– Obiecuję dołożyć starań, by uniknąć sytuacji, w której przez przypadek zamorduję starszą damę.

– Ściśle biorąc, nie jest to morderstwo, jeśli dzieje się przez przypadek – sprostowała. – Albo jeśli na taki wygląda – dodała jakby do siebie.

Odnotował, że ukradkiem spojrzała w stronę biurka… gdzie trzymała nożyk do ostrzenia piór i zapewne inne przedmioty potencjalnie służące okaleczaniu, na przykład nożyczki. Krawcowe zawsze miały pod ręką ostre drobiazgi – nożyczki, igły, szpilki. Odnosił dziwaczne wrażenie, że przez nieuwagę wpakował się w niebezpieczeństwo. Bez wątpienia dlatego, że powietrze wręcz wibrowało od emocji, które z takim trudem w sobie tłamsiła.

Paskudnie go kusiło, żeby naciskać, przekonać się – doświadczyć – co się stanie, kiedy ona straci kontrolę.

– Czekają na mnie klientki, milordzie – powiedziała. – Parmenter wspomniała chyba, że pan i lord Swanton przyszliście w interesach.

Wychwycił nutę zniecierpliwienia. Co dalej? Zacznie rzucać przedmiotami?

– Istotnie – odparł.

Powoli przyłożył dwa palce do skroni, udając, że się namyśla.

Atmosfera w pokoju jeszcze zgęstniała.

– Może powinien pan dołączyć do lorda Swantona w Whithe’a. Co dwie głowy to nie jedna, istnieje więc szansa, że wspólnymi siłami przypomną sobie panowie, co było tak rozpaczliwie pilne.

Ruszyła ku drzwiom.

– Ach, już pamiętam – rzekł. – Chodzi o dziewczęta, które wzięła pani pod swoje skrzydła. Swanton i ja chcemy pomóc.

Przystanęła.

– Moje dziewczęta.

„Jej” dziewczęta.

– Stowarzyszenie – uzupełnił. – Geniusz poezji i ja przyszliśmy opowiedzieć pani o naszym błyskotliwym pomyśle na zbiórkę funduszy.

Chciała posłać go do diabła. Chciała pieniędzy dla swoich dziewcząt. Bitwa między tymi dwoma przeciwstawnymi pragnieniami toczyła się w takim sekrecie, że przeoczyłby ją, gdyby nie obserwował panny Noirot z wielką uwagą.

Nie uspokoiła się całkowicie, ale zapanowała nad zniecierpliwieniem.

– Nie powinienem nękać pani dzisiaj, zwłaszcza że najwidoczniej jest pani tak ogromnie z a j ę t a – rzekł. – Problem w tym, że musimy się pospieszyć, a nie byłem pewien, czy uda mi się umówić z panią dostatecznie szybko.

Splotła ramiona na wysokości talii.

– Bardzo szlachetnie ze strony pana i lorda Swantona, że pomyśleli panowie o Stowarzyszeniu dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet.

– Ciekaw jestem, jak mogliśmy tego uniknąć, skoro przytargałem do domu całą ofertę sklepiku. W bibliotece nie sposób się ruszyć, żeby nie potknąć się o poduszeczkę do igieł, portmonetkę czy co tam jeszcze. Konieczność ułożenia planów powstrzymała Swantona przed nadmiernymi szlochami. Ogromnie się cieszę, że nie przyprowadziłem go wtedy ze sobą do sklepiku. Otrząsałby się po takiej wizycie przez całe tygodnie. A mocno wątpię, czy mamy aż tyle czasu, jako że młode kobiety słyną z niestałości.

– Wspomniał pan o planie – powiedziała, bohatersko miażdżąc zniecierpliwienie.

– Ach, tak. Plan.

Przystąpił do wykładania go. W najdrobniejszych szczegółach. Z rozmaitymi dygresjami, uwzględniając liczne ewentualności.

Jeśli spodziewał się wybuchu, nie docenił jej.

Przeszła do biurka, chwyciła pióro i zaczęła prędko notować.

Kiedy pisała, mówił i na pozór bez celu spacerował po kantorku, zbliżając się do niej stopniowo, aż przystanął tuż obok, żeby przyglądać się, jak notuje.

W godny podziwu sposób skondensowała jego meandrujący wywód: feta dobroczynna w Ogrodach Vauxhall w trakcie wielkiej gali w poniedziałkowy wieczór. Swanton przeczyta nowe wiersze w jednym z mniejszych teatrów. Dodatkowe pięć szylingów za wstęp na wieczór poetycki. Niewielki procent wpływów jako opłata za korzystanie z sali. Reszta dla Stowarzyszenia dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet.

Przyswajał słowa, ale jeszcze wyraźniej docierały do niego dźwięki. Muślin trzepotał, nawet gdy pisała, towarzyszył im więc dźwięk podobny do szumu morza, słyszalny pod skrzypieniem pióra. Mieszał się z nim jej zapach, lekki i czysty, zapach lawendy.

Wyobraźnia Lisburne’a przywołała noce w górach Toskanii, wysoko w willi z widokiem na maleńką wioskę… świetliki, które migotały w mroku tarasowych winnic w dole… i woń lawendy, niosącą pierwsze sygnały, że spokój jest możliwy.

Poczuł kłucie w piersi i przypływ gorąca, tak nagły, że z zaskoczenia cofnął się nieco.

Podniosła nań wzrok.

– Ależ ma pani dryg do… dobywania z rzeczy ich sedna – powiedział.

– Lata praktyki – odparła. – Moje siostry są genialne, ale mało konkretne. – Nim zdążył skomentować, zaczęła mówić dalej: – Poniedziałkowy wieczór to dość szybko. Większość towarzystwa będzie już miała swoje plany.

– Dopóki gwiazda Swantona świeci pełnym blaskiem, ludzie znajdą czas – stwierdził. – Zaczynamy wcześnie, dzięki czemu wielbiciele będą mogli posłuchać go przez godzinę, nim udadzą się dalej. No i będą to same nowe wiersze, zawsze atrakcja. A zatem odpowiada to pani?

Odłożyła pióro na miejsce.

– Jak najbardziej. Jego lordowska mość jest nad wyraz szczodry.

– Tamtego wieczoru uratowała pani jego wykład. No i jeszcze te drobiazgi zrobione przez dziewczęta. Bardzo wzruszające.

– Tak, bez wątpienia. – Wyprostowała się, odsuwając się od niego tak płynnie, że zorientował się dopiero po fakcie, kiedy kuszący zapach

zniknął. – Przypuszczam, że życzą sobie panowie uczestnictwa jednej z patronek Stowarzyszenia.

Oparł się pragnieniu, by przysunąć się do niej ponownie. Zacznijmy od tego, że w ogóle nie powinien był dyszeć jej w szyję. Wiedział przecież, że takie oczywiste zachowania nie popłacają.

– I powinna wygłosić krótkie przemówienie – rzekł. – Z prośbą o datki. Mężczyźni chętniej opróżnią kieszenie, jeśli poprosi ich o to ze sceny atrakcyjna kobieta.

– To będę musiała być ja – stwierdziła. – Marcelline źle się czuje, a Sophy przebywa poza Londynem. Ale nieźle sobie radzę z mówieniem o pieniądzach i wyciąganiem ich od ludzi, zatem wszystko w porządku. Naprawdę ogromnie panu dziękuję. Chciałby pan omówić coś jeszcze?

Trudno o czytelniejszą odprawę.

Powiedział sobie, że wcale go nie prowokowała i z pewnością nie musi odpłacać jej dziecinną prowokacją. Mimo to nie spieszył się. Przeczytał ponownie jej notatki, dokonał przeglądu przedmiotów na biurku.

– Umknęła panu jakaś część planu? – spytała. – Pomylił pan godzinę? Wysokość opłaty za wstęp?

– Nie, wszystko w porządku. – Odstąpił od biurka. – W jak najlepszym.

Wszystko poza nią. Nadal się w niej gotowało.

Z powodu Gladys.

Przypomniał sobie szept zza wachlarza.

– Nasunęło mi się tylko… – Urwał. – Ale nie, to pani na pewno nie zainteresuje. Bezsensowna plotka.

Bardziej wyczuł, niż zobaczył, jak jej uwaga się wyostrza. Niewiele wiedział o krawiectwie, ale interesy jako takie rozumiał znacznie lepiej, niż sam się do tego przyznawał. Dla ludzi interesu plotka rzadko bywa rzeczywiście bezsensowna. Jeśli pan A znalazł się na skraju bankructwa albo lord B odczuwał znudzenie kochanką, albo lady C ukrywała przed mężem gigantyczne długi hazardowe, obsługujący ich kupcy pragnęli usłyszeć o tym jako pierwsi.

– Wobec tego nie będę pana zatrzymywać – oznajmiła radośnie.

Powinien sobie iść. Jej omyłki w interesach nie były jego problemem – a w dodatku chciała się go jak najszybciej pozbyć. Ruszył ku drzwiom.

Jeden, dwa, trzy kroki. Sięgał już do gałki, kiedy w jego wspomnieniu zatrzepotał niebiesko-różowy wachlarz lady Aldy i rozległ się jej szept,

pełen fałszywej troski.

„Czy ktoś nie mógłby pomóc kochanej lady Gladys? Jaka szkoda, że oddała się w takie ręce. Nie twierdzę zaraz, że te kobiety są pozbawione skrupułów. Ale mimo to…”.

Zatrzymał się i odwrócił ku niej.

– Nie, nie mogę. Nie wyjdę, zanim się nie dowiem. Panno Noirot, usycham z ciekawości. Proszę mi powiedzieć, że nie obiecała pani Gladys, że zrobi z niej królową balu.

Mrugnęła, raz.

– Mrugnęła pani – rzekł. – W pani przypadku to niewątpliwa oznaka kolosalnego szoku. Zapewne powinienem był przekazać wiadomość delikatniej.

– Nie, nie. Zaskoczyła mnie jedynie ta zmiana tematu. – Pokręciła głową. – Wcale mnie pan nie zaszokował. Słyszałam, że robią już zakłady.

– Podśmiewano się z tego powszechnie wczoraj u lady Jersey. Mówi pani, że to prawda? Królowa balu? G l a d y s?

Przywołała na twarz uprzejmy uśmiech.

– Najwyraźniej wydaje się panu niepojęte, by lady Gladys skrywała niezrealizowany potencjał. Zapewne według pana niemożliwością jest, żeby ktokolwiek, kto nie urodził się piękny i czarujący, podbił czyjeś serce. Czy też opacznie zrozumiałam?

– Nie rozmawiamy o kimkolwiek – odparł. – Rozmawiamy o Gladys. Z pewnością nie mówi pani poważnie.

– Nadzieje i marzenia młodych kobiet nie są dla mnie materiałem do żartów – odrzekła. – Moje źródło utrzymania zależy od tego, czy pomogę im je spełnić. W tym przypadku jak najbardziej spodziewam się, że osiągniemy nasze wspólne cele, i nad wszystkim panuję. Kiedy zrobimy, co trzeba, wystarczy, że lady Gladys kiwnie palcem, a zdobędzie każdego kawalera, którego zechce.

* * *

Leonie z chęcią by go udusiła.

Jak śmiał? Ta biedna dziewczyna!

– To szaleństwo – oznajmił. – Uważałem panią za rozsądną kobietę interesu.

– Ależ proszę się nie frasować. Wiem, co robię, milordzie.

– Nie, nie wie pani. Nie zna pani Gladys.

– Znam ją lepiej niż pan – odparowała.

– Ma talent do wywoływania kłopotów, gdziekolwiek się ruszy. Tamtego wieczoru omal nie wpakowała Vala w pojedynek. Jakimś sposobem sprowokowała panią do podjęcia niemożliwego wyzwania i wmanewrowała w sytuację bez wyjścia.

– Wmanewrowała mnie? – powtórzyła z uśmiechem Leonie.

Pomysł, że jakikolwiek Noirot pozwala sobą manewrować, był doprawdy pocieszny.

– Stanie się pani pośmiewiskiem – przestrzegł. – Pani interes ucierpi. Moja kuzynka Gladys nigdy nie okaże pani wdzięczności za podjęte dla niej wysiłki. Nie podziękuje pani, że tyle pani dla niej poświęciła. Skądże, ona obwini Maison Noirot, że nie dokonał tego, czego dokonać absolutnie nie sposób!

– Nie docenia mnie pan. Nie pan pierwszy.

Nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza.

Zmierzył ją wzrokiem z góry na dół.

Szacował ją.

Przywykła do taksujących spojrzeń aroganckich mężczyzn. W jego przypadku jednak czuła się tak, jakby dotykał ją tam, gdzie wędrowało jego połyskliwe zielone spojrzenie. Zrobiło jej się gorąco, zmieszała się. I dlatego popełniła błąd.

Odpłaciła mu pięknym za nadobne.

Bardzo głupi błąd, jeśli wziąć pod uwagę doskonale wyrzeźbioną twarz i niebezpieczne zielone oczy, i potężny tors… zwężający się ku zgrabnej talii, skąd dalej mogła podziwiać… dłuuuugie, umięśnione nogi. Zakręciło jej się w głowie, co rezolutnie zignorowała.

– Kiedy zrobicie, co trzeba – rzekł wolno, równie wolno, jak przesuwał po jej ciele wzrokiem niczym dłońmi. – Trochę to niekonkretne. Powiedziałbym, że to zadanie na całe życie.

Zapłaci jej za to. Domagała się tego duma rodów Noirot i DeLucey.

– Zobaczymy – powiedziała. Przyłożyła dwa palce do skroni, udając idiotkę. – Którego dzisiaj mamy? Piętnastego. Do końca miesiąca

dżentelmeni będą się czołgać u jej stóp.

Nachyliła się nad biurkiem, żeby sięgnąć po ołówek, który minimalnie wyłamał się z szeregu. Miała świadomość, że w tej pozycji na widoku znalazły się tylne partie jej ciała. Niezbyt subtelna zagrywka. Z drugiej strony, subtelność wobec mężczyzn okazywała się przeważnie stratą czasu.

– U jej stóp – powtórzył. Mówił teraz niższym, bardziej chropawym głosem. – W niewiele ponad dwa tygodnie.

– Tak.

– Kogo tylko zechce.

– Tak. – Bawiła się ołówkiem, czekając.

– Założy się pani? – spytał.

Skryła uśmiech.

* * *

Madame absolutnie się nie spieszyła, odkładając ołówek na tacę i wyrównując go z pozostałymi.

Miał świadomość, że dłonie zaciskają mu się w pięści. Celowo przyjęła tę pozę, by zmącić jego zmysły.

I udało się jej.

Tył jej sukni prezentował się równie wyszukanie jak przód. Delikatna koronka zdobiła lamówkę u nasady jej karku. Stamtąd wędrowały w dół pasy muślinu, na przemian uformowane w eleganckie plisy i haftowane, układając się w kształt litery V, której ostry koniec spoczywał na wysokości jej talii. Spod koronkowego czepka wymykały się zbłąkane kosmyki rudych włosów, jakby rozsypywała jej się fryzura.

Wiedział, że tak nie jest. Chodziło tylko o wywołanie takiego efektu i cel został osiągnięty nader skutecznie. Pragnął wprowadzić dziki nieład, w niej, we wszystkim. Pognieść jej księgi rachunkowe i wymieszać ołówki z piórami. Wyjąć zatyczkę z kałamarza. Zmieść wszystko z biurka i przegiąć ją nad blatem…

Wyprostowała się i podeszła, by stanąć z nim twarzą w twarz, a biały muślin i koronki na jej ciele pięknie zafalowały.

Była krawcową, powiedział sobie. Znała sztuczki, czyniące z ubrania oręż. I umiała z nich korzystać.

Obdarzyła go enigmatycznym uśmiechem, tak podobna w tej chwili do Wenus Botticellego.

– Zakład – powiedziała.

– Wszyscy dookoła się zakładają – stwierdził. – Dlaczego nie my?

– Ponieważ pan przegra? – zasugerowała.

– Och, kiedy to ja jestem pewien pani przegranej. I już zaczynam się zastanawiać, czego mógłbym zażądać.

– Ja również. Pieniądze nic dla pana nie znaczą, toteż muszę wysilić wyobraźnię.

– Myślałem o wyższych stawkach. Nic tak przeciętnego jak pieniądze. Coś znaczącego.

Oparła dłonie o krawędź biurka i odchyliła się nieco do tyłu.

Nie wiedział, co dzieje się w jej głowie. Była zbyt dobra w nieujawnianiu swoich zamiarów. A przecież był pewny, że analizuje różne opcje, zatem robił to samo.

Wyczuł moment, kiedy znalazła odpowiedź. Mimo to odczekała chwilę. I kolejną.

Bawiła się z nim, lisica.

Przeciągała sprawę, udając, że się namyśla.

Fascynowała go.

Czekał.

– Wiem – odezwała się w końcu. – Botticelli.

Mimowolnie wciągnął powietrze, raz, szybko. Natychmiast wygładził rysy twarzy, podejrzewał jednak, że zbyt późno.

Wszystkiego by oczekiwał, tylko nie tego. Choć przecież powinno mu przyjść do głowy jako pierwsze. Od tego wszystko się zaczęło.

– Wspomniał pan o wysokich stawkach – zauważyła. – Nie wiem, ile jest wart, ale z pewnością jest niezastąpiony.

Zmierzyła go niewinnym spojrzeniem.

Przez chwilę powietrze między nimi aż trzeszczało.

Potem się roześmiał.

– Skandalicznie pani nie doceniłem, madame. Wysoka stawka, w rzeczy samej. Zobaczmy. Co postawi pani przeciw mojemu Botticellemu? Co jest dla pani niezastąpione? Czas. Zysk. Interes. Klientki. – Umilkł na uderzenie serca, dwa. – Dobrze więc, czy postawi pani dwa tygodnie?

– Dwa tygodnie – powtórzyła w osłupieniu.

– Ze mną – uściślił. – Chcę dwóch tygodni.

Na te słowa jej niebieskie spojrzenie nabrało ostrości.

– Pani wyłącznej uwagi – doprecyzował. – W miejscu, które sam wybiorę.

Nie miał pewności – tak świetnie opanowała sztukę zachowywania dyskrecji, że kontrolowała chyba nawet rumieńce – odniósł jednak wrażenie, że na jej policzkach przelotnie zagościła sugestia różu.

– Rozumie mnie pani, prawda? – spytał.

– Nie jestem naiwna.

Przed momentem bezwzględnie widział rumieniec, ponieważ teraz dramatycznie pobladła. Ze strachu? Do diaska, czego się obawiała? Ale była krawcową, w dodatku piękną. Bez wątpienia niezliczeni mężczyźni dali jej się poznać od najohydniejszej strony.

Nie był tego rodzaju mężczyzną, a mimo to poczuł się tak, jakby wykonał niewłaściwy ruch, i jego kark rozżarzył się ze wstydu.

– Nie gwałcę kobiet, jeśli o tym pani myśli – rzekł.

– Och, nie – odparła. – Przypuszczałam, że kobiety ustawiają się w kolejce, by uwolnił je pan od ciężaru cnoty.

Czemu wobec tego zbladła?

A może tylko to sobie wyobraził? Teraz jej twarz znów przybrała normalne kolory.

– Chcę dwóch pełnych tygodni pani niepodzielnej uwagi, to wszystko – rzekł.

– Wszystko?

– Marzą mi się dwa tygodnie, w trakcie których nie będę na drugim lub trzecim, lub osiemnastym miejscu po interesach.

– I? – dociekała.

Uśmiechnął się.

– Cóż za cynizm.

– I? – powtórzyła. – Nie żeby miało to znaczenie, ponieważ pan przegra, z chęcią jednak usłyszę, co dokładnie ma pan na myśli.

– Dokładnie? – upewnił się.

– Tak.

Przyglądał jej się przez chwilę z przekrzywioną na bok głową, po czym przystąpił do ataku.

Chwycił ją za ramiona, tuż nad miejscem, gdzie rozszerzały się rękawy.

Znieruchomiała, serce biło jej jak szalone, utkwiła spojrzenie w jego oślepiająco białym, idealnie zawiązanym halsztuku.

– Madame – powiedział.

Podniosła wzrok. To był błąd.

Zobaczyła jego piękne usta, z kącikami wędrującymi w górę, gdy układały się w niebezpieczny uśmiech. Zobaczyła jego oczy, zielone jak morze między Scyllą a Charybdą, tu i tam chwytające słońce w złotych rozbłyskach. Niebezpieczne wody, a ona – ta odpowiedzialna siostra – chciała w nie wskoczyć.

Później uśmiech zniknął, a Lisburne nachylił się i pocałował ją.

Musnął jej wargi swoimi. Tylko tyle i świat się zmienił, stał się bezkresny i ciepły, przelotnie ukazując jakiś obraz… Ale było po wszystkim, nim zdążyła rozstrzygnąć, co takiego spostrzegła lub poczuła.

Zaczął się odsuwać, potem jednak rzucił: „Psiakrew!”.

Postąpiłaby mądrze, wycofując się, ale, zagubiona i zdumiona, nie była zdolna do mądrych zachowań.

Złapał ją w talii i poderwał z podłogi, po czym znowu ją pocałował.

Tym razem było to więcej niż muśnięcie warg. Och, o wiele więcej. Ta jego czysto fizyczna siła, łatwość, z jaką ją podniósł, jakby zrywał kwiat. Docisnął usta do jej ust, tym razem stanowczo, jakby rzucał wyzwanie, a ona to wyzwanie podjęła, mimo że nie wiedziała, co robić. Wcześniej sądziła, że wie, ale dotyk i smak jego ust, słodkich i niebezpiecznych, dalece wykraczały poza drobne frywolności, które niegdyś nazywała pocałunkami. Ten pocałunek miał w sobie siłę cofającej się morskiej fali.

Przytrzymała się jego ramion, kiedy świat wirował. Coś naparło na jej serce i uczucia poderwały się do lotu jak stada spłoszonych ptaków, umykających z trzepotem skrzydeł.

Trwało to ledwie chwilę. Chwilę długą jak lata, całe życie między Przed i Po.

Postawił ją na ziemi. Puściła go, ale we wnętrzu dłoni nadal czuła fakturę jego surduta. Pokój przekrzywił się niczym statek podczas sztormu.

Wpatrywał się w nią przez moment. Odwzajemniła spojrzenie, usiłując zarazem odzyskać równowagę umysłu, podczas gdy w jej głowie tłum małych Leonie krzyczał: „Ani się waż zemdleć!”.

– Ehm, tego rodzaju rzeczy – powiedział.

– Tak myślałam.

– Ach tak?

– Nie jestem naiwna.

– Doprawdy? Przysiągłbym…

– Nie mówię, że d o ś w i a d c z o n a – przerwała mu z nadmiernym ogniem.

Nie panowała nad sobą. Straciła kontrolę tak szybko, że w głowie nadal jej wirowało.

Jedno pozostawało boleśnie jasne: popełniła błąd. Nie taka znów niespodzianka. Była Noirot-DeLucey i nawet jeśli uchodziła za najrozsądniejszą z tego grona, nadal niewiele to znaczyło.

– To różnica. Nie żeby ten fakt miał znaczenie, ponieważ pan przegra.

– Nie wydaje mi się – odparł. – I z niecierpliwością wyczekuję chwili, gdy zacznę pogłębiać pani doświadczenie.

* * *

Czegokolwiek Lisburne się spodziewał, przecież nie tego, że ona będzie… z pewnością nie d z i e w i c ą?

Nie, nie, cóż za absurd. Mowa o francuskiej krawcowej. Z Paryża. Dwudziestojednoletniej, więc już nie dziecku. Jej siostry zawróciły w głowie dwóm spośród najbardziej wyrafinowanych mężczyzn w Londynie.

Niedoświadczona, powiedziała. To nie to samo. A jednak… jej początkowa nieśmiałość, sugestia niepewności, zanim odpuściła i pocałowała go z czymś w rodzaju przekonania i… z uczuciem.

Być może, mimo wszystko, chodziło po prostu o niepewność co do mężczyzny, którego ledwie znała. W gruncie rzeczy nie miał czasu, by to stwierdzić. Taki krótki pocałunek.

Odpędził wątpliwości i przyglądał się, jak wracała do biurka z trzepotem muślinu.

– Musimy doprecyzować warunki – oznajmiła, znowu energiczna i rzeczowa, podczas gdy on nadal próbował odzyskać równowagę. – Wygłosiłam ogólne oświadczenie, które można różnie interpretować. Co uzna pan za dowód?

– Dowód?

– Na to, że lady Gladys dokonała podboju wytwornego towarzystwa.

– Całego wytwornego towarzystwa? – upewnił się. – Nie śmiałbym kwestionować pani geniuszu, madame, sądzę jednak, że byłoby to nie lada osiągnięcie dla dowolnej młodej damy, która nie jest lady Clarą Fairfax.

Zesztywniała. Nieznośnie go kusiło, żeby przeciąć pokój i całować ją w kark, aż zmiękłaby jak wosk.

Niemniej zdążył już przed chwilą zadziałać pochopnie.

Nigdy nie działał pochopnie.

Cechowała go kolosalna cierpliwość. Pościg bawił go w równym stopniu jak podbój.

Mimo to w jej przypadku zachowywał się popędliwie i nietaktownie.

Zmusił się do myślenia, co powinien był zrobić znacznie wcześniej. Usiłował przypomnieć sobie, co mówiła.

Gladys. Tak bardzo przejmowała się Gladys.

– Co według pani Gladys życzyłaby sobie osiągnąć?

– To nie jest rozsądne pytanie. – Obeszła biurko i stanęła po drugiej stronie, jakby odgadła, jakie myśli w związku z jej karkiem snuły mu się przed chwilą po głowie, i chciała odgrodzić się od niego pokaźnym meblem. – Wie pan doskonale, że lady Gladys wystarczyłoby do szczęścia, gdyby ludzie przestali reagować tak, jakby była jednym z tych koszmarnych pieseczków, które pewne damy wszędzie ze sobą zabierają.

Przez moment nie mógł tego pojąć. Z pewnością Gladys nie przejmowała się tym, jak inni na nią reagują, tak jak nie zastanawiała się nad słowami i zachowaniem, którymi obrażała i raniła ludzi.

– Każdy, kto szuka życzliwości takiej damy, udaje, że jej piesek nie jest brzydkim, niewychowanym stworzeniem o paskudnym charakterze, i przygląda mu się z wysilonym uśmiechem – ciągnęła. – Lady Gladys sądzi, że wysilony uśmiech jest najbardziej uprzejmą reakcją, na jaką może liczyć. Moje aspiracje sięgają znacznie dalej, milordzie. Chcę, żeby dżentelmeni pragnęli jej towarzystwa. Chcę, żeby otrzymywała propozycje małżeństwa. Chcę, żeby partnerzy prosili ją do tańca z własnej woli, a nie przymuszeni przez jakąś krewną. Chcę, żeby zaproszono ją nie na jedno, ale na kilka wiejskich przyjęć.

Przypomniał sobie, jak nieznośna była Gladys w czasie, kiedy z taką determinacją starał się pełnić obowiązki głowy rodziny i nie ulec ogarniającemu go mrocznemu przygnębieniu. A jej ojciec!

Tak czy owak słowa te wstrząsnęły Lisburne’em, zrobiło mu się wyjątkowo niezręcznie.

– Stosunkowo łatwo stwierdzić, czy młoda dama cieszy się powodzeniem wśród dżentelmenów – powiedział. – Jeśli nam ten fakt umknie, wspomną o nim gazety plotkarskie. Powiedzmy, że jeśli do końca miesiąca moja kuzynka Gladys zyska adoratora, wygrała pani. Może być?

Podniosła na niego wzrok.

– Nazbyt ułatwia mi pan sprawę, milordzie. Adoratora zyska w najbliższych dniach.

Emanowała pewnością siebie.

Na tyle, by on zwątpił w swoje powodzenie.

Ale nie, ewidentnie postradała zmysły. Przynajmniej w tej kwestii. Jedno z ryzyk jej zawodu. Jak w przypadku szalonych kapeluszników.

A jednak nie była całkowicie szalona. Botticellego wybrała z iście zabójczą precyzją. Z całego jego dobytku utrata akurat tego obrazu głęboko by go zabolała. Z drugiej strony, trafiłby do dobrego domu, do młodej kobiety, która doceniała go w równym stopniu, jeśli nie bardziej niż on sam. I przypuszczalnie podzieliłaby się nim ze swoimi ubogimi dziewczętami.

Poza tym miałby zrezygnować z dwóch tygodni rozkosznie długiego i szczegółowego edukowania Leonie Noirot? Teraz, kiedy posmakował tego, czego mógłby z niecierpliwością wyczekiwać?

Wykluczone.

– Co w takim razie? – spytał. – Powiedzmy, sześciu admiratorów? Propozycja małżeństwa?

– Ale nie od mężczyzny w finansowych tarapatach – zastrzegła. – Szacuję, że posag lady Gladys wynosi od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu tysięcy funtów. Propozycje w oczywisty sposób interesowne odpadają.

– Czy pani s t a r a s i ę p r z e g r a ć? Czuję się mile połechtany, madame.

– Pół tuzina adoratorów. Mężczyźni będą się przy niej kręcili lub nie, stosunkowo łatwo to ocenić. Sukces towarzyski mierzy się również zaproszeniami. Otrzyma co najmniej trzy zaproszenia na wiejskie przyjęcia. I, tak, co najmniej jedną propozycję małżeństwa.

– Wszystko to do trzydziestego pierwszego lipca – doprecyzował.

– Tak. Coś jeszcze, czy te trzy warunki by pana usatysfakcjonowały?

– Jak najbardziej spodziewam się, że będę usatysfakcjonowany.

Przewróciła tymi wspaniałymi niebieskimi oczami.

Miał chęć się roześmiać. Miał chęć całować ją do utraty zmysłów. Ależ był z niej smakowity kąsek!

Z szuflady biurka wyjęła kartkę papieru. Złożyła ją na pół, wzięła pióro i dwukrotnie spisała ich umowę. Dwukrotnie się podpisała. Podała mu pióro.

– Tutaj i tutaj – wskazała.

Podpisał.

Za pomocą linijki przedarła kartkę na dwie idealnie równe części. Wręczyła mu jeden podpisany egzemplarz umowy i życzyła miłego dnia.

* * *

Następnego ranka Lisburne śniadał, czytając „Poranne Zwierciadło”, tak jak miało to w zwyczaju całe wytworne towarzystwo.

I podobnie jak wszyscy pozostali relację z minionego wieczoru u Almacka przeczytał dwukrotnie. Ponieważ, tak jak pozostali, nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Środowy bal przyciągnął tłumy, swoją obecnością zaszczyciło go ponad pięćset znakomitości. W roli orkiestry wystąpił zespół Weipperta, a tańce trwały do czwartej nad ranem. W tym wspaniałym towarzystwie uwagę przykuwała lady Gladys Fairfax, która wystąpiła w sukni w zupełnie nowym stylu, ze złotej satyny przyozdobionej czarnymi i jasnymi elementami, kreacji będącej dziełem utalentowanych krawcowych z Maison Noirot. Dowiedzieliśmy się, że dama królowała w niewielkiej grupie uczestników, a to za sprawą zachwycającej recytacji wiersza komicznego, stanowiącego jej własną adaptację frywolnej Lizystraty *Arystofanesa, a ułożonego, jak wyjawiła dama, w reakcji na oświadczenie pewnego członka parlamentu, że kobiety nie mają żadnych praw.*

Wyobraźnia Lisburne’a odmalowywała przed nim kolejne upiorne obrazy, kiedy Swanton z brzękiem postawił na stole swój talerz.

– Wyglądasz niezdrowo – orzekł poeta. – Czyżby ten łobuz Foxe zwęszył, że kupiłeś sto poduszeczek do igieł?

– Moja kuzynka Gladys recytowała wiersze – poinformował go Lisburne. – Publicznie.

– To ta dziewczyna o melodyjnym głosie? Chętnie bym usłyszał, jak recytuje jeden z moich. Może w jej wykonaniu zabrzmiałby inteligentnie.

Lisburne odłożył gazetę i spojrzał ponad stołem.

– *Lizystrata* – powiedział. – Napisała o niej wiersz.

Jasnoniebieskie oczy Swantona się zaokrągliły.

– Ale przecież to ta… ta sztuka o kobietach. Wojna peloponeska… i kobiety, które sprzymierzają się, żeby powstrzymać walki poprzez odmowę… – Wykonał uniwersalny gest symbolizujący stosunek płciowy. – Jest obsceniczna. Jakim cudem wpadła jej w ręce? Na pewno nie znajduje się w programie nauczania dla dam. A może zbyt długo nie było mnie w Anglii?

– Nie odebrała kobiecej edukacji – wyjaśnił Lisburne. – A jej ojciec rzadko bywał w domu. Nauczyła się greki i łaciny i przypuszczalnie czytała, na co jej przyszła ochota. Nie wierzę, że to zrobiła. Czy ona zabiega, żeby wyrzucono ją z towarzystwa?

Tak, oczywiście, musiał wygrać zakład z panną Noirot. Nie znaczyło to, że życzył Gladys upokorzenia. Ponownego. Nie było go w Londynie, kiedy debiutowała, ale matka Clary, lady Warford, która wprowadzała Gladys do towarzystwa, napisała do matki Lisburne’a rozpaczliwy, obszerny list. Pisało także wiele innych dam, z nieco mniejszym współczuciem, ponieważ Gladys w ciągu paru miesięcy zdołała wzbudzić powszechną odrazę do swojej osoby.

Każdego roku całe stada dziewcząt debiutują w towarzystwie. Naturalnie nie wszystkie odnoszą sukces. Podobno jednak porażka Gladys okazała się tak spektakularna, że wyznaczyła nowy standard.

– Pokaż. – Swanton porwał gazetę i szybko przeczytał notkę. – Nie wygląda mi to na skandal. „Królowała” w towarzystwie, a jej recytacja była „zachwycająca”. Najwyraźniej solidnie ocenzurowała swoją wersję. Gdyby wszystkich zszokowała i obraziła, „Zwierciadło” z rozkoszą by o tym poinformowało.

Zwrócił gazetę Lisburne’owi.

– Może nie. Kto wie, czy „Zwierciadło” nie uznało, że dyskrecja bardziej popłaci. Jej ojcem jest Boulsworth. Pamiętasz go, prawda? Z pogrzebu mojego ojca?

– Któż by go zdołał zapomnieć? – odparł Swanton. – Przerażający typ. Uznałem, że w tym kryje się sekret jego wojskowego sukcesu. Na sam dźwięk jego głosu wróg ucieka z wrzaskiem. Ja na pewno bym uciekł. Twoja kuzynka Gladys jest jego córką? Nieszczęsna! Choć chyba nie tak styranizowana, jak można by się spodziewać. Dama, która potrafi napisać wiersz oparty na *Lizystracie*… i go wyrecytować… u Almacka… no, mniemałbym, że to dziewczyna z charakterem.

Lisburne wytrzeszczył na niego oczy.

– Mniemałbyś? Spotkałeś ją, więcej niż raz. Jak możesz nie pamiętać? Generał przyprowadził ją ze sobą na pogrzeb mojego ojca.

Swanton pokręcił głową.

– Tamten okres spowija opar przygnębienia. Ale generał żywo się wyróżnia. Osobowość szarżującego byka.

– Była z nami na wystawie w Instytucie Brytyjskim – powiedział Lisburne, siląc się na cierpliwość. Jak ktokolwiek, kto choć raz widział Gladys, zdołałby ją zapomnieć, nawet gdyby chciał? – Z Clarą. Na pewno pamiętasz. Musiałeś z nimi rozmawiać. I z pewnością spotkaliśmy je przy innych okazjach.

Swanton wzruszył ramionami.

– Młodych kobiet jest zawsze takie mrowie. Ich twarze zlewają mi się w jedno. – Pokręcił głową. – Ale twoja kuzynka Gladys na pewno ze mną nie rozmawiała. Gdybym usłyszał wcześniej jej głos, nie zapomniałbym go.

Spojrzał na talerz i najwyraźniej przypomniał sobie, dlaczego przed nim stoi, ponieważ wziął sztućce i zaczął jeść.

Jeszcze wczoraj Lisburne zasugerowałby kuzynowi, że Gladys zapada w pamięć z powodów znacznie mniej przyjemnych. Ale uwagi panny Noirot skutecznie uciszyły go w tym temacie.

Co innego ojciec Gladys.

– Nawet Tom Foxe mógł uznać, że woli nie rozsierdzać Boulswortha – stwierdził Lisburne.

– Jeśli twoja kuzynka Gladys wzbudziła gniew patronek Almacka, wszyscy się o tym dowiedzą. Trudno uwierzyć, by Foxe zignorował tak pikantną historię. – Swanton przez chwilę przeżuwał w ciszy. Wreszcie podjął: – Tylko w jeden sposób ustalimy, czy stała się *persona non grata*. Zatrzymała się u Warfordów, zgadza się? Złóżmy wizytę w Warford House.

Jeżeli Gladys nie miała dotąd okazji osobiście wywrzeć wrażenia na Swantonie, Lisburne wolał, żeby tak zostało. Jakkolwiek nie potrafił uwierzyć, że nagle stała się pociągająca dla mężczyzn, nie wątpił, że Swanton niekiedy widział to, co chciał zobaczyć. Nie był najlepszym sędzią w sprawach kobiet. Miał miękkie serce i łatwo ulegał wpływom. Nie wydawało się więc całkowicie niemożliwe, że Gladys dokona podboju samą siłą swojej osobowości.

Wizja Swantona w sidłach Boulswortha i jego córki, wrażliwej duszy poety zmiażdżonej bezpowrotnie, była zbyt koszmarna, by ją rozważać.

Zakład nie zakład, uczciwa gra czy nie, w tym wypadku Lisburne nie miał wyboru, musiał interweniować.

– Nie masz czasu na towarzyskie wizyty – powiedział. – To ty wczoraj jęczałeś, jak to musisz napisać pół tuzina wierszy w niespełna tydzień. Sam zajrzę do Warford House dziś po południu, kiedy zdążą się już przewinąć hordy wielbicieli Clary. Zdam ci relację po powrocie.

Rozdział 6

Jakże często obserwujemy, jak dane oblicze zmienia się
pod wpływem uczucia! I jak liczne transformacje
przechodzi piękno pod magicznym dotknięciem barwnej
różdżki Mody! Dysponując niewyczerpanymi zasobami,
pani ta włada żeńską częścią ludzkości z osobliwym despotyzmem.
„La Belle Assemblée” (1827)

Później czwartkowego popołudnia

Lisburne nasłuchał się tego popołudnia, w Warford House i innych miejscach. Nadal nie mógł w to jednak uwierzyć. Musiał się przekonać na własne oczy.

Ponieważ jechał do Hyde Parku w otwartym powozie, siłą rzeczy miał świadomość, że niebo przybrało mało obiecujące szare oblicze, a aura staje się coraz bardziej dokuczliwa. Te wrażenia odbierał jednak z oddali. Podobnie rejestrował ulice, które przemierzał, oraz pojazdy, zwierzęta i ludzi tłoczących się na jego trasie. Tego popołudnia panował ścisk większy niż zazwyczaj. Myśli Lisburne’a koncentrowały się wszakże na fenomenie, jaki można było zaobserwować tego dnia w parku.

Z ulicy St. James do parku nie było daleko. Problem polegał na tym, że o tej porze dnia każdy – to znaczy Każdy, kto był Kimś – podróżował w tym właśnie kierunku. Mimo że sezon dobiegał końca, towarzystwo potrafiło wyprodukować dość powozów i jeźdźców, żeby objąć park we władanie w porze, którą uznawało za swoją. Dzisiaj zaś wszyscy chcieli się tam zjawić, ponieważ lady Gladys Fairfax wybrała się na przejażdżkę ze swoją kuzynką Clarą.

A jeśli wierzyć zarówno lady Warford, jak i sprzedawczyniom w Maison Noirot, wszystkich interesowało, w co się ubrała.

Ludzi interesowało, co miała na sobie G l a d y s, nie Clara.

Kiedy Lisburne dotarł do Hyde Park Corner, zorientował się, że wieści zawędrowały nawet do niższych sfer. Tłok przy wjeździe do parku był

typowy raczej dla niedzieli, a do tego mur gapiów ustawił się wzdłuż barierek przy drodze.

Gdy wreszcie wyplątał się ze ścisku w pobliżu łuku triumfalnego i mógł się rozejrzeć dookoła, wypatrzył ją z łatwością.

Nie Gladys.

Leonie Noirot.

Stała przy barierce niedaleko posągu Achillesa, otoczona mężczyznami.

Założyła ciemnoniebieską suknię, przyozdobioną zwiewną kompozycją białych żabotów i koronek, które spływały jej z ramion jak szal i znikały pod pasem, by ukazać się znowu w postaci dwóch powiewających ogonów. Wąski zielony szal udrapowany wokół szyi kierował wzrok wyżej, do zielonych kwiatów i kokard w tym samym odcieniu na jej bonecie.

Choć zdawała się nie zauważać tych wszystkich typów pożerających ją wzrokiem, Lisburne ani przez moment nie wątpił, że dokładnie policzyła zabiegających o jej uwagę, oceniła zasobność ich kont bankowych i mogłaby sensownie oszacować stan ich posiadania.

Zatrzymał dwukółkę, czym wzbudził słyszalną irytację innych powożących. Jego stajenny, Vines, zeskoczył z ławeczki z tyłu pojazdu i podszedł przytrzymać konie.

Lisburne wysiadł.

– Niech pana szlag, Lisburne! – krzyknął ktoś. – Blokujesz pan drogę!

Aleja w tym miejscu była na tyle szeroka, że kilka pojazdów mogło jechać obok siebie. Dzisiaj jednakże cisnęło się ich tutaj zbyt wiele. Miejsce nasunęło mu wspomnienia Paryża, zwłaszcza Longchamp podczas Wielkiego Tygodnia.

– Panowie, proszę o chwilę wyrozumiałości! – zawołał. – Tylko chwilę, jeśli szczęście mi sprzyja.

Niespiesznie podszedł do barierki, gdzie stała panna Noirot. Na swój zwykły leniwy sposób omiótł wzrokiem tłumek wokół niej.

Mężczyźni się odsunęli.

– Panna Noirot – powiedział. – Co za miła niespodzianka.

– Milordzie – odparła z uprzejmym skinieniem głowy, od którego zatrzepotały żaboty i koronki. – Doprawdy?

– Miła, choć zapewne nie niespodzianka, powiedziano mi bowiem, że tutaj panią znajdę – przyznał.

– Czekam na lady Clarę i lady Gladys – wyjaśniła. – Uznałam, że najlepiej będzie stanąć w punkcie, gdzie zbiegają się wszystkie parkowe aleje.

– Obyś pan sczezł, Lisburne! – krzyknął ktoś za jego plecami.

– Gdyby się na tej ziemi czas mógł zatrzymywać – rzekł – spędziłbym tu całe dni, konwersując z panią. I sto lat by się pewno musiało przetoczyć na niewinnej przyjemności kontemplacji wspaniałego umysłu i wielkiego sprytu w tak pięknym przybraniu. Ale słyszę, jak pędzi za mną nieustannie[3] ten tłum prostaków na drodze. Pilno im zdobyć teren, a ja najwyraźniej stanowię zawadę. Czy dołączy pani do mnie… to znaczy w powozie. – Nachylił się bliżej i dodał, zniżając głos: – Inne połączenie nadejdzie, żywię nadzieję, później… w miejscu, które wybiorę.

Nie zarumieniła się, ściśle rzecz biorąc. Odnotował jedynie sugestię – w zasadzie obietnicę, tak był blady – pąsu oblewającego jej policzki. Zastanawiał się, czego by było trzeba, żeby autentycznie spłonęła rumieńcem.

– W powozie – powtórzyła. – Przejażdżka?

– Właśnie to nieporadnie, jak to ja, usiłowałem zaproponować.

Przemknęła niebieskim spojrzeniem do jego bydlątek, wspaniale dobranej pary. Przypomniał sobie, jak zareagowała na konie u Astleya, nutę tęsknoty, jaką wykrył wówczas w jej głosie.

– Czy to dobre konie? – zapytała.

– Zabraniam im samowolnie wybierać kierunek i tempo jazdy. A także stawać dęba, kiedy poczują bat, i gryźć siebie nawzajem lub kogoś, kto spojrzy na nie w sposób, który nie przypadnie im do gustu. Nic pani nie grozi.

– Nie o to mi chodziło. Wydają mi się niespotykanie piękne. Zastanawiałam się jedynie, czy właściwie je oceniłam.

– Jak zawsze, madame, ma pani znakomity gust. Nadal jednak nie odpowiedziała mi pani, czy pozwoli zabrać się na rundkę po parku? Dam pani potrzymać lejce.

Jej oczy się rozszerzyły, nim zdążyła nad sobą zapanować.

– Kusi mnie pan tylko – stwierdziła. – Może i nic nie wiem o koniach, wiem jednak, co myślą mężczyźni o kobietach powożących ich powozami. Zresztą kwestia jest czysto hipotetyczna, ponieważ ja stoję po tej stronie

barierki, pan zaś po przeciwnej, a nie zamierzam… uf!… nie! Niech się pan…

* * *

Lord Lisburne poderwał ją z ziemi i przeniósł nad barierką.

Leonie zupełnie się tego nie spodziewała.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała nie do końca opanowanym głosem.

– Teraz znajdujemy się po tej samej stronie – stwierdził, opuszczając ją na ziemię. – Co więcej, dostarczyliśmy modnej ekipie innego niż moja kuzynka Gladys tematu do rozmów.

Teraz, niech go diabli!, Leonie kręciło się w głowie wskutek tego fizycznego kontaktu. Profesjonalnie odszyty, niemalże zbyt fircykowaty ubiór opinał ciało złożone z samych twardych mięśni, który to fakt rozpalił jej wyobraźnię.

Niestety, mięśnie nie rozciągały się na jego mózg, jak to zazwyczaj bywało w przypadku potężnych, silnych mężczyzn. Był stanowczo zbyt wnikliwy.

Nie miała czasu na takie rzeczy. Musiała ocalić przyszłość młodej kobiety, nie wspominając o własnym butiku. Nie mogła pozwolić sobie na to, by w jej umyśle rozparł się Mężczyzna. Wielki, silny, męski, męsko pachnący – krochmalem, mydłem do golenia i skórą, z czym mieszała się kusząca woń koni.

Podczas gdy usiłowała przywołać zmysły do porządku, zawładnął jej przedramieniem tam, gdzie kończył się rękaw sukni, i poprowadził ją do powozu. Czyli, jak wszyscy arystokraci, zrobił to, na co miał ochotę, mierzenie się z konsekwencjami pozostawiając innym.

Anglia należała do nich, tak więc, naturalnie, Leonie należała do niego.

Nie umknął jej też sposób, w jaki przesłał wiadomość stojącym obok niej mężczyznom.

Och, no dobrze, poczuła wtedy dreszcz, głupia, ponieważ ten wspaniały mężczyzna wysyłał innym dżentelmenom sygnały, że Leonie należy do niego, a była przecież tylko człowiekiem, nie zaś tworem z drewna, kamienia czy stali, co okazałoby się nieskończenie bardziej praktyczne.

A na dodatek tuż obok stały te piękne stworzenia. Obiecał, że da jej potrzymać lejce, gdyż najwyraźniej czymś się zdradziła i wiedział, jak ogromnie jej na tym zależy.

Wspięła się do powozu, zastanawiając się, czy wśród jego przodków nie znalazł się przypadkiem jakiś Noirot albo DeLucey.

Usiadł na swoim miejscu, przejmując wodze, a jego stajenny skoczył na tył pojazdu. Rozległy się oklaski.

Lord Lisburne uśmiechnął się do niej nieznacznie i wprawił powóz w ruch. A wszystko to, od momentu, kiedy zatrzymał dwukółkę i podszedł do barierki, robił z naturalną gracją. Tak gładki, elegancki i czarujący, że nazbyt łatwo zapominało się, jaki jest niebezpieczny.

Minionego wieczoru jadła kolację w Clevedon House, a książę opowiedział historię o lordzie Lisburnie – wtedy lordzie Simonie Blairze – z czasów Eton. Grupa chłopców nękała lorda Swantona. Młody Blair zaatakował ich wszystkich. Z potyczki wyszedł z paroma rozcięciami i siniakami.

– Tamci leżeli na ziemi, połamani i zakrwawieni – powiedział książę. – Lisburne przypominał berserka, jeśli jesteś w stanie wyobrazić sobie takiego, który działa chłodno, cicho i metodycznie.

Wyobraziła go sobie z łatwością. Wilki i tygrysy także są piękne i pełne gracji. Od początku wiedziała, że nie jest nieszkodliwy. Rzymscy bogowie tacy nie bywają.

Podnosił ją, teraz już trzy razy, z taką swobodą, jakby była kociątkiem. Jego kociątkiem. Zabawką, napomniała się. Traktował to jak grę. I był w niej piekielnie dobry, aż za bardzo.

– Wyśmienite – oznajmił, kiedy powóz już się toczył. – Wywołaliśmy zamieszanie.

– Po to pan przybył? – spytała. – Żeby wywołać zamieszanie?

– Oczywiście, że nie. Przybyłem, ponieważ dziewczęta w butiku powiedziały, że tu panią znajdę, i zapragnąłem się dowiedzieć, co pani zamierza.

– Chciałam napawać się widokiem mojej najnowszej klientki w twarzowej sukni spacerowej – wyjaśniła Leonie. – Przyszłam za późno, żeby zobaczyć, jak wjeżdża do parku, podsłuchałam jednak pochlebne wypowiedzi mężczyzn na ten temat.

– Aż tak mnie to nie dziwi. Jej ojciec nie zniósłby niechlujności w powożeniu.

– Lady Gladys jest taka bystra. Wystarczyła drobna sugestia z mojej strony i opracowała całkiem nową strategię.

Kątem oka pochwyciła ostre spojrzenie, jakie jej posłał.

– Słyszałam, że lord Boulsworth jest genialnym strategiem – ciągnęła. – Mówiła, że traktował ją jak swój pułk. To tłumaczy pewne drażniące cechy. Jest młodą kobietą, która przeszła mniej lub bardziej wojskowe przeszkolenie. Teraz odkrywa elementy działające na jej korzyść. Myśli jak oficer.

– Jakie elementy? Recytowanie obscenicznych wierszy u Almacka?

– Daleko im do obsceniczności – stwierdziła. – Zdaje się, że reaguje pan histerycznie.

– Prawie zemdlałem, kiedy przeczytałem o tym w „Zwierciadle”.

– Proszę, niechże pan spojrzy na kwestię racjonalnie. Gdyby lady Gladys zachowała się choć trochę niestosownie, wyproszono by ją. Jej ojciec może być wielkim bohaterem, niechby i, jak słyszałam, przerażającym, ale patronki Almacka nie boją się nikogo. Swego czasu nie wpuściły księcia Wellingtona, ponieważ się spóźnił.

– Panno Noirot, czy pani wie, o czym jest *Lizystrata*?

– Oczywiście – odparła Leonie. Nie znała się na koniach, lecz odebrała równie dobrą, a niekiedy wręcz lepszą edukację niż wiele dam. Wiedziała co nieco o wojnach peloponeskich i całkiem sporo o sztuce Arystofanesa. – Najwyraźniej jednak zmyślnie wykorzystała źródło, ponieważ rozbawiła wiele starszych dam, zwłaszcza mężatek. Jak panu wiadomo, w wytwornym towarzystwie nikomu nie przyjdzie nic dobrego z pozyskania mężczyzn, jeśli nie ma po swojej stronie paru kobiet.

– Tym razem chyba się jej upiekło – przyznał. – Ale to ryzykowna strategia.

– Konwencjonalne metody w jej przypadku się nie sprawdzają, ponieważ nie przypomina innych młodych dam. Nie nauczono jej być panienką, ustępować mężczyznom i zachowywać swoich opinii dla siebie. Cieszyła się wolnością niedostępną dla innych dziewcząt. Ponieważ nikt nie nauczył jej chodzić z gracją, porusza się jak mężczyzna. Przez to wszystko wydaje się niekobieca. Z drugiej strony, powozi także jak mężczyzna. W twarzowej

sukni spacerowej, z piękną kuzynką u boku, bez wątpienia stanowi ekscytujący widok.

– Ekscytujący jak nacierająca kawaleria?

– Nadjeżdża. Przekonajmy się.

* * *

Kilku jadących wierzchem dżentelmenów eskortowało pojazd, a pan Bates, jeden z adoratorów lady Clary, z ożywieniem rozmawiał z lady Gladys. Wyglądała na rozbawioną. Dzięki temu i wspaniałej zielonej sukni spacerowej, którą zaprojektowała dla niej Marcelline, niepiękna przecież twarz damy jaśniała urokliwie.

Leonie z kamiennym spokojem obserwowała profil lorda Lisburne’a.

On także niewiele ujawniał. Przez jego twarz przemknął delikatny wyraz zaskoczenia, lecz po chwili znów stała się gładka jak u marmurowego posągu.

Kiedy lady Gladys się zbliżyła, pozdrowił ją gestem, który został odwzajemniony.

Gdy ich minęła, lord Lisburne jako jedyny nie odwrócił głowy, by spojrzeć w ślad za nią. Koncentrował się na niewielkiej luce w paradzie powozów. Zdaniem Leonie przerwa była naprawdę bardzo mała, a jednak chwilę później w nią wjechali. I zaraz większość gapiów znalazła się za nimi, wyciągając szyje, by choć przelotnie zobaczyć lady Gladys Fairfax.

– Przegra pan nasz zakład – oznajmiła Leonie.

Roześmiał się.

– Pochopnie wyciąga pani wnioski. Tak, widziałem świtę dżentelmenów. Tak, widziałem, jak Bates rozmawia z Gladys. Ale wszyscy mężczyźni wiedzą, że Clara darzy swoją zgryźliwą kuzynkę uczuciem, i w ten sposób starają się jej przypodobać. Jakkolwiek marny to trud. Clara trzyma ich przy sobie na pokaz albo, co bardziej prawdopodobne, dla bezpieczeństwa. W liczbie siła. Nikt nie cieszy się szczególnymi względami. Nikogo nie zachęca. Kręcą się przy niej, żyjąc nadzieją, nieszczęśni głupcy.

Leonie nawet nie uniosła brwi.

Wewnątrz jednak małe Leonie spoglądały po sobie, pytając: „Co takiego? Skąd wiedział?”.

Poza Leonie i jej siostrami nikt, nawet osoby najbliższe lady Clarze, nie miał pojęcia o prowadzonej przez nią grze. Szaleństwa młodości, którym oddawali się mężczyźni, dla młodych dam były zakazane, ale lady Clara chciała możliwie długo zaznawać jak największej wolności. Jak powiedział członek parlamentu, kobiety nie mają praw. W tym jednym momencie życia lady Clara dysponowała jakąkolwiek realną władzą nad mężczyznami i planowała jak najlepiej ją wykorzystać.

Mimo że spędził z kuzynkami niewiele czasu, lord Lisburne jakimś sposobem to zrozumiał.

Do jego drzewa genealogicznego ani chybi zakradł się kiedyś DeLucey.

– Moim zdaniem, skoro pan Bates tak przyjaźnie z nią konwersował, lady Gladys poczyniła błyskawiczne postępy – zawyrokowała Leonie. – Nie uśmiechał się z przymusem.

– Mniejsza o nich – powiedział lord Lisburne. – Droga przed nami robi się pusta, pora więc na pani lekcję powożenia.

Jechali odcinkiem alei parkowej biegnącym równolegle do Park Lane. Markiz zatrzymał powóz pod kępą drzew w pobliżu sztucznego jeziora. Vines zeskoczył i przytrzymał konie, a lord Lisburne wysiadł z pojazdu, po czym okrążył go, podchodząc od drugiej strony. Machnięciem dał znak zaskoczonej Leonie, żeby się przesunęła. Ekscytacja ścierała się w niej z niepokojem, kiedy przenosiła się na jego miejsce.

Nadal było rozgrzane od ciepła jego ciała.

Lady Gladys uleciała z myśli Leonie.

Lisburne usadowił się na siedzeniu pasażera, a następnie przekazał jej bat i lejce. Zadanie okazało się skomplikowane. Lejce trzymało się oburącz, przy czym musiały oplatać palce w konkretny sposób, a do tego w jednej ręce dzierżyło się także bat. I jeszcze należało zachować nad tym wszystkim pełną kontrolę. W rezultacie w myślach Leonie zabrakło miejsca na cokolwiek poza Lisburne’em i kwestią, co robić z rękami.

– Siedzenie przystosowano dla mnie, więc dla pani jest odrobinę za wysokie – powiedział. – Ale nie jedziemy daleko. Poza tym dobrze jest nauczyć się powozić każdym pojazdem.

– To równie użyteczne jak nauka sterowania jachtem – stwierdziła. – Nie zanosi się na to, że będę miała własny powóz albo dołączę do klubu jeździeckiego.

– Nigdy nie wiadomo – zaoponował. – A nuż będzie pani kiedyś jechała z dżentelmenem, który zemdleje wskutek upału lub pijaństwa albo przytłoczony ogromem szczęścia wywołanego pani bliskością.

– Ma pan bujną wyobraźnię – skomentowała.

– Kiedy chodzi o panią, tak – przyznał. – Często wyobrażam sobie, jak towarzyszącym pani typom przytrafiają się choroby bądź wypadki. W tej chwili na przykład widzę oczyma duszy, jak pewien znany mi osobnik spada z siedzenia obok pani i uderza głową o krawężnik. Takie myśli rozjaśniają niekończące się godziny oczekiwania na moje dwa tygodnie z panią.

Jej wyobraźnia również gwałtownie się rozbudziła, a pod wpływem tworzonych przez nią obrazów wzdłuż kręgosłupa Leonie przebiegły rozkoszne dreszcze.

– Wydawało mi się, że miał mnie pan uczyć powożenia – powiedziała.

– Musi się pani nauczyć jednocześnie powozić i flirtować.

Przeszedł do podstawowych zasad ruszania i zatrzymywania się, delikatnego nacisku, jaki należało wywierać, wagi tego, by utrzymywać głowy koni prosto, właściwego użycia bata i dziesięciu tysięcy innych szczegółów.

Na szczęście Leonie miała głowę do drobiazgów. Poza tym widziała, jak powożą inne damy. Skoro one potrafiły, jej także się uda. Co jej się aktualnie nie udawało, to wymazać wspomnienie tamtego pocałunku. W dodatku było coraz gorzej, ponieważ teraz borykała się również z wdzięcznością.

– Nie, łokcie trochę bliżej bioder, madame. Nadgarstki lekko ugięte. Tak, właśnie tak. No dobrze, wystarczy teorii. Vines, myślę, że jesteśmy gotowi.

Stajenny odstąpił od koni i wrócił na swoje miejsce z tyłu pojazdu. W tejże chwili Leonie uzmysłowiła sobie, że cała władza nad tymi potężnymi, na oko nie tak znów potulnymi stworzeniami spoczywa w trzymanych przez nią paskach skóry.

Serce zabiło jej trzy razy szybciej.

– Proszę przywołać je do porządku – poinstruował ją lord Lisburne. – Ściągnąć. Chce pani, żeby stały całkowicie spokojnie, zanim ruszą. Dobrze. Ruszą, kiedy powie pani: „Wio”. Proszę wydać komendę w taki sam sposób, w jaki poleciła pani dziewczynie w salonie sprzedaży wyprostować

bonet na manekinie. Ze spokojem, wyraźnie, stanowczo. Krótko mówiąc, pewnie, ponieważ wie pani, co zamierza.

Z łomocącym sercem Leonie raz jeszcze skontrolowała swoją postawę i dłonie, a następnie powiedziała: „Wio”.

I konie ruszyły. Wolno i spokojnie, jakby nie zorientowały się, że lejce trzyma kompletna nowicjuszka.

Przeszył ją dreszcz, jej pierś pracowała. Cały wysiłek wkładała w to, żeby się nie rozpłakać. Marzyła o tym przez całe życie: żeby być blisko koni, powozić lub jechać wierzchem. Ale było zbyt wiele innych rzeczy do nauczenia się lub zrobienia. Ją i jej siostry uczono bycia damami, ponieważ w ich żyłach płynęła arystokratyczna krew. W przeciwieństwie do dam musiały jednak także opanować jakiś fach. A zanim ciotka Emma wzięła sprawy w swoje ręce, zdarzały się etapy w życiu z mamą i papą, które wymagały kombinowania, przetrwania na ulicach, jak się zdawało, setek miast, w Anglii i za granicą.

Przygryzła wargę i zmusiła się do koncentracji, na zewnątrz spokojna, trzymając ręce tak, jak jej pokazał, nie pochylając się do przodu, nie ciągnąc. Była mgliście świadoma mijających ich jeźdźców i pojazdów, ale równie dobrze mogliby się znajdować na Madagaskarze. Umysł całkowicie zaprzątały jej własne ręce i konie, i droga przed nimi, i cichy głos lorda Lisburne’a, kiedy korygował jej ruchy.

– Zastanawiam się, jak powstrzymuje się pan przed wyrwaniem mi lejców – odezwała się.

– Nie mogę ich pani wyrwać, ponieważ ktoś taki jak ja powinien być absolutnie pewien swoich poczynań – wyjaśnił. – Także ze względu na zwierzęta wskazany jest spokój. To bardzo dobre konie, ale nawet najlepiej wytrenowane stworzenia mogą źle zareagować na niespodziankę. A nie chcemy, żeby potężne, silne zwierzę z nieprzesadnie wielkim mózgiem wbiło sobie do głowy, że musi uciekać.

– Postaram się więc nie popełnić głupstwa.

– Tego nie powiedziałem – zaoponował. – Proszę pomyśleć, jeśli popełni pani jakieś głupstwo, będę zmuszony heroicznie panią uratować. Do tej pory nie miałem sposobności wykazać się dla pani heroizmem, panno Noirot.

– Ocalił mnie pan w Instytucie Brytyjskim. Choć zapewne tak często ratuje pan damy w opałach, że wyleciało to panu z głowy.

– Karygodnie nie docenia pani moich zdolności umysłowych. Każda chwila tamtego spotkania odcisnęła mi się w pamięci. Nie wspominając o tym, że ma pani nędzne wyobrażenie o heroizmie.

– Niesportowo jest mnie uwodzić, kiedy ze wszech miar staram się nas nie pozabijać.

– Ja panią uwodzę? – zdumiał się. – Nie zdawałem sobie sprawy, że dotarłem już do tego etapu. Ależ ze mnie bystrzak. A teraz proszę uważać. Zbliżamy się do Cumberland Gate.

Instruował ją, jak wprowadzić konie w zakręt, tak by podążyli dalej na zachód aleją biegnącą wzdłuż północnego skraju parku, kiedy nagle urwał, spojrzał w górę i powiedział: „Psiakrew”.

Wtedy właśnie światem zawładnął mrok.

* * *

Lisburne’a do tego stopnia pochłonęło zadanie przeprowadzenia jej gładko między tłoczącymi się przy Cumberland Gate pojazdami, jeźdźcami i pieszymi, że tylko mgliście rejestrował błyskawicznie zmieniającą się aurę. Później zobaczył, że ze ścieżek biegną ku nim ludzie. Spojrzał w górę i zaklął. W jednej chwili niebo z ołowianoszarego stało się czarne, po czym się otworzyło.

Choć większa część wytwornego towarzystwa zdążyła już odjechać, park bynajmniej nie świecił pustkami, zwłaszcza dzisiaj, kiedy tak wiele osób zjawiło się, by obejrzeć show Gladys. Maruderzy w powozach i wierzchem w pośpiechu szukali schronienia pod drzewami albo gnali w kierunku bram i swoich domów. Nie bacząc na konie i pojazdy, piesi biegli ścieżkami i przecinali aleję.

Tymczasem z nieba spadały oślepiające kurtyny deszczu. Tłukły w jego cylinder i spływały z ronda, przystąpiły także do rozpłaszczania bonetu Leonie – ponieważ Lisburne’owi tak się spieszyło, gdy opuszczał Maison Noirot, że nie pozwolił Vinesowi postawić budy.

Leonie zatrzymała powóz, nie czekając na instrukcje, a Lisburne właśnie sięgał po lejce, kiedy ze ścieżki prosto ku koniom wyskoczyła drobna postać – i upadła.

Konie się spłoszyły.

– O nie! – krzyknęła Leonie. – Dziecko!

Rzuciła mu lejce i zeskoczyła z dwukółki, nie zważając na roztańczone zwierzęta.

Zapanował nad przestraszonymi końmi, co nastręczyło nieoczekiwanych trudności, gdyż Leonie rzuciła się ku nim, żeby złapać malucha. Poderwała z ziemi bezwładne ciałko i zaniosła na skraj alei, pod osłonę drzewa.

Powierzywszy powóz opiece Vinesa, Lisburne podążył za nią. Deszcz lał się strumieniami, zmieniając świat w rozmazaną plamę. Leonie była całkowicie przemoczona, bonet zwisał jej smętnie z tyłu głowy.

– To było głupie – powiedział.

– Co pana zdaniem powinnam była zrobić, przejechać dziecko?

– Wcale nie mówię… psiakrew! Oddycha, wezmę je.

– Tak, nie żeby pan…

– Dalej, proszę mi je dać. – Wyciągnął ręce.

– To dziewczynka.

Przyjrzawszy się bliżej, przekonał się, że dziecko istotnie jest płci żeńskiej, a przy tym dobrze ubrane, nie jak włóczący się po parkach ulicznicy, opróżniający spacerowiczom kieszenie. No i dobrze odżywione.

– Rzeczywiście – powiedział. – Proszę mi ją dać. Jest dla pani za ciężka.

Widocznie bolały ją już ramiona, gdyż bez protestów przekazała brzemię. Ledwie przejął od niej dziecko, otworzyło szeroko oczy, a także buzię. Z tej drugiej dobyło się przeszywające zawodzenie.

– Nieeee! Puść! Puść! Jestem mokra! Jestem mokra!

Zaczęła okładać go pięściami, kopać i wykręcać się, nie przestając krzyczeć. Była zbyt mała, żeby wyrządzić mu krzywdę, ale stawało się to piekielnie irytujące. Ogromnie go kusiło, by spełnić żądanie i puścić smarkulę. Prosto w najbliższą kałużę.

– Przestań się wydzierać – powiedział. – Nikt nie robi ci krzywdy.

– Jestem mokra!

– Pada. Skoro nie chciałaś zmoknąć, nie trzeba było biegać w deszczu.

Mała wybuchła przeraźliwym płaczem.

– Lepiej niech mi ją pan odda! – zawołała Leonie, przekrzykując hałas.

– Waży pewnie ze dwadzieścia pięć kilo – odparł. Potem zwrócił się do dziewczynki: – Uspokój się. Nie masz powodu urządzać tu pokazu. Nikt cię nie krzywdzi. Zwrócimy cię właścicielowi, kiedy tylko się da. Jestem Lisburne. Jak masz na imię?

Mała jednak wciąż płakała, kopała i tłukła piąstkami.

– To męczące – stwierdził, po czym zawołał: – Vines! Przestań błaznować z budą i znajdź parasol!

Vines wygrzebał parasol, przyniósł im go i biegiem wrócił do powozu.

– Panno Noirot, jeśli będzie pani uprzejma potrzymać nad nami parasol, podejmiemy próbę dostarczenia tego szatańskiego skrzeku jego opiekunom – powiedział Lisburne.

Nadal padało, lecz nie tak mocno jak wcześniej. Zresztą i tak byli już przemoczeni. Choćby rozpętał się huragan, Lisburne wszedłby prosto w wichurę, byleby pozbyć się tego przeklętego dziecka.

– Wybiegła ze ścieżki – ciągnął. Przy Cumberland Gate zbiegały się dwie alejki. Wskazał głową jedną z nich. – Z tej?

– Tak – odparła Leonie. – Gdyby wybiegła zza moich pleców, zobaczyłabym ją dopiero na drodze.

Zwracała uwagę na otoczenie, a nadto miała dość rozsądku, by szybko zatrzymać powóz. Wpadła w panikę z powodu dziecka, ale nie postradała zmysłów do końca.

Z drugiej strony, wpadła w panikę z powodu dziecka i omal nie zginęła, ratując bestyjkę. Nie wspominając o tym, że bestyjka ubłociła piękną suknię madame.

– Patrz, co zrobiłaś – powiedział do zawodzącej dziewczynki, która nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. – Zniszczyłaś piękną suknię panny Noirot.

– Nieee! Puść! Jestem mokra!

– Jestem krawcową! – odparła madame, przekrzykując wrzaski. – Uszyję kolejną.

– Ale nie będzie taka sama – zauważył. – Będzie zgodna z najświeższą modą. A mnie podoba się ta.

– Chyba nie oczekiwał pan, że założę tę samą suknię po raz drugi?

– Nienawidzę cię! Chcę do domu! Jestem mokra! Puść!

Jeszcze więcej zawodzenia, kopania i okładania piąstkami.

Może przypadkiem by ją upuścił?

– Och, lady Saro!

Przejęty głos, jak się okazało, należał do przemoczonej piastunki, która spieszyła ku nim z gigantycznym parasolem.

– Och, wielkie nieba, odchodzę od zmysłów, niegrzeczne dziecko.

– Wnoszę, że to pani zguba? – zapytał.

– Nie! Nie! Nie! – wrzasnęła lady Sara. – Nienawidzę cię! Podła, podła wiedźma!

– Bardzo pana przepraszam – powiedziała niania. – Zabiorę ją.

– Nie! – Kiedy próbował ją przekazać, lady Sara kurczowo chwyciła go za halsztuk. – Nie! Nie pójdę!

– Jeszcze chwilę temu niespecjalnie mnie lubiłaś. A teraz nie możesz się ze mną rozstać? Ach, kobiety.

– Bardzo pana przepraszam. – Niania usiłowała przejąć podopieczną, ale ta wierzgnęła nogą, trafiając ją w brodę.

Trzeba było połączonych sił ich trojga, żeby oderwać od niego dziecko – nie bez trudu. W trakcie tych przepychanek lady Sara kopnięciem wytrąciła Leonie parasol z dłoni, jemu zaś zmiotła z głowy cylinder, który wylądował w kałuży. Kiedy wreszcie się od niej uwolnili, na pamiątkę zostały mu podarty halsztuk, poszarpane wyłogi i wielkie porcje błota na surducie. Zerknął na swój cylinder i odkopnął go na bok.

Piastunka nie próbowała nieść podopiecznej, tylko postawiła ją na ziemi. Mała dama momentalnie usiadła na ścieżce, kopiąc i wrzeszcząc. Kiedy niania usiłowała ją podnieść, dziewczynka wykręcała się, wierzgała nogami i tłukła pięściami, cały czas zawodząc.

Lisburne już zamierzał interweniować – aczkolwiek nie miał pomysłu, jak zapanować nad tym dzieckiem, chyba że pozbawiając je przytomności – kiedy odezwała się madame.

– Wystarczy, młoda damo – powiedziała po francusku. – Jesteś za duża, żeby zachowywać się jak dzidziuś. Co więcej, damy nie krzyczą przeraźliwie i nie okładają pięściami starszych od siebie. Wstaniesz, t e r a z, weźmiesz nianię za rękę i pójdziesz z nią. Minęła już pora twojego podwieczorku. Chociaż nie zasłużyłaś na podwieczorek. Na miejscu twojej niani posłałabym cię natychmiast do łóżka, ty niegrzeczna dziewczynko!

W którymś momencie tej przemowy dziewczynka się uciszyła.

– Wstawaj – powiedziała Leonie, uzupełniając polecenie gestem. – W tej chwili.

Mała gapiła się na nią. Leonie odwzajemniała spojrzenie z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Lady Sara wstała, podeszła do piastunki i wzięła ją za rękę.

Odeszły.

* * *

Lisburne nie miał pojęcia, że jest wściekły, dopóki nie eksplodował. A eksplodował, kiedy tylko niania i diabelski pomiot znalazły się poza zasięgiem jego głosu.

Spojrzał na Leonie, równie mokrą i brudną jak on.

– Co pani sobie, u licha, myślała?! – zaatakował. – Konie mogły panią stratować!

Odwróciła się ku niemu gwałtownie z błyskiem w niebieskich oczach.

– Podobnie jak ją. Gdyby to panu umknęło, upadła… i przez moment była bez zmysłów.

– Zmysły to ona postradała permanentnie.

– Przeraziła się i odstawiła scenę. Dzieci nie zawsze zachowują się logicznie. Przeważnie zachowują się nielogicznie. Jak co poniektórzy mężczyźni.

– Skoro mowa o nielogicznym zachowaniu – odparował. – Zatrzymała już pani konie. Nigdzie się nie wybierały. Trzeba było je po prostu trzymać.

– Mówił pan, że nie lubią niespodzianek!

– I stąd ten świetny pomysł, żeby rzucić im się pod nogi?

– Ona już przed nie wybiegła! To pan mi powiedział, że konie mają małe móżdżki. Przeraziłam się, że uznają ją za niebezpieczeństwo. I tak się stało! Spłoszyły się, sam pan widział!

– Odrobinę się zdenerwowały, to wszystko.

– Nie stałyby spokojnie, nawet dla pana!

– Ponieważ pani wyskoczyła, szalona kobieto!

– A co pan by zrobił, panie Wszystkowiedzący?

– Dlaczego nie zostawiła pani tego mnie? Mogła pani zginąć! A gdyby koń kopnął panią w głowę? Choć niewykluczone, że dobrze by się stało. Przynajmniej na moment przestałaby pani kalkulować.

– Przed chwilą oskarżał mnie pan, że nie używam rozumu.

– Bo go pani nie używała.

– Niech się pan zdecyduje, czego pan chce! – krzyknęła ze złością.

I odeszła gniewnie.

Dogonił ją dwoma susami i zagrodził jej drogę. Usiłowała go wyminąć. Złapał ją za nadgarstek i zatrzymał.

– Proszę natychmiast zabrać ręce – powiedziała. – Nie ma pan do mnie żadnych praw. Nie jestem pańską własnością ani pańską służącą. Nie ma pan absolutnie żadnej wła…

Przyciągnął ją do siebie, otoczył ramionami i pocałował.

Rozdział 7

Posłuszeństwo stanowi tak pożądaną cechę kobiecego charakteru, że wiele osób doszło do przekonania, iż jest ono tą jedną cnotą niezbędną u kobiety… Gdyby mężczyzna, jako przewodnik i zwierzchnik kobiety, sam był istotą doskonałą, takie podejście bezspornie uznać należałoby za słuszne; jednakże od istoty odpowiedzialnej przed swym Stwórcą i obdarzonej przez Niego rozumem – absolutne i bezgraniczne posłuszeństwo istocie takiej samej jak ona, podatnej na wiele błędów, nie może, co logiczne, być wymagane.
Księga Młodej Damy (1829)

Może nie zachował się mądrze. Może, co gorsza, chodziło o stereotypową męską reakcję z rodzaju tych, których Lisburne nie znosił. Był zbyt inteligentny – a przy okazji także pomysłowy – aby posuwać się do tego typu teatralnych gestów. Niemniej w tamtej chwili jedynie to przyszło mu do głowy.

A później, kiedy ich wargi się spotkały, nie potrafił myśleć o niczym innym.

Smakowała deszczem.

Smakowała również jak nikt inny na świecie. Wczoraj zakosztował ledwie sugestii, tyle jednak wystarczyło, by nie spał przez pół nocy. Teraz zaś zdawało się, że noc zapadła nad wszechświatem, a on na pół śni, na pół trwa w stanie dzikiego rozbudzenia.

Smakowała słodko jak niewinność i słodko jak grzech. Przemokła, jej eleganckie ozdoby i falbany oklapły. Mimo to w jego ramionach zdawała się lekka i zwiewna, i tak pełna życia, kiedy przez moment z nim walczyła, a potem całkowicie zarzuciła opór i na oślep wyszła mu na spotkanie, dociskając usta do jego ust, rozchylając je na pierwsze ponaglenie. Kiedy zaś pogłębił pocałunek, podążyła za jego przewodnictwem. Przelotne wahanie, po czym splotła język z jego językiem w erotycznym tańcu, a jej smak nabrał mocy i żaru.

Podobnie jak w przypadku zaskakująco szlachetnej brandy, którą sączył tamtego dnia, gdy po raz pierwszy wkroczył do jej kryjówki, smakowała słodko i paląco. Zachwycała go wtedy: tak delikatna i kobieca, na pozór krucha, jakkolwiek pozostawał świadom, podniecająco świadom, trzymanego w ryzach ognia i niebezpieczeństwa.

Teraz także powinien mieć świadomość niebezpieczeństwa. Powinien zdawać sobie sprawę, że wpada w miejsce, z którego łatwo się nie wydostanie. Ale nie myślał, jeśli nie liczyć marzycielskich wizji. Sprawnie funkcjonowały tylko jego zmysły, opowiadając mu o cieple i kształcie jej ciała, o tym, jak wpasowuje się w jego dłonie, jak jej usta dostrajają się do jego ust.

Zdawał sobie sprawę z trzepoczących wokół wilgotnych koronek i muślinu, jak również łaskoczących go w brodę mokrych tasiemek bonetu. I z tego, że dłonią przytrzymuje jej kark, a bonet zsuwa mu się na rękę. Rejestrował jedwabistość jej włosów, aksamitną skórę karku i jej zapach: lawendy i esencji Leonie. Mógłby go wdychać w nieskończoność. Z chęcią by w nim zatonął.

Przesunął jedną dłoń w dół, na wysokość jej talii, drugą zaś jeszcze niżej, na jej biodro, i przyciągnął ją do siebie.

Przytomny na ów senny sposób, miał świadomość, jaka jest krucha i niewinna. Daleki głos zawodził coś o przekraczaniu granic, ale Lisburne nie odnajdywał w nim logicznego sensu. Jakiż był użytek z logiki, kiedy spijał pocałunki jak brandy, gorące i słodkie? Na cóż zdadzą się ostrzeżenia, skoro już się odurzył? Poza tym chwyciła go mocno za barki i lgnęła do niego, wywołując kłopoty tam w dole.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej i wsunął nogę między jej nogi, napierając na warstwy halek.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, cofnęła głowę i spojrzała na niego szeroko otwartymi, oszołomionymi niebieskimi oczami.

– Nie – powiedziała.

Odepchnęła go, mocno.

Wzięty z zaskoczenia, zatoczył się. A może zatoczył się, ponieważ kręciło mu się w głowie.

Ale to przecież absurd. Zwykłe pocałunki nie przyprawiały go o zawroty głowy, odkąd jako chłopiec skradł taki pierwszej dziewczynie, która zagościła w jego marzeniach.

Ogarnęła go wówczas ekscytacja tak wielka, że wezwał na pomoc każdą drobinę męskiej dumy, żeby nie zemdleć.

Ale teraz?

Cóż.

Podniecające, tak. Niemniej to był… żar. Żądza. Sfrustrowana żądza.

Niebieskie oczy błysnęły ku niemu.

– Jakież to typowe! – powiedziała na bezdechu. – Nie potrafi pan wygrać sporu logiczną argumentacją, więc ucieka się pan do uwodzenia.

– Nie mam zwyczaju uciekać – odparł, z jakiegoś powodu także bez tchu. Zapewne wskutek szarpaniny z tym dzikim dzieckiem i konieczności wykazania się nader wielką powściągliwością, żeby nie cisnąć smarkuli w najbliższą kępę krzaków. – I proszę nie udawać, że pani w tym nie uczestniczyła.

– Walczyłam z panem jego własną bronią – odparowała. – Wydaje się panu, że zjadł wszystkie rozumy.

– To była walka?

– Tak.

Odwiązała wstążki bonetu – nie bez trudu, ponieważ były mokre – nasadziła oklapły czepek z powrotem na głowę i z werwą zawiązała tasiemki.

– Może jestem niedoświadczona, ale bardzo szybko się uczę, a jeśli już czegoś się uczę, zamierzam opanować to n a d z w y c z a j dobrze. Wydaje się panu, że odciągnie mnie od mojej misji za pomocą męskich sztuczek, ale ja mam w zanadrzu sztuczki, o jakich się panu nie śniło. I jak pan śmie robić coś takiego – dodała, z furią spoglądając na udo, które na krótką, rozkoszną chwilę docisnął tak blisko jej kobiecości, jak tylko pozwoliło mu na to osiemdziesiąt pięć warstw halek, suknia i co tam jeszcze. – Umyślił pan sobie posiąść mnie pod drzewem w Hyde Parku? Na publicznej ścieżce?

– Zasadniczo nie myślałem – wyjaśnił. – Jak mogła pani oczekiwać po mnie rozsądku po takiej napaści z pani strony?

Przewróciła oczami, odwróciła się i ruszyła ścieżką.

– Nie do wiary, że gra pan zranioną niewinność. Czy to ja się na pana rzuciłam, milordzie?

– Nie i ogromnie to nietaktowne z pani strony, kiedy dołożyłem tak wielkich starań, by uznała mnie pani za atrakcyjnego. Dlaczego inicjatywa

musi być zawsze po mojej stronie? Dlaczego pani nie zdobędzie się na odrobinę wysiłku?

– Jestem zajęta! Nie mam czasu wałęsać się po Londynie i uwodzić niewinnych dżentelmenów. Muszę prowadzić butik i przydawać piękna damom.

– Niech pani tylko poczeka. Dwa tygodnie, madame. Wtedy się przekonamy, czego może pani dokonać, kiedy nie jest z a j ę t a.

* * *

Niech mnie, niech mnie, niech mnie!

Leonie z chęcią tłukłaby czołem o słup najbliższej latarni.

Całkowicie straciła kontrolę. W mniej więcej trzy sekundy. Wystarczyło, że jej dotknął, a momentalnie zapłonęła. Przy czym w pierwszej kolejności spalił się jej mózg.

Cud, że w ogóle udało jej się zatrzymać. Jak przypuszczała, wynikało to wyłącznie z zaskoczenia wywołanego odkryciem muskularnej męskiej kończyny między własnymi nogami.

Następnym razem nie będzie zaskoczona i, jak wszystkie Noirot i DeLucey przed nią, radośnie podąży ku ruinie – co nie wydawałoby się jeszcze takie złe, gdyby nie pewność, że o wiele mniej radości sprawi jej złamane serce.

Zalazł jej za skórę. Przez niego zaczynała pragnąć.

Ona – ta rozsądna z sióstr Noirot, ta, która mocno stąpała po ziemi – jakimś sposobem dopuściła, żeby przemienił ją w rozmarzoną idiotkę.

– Co pani zrobiła z parasolem? – zapytał.

Lady Sara jej go wytrąciła, a potem Leonie całkiem o nim zapomniała, gdzieś pomiędzy kłótnią a rozpaczliwym pragnieniem, by dotykać Lisburne’a.

– Nie wiem – odparła. – Nieważne. Uważa pan, że dzięki niemu wyschniemy?

– Byłem jedynie ciekaw. Cylinder także zgubiłem. To znaczy wiem, gdzie go szukać, ale prędzej dam się powiesić, niż z powrotem go założę.

Podniosła nań wzrok w mgiełce regularnej mżawki. Jego włosy lśniły. Choć kleiły mu się do głowy i karku, podkreślało to jedynie naturalność

loków.

I czemuż by nie? Rzymscy bogowie różnią się od śmiertelników. Nawet na wskroś przemoczeni magicznie promienieją nieznośnym pięknem.

Odwróciła wzrok. Tymczasem zbliżyli się do alei. Zobaczyła, że dwukółka czeka z podniesioną budą. Vines stał przy koniach, stoicko obojętny na deszcz, podobnie jak na kapryśnych panów.

– Dalszą część lekcji powożenia będziemy musieli przełożyć na kiedy indziej – powiedział lord Lisburne. – Jakkolwiek jest na tyle ciepło, że raczej się pani nie przeziębi, z pewnością niewygodnie taszczy się tyle mokrych ubrań. Wyobrażam sobie, że to jak noszenie kosza z praniem.

– Czyli coś, w czym bez wątpienia ma pan wielkie doświadczenie.

– Poza tym jest pani brudna – dodał.

Otaksował ją spojrzeniem, od którego aż dziw, że nie parowała jej skóra.

Rozsierdzona, również poddała go oględzinom. Po raz pierwszy widziała go w stanie odbiegającym od doskonałości. Zarazem jakimś sposobem bynajmniej nie prezentował się niedoskonale. Jego halsztuk zmienił się w upstrzoną plamami błota mokrą szmatę, surdut w szmatę większą, równie mokrą i obwisłą, a spodnie lgnęły do umięśnionych nóg jak jedwabne pończochy, nie pozostawiając żadnych niedomówień na temat jego kształtów – włącznie z górnymi rejonami, które dopiero co weszły w przesadnie bliski kontakt z najbardziej intymnymi częściami jej ciała.

Ona była mokra i brudna. On – czarująco sponiewierany.

Pożałowała, że nie ma parasola, którym mogłaby go zdzielić.

– Bardzo brudna – dodał, zniżając głos. – Wielce mnie kusi, żeby zabrać panią do domu i wykąpać.

Podkuliła palce w mokrych półtrzewikach.

Jej myśli pomknęły naprzód, ku końcowi lipca.

Dwa tygodnie z nim. Sam na sam. Rzeczy, które mógł jej zrobić.

– Kuszenie to moja rola – odparła. – Tak jak pan musi zawsze sprawiać wrażenie całkowicie pewnego swoich poczynań, ja muszę prezentować się zniewalająco, nawet będąc w nieładzie. Jednakowoż, milordzie, dziś pozostaje mi zadowolić się samodzielną kąpielą. Muszę wracać do pracy.

* * *

Bez wątpienia warto było zobaczyć, jak madame otwiera usta, a jej oczy stają się szkliste na tę nazbyt krótką chwilę, zanim przywołała się do porządku. Niemniej gdy wsiadali do powozu, Lisburne zdążył już pożałować, że wspomniał o kąpieli. Teraz nie potrafił wyrzucić pomysłu z głowy, a piekielnie niewygodnie było mu grać całkowicie rozluźnionego, kiedy w istocie toczył bój, by mózg w czaszce zachował władzę nad tym między nogami.

Była mokra i brudna, rozkosznie sponiewierana, a do tego rozzłoszczona.

Jako że przemokła na wskroś, ubranie lgnęło do niej tam, gdzie zwykle się nadymało, ujawniając tym sposobem więcej naturalnych kształtów, niż dało się zobaczyć na co dzień.

Nie był to widok obliczony na to, by pobudzić męski mózg do przeprowadzania choćby podstawowych procesów myślowych.

Okoliczność, że znalazł się z nią w ciasnej przestrzeni wyznaczonej przez fartuch powozu i budę, ani trochę nie ułatwiała mu zadania.

Niemniej zachowywanie swoich uczuć dla siebie i ukazywanie na zewnątrz gładkiego oblicza weszło mu w krew. Owszem, na moment lub dwa wytrąciła go z równowagi, ale okoliczności były wyjątkowo trudne.

Do czasu, gdy chwycił lejce i popędził konie, Lisburne był już na powrót pełnym ogłady dżentelmenem. W każdym razie na zewnątrz.

Prowadził lekką rozmowę i flirtował jak zwykle, ona zaś bez widocznego wysiłku odpowiadała w podobnym tonie – jakby nic nie zaszło, jakby ziemia nie zadrżała w posadach, a jego nie wywróciło na nice, przez co popełnił niewybaczalnie grubiański błąd, błąd z rodzaju tych, jakie przydarzają się napalonym uczniakom, a nie dwudziestosiedmioletnim światowcom.

W pewnym sensie poczuł ulgę, kiedy dotarli do butiku. Potrzebował czasu, żeby dojść ze sobą do ładu.

Mimo to, kiedy przekraczała próg, ogromnie go kusiło, żeby rzucić się ku niej i pociągnąć ją z powrotem.

Wrócił do dwukółki i pojechał do domu.

* * *

Piątek

W konsekwencji tego, że usiłował zająć czymś myśli na przyjęciach do piątej nad ranem, a potem nie spał zbyt dobrze, Lisburne zszedł na śniadanie późno. Choć raz Swanton go ubiegł. Mimo to ewidentnie nie posunął się do przodu z posiłkiem. Wprawdzie talerz stał przed nim na stole, ale jego zawartość stygła, podczas gdy Swanton, przeczesując dłońmi włosy, wpatrywał się w „Poranne Zwierciadło”.

– Co tym razem wywinęła Gladys? – zapytał Lisburne, kierując się do kredensu. – Wnoszę, że coś niesłychanego, skoro zaszokowała nawet ciebie.

– Nie chodzi o twoją kuzynkę – odparł głuchym głosem Swanton. – Chodzi o mnie.

– O ciebie? – Lisburne zebrał myśli. – A cóż takiego zrobiłeś?

– Och, rzecz nie w tym, co zrobiłem. Chodzi o to, czego, jak insynuują ci perfidni łowcy sensacji, nie zrobiłem. – Swanton położył gazetę na stole i wskazał notkę.

Lisburne nachylił się nad nim i przeczytał:

Nie wiemy, skąd wzięły się te niedorzeczne pogłoski, posiadamy jednakowoż informacje z nader pewnego źródła, że całkowicie bezpodstawne są opowieści, jakoby pewien dżentelmen o poetyckich inklinacjach został pozwany o złamanie przyrzeczenia zawarcia małżeństwa. Jak zgodzi się każdy obeznany z tematem, dziewięć na dziesięć tego rodzaju pozwów stanowi próbę szantażu bądź przejaw pogoni za rozgłosem. Ani chybi tak jest też w przypadku jego lordowskiej mości. Osoby zaznajomione ze sprawami rzeczonego dżentelmena zapewniły nas, że pogłoski są absolutnie pozbawione podstaw, a pochodzenie tej dziwnej historii dogłębnie je frapuje.

– Nie ma to jak zasypać ludzi zaprzeczeniami – skomentował Swanton. – Nie ma to jak zasiać w każdej plotkarce i każdym plotkarzu z towarzystwa ziarenko niepokoju. „Zdaje mi się, że ten tam przyrzeka za wiele”[4].

Lisburne odsunął gazetę i wrócił do kredensu, chociaż stracił apetyt.

– Jedna z twoich interesantek liczy na to, że spłacisz ją po cichu, by chronić reputację – stwierdził.

– Nie zamierzam nikogo spłacać – odparł Swanton. – Nikogo nie uwiodłem i nie życzę sobie, żeby sądzono inaczej… a tak sobie pomyślą,

jeśli pójdzie plotka o spłacie. A wiesz, że pójdzie. Nie ma mowy o „cichej spłacie”. Jeśli Foxe dowiedział się o tym, wyniucha wszystko.

Fakt, że jedna z kobiet, które zwracały się do Swantona o pieniądze, posunęła się do nawiązania kontaktu z „Porannym Zwierciadłem”, stanowił zaskoczenie. Kreatury podejmujące próby tego rodzaju oszustw poddawały się zwykle po pierwszej odmowie i wczołgiwały z powrotem tam, skąd wypełzły. Swantona nie było w kraju od pięciu lat z okładem. Szorstki list od sekretarza oskarżonego powinien załatwić sprawę.

– Pozostaje nam poczekać, aż któraś z twoich urojonych narzeczonych napisze po raz drugi – rzekł Lisburne. – Wtedy napuścimy na nią Rowntreego. Będzie musiała odpuścić. On jej przypomni o prawie *scandalum magnatum*. – Prawo nakładało grzywny i kary więzienia na każdego, kto wygłaszał oszczercze oświadczenia, prawdziwe czy nie, pod adresem para z prawem do zasiadania w Izbie Lordów. – To ją zachęci, żeby poszukała innej ofiary.

– Nie ukarzesz grzywną plotki – odparł Swanton. – Nie wtrącisz plotki do więzienia.

– Ona chce pieniędzy – powiedział Lisburne. – Plotkom pieniędzy także się nie daje. Jeśli pragnie je dostać, będzie musiała się ujawnić. Mamy przewagę, kuzynie. Nie zadręczaj się.

* * *

W sobotni poranek „Zwierciadło” przyniosło kolejne zaprzeczenie. Tym razem nie było prawdą, jakoby „ceniony poeta z wyższych sfer” przed rokiem uwiódł w Paryżu „przyzwoitą młodą Angielkę”, przy czym „konsekwencje towarzyszące zwykle takim okazjom powierzono, jak słyszeliśmy, pieczy sierocińca prowadzonego przez święte siostry”.

Chociaż Rowntree natychmiast przesłał do wydawcy „Zwierciadła” ostry w słowach list, wytłumaczył swoim pracodawcom, że niewiele da się zrobić. „Zwierciadło” nie tylko nie podawało nazwisk, ale nawet, w istocie, nie zarzucało lordowi Swantonowi żadnego niecnego czynu.

– Są sprytni – powiedział prawnik.

– Tak, i ukamienują mnie zaprzeczeniami – odparł Swanton.

– Pan Foxe w końcu potknie się na swojej przebiegłości – uspokoił go Rowntree. – A wasza lordowska mość może być pewien, że wtedy się z nim rozprawimy, i to w trybie przyspieszonym… co marzy się połowie towarzystwa.

– W końcu, w końcu – utyskiwał Swanton. – A tymczasem moje nazwisko obrzucają błotem, pisząc „nieprawdą jest”! – Odwrócił się do Lisburne’a. – Miałeś rację, radząc mi się pospieszyć z naszą imprezą dobroczynną. W tym tempie moja reputacja legnie w gruzach przed końcem następnego tygodnia.

– Nie, jeśli ktoś inny wywoła większy skandal – stwierdził Lisburne. – Co w razie konieczności zrobię.

– Miałbyś pakować się w kłopoty, ponieważ jakaś podła kreatura uparła się zrobić ze mnie głupca?

– To nie kłopoty, lecz taktyka dywersyjna – sprostował Lisburne. – A powinienem to zrobić, gdyż po pierwsze, przydałoby się, żebym trochę poćwiczył wyobraźnię, która ostatnio niewybaczalnie straciła formę. I po drugie, ponieważ spodziewam się w związku z tym świetnej zabawy. Przestań zamartwiać się pogłoskami, które nawet nimi nie są. Stoi za tym pewnie jakiś zazdrosny gryzipiórek. Dajmy Rowntreemu robić swoje, a sami ustalmy kilka organizacyjnych drobiazgów na poniedziałek. Potem dostarczę rezultaty do wszystkich obowiązkowych miejsc w Londynie, a ty w spokoju poświęcisz się swoim wierszom.

* * *

Później w sobotę

Do obowiązkowych miejsc w Londynie zaliczał się Maison Noirot.

Dobrze, że Lisburne mógł zaprzątnąć myśli skandalem, okazało się bowiem, że w butiku nikt nie przyjmie go od razu. Madame, jak mu powiedziano, zajmowała się klientkami w prywatnych pomieszczeniach na tyłach sklepu.

W piątek trzymał się od niej z dala, gdyż – ostatecznie – nie był bujającym w obłokach uczniakiem. Był dżentelmenem, który miał inne

zajęcia poza kręceniem się przy dziewczynie w oczekiwaniu, aż ta raczy go zauważyć.

Oprócz zgryzot Swantona borykał się także z jego osobowością. Nakłonienie poety, żeby skupił się na zagadnieniach praktycznych i logistycznych, nawet w najlepszych okolicznościach przypominało próby utrzymania niepodzielnej uwagi psa, kiedy w pobliżu szczebioce wiewiórka. Szeptana kampania, czy cokolwiek to było, wprowadziła Swantona w stan jeszcze większego rozbicia.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie posłałby poety w takim stanie do Maison Noirot, zwłaszcza w ruchliwą sobotę, kiedy wywołałby większe niż zwykle poruszenie.

Innymi słowy, Lisburne miał doskonałe powody, żeby tu być.

Niestety, miała je również Gladys, która pojawiła się krótko po jego przybyciu. Weszła do salonu sprzedaży z Clarą, za nimi tradycyjnie podążała pokojówka Davis. Nowym elementem świty był natomiast Bates.

Jako że głos Gladys wkroczył do butiku na moment przed właścicielką, Lisburne nie został wzięty z zaskoczenia. W salonie sprzedaży panował akurat tłok. Mężczyzna czmychnął za jeden z ustawionych na podestach manekinów. Biorąc pod uwagę przystrajające figury rozłożyste spódnice, wzdęte rękawy i gigantyczne kapelusze – by nie wspomnieć o tłoczących się wokół nich klientkach – istniały spore szanse, że krewne go nie wypatrzą.

Ponieważ rzekomo „melodyjny” głos kuzynki niósł się jak pienia śpiewaczki operowej, Lisburne bez trudu słyszał każde jej słowo.

– Nie, Parmenter, nie mam absolutnie nic przeciw temu, żeby zaczekać – powiedziała. – Na wzrok nie narzekam, widzę więc, że macie dziś ruchliwy dzień. Wygląda na to, że wszystkie damy, z prababką Theodosią włącznie, zapragnęły wystąpić w poniedziałek w Vauxhall w nowej sukni. Z pewnością uwijacie się jak w ukropie. Ale to wszystko w godnej sprawie. Dlatego też wypada mi okazać cierpliwość, wy zaś musicie być silne.

Bates coś powiedział.

– Niechże pan sobie daruje niedorzeczności – zganiła go Gladys. – Jakkolwiek wspieram lorda Swantona w jego literackich staraniach, nie zamierzam patronować każdemu dobroczynnemu przedsięwzięciu tylko na jego wezwanie. Jedna rzecz, że serce mam mniej więcej tak miękkie jak kamień krawężnikowy. Druga, co smutne, że jestem o wiele mniej naiwna,

niż powinnam. Tak już bywa, kiedy w twoim domu wiecznie kręcą się wojskowi.

Bates się roześmiał, Clara coś powiedziała, on odpowiedział.

– Moja kuzynka ani trochę nie przesadza – zapewniła Gladys. – Zaciągnęłam tam Clarę, ponieważ chciałam przekonać się sama. Przytułek dla głuchoniemych to jedno. Wszyscy o nim słyszeli. Ale kto kiedykolwiek słyszał o Stowarzyszeniu dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet? Nie, nie, oczywiście, że musiałam zobaczyć miejsce na własne oczy. A kiedy już zobaczyłam, dopisałam moje nazwisko na listę sponsorów, Clara zaś była uprzejma zrobić to samo, by sprawić mi przyjemność… albo ze strachu, że będę jej truła głowę.

Clara wygłosiła jakąś uwagę i się roześmiała.

Bates coś odrzekł.

– Och, tu jesteś, Lisburne – powiedziała Gladys.

Spojrzał w prawo i zobaczył, jak nadciąga. Ta potężna dziewczyna poruszała się naprawdę cicho – z całą pewnością ciszej, niż zapamiętał. Miała na sobie ładną, różowo-beżową suknię spacerową i do przesady kobiecy kapelusz, w którym powinna wyglądać niedorzecznie, a który w istocie w szokujący sposób dodawał uroku jej okrągłej, nijakiej twarzy.

Przypomniał sobie, że wczoraj w Hyde Parku prezentowała się dobrze, wtedy jednak zarejestrował ten fakt w przelocie, gdyż jego myśli absorbowała Leonie. Obecnie przekonał się, że karygodnie nie docenił umiejętności Maison Noirot. Gdyby był człowiekiem przesądnym, podejrzewałby czary.

– Zabawiasz się z manekinami? – spytała Gladys. – Czy przyszedłeś poigrać ze szwaczkami i sprzedawczyniami?

– Interes do madame – odparł.

– Ależ oczywiście – powiedziała, unosząc brwi.

– Poniedziałkowa impreza dobroczynna – wyjaśnił. – Czy nie o niej przed chwilą mówiłaś? Chyba nie stanowi zaskoczenia, że Swanton i ja musimy ustalić szczegóły z jedną z założycielek Stowarzyszenia dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet.

Wyraz jej twarzy złagodniał.

– Och, tak, naturalnie. Trudno oczekiwać, by lord Swanton osobiście zajmował się męczącymi kwestiami praktycznymi. Poetyckiej wyobraźni

nie zawsze jest po drodze z pragmatyczną naturą. Dotyczy to wielu artystów. Ktoś musi ich reprezentować. W pełni to rozumiem.

Odwróciła się do Batesa.

– Jakkolwiek nadużyciem byłoby chwalić wielkie osobiste poświęcenie mojego kuzyna Lisburne'a w związku z tym, że zajął się tą konkretną sprawą, zasadniczo należy przyznać mu rację. Obawiam się, że dokuczanie mu trzeba będzie przełożyć na inną okazję. Jaka szkoda. Ułożyłam co najmniej trzy głupiutkie kalambury, ledwie powiedział „interes do madame".

– Kiedy tak bardzo liczyłem, że mu podokuczam – zaprotestował Bates.

– Będzie się pan musiał zadowolić dokuczaniem mnie, jakkolwiek lichą sprawi to panu satysfakcję – odparła. – Albo Clarze, jeśli się pan ośmieli. Albo nam obu, jeśli jest pan akurat w wyjątkowo lekkomyślnym nastroju.

Odeszła, żeby obejrzeć manekin. Spora liczba kobiet śledziła każdy jej ruch.

Clara oddaliła się wraz z nią, ale Bates zwlekał.

– Na wypadek, gdybyś się zastanawiał – rzekł – postawiłem na twoją kuzynkę pięćdziesiąt funtów i pilnuję mojego czarnego konia.

– Czyżbyśmy usiłowali wpłynąć na wynik? – spytał Lisburne.

– Jakbym mógł na cokolwiek wpłynąć – sarknął Bates. – Nikogo nie obchodzi, co robię. Bez funduszy i tytułu żadna ze mnie matrymonialna zdobycz, nikt też nigdy nie wziął mnie omyłkowo za arbitra elegancji. Prawda wygląda tak, że te dwie damy, zwłaszcza razem, są bardziej interesujące niż dowolnych dziesięć innych znanych mi osób. Zacząłem kręcić się przy nich z ciekawości. Zostałem, bo są piekielnie zabawne.

Jeszcze parę chwil wcześniej Lisburne uważał Gladys za mniej więcej tak zabawną jak ból zęba. Chociaż dokonane przez Leonie porównanie do brzydkiego pieska wyryło mu się w pamięci, fakt ten nie wyjaśniał, jakim sposobem Gladys go dziś rozbroiła. Uprzejmą wzmianką o Stowarzyszeniu? Zrozumieniem natury Swantona i pracy, jaką była opieka nad nim? Żartami z samej siebie?

Mogło też chodzić po prostu o twarzowy bonet.

– Autentycznie oznajmiła mi, że jestem głupcem, wyrzucając na nią pieniądze – ciągnął Bates, kiedy Lisburne, chwilowo zaprzątnięty rozwikływaniem zagadki, nic nie odrzekł. – Z początku zdumiałem się, że słyszała o zakładach.

– A potem przemyślałeś sprawę i zdumienie minęło – uzupełnił Lisburne.

– Jędze – stwierdził Bates. – I nawet zgaduję, która jej o tym powiedziała.

Podobnie jak Lisburne. Lady Alda Morris, jasnowłosa młodsza córka lady Bartham, która koniecznie musiała oświecić Lisburne’a tamtego wieczoru na przyjęciu u lady Jersey.

W tejże chwili poczuł na karku łaskotanie.

– Nie, nie, chętnie zaczekam, madame – dobiegł go z tyłu głos lady Gladys. – Mój kuzyn Lisburne przybył z ważnym literackim interesem. Proszę zająć się nim w pierwszej kolejności. Nie ma nic do roboty, tylko ukrywać się za manekinami w nadziei, że uniknie nagabywań irytujących kobiet, podczas gdy Clara i ja spieramy się właśnie o ten szal i już prawie rozgromiłam ją moją argumentacją.

Uderzenie serca później madame pojawiła się obok Lisburne’a.

– Milordzie – powiedziała chłodno. – Jeśli będzie pan uprzejmy, proszę tędy.

* * *

Tego dnia kantorek Leonie nie był aż tak do bólu schludny jak podczas poprzednich wizyt Lisburne’a. Biurko zaścielały papiery, a jedna z ksiąg rachunkowych o centymetr wysunęła się z szeregu. Podszedł do półki i wyrównał ją.

– Nie wiem, jak udaje się pani pozostać przy zdrowych zmysłach – stwierdził. – W sklepie tłoczy się pewnie ze sto kobiet, przy czym wszystkie mówią jednocześnie. Głowa nadal mi rezonuje.

– Osiemdziesiąt siedem, nie licząc moich pracownic – doprecyzowała. – To cudowne. A wszystko dzięki lordowi Swantonowi i panu.

– Nie mnie. Jestem zaledwie pragmatycznym jegomościem, który wprowadza w życie jego genialne pomysły.

– Pomysły są bezużyteczne, jeśli nie wprowadzi się ich w życie. Ktoś musi twardo stąpać po ziemi. Ktoś musi doglądać codziennych nudnych szczegółów.

– I komuś brakuje snu, jak widzę – rzekł, podchodząc do niej.

Nie ustąpiła pola, oczywiście. Zadarła brodę, jej niebieskie oczy zalśniły wyzywająco. A jednak kładł się na nich cień, twarz wyrażała napięcie.

– Za ciężko pani pracuje – zawyrokował. – Potrzeba pani dwóch tygodni z dala od sklepu. Ze mną.

– Prawdopodobieństwo tego zdarzenia maleje z każdym dniem.

– Proszę nie ekscytować się zanadto Batesem. Nie ma pensa przy duszy, co dyskwalifikuje go w małżeńskich notowaniach.

– Ale lubi lady Gladys. Kwalifikuje się jako adorator. Co więcej, ma szansę odziedziczyć tytuł hrabiego.

– Tylko jeśli jego dwóch zdrowych, dziarskich krewnych płci męskiej, z których jeden niedawno się ożenił, postanowi umrzeć młodo i bezdzietnie.

– Przyznaję, że jako kandydat na męża wypada marnie – zgodziła się. – Ale mimo wszystko to adorator.

– Brakuje pani jeszcze pięciu. Pół tuzina, tak pani powiedziała. Mam to na piśmie.

– Ani trochę się nie denerwuję – zapewniła.

– Nie ma takiej potrzeby. Przekona się pani, że jako zwycięzca jestem wielkoduszny aż do przesady.

– A jako przegrany?

– Przegrana jest wysoce nieprawdopodobna.

– Mimo to nie aż tak nieprawdopodobna, jak pan pierwotnie sądził. Niech pan przyzna.

– Przyznaję, że w kwestii Gladys przekroczyła pani moje oczekiwania – powiedział.

Jako że oczekiwał katastrofalnej porażki, nie było to aż takie osiągnięcie.

Na jej ustach zagościł rozkoszny uśmiech samozadowolenia.

– Przyznaję, że w kwestii naszych wspólnych dwóch tygodni odczuwam niepokój, wcześniej nieobecny – ciągnął. – Ale to zaledwie drobny dreszcz niepewności, nieco ekscytujący. Najdelikatniejsza sugestia napięcia, którego przedtem nie było.

Jej uśmiech stał się szerszy, a Lisburne uzmysłowił sobie, że zaczyna nachylać się ku temu szelmowskiemu łukowi.

Oddalił się od niej i stanął znów przy półce z księgami rachunkowymi.

Nie ufał swoim rękom, że zostaną tam, gdzie powinny, co go irytowało. Nie podobała mu się łatwość, z jaką ona burzyła jego samokontrolę, nie tracąc własnej.

Tyle na temat jego trudności. Bardziej niepokoiło go, że wyglądała na chorą i zmęczoną. Z chęcią jakoś by temu zaradził, lecz aktualnie mógł tylko przyglądać się i wściekać.

– Wiem, że nie powinienem zajmować pani czasu – rzekł z większą werwą. – Gladys jest umówiona i zapewne nie ma pani wolnej chwili między klientkami. Chciałem tylko poinformować panią o ustaleniach na poniedziałkowy wieczór. Z wielu powodów, nad którymi nie będę się rozwodził, musimy zacząć o dziesiątej. Ale dostaniemy nieduży teatr na całą godzinę, a skoro nie będziemy konkurować z żadnym większym wydarzeniem towarzyskim w innym miejscu Londynu, spodziewam się pełnej sali.

Podszedł do biurka, z kieszeni na piersi wyjął złożoną kartkę papieru i rzucił na stertę dokumentów na blacie.

Porwała ze stosu jego dodatek i schludnie wyrównała pozostałe dokumenty. Dopiero wtedy rozłożyła kartkę i zaczęła czytać.

Skrył uśmiech.

– Program – wyjaśnił. – Na poniedziałkowy wieczór. Pozostaje tylko nakłonić Swantona, żeby przestał zmieniać zdanie co do kolejności, w jakiej zaprezentuje swoje nowe dzieła. Ach, i ciągle dopisuje strofy. Jako że dysponujemy ograniczonym czasem, a musimy zostawić miejsce na przemowy, zobowiązania i całą resztę, trzeba je będzie przyciąć lub usunąć co najmniej jeden wiersz.

Podniosła nań wzrok.

– Jako posiadaczka dwóch sióstr-artystek zalecam panu nie powierzać mu tego zadania. Proszę wykraść jeden z wierszy i zataić to przed nim aż do rozpoczęcia imprezy, a potem wypchnąć go na scenę.

Pomyślał o tych wszystkich mdlejących dziewczętach, dla których każde słowo było święte, i się roześmiał.

– Zwyczajnie wykraść jeden z wierszy – stwierdził. – Jak ocenię który?

– A to jakaś różnica?

– Nie, kochana, ale wyłącznie pani mogła tak powiedzieć.

Zobaczył, jak twarz jej się zmienia, tylko na moment – ledwie dostrzegalne mignięcie emocji – nim znów przybrała profesjonalny wyraz.

Złożyła kartkę i zostawiła na biurku.

– Bardzo kompetentne i uporządkowane – skomentowała. – Jak na dżentelmena, który twierdzi, że jego życie jest chaosem powściąganym

jedynie przez sekretarzy i reprezentantów w interesach, wykazuje pan nadzwyczajne rozeznanie w sprawach logistyki.

– Kiedy do zdobycia jest cenna nagroda, mogę zaprząc umysł do czegokolwiek.

Przez jej nazbyt bladą twarz przesunął się cień rumieńca.

– Poprawa losu nieszczęsnych młodych kobiet to zaiste godny cel – stwierdziła. – Cieszę się, że tak się pan dla nich wysila.

– No tak – powiedział. – Dla nich także.

– Cóż, jeśli to już wszystko, milordzie…

Wyszła zza biurka i splotła ręce na wysokości talii. Wcześniejszy szelmowski uśmiech zniknął bez śladu i teraz uśmiechała się profesjonalnie: przyjaźnie, cierpliwie, uprzejmie.

– Prawie wszystko – odrzekł. Kilkoma szybkimi krokami przeciął pokój. – Zapomniałem zapisać jeszcze jeden drobiazg.

Udał, że sięga po program. Instynktownie wysunęła rękę, żeby ochronić schludny stos dokumentów. Pochwycił jej dłoń, uniósł do ust i pocałował. Gwałtownie wciągnęła powietrze, nim jednak spróbowała zabrać rękę, mężczyzna oplótł ją ramieniem w talii i posadził na biurku.

– Niech się pan…

Ujął jej twarz w dłonie i zamknął jej usta długim, ognistym pocałunkiem.

Następnie cofnął się, odwrócił i ruszył ku drzwiom.

– Po namyśle – rzekł – lepiej tego nie zapisywać.

– O nie, nie ma mowy – usłyszał za plecami.

* * *

Leonie zeskoczyła z biurka i przebiegła przez pokój. Z hukiem zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem lorda Lisburne’a.

Odwrócił się ku niej, przynajmniej raz zaskoczony.

Chwyciła go za klapy – obojętna na fakt, że narusza ich doskonałość – i pociągnęła.

– No dalej – powiedziała, unosząc ku niemu twarz. – Jeszcze z panem nie skończyłam.

W jego zielonych oczach zobaczyła niepewność i wiedziała, że sama także powinna poczynać sobie ostrożniej, ale zbyt ją rozeźlił. Pociągnęła,

nachylił głowę. Ujęła jego twarz w dłonie, naśladując jego wcześniejszy gest, i pocałowała go.

„Kochana”, powiedział, tak od niechcenia, a jej serce kompletnie się pogubiło.

Całowała go równie dziko, bez śladu zahamowań. Rozpalił ją w jednej chwili, całą, w środku i na zewnątrz. Nie pozwoli, żeby podniecał ją, ot tak, doprowadzał do tego, że boleśnie pragnęła więcej, a później porzucał, by wyjść z fasonem.

„Kochana”, powiedział.

Zapłaci jej za to.

Leonie zdarzało się przeprowadzać w życiu lepsze wywody logiczne, lecz w tym momencie nie było jej stać na nic więcej.

Otoczył ją ramionami i wywód przestał się liczyć. Miał silne ramiona, trzymał ją mocno i biło od niego ciepło, przy czym te proste rzeczy nie wyjaśniały narastającego w niej gwałtownie uczucia szczęścia, jakby się upiła, ale lepszego i będącego czymś więcej. Jego gładko ogolona szczęka w dotyku przypominała marmur, idealną rzeźbę. Była jednak ciepła i żywa, nosiła męski zapach, którego nie mogłaby pomylić z żadnym innym, zabarwiony nutami mydła do golenia i czystego płótna.

Drobnostka, ledwie zapach mężczyzny, a przecież upijała się nim na ten niepijacki sposób i czuła się taka szczęśliwa, mimo że nadal szalała z wściekłości.

Całował ją dokładnie tak, jak pragnęła, autentycznie, nie tylko się drocząc. Dociskał usta do jej ust, zmieniając kąt, nakłaniając, żądając. A ona ustępowała, oczywiście, żeby dostać więcej i dać więcej, i… pokazać mu. Dręczyła go, pogrywała z nim, lekkomyślnie prowokowała, by posunął się dalej. Skoro sama nie była w stanie się kontrolować, dopilnuje, żeby on również utracił choć część kontroli.

Pragnął jej. To nie stanowiło tajemnicy. A jeśli ze wszystkich sił starał się doprowadzić do tego, by ona zapragnęła jego, Leonie zadba, żeby pragnął jej b a r d z i e j.

Roił sobie, że ze spokojem odejdzie, ale Leonie mu na to nie pozwoli. Prowokowała, ponaglając go, by całował ją jeszcze grzeszniej. Przesunęła dłonie na jego kark, po czym oplotła ramionami jego plecy, a wskutek tego ruchu jej ciało uniosło się i mocniej przywarło do niego.

Poczuła, jak przeszywa go dreszcz, i w równym stopniu posmakowała, co usłyszała jęk, który dobył się z jego ust. Przesunął dłonie w dół jej pleców, na pośladki, i przygarnął ją mocno do siebie. Nawet przez warstwy sukni czuła jego podniecenie, a pod wpływem doznania żar rozbiegł się na wszystkie strony. Żarowi towarzyszył triumf – nad nim i nadmierną łatwością, z jaką go kontrolowała. Nad tym wszystkim dominowało jednak pragnienie.

Nienawidziła tego.

Chciała tego.

Chciała się uwolnić, przestać go pragnąć i myśleć o nim, i tęsknić za tym, by go dotykać, ponieważ te myśli i życzenia były zbyt silne, przez co czuła się bezradna i zagubiona.

Jednocześnie chciała zatonąć w tej tęsknocie, upić się nią, z własnej woli, lekkomyślnie podążyć tam, dokąd ją wiodła.

Gdzieś daleko na horyzoncie jej świadomości majaczyła pamięć o interesach, o tym, gdzie się znajdują, o butiku pełnym dam i wyśmienitej okazji, żeby ubrać je na wydarzenie w Vauxhall.

Przerwała pocałunek i odsunęła się od niego, mimo że miała chęć krzyczeć i przez jedną zatrważającą chwilę pragnęła, żeby wszystkie damy i ich przeklęte stroje poszły do diabła.

– No dobrze – powiedziała bez tchu. – Teraz skończyłam.

Nie puścił jej od razu, przy czym on także ciężko oddychał.

Świetnie.

Jeśli zamierzał doprowadzić ją do ruiny, w rewanżu sama przynajmniej odrobinę wytrąci go z równowagi.

– Ty szelmo – rzekł bardzo niskim, głębokim głosem.

– Mówiłam, że uczę się szybko i dobrze.

– Tak. Z minuty na minutę robi się to coraz bardziej interesujące.

– Skoro mowa o minutach – powiedziała najbardziej nonszalanckim tonem, na jaki było ją stać – nie powinnam kazać lady Gladys dużej czekać. Miłego dnia, milordzie.

Jego oczy, które w międzyczasie przybrały odcień ciemnej leśnej zieleni, zdawały się wwiercać w jej duszę. Nie żeby, jako na pół DeLucey, na pół Noirot, była aż tak pewna, że takową posiada.

Wreszcie wzruszył ramionami i się roześmiał.

– Doskonale, madame, niech będzie, że postawi pani na swoim. Tym razem. *Au revoir*.

I wyszedł.

Delikatnie i starannie zamknęła za nim drzwi.

Oparła się o nie plecami. Odetchnęła głęboko sześć razy, bez pośpiechu, nim otworzyła je znowu i wyszła na korytarz, skąd podążyła do salonu sprzedaży do lady Gladys.

Rozdział 8

Simpsonie, ogrodów Vauxhall filarze!
Dla Twej pochwały tomy wszak uwarzę,
Choć kiedy liść każdy zbrązowiały
Drzew tamtejszych istnym jest foliałem,
Słowa me wszelkie by nie nastarczały
Zasługi Twe godnym uczcić hejnałem.
„Fraser's Magazine for Town and Country" (1833)

Ogrody Królewskie, Vauxhall
Poniedziałkowy wieczór, 20 lipca

Lisburne z chęcią by ją udusił.

Niewiele brakowało, a potknąłby się o własne nogi, kiedy w sobotę opuszczał Leonie. Nawet po kieliszku wina u Whithe'a, a może i trzech, oraz drobiazgowej lekturze każdej dostępnej w klubie gazety przekonał się, że nie potrafi się skupić. Na czymkolwiek.

Niedzielę spędził, jeżdżąc z jednego parku do drugiego w nadziei na to, że ją zobaczy, lecz zamiast niej spotkał milion innych osób.

Przypomniał sobie, że mówiła, iż lubi spędzać niedziele z siostrzenicą. Wiedział o jednej siostrzenicy, córce tej siostry, która wyszła za Clevedona. Lisburne dobrze znał księcia. Byli razem w szkole. Zabawiali się wspólnie na kontynencie. Mógłby zajść do Clevedon House jedynie pod pretekstem odwiedzin u przyjaciela.

O mały włos by to zrobił. Potężnie go kusiło. W ostatniej chwili na przeszkodzie stanęła jego duma i stwierdził, że nie będzie zachowywał się jak bałwan.

Popełnił drobny błąd w osądzie, nie do końca z własnej winy.

Nigdy by nie przypuszczał, że on i Swanton zostaną w Londynie dłużej niż tydzień czy dwa. Ale nie, okazało się, że ich pobyt się przeciągnie. Później Lisburne spotkał Leonie Noirot i wyobraził sobie, że przelotny romans z wyrafinowaną, interesującą młodą kobietą wynagrodzi mu nudne chwile.

Miał rację co do „wyrafinowanej” i „interesującej”.

Z całą pewnością się nie nudził.

Niemniej okazywała się trudna w sposób, który nie całkiem rozumiał – choć podejrzewał, że geniusz, z jakim przyciągała uwagę otoczenia, miał z tym coś wspólnego.

Wystarczyło na nią spojrzeć!

Lisburne stał z boku sceny, za kurtyną. Leonie stała przed nim, ubrana w biel, którą z początku wziął za dziewiczą. Suknia okazała się jednak nie aż tak skromna. Po pierwsze, nie była całkiem biała, ponieważ oprócz licznych ozdób pyszniła się haftowanymi na różowo i zielono bliżej nieokreślonymi detalami. Nie była też taka znów dziewicza, jeśli wziąć pod uwagę głębokość dekoltu.

Na ramiona narzuciła jasnoniebieską przejrzystą imitację szala, przez damy nazywanego mantylką. Także ten element stroju jedynie zapraszał mężczyzn, żeby dokładniej przyjrzeli się jej aksamitnej skórze. Koronki przyozdabiały linię jej dekoltu, nadgarstki i falbany spódnicy, a nad zwiewną kreacją trzepotały jasnożółte wstążki i kokardy, przy czym te drugie tańczyły również na falbanach spódnicy i rękawach, gdzie tym razem miejsce pojedynczych gigantycznych buf zajęło wiele mniejszych.

Piękna topazowa brosza przyciągała spojrzenia ku centralnemu punktowi głębokiego, obszytego koronką dekoltu, topazowy naszyjnik okalał gładką szyję, a dopasowane do niego kolczyki dyndały pod ciemnorudymi lokami, zebranymi w pęki przy uszach. Z włosów ułożonych w wymyślne łuki wystrzeliwały stroiki z kwiatów.

Zmierzył ją wzrokiem z góry na dół i z powrotem nie raz, lecz pełne trzy razy. Nie powinien potrzebować aż tyle siły woli, żeby powstrzymać się przed porwaniem jej w ramiona i zaniesieniem w jakieś bardzo ustronne miejsce, gdzie mógłby bez pośpiechu doprowadzić ją do nieładu.

– Przeszła pani samą siebie – skomentował.

– Damy będą z zapartym tchem oczekiwać lorda Swantona – odparła. – Pozyskanie ich uwagi wymaga specjalnych wysiłków.

– Wygląda pani smakowicie. Jak kruche francuskie ciastko.

Choć teatr oświetlały liczne lampy, stali w miejscu, gdzie światło i cień nieustannie się przemieszczały, toteż nie potrafił ocenić, czy wywołał u niej ów charakterystyczny, ledwie zauważalny rumieniec.

Powachlowała się.

– Zgrabnie powiedziane, milordzie. Jeśli tylko inni dżentelmeni podzielą pańskie odczucia i jeśli nakłonią ich one do opróżnienia portfeli, uznam moją kreację za triumf.

– Sprzedała pani wszystkie bilety – zauważył. – Wszystkie miejsca są zajęte, a do rozpoczęcia nadal pozostało kilka minut.

– Poszczęściło nam się pod względem pogody. I pańskich zdolności organizacyjnych… lub zdolności pańskiego sekretarza, jeśli wzbrania się pan przypisać sobie tę zasługę. Zadbał pan, żeby wszyscy wiedzieli, że zaczniemy punktualnie, a wiadomo, że młode damy nie zechcą uronić ani słowa, nawet jeśli będą zmuszone wysłuchać mnie, zanim dostaną swoją poezję.

– Nie denerwuje się pani w związku z tym, że musi stanąć przed nimi jako pierwsza – stwierdził. – A jeśli nawet, to doskonale pani udaje całkowicie rozluźnioną.

– Przywykłam radzić sobie z damami. Gdy zaś chodzi o pieniądze, dokładnie wiem, co chcę osiągnąć. I, co najważniejsze, całym sercem wierzę w Stowarzyszenie.

Dołączył do nich Swanton. W przeciwieństwie do panny Noirot, jego jak zwykle przed występem zżerała trema. A może chodziło o typowe nerwy poety.

– Swanton nienawidzi wychodzić na scenę – wyjaśnił jej Lisburne. – Kiedy już zacznie, będzie w porządku, jednak przed faktem ma skłonność do wzburzeń.

– Nigdy nie planowałem występów – usprawiedliwił się Swanton. – Przypuszczałem, że przy odrobinie szczęścia ludzie będą czytać moje dzieła sobie nawzajem, jeśli nie zwyczajnie, po cichu, dla siebie samych. Niekiedy czuję się jak jakaś przeklęta kukiełka.

– Poezja powinna być słuchana – powiedziała Leonie. – Tego mnie uczono.

– Wygląda na to, że moja nie zostanie dziś wysłuchana w całości – pożalił się Swanton. – Zaginął mi jeden wiersz.

– Śmiem przypuszczać, że w roztargnieniu cisnąłeś go w ogień – podsunął Lisburne, pilnując się, by nie spojrzeć na Leonie.

Poradziła mu, żeby wykradł jeden utwór, i tak też zrobił, ukrywając kartkę pod stosem zaproszeń.

– Mamy lipiec – zauważył Swanton. – Wiem, że to Londyn, ale od przyjazdu nie paliliśmy w kominku.

– Znajdzie go pan później w którejś kieszeni – uspokoiła go Leonie. – Zawsze znajdowałam rachunki i zamówienia dam na wstążki, nici do haftowania i takie tam w kieszeniach fartucha Sophy, a niekiedy nawet w jej bieliźnie.

Swanton wytrzeszczył na nią oczy. Mimo nierównomiernego oświetlenia dało się zauważyć, że jego romantycznie blade oblicze pąsowieje.

– Dobra robota, madame – pochwalił Lisburne. – Bielizna pani siostry ukoi poetyckie nerwy mojego kuzyna.

Rysy Swantona rozluźniły się i parsknął śmiechem.

W teatrze gwar zaczął przycichać.

Lisburne wyjął z kieszeni zegarek.

– Chyba już pora – powiedział.

– Nie każmy im czekać – zgodziła się.

Wyszedł i krótko ją zapowiedział. Był pewien, że ani trochę się nie denerwowała. A jednak, kiedy schodził ze sceny, by na powrót skryć się w cieniu, zaobserwował w niej zmianę, gdy przygotowywała się, żeby stanąć przed widownią: nieznaczne uniesienie głowy, drobny ruch ramion.

Kiedy zajęła jego miejsce na środku sceny, na widowni zapadła absolutna cisza. Dokonała tego samą swoją obecnością, siłą osobowości, nie odezwała się bowiem ani słowem, nie wykonała żadnego gestu. Następnie dygnęła, co przywodziło na myśl ruchome dzieło sztuki lub taniec. Opadła w dół, a wstążki, kokardy i koronki zatrzepotały, mieniąc się w światłach ramp. Był to zaledwie dyg, wyraz uprzejmości wobec słuchaczy, a mimo to Lisburne usłyszał, jak ludzie wstrzymują oddech. I czemuż by nie? Był to najpiękniejszy dyg na świecie.

Gdy zaś się podnosiła, uśmiechnęła się tym swoim olśniewającym uśmiechem, a Lisburne przysiągłby, że jej niebieskie oczy błyszczą bardziej niż zwykle, jakby rozświetlane od środka tysiącem lamp.

Potem zaczęła mówić.

* * *

Później

Madame miała rację co do pogody, pomyślał Lisburne. Dzień wstał pochmurny i przytłaczająco gorący, ale późnym popołudniem zaczęło się przejaśniać. Gdy przed chwilą wyjrzał na zewnątrz, nocne niebo było tak czyste, na ile to było w ogóle możliwe nad Anglią, a duchota ustąpiła miejsca przyjemnej letniej temperaturze, jaką częściej spotyka się w poezji niż w realnym świecie.

Co do poezji, poszło nie gorzej niż zwykle. Podobnie jak w Nowym Zachodnim Ateneum, większość mężczyzn stała z tyłu, wielu ze splecionymi ramionami i brodami zwieszonymi na piersi, przysypiając na różne sposoby.

Młode damy natomiast pozostawały rozpaczliwie rozbudzone i słuchały go w absolutnym skupieniu. Światło lamp połyskiwało w mrowiu wzniesionych ku mównicy oczu wypełnionych łzami, kiedy Swanton recytował niskim, zbolałym głosem:

O! Dopierom widział ją, jak płynie, bogini w szarym
tłumie;
Miesięcy kilka – i pocałunek kładłem na jej całunie;
Nad jej grobowcem okazałym herb powiewał dostojnie;
Lecz jedna łza sympatii szczerej uczciła jej grób hojniej.

Wojownik głowę jakże pyszną nad jej mogiłą zwiesił,
Z warg żarliwych Etelindy imię spadło melodią pieśni –
Modlitwę szeptem zmówił, potem jęk zdusił, jęk
rozstania;
A grób opuszczając, rzekł: „Do rychłego naszego
spotkania”.

Lisburne także zdusił jęk, gdyż zakończenie wiersza powitała kolosalna cisza, tu i ówdzie zakłócana dławionym łkaniem. Później wybuchły brawa i trwały w nieskończoność, tak że pomimo rękawiczek dam ściany teatru drżały; fajerwerki Vauxhall będą musiały nieźle się natrudzić, żeby przebić hałas czyniony przez młode kobiety.

Jednakowoż nawet Lisburne przyznawał, że *Etelinda* zalicza się do bardziej przystępnych wypocin Swantona.

Nie żeby występ Swantona choć umywał się do tego w wykonaniu Leonie Noirot – którą to opinię Lisburne’a bez wątpienia podzielali

wszyscy dżentelmeni na widowni. Po druzgocącym dygu i uśmiechu przystąpiła do krótkiego, szokująco skutecznego apelu, na wstępie informując widzów, że wie, iż przybyli słuchać nie jej, lecz lorda Swantona. Mimo to w trakcie jej pięciominutowego wystąpienia słuchacze na przemian śmiali się i ronili łzy. Lisburne zauważył, że nawet ten cynik Crawford otarł łezkę z oka.

A to było tylko to, co mówiła. Pokazała również grupkę schludnie odzianych dziewcząt, próbkę beneficjentek jej organizacji. Przemowa oraz trzy chudziutkie sierotki, które wybrała, by reprezentowały „pokrzywdzone kobiety”, pozwoliły madame uzyskać rezultaty zbliżone do tych, jakie osiągnęła, kiedy Lisburne wszedł do sklepiku Stowarzyszenia.

Dziewczęta rozdały paski papieru do złożenia deklaracji i dostarczyły ołówki tym, którzy nie przynieśli ze sobą nic do pisania. Zebrawszy deklaracje do pięknie udekorowanych koszyków, sierotki przekazały je sekretarzowi Lisburne’a, Uttridge’owi. Usadowiony za kulisami, zapisywał kwoty w notesie. Kwestii finansowych lepiej było nie pozostawiać zawodnej pamięci wytwornego towarzystwa.

Na koniec Swanton musiał jeszcze wejść między widzów i przyjąć gratulacje tudzież poklepywania.

Nienawidził tego, bardziej nawet niż chwil tuż przed publicznym występem, spełnił jednak swój obowiązek. Takoż w duchu obowiązku Lisburne oparł się impulsowi, by uciec z teatru, aby obejrzeć popisy akrobatów, żonglerów i baletnic. Wysiedział całą przeklętą imprezę, drobne pocieszenie czerpiąc z faktu, że madame również nie może uciec.

Wkrótce wszakże część obowiązkowa dobiegnie końca, a wtedy…

Uśmiechnął się.

Miał plany, bardzo smakowite.

Leonie i pryncypałka zwołały oszołomione poezją podopieczne i prowadziły je do wyjścia, podczas gdy widzowie wezbrali ku lordowi Swantonowi. Kiedy Leonie dotarła do drzwi, drogę zastąpił jej lord Lisburne.

– Ach, tu pani jest, madame – powiedział. Skinął głową pryncypałce i dziewczętom. – Drogie panie. Wyśmienita robota.

Pryncypałka się rozpromieniła. Dziewczęta bawiły się koszykami, zbyt nieśmiałe, by podnieść na niego wzrok.

– Spisały się pięknie – przyznała Leonie. – Choć podejrzewam, że poezja wydawała im się nie w pełni zrozumiała, żadna nie ziewnęła, ani razu.

Dziewczęta popatrzyły po sobie z zażenowaniem.

– Ale bardzo ciekawie było widzieć wytworne damy i dżentelmenów, madame – powiedziała cicho jedna z nich.

– Chyba stać nas tego wieczoru na coś więcej niż mnóstwo zagmatwanej poezji – oznajmił lord Lisburne. – Madame, jeśli będzie pani łaskawa udzielić pozwolenia, pan Simpson chciałby zabrać pryncypałkę i te ciężko pracujące dziewczęta na wycieczkę po ogrodach. Ach, oto i on, jak na zawołanie.

Na salę wszedł właśnie dżentelmen o staroświeckim wyglądzie, mniej więcej sześćdziesięcioletni, trzymając cylinder wysoko nad głową i kłaniając się w sposób, który stał się słynny za sprawą niezliczonych karykatur. Dzięki temu nawet Leonie rozpoznała sławnego mistrza ceremonii z Vauxhall, pana C.H. Simpsona.

Okrucieństwem byłoby odmówić dziewczętom tej rozrywki – o czym Lisburne, podły manipulator, doskonale wiedział – i Leonie nie miała serca protestować, ani też zresztą dobrej wymówki, by to zrobić, poza irytacją na Lisburne’a, że zorganizował coś dla dziewcząt za jej plecami. Jednak nawet gdyby miała wymówkę, nie zdążyłaby dojść do słowa, bo pan Simpson rozpoczął już jedną ze swych kwiecistych mów powitalnych.

Moment później oddalał się, prowadząc pryncypałkę i dziewczęta.

I cóż Leonie mogła na to rzec? Słynny mistrz ceremonii z Vauxhall zabierał dziewczęta na wycieczkę po jednym z najbardziej magicznych miejsc w Londynie. Ukłonił się im. Dzięki niemu poczuły się jak księżniczki. To będą najwspanialsze chwile w ich krótkim, nędznym życiu.

Podniosła wzrok na Lisburne’a.

– Dziękuję – powiedziała.

– Proszę nie być niedorzeczną. Wie pani, że zrobiłem to z ukrytych, samolubnych pobudek.

– Dla nich to bez znaczenia. Nawet pryncypałka będzie zachwycona.

– Mniejsza o nie. Teraz nie jest pani z a j ę t a. Przetrwaliśmy godzinę przedwczesnych rymowanych zgonów kwiatów i ptaków, młodzieńców i dziewcząt. Pora na…

– Jak pan mógł? – Ponad gwar za ich plecami wybił się kobiecy głos. – Jak pan mógł być tak nieżyczliwy, nie, tak o k r u t n y, milordzie? Po tym

wszystkim, co dla siebie znaczyliśmy, porzucić mnie… i nasze dziecko?

Leonie rzuciła Lisburne’owi zaskoczone spojrzenie, które odwzajemnił. Potem zgodnie odwrócili się ku wnętrzu teatru.

– Dlaczego muszę tak się poniżać? – ciągnął głos. – Czy nie wystarczy, że oddałam panu najcenniejszy dar każdej kobiety?

Publiczność, częściowo już wychodząca, przystanęła. W następnej chwili wszyscy zdążali, niepowstrzymanie jak fala przypływu, w kierunku, z którego dobiegał kobiecy głos.

– Niech mi pan powie, że nie pamięta tych pięknych tygodni w Paryżu. Czy możliwe, że zapomniał pan wszystko, co wtedy mówił, wszystko, czym byliśmy dla siebie nawzajem? Czy nasz wspólny czas zniknął z pana myśli jak śmieci zmiecione po hucznym przyjęciu?

Kobieta ciągnęła w tym tonie, podczas gdy Leonie i lord Lisburne usiłowali przecisnąć się między stłoczonymi widzami.

Leonie miała łatwiejsze zadanie, gdyż wkroczyła w tłum w miejscu, gdzie zebrali się mężczyźni, ci zaś ustępowali jej z drogi. Nikt nie musiał podchodzić bliżej, żeby słyszeć kobietę. Jej głos niósł się po całym teatrze i – zapewne – przez otwarte drzwi do ogrodów.

Kiedy jednak Leonie zbliżyła się do centrum wydarzeń, natrafiła na grupkę młodych dam, które częściowo zasłaniały jej widok. Na szczęście nie stały nieruchomo. Kiedy trącały się łokciami lub wspinały na palce i zmieniały pozycję, żeby lepiej widzieć, pomiędzy ich wyszukanymi fryzurami i trzepoczącymi wachlarzami Leonie uchwyciła kilka mignięć ubranej na czarno, sponiewieranej blondynki. Bonet ześlizgiwał jej się z głowy.

– Obiecał pan! – krzyknęła kobieta w czerni. – Na zawsze, tak pan mówił. A mimo to porzucił mnie pan, chociaż wiedział, że jestem… – Urwała, wywijając się komuś, kto próbował ją odciągnąć.

Leonie łokciami utorowała sobie drogę na lepsze stanowisko, obok starszej damy i dziewczyny ewidentnie będącej pod jej pieczą.

Zawodząca kobieta uczepiła się pół fraka Swantona, a teraz właśnie opadała na ziemię w błagalnej pozie.

Nie lada wyczyn akrobatyczny, biorąc pod uwagę, że jednocześnie trzymała za rączkę dziecko, które rozpaczliwie płakało.

– Szanowna pani, nie znam pani, ale… – zaczął Swanton.

– Nie zna mnie! Nie zna mnie! Byliśmy dla siebie w s z y s t k i m! A oto i pańska córka, jak skóra z pana zdjęta!

Dziewczynka, w wieku Lucie lub nieco młodsza, miała jasną karnację. Podobnie jak jej matka. Podobnie jak liczni Anglicy i Angielki. Leonie nie miała najmniejszych złudzeń, że scena ta równie dobrze mogła być fałszem, jak i prawdą. Jakkolwiek było, została dobrze odegrana i trafiła chyba w najgorszy możliwy moment.

Panna Noirot nie musiała poznawać prawdy, żeby dostrzec nadciągającą katastrofę – dla Stowarzyszenia, dla butiku. I dla Swantona także, niech go diabli.

– No, no, szanowna pani, dosyć już tego – rozległ się w pobliżu stanowczy głos.

Nie należał do Lisburne’a – ten nadal usiłował przecisnąć się między stłoczonymi damami. To był inny dżentelmen, który wydał się Leonie mgliście znajomy. Przepychał się przez tłum jak policjant albo żołnierz i kobiety ustępowały mu z drogi, acz nie bez wymienianych między sobą okrzyków na temat jego braku ogłady, smutnego faktu, że Vauxhall schodzi na psy, i kim mu się wydaje, że jest.

Zignorował te skargi i podszedł prosto do blondynki.

– Proszę posłuchać – rzekł. – Żarty żartami, ale to już przesada.

– Żarty! – wrzasnęła kobieta. – Pohańbienie! Porzucenie! Żarty!

Mężczyzna chwycił ją za łokieć i powiedział coś, czego Leonie nie dosłyszała. Kobieta jakby oklapła, znużona. Puściła frak Swantona i wstała. Nadal łkając i zataczając się lekko, jak ktoś emocjonalnie wyczerpany, dała się wyprowadzić nieznajomemu dżentelmenowi. Zawodzenie dziecka przeszło w pochlipywanie, kiedy dziewczynka pośpiesznie dreptała za dorosłymi.

W trakcie całej sceny wśród widzów panowała względna cisza. Niektórzy oniemieli z wrażenia, inni z zachwytu na myśl o tym, jaką pikantną historyjkę opowiedzą przyjaciołom. Potem zaczęły się szepty jak wiatr przelatujący ze świstem przez teatr. Narastały do podekscytowanego pomruku.

Starsza kobieta obok Leonie ujęła swoją podopieczną pod ramię, mamrocąc:

– To haniebne. Nie zostanę tu ani minuty dłużej.

Nie zważając na błagania dziewczyny, wyprowadziła ją z sali.

Leonie także wyszła.

* * *

Zakończenie tej sceny wprawiło Lisburne’a w nie mniejsze osłupienie niż pozostałych widzów.

Theaker? Nadciągający Swantonowi na ratunek?

Theaker? Który zaprowadzał pokój, zamiast podżegać?

Później zaczęły się szepty. I stawały się coraz głośniejsze, prędko spychając osobę Theakera na dalszy plan.

– Słyszała pani, co mówiła?

– Pijaczka. W ogóle nie powinni byli jej tu wpuścić.

– To na pewno jakiś figiel. Ktoś tak wyobraża sobie żart. W bardzo złym guście, muszę powiedzieć.

– Da pani wiarę? Rozwodzi się nad pokrzywdzonymi kobietami, a porzuca tę, którą sam skrzywdził, nikczemnik… zmuszając ją do walki o przetrwanie, własne i jego biologicznego dziecka.

– Szokujące! Ale to moja wina. Ledwie zobaczyłam na scenie tę osobę… jak baletnica!… zaraz nabrałam podejrzeń. Powinnam była natychmiast cię wyprowadzić. Stowarzyszenie dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet, dobre sobie!

– Ale mamo, to na pewno jakaś pomyłka. Słyszałam, jak ktoś mówił, że ta kobieta była pijana.

– Nie ma dymu bez ognia.

– Że też mają czelność prawić nam kazania, żeby zebrać fundusze, kiedy ten tam pozwala, żeby jego rodzone dziecko chodziło na żebry, obmierzły hipokryta!

I tak oto młyny eleganckiego świata zaczęły ścierać na pył reputacje – Swantona, Leonie Noirot i samego Stowarzyszenia dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet.

Lisburne zdusił gniew. Z chęcią by kogoś uderzył, ale na tym polegał problem z tego rodzaju epizodami: brakowało odpowiedniego celu.

Kiedy widzowie pojęli, że przedstawienie dobiegło końca, ruszyli szybko do wyjścia. Naturalnie, nie mogli się doczekać, żeby podzielić się wieściami.

Gdy zbite grupki kobiet stopniały, Lisburne dotarł wreszcie do Swantona.

– Nie ma czasu, żeby to teraz naprawiać – powiedział. Nie zdołają także dopaść Theakera i tej kobiety. Do tej pory ci dwoje dawno zniknęli. – Lada moment wchodzą żonglerzy. Musimy stąd wyjść.

Swanton popatrzył mu w oczy.

– Ale czy to się w ogóle da naprawić? – spytał. – Jest inaczej niż z listami. Mówiła o tamtym roku w Paryżu. Pamiętasz, w jakim byłem stanie. Tamte tygodnie mieszają mi się w głowie. – Potarł czoło. – Simonie, a jeśli to prawda?

– Wówczas będziemy musieli wszystko wyprostować – rzekł Lisburne. – Na wielu frontach. Stowarzyszenie. Maison Noirot.

Swanton cofnął się, jakby otrzymał cios.

– Dobry Boże, zapomniałem. Nie tylko ja, prawda? Madame. Jej dziewczęta. I dla nich to gorzej, czyż nie? To jakiś koszmar.

– Tak. – Lisburne się rozejrzał. – A ja gdzieś zgubiłem madame.

* * *

W przykuwającej wzrok kreacji Leonie miała trudne zadanie, jeśli nie chciała zwracać na siebie uwagi. Z drugiej strony, była DeLucey i Noirot. Dopóki ciotka Emma nie przejęła kontroli, rodzice Leonie pozwalali swoim dzieciom biegać samopas po ulicach, gdzie uczyły się nie do końca uczciwych metod podążania przez życie. Doświadczenie to, choć o ograniczonym zakresie, okazało się nader kształcące.

Leonie wiedziała na przykład, jak się zachowywać, żeby nie przyciągać spojrzeń.

Wiedziała, jak odsuwać od siebie wszelkie podejrzenia. A jeśli w tej chwili z chęcią by kogoś zamordowała, nikt nie odgadłby tego, patrząc na nią.

Tak czy inaczej, nie ustaliła jeszcze, kogo należy zabić.

Podążała za swoją zwierzyną krytą aleją obok placu gotyckiego i dalej, przez wyjście od strony Kennington Lane.

Przez cały ten czas dżentelmen zdawał się spierać z kobietą, a dziecko raz po raz na nowo uderzało w płacz.

Groził, że uda się do władz, czy krytykował przedstawienie?

Kiedy dotarli w pobliże miejsca postoju powozów, wyglądało na to, że się kłócą, a dżentelmen wykonał gest, jakby zamierzał kobietę gdzieś zawlec. Potem rozejrzał się po ulicy New Bridge. Moment później z gromady pojazdów na placu oderwała się dorożka. Dżentelmen zamachał na nią.

Leonie zaklęła bezgłośnie. Powinna umieć ocenić, czy oglądała prawdę, czy mistyfikację, ale okoliczności jej nie sprzyjały. Dramatyczna scena rozegrała się tak nieoczekiwanie. Jakkolwiek Leonie świetnie czytała z ludzkich twarzy i jeszcze sprawniej rozpoznawała oszustwa i kuglarskie sztuczki, w teatrze nie miała okazji, by dobrze się im przyjrzeć. A teraz trwała w niepewności, którego to stanu nienawidziła.

Może scena w teatrze była dokładnie tym, na co wyglądała, a ten mgliście znajomy dżentelmen należał do grona przyjaciół Swantona i dyskretnie zajął się przykrym nieporozumieniem. Może ta kobieta była pijana lub obłąkana. Może dżentelmen zabierał ją do najbliższego sędziego pokoju. Może ostrzegał ją lub przekupywał, żeby dała spokój.

Może, może, może.

Nie żeby to, jak przedstawia się prawda, robiło choć minimalną różnicę, napomniała się Leonie. Szkoda już się stała. Będzie musiała obmyślić sposób, by jej zaradzić – przy czym aktualnie nie miała bladego pojęcia, jak tego dokona. Radzenie sobie ze skandalami było domeną Sophy. Ale nawet Sophy nie zaplanowałaby kontrataku, nie dysponując choćby przypuszczeniami co do tego, jak w rzeczywistości mają się sprawy.

Dlatego Leonie podążyła za tym trio. Nie miała gwarancji, że czegokolwiek się dowie, założyła jednak, że będzie to bardziej produktywne niż atak na Swantona i rozszarpanie poety na kawałki.

Została więc. I obserwowała.

Potem, wreszcie, dorożka zatrzymała się i Leonie go zobaczyła.

* * *

Słońce zaszło, księżyc zaś jeszcze nie wstał, ale Ogrody Vauxhall iluminowały tysiące świateł. Sceneria była tak poetycka i romantyczna, jak tylko Lisburne mógłby sobie zażyczyć – i po niedawnych wydarzeniach kompletnie bezużyteczna.

Stał przy jednym z placów, nieuważnie słuchając, jak dwaj wieloletni przyjaciele Longmore’a, Crawford i Hempton, spierają się o to, czy Theaker usiłował wkraść się w łaski Swantona, czy też znów postanowił go dręczyć.

Tymczasem Leonie zniknęła.

Przeszukawszy szybko teatr, Lisburne pospieszył tutaj, skąd widział wyjście. Nie opuściłaby ogrodów bez swoich dziewcząt, co do tego nie miał wątpliwości, toteż posłał przyjaciela, żeby się nimi zaopiekował. Obecnie pozostało mu tylko pilnować tego zakątka ogrodów.

Zastanawiał się właśnie, czy dobrze postąpił, wysyłając Swantona, by zapolował na Leonie, zamiast wyekspediować go do domu, kiedy, spojrzawszy po raz setny w stronę wyjścia, zobaczył ją.

Zbliżała się w swoim zwykłym stylu – z wdzięcznym trzepotem wstążek i kokard, z niezachwianą pewnością siebie – ale coś w jej sposobie poruszania się wywołało w nim wrażenie, że chce go zaatakować.

Naturalnie przeszedł do ofensywy, ruszając jej na spotkanie.

– Gdzie się pani, u diaska, podziewała?!

– Za kulisami.

– Nie było pani nigdzie w pobliżu sceny. Sprawdzałem. Szukałem wszędzie i to samo kazałem robić Swantonowi, żeby oderwać jego myśli od tego okropnego zajścia.

– Proszę mnie nie strofować. Niech pan nie odgrywa nadopiekuńczego amanta, ponieważ…

– Nadopiekuńczego! Amanta!!!

– Taki popis zaborczości zapewne bezustannie wprawia w zachwyt inne kobiety, ale nie mnie – oświadczyła. – Nie jestem w nastroju, żeby ktoś nade mną dominował, rozstawiał mnie po kątach i prawił kazania. Zdaję sobie sprawę, że opiekuńczość leży w pana naturze…

– Z całą pewnością nie!

– Proszę nie opowiadać niedorzeczności. Robi pan z siebie pretorianina lorda Swantona i próbuje myśleć za niego, jakby był niedorozwinięty umysłowo. Nie zaobserwowałam żadnych oznak takiego stanu rzeczy. Wydaje mi się całkowicie normalnym, zdrowym mężczyzną… któremu na pewno nie brak jurności, jeśli słowa tamtej kobiety są prawdą.

– Do diaska, nie wie pani nic o… – Urwał, gdyż zaczęto na nich spoglądać. – Nie możemy stać tutaj i się kłócić… a już z pewnością nie na

temat j u r n o ś c i Swantona. – On zaś musiał się uspokoić. – Rozumiem, że jest pani zdenerwowana – podjął bardzo, bardzo spokojnie. – Ma pani ku temu więcej niż dostateczny powód. Ale czy możemy przedyskutować tę kwestię w mniej publicznym miejscu? Crawford i Hempton gapią się na nas i usiłują w miarę dyskretnie przysunąć się bliżej.

Posłała Crawfordowi i Hemptonowi oszałamiający uśmiech, a ci dwaj zatwardziali hultaje i hazardziści zrobili zmieszane miny. Odwrócili się w pośpiechu i zaczęli z ożywieniem rozmawiać.

– O niczym w tej chwili nie dyskutujemy – powiedziała. – Muszę znaleźć dziewczęta i odesłać je do domu, zanim jakiś dowcipniś postanowi upokorzyć je blamażem Swantona. Ktoś na pewno uraczy je upiornymi dwuznacznikami, których nie zrozumieją. Ale można oczekiwać również bardziej oczywistych i obscenicznych żartów. Musimy je stąd zabrać.

– Wysłałem za nimi Geddingsa – rzekł, mając na myśli jednego z licznych adoratorów kuzynki Clary. – Zna trasy Simpsona. Ponieważ poruszają się zgodnie z ustalonym schematem, w miarę łatwo ich odnajdzie. Co równie ważne, Geddings jest potężnym mężczyzną, znanym z zabójczych ripost. Z nim na straży i talentem Simpsona do odpędzania kłopotów pani dziewczęta będą cieszyć się tym wieczorem bez przeszkód. O jedno zmartwienie mniej.

Przyglądała mu się beznamiętnie.

– Kelner trzyma dla nas lożę na kolację – podjął. Musiał go w tym celu przekupić. Wskazał jej kierunek. – Tędy, jeśli będzie pani tak łaskawa, madame. I tak, wiem, że nie zasługuję na łaskawość, liczę jednak na pani wielkoduszną naturę.

Spojrzała na niego odrobinę bardziej zachęcająco.

– Zdaję sobie sprawę, że wolałaby pani nie być ze mną widziana – zaczął.

– Wprost przeciwnie, lubię pokazywać się z panem. W zestawieniu z pańskim strojem moje kreacje prezentują się korzystniej. Wybrałam tę suknię, zauważyłam bowiem, że pański lokaj często preferuje odrobinę zieleni, żeby podkreślić pańskie oczy: szmaragdowa szpilka do halsztuka albo zielona kamizelka czy haft. To bardzo wygodne, gdyż rudowłose dobrze wyglądają w zieleniach i żółciach, w których to kolorach niewielu innym kobietom jest do twarzy.

Wychwycił w jej głosie drżenie. Była wściekła. I czemuż by nie?

– Dziękuję – powiedział. – Moje upokorzenie stało się pełne.

– Pańskie?! Moje dziewczęta wystawiono na p-pośmiewisko. Mój butik być może n-nigdy się nie podźwignie…

– Naprawię to, obiecuję. Jest pani zdenerwowana. Ma pani powód. Proszę mnie nienawidzić do woli. I Swantona także. Muszę jednak nalegać, żeby nienawidziła nas pani w mniej publicznym miejscu. Błagam też, żeby pani coś zjadła i wypiła. Drży pani.

– Z furii – odparła. Uniosła brodę i na chwilę zacisnęła oczy.

– Powinna pani usiąść. Powinna pani się czegoś napić.

– Nie.

Pchnął ją lekko.

– Tam – rzekł. – Proszę mnie nie zmuszać, żebym panią zaniósł.

* * *

Gdyby Lisburne wziął ją na ręce, z pewnością rozpadłaby się na kawałki.

Leonie pozwoliła ująć się pod ramię i zaprowadzić do loży.

Usiadła, próbując odzyskać zimną krew – zdumiona, że w ogóle ją straciła – podczas gdy Lisburne składał zamówienie.

Ledwie odszedł kelner, zjawił się lord Swanton. Natychmiast rzucił się ją przepraszać.

Uniosła dłoń.

– Nie – powiedziała. – Ani słowa.

Popatrzył na lorda Lisburne’a.

– Siadaj – polecił markiz. – Ani słowa.

Poeta usiadł. Wyglądał żałośnie.

Ale cóż ją to obchodziło? Dla niego była to przejściowa dolegliwość, na którą jego prawnicy zaaplikują niezawodne lekarstwo: pieniądze. Dla niej i jej dziewcząt była to katastrofa.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Niczego pan nie podejrzewał?

Swanton pokręcił głową.

– Przysięgam…

– Nic nie sugerowało, że może pan zostać pociągnięty do odpowiedzialności na forum publicznym? – dociekała. – Ponieważ przypominam sobie jedną lub dwie wzmianki o pańskich problemach

z kobietami w „Porannym Zwierciadle”. Ani przez moment nie zaświtało panu w głowie, że może chodzić o ostrzeżenia, a nie zwykłe rozsiewanie plotek o kim popadnie?

Swanton skubnął nasadę nosa.

– Nie wiem. Proszę spytać Lisburne’a. Niemal codziennie dostaję listy od osób, które twierdzą, że obiecałem im to czy tamto, z małżeństwem włącznie.

– Ale to były albo typowe listy błagalne, albo nieudolne próby szantażu – wyjaśnił Lisburne. – Autorzy zdawali się nieświadomi faktu, że Swanton dopiero niedawno przybył do Londynu. Nie byłby w stanie zbudować „więzi”, przy jakich obstawali. Albo do kogokolwiek się zalecać. Nie miał na to czasu. Mogę za to poręczyć.

– Zatem ta kobieta kłamie? – spytała Leonie. – To było przedstawienie mające pana zdyskredytować, nic więcej?

Lord Swanton popatrzył na kuzyna.

– Która odpowiedź jest prawdziwa? – naciskała Leonie. Miała ochotę krzyczeć, ale przyciągnęli już nazbyt wiele uwagi. – Stowarzyszenie w najlepszym razie straciło tego wieczoru sto funtów deklarowanych datków, ponieważ przez skojarzenie z panem momentalnie zostałyśmy zbrukane. Nie mogę temu przeciwdziałać, nie znając prawdy.

– Kochana, obiecuję… – zaczął Lisburne.

– Nie – weszła mu w słowo. Żadnych „kochana”. Nie teraz. Nigdy. – Z tego samego powodu jest więcej niż prawdopodobne, że stracę klientki. Naprawienie szkód zajmie mi całe tygodnie, jeśli nie miesiące. Panowie dżentelmeni mogliby więc przynajmniej udzielić mi uczciwej odpowiedzi.

– Chciałbym – rzekł lord Swanton. – Kłopot w tym, że nie wiem.

Rozdział 9

Tysiąc w mężczyźnie defektów znajdziemy –
Zalety wszelkie rzadką są zdobyczą;
Niestałym i niemiłym go nazwiemy;
Fałsz i niedyskrecja o głos w nim krzyczą;
Kapryśny, zazdrosny, sam żąda swobody;
Próżny, nieszczery, a z wielkim ego;
Lecz któraż z kobiet nie wyrazi zgody,
By z braku lepszego – dać jej choć tego.
A.A., „The Literary Gazette” (1818)

Choć raz Leonie Noirot nie ukrywała swych emocji.

Choć raz na jej twarzy odbiły się uczucia, a Lisburne doskonale je rozumiał.

Wpatrywała się w Swantona z jawnym niedowierzaniem.

– Ta dziewczynka – rzekł Swanton. – Kobieta powiedziała, że nie ma jeszcze pięciu lat. Powiedziała, że to się zdarzyło w Paryżu. Mogło się zdarzyć.

– Mogło – powtórzyła.

– On nie pamięta – wyjaśnił Lisburne. – I próżny trud zmuszać go, żeby sobie przypomniał.

– Twierdzi pan, że doznał amnezji? – spytała. – Ponieważ, jeśli nie… – Na moment zamknęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, maska wróciła na swoje miejsce. – Niełatwo mnie zaszokować, milordzie. – Głos miała teraz nieomal spokojny. – Mimo to przyznaję, że jestem odrobinkę zaskoczona. Czy w tamtym czasie w Paryżu w pańskim życiu było tyle kobiet, że stracił pan rachubę?

Swanton się zaczerwienił.

Nie było rady. Zacznie tylko coś niewyraźnie bełkotać. Obowiązek wyjaśnień spadnie na Lisburne’a, jak zawsze.

– To był trudny okres – zaczął. – Po…

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, lady Aldo – nadpłynął z niedaleka znajomy kobiecy głos. – Aż do tej pory sądziłam… tak w każdym razie

mawia mój papa generał, a jak wszyscy wiemy, on zawsze ma rację… ale o czym to ja mówiłam? Ach, tak, aż do tej pory sądziłam, że w naszym najwspanialszym z wielkich narodów człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy.

Wszyscy przy stole Lisburne'a umilkli.

Rumieniec na twarzy Swantona zbladł, a na jego czole zarysowała się zmarszczka koncentracji, zwykle towarzysząca procesowi twórczemu.

– Tak, oczywiście, wszystko jest możliwe lub przynajmniej niektórzy będą w to wierzyć – ciągnęła Gladys. – Ludzie wierzą także w chochliki. Być może nie była pani świadoma, moja droga, że Vauxhall nieustannie przyciąga dziwne indywidua, zwłaszcza te rozpaczliwie zabiegające o uwagę. Był taki jegomość… Jakże on siebie nazywał? Wielki coś tam. Co też to było? Chyba z dziesięć lat temu. Czytałam o tym w jednej z książek pana Hone'a. Wie pan, o kogo mi chodzi, panie Bates?

Odpowiedział jej męski głos. Nie Bates. Flinton? Ten bojaźliwy typ, terroryzowany przez stryjeczną babkę? Rozmawiał z G l a d y s?

Swanton odwracał głowę na wszystkie strony, usiłując zlokalizować rozmówców.

Wydawało się, że głosy dobiegają zza ich loży, ale Lisburne nie miał pewności. Wokół panował spory gwar. I grała orkiestra. Kuzynka tak naprawdę nie mówiła głośniej niż pozostali. Po prostu jej głos niósł się czy też osiągał wysokie tony, jak u śpiewającego ptaka.

Co, trzeba przyznać, było dziwną wizją w zestawieniu z Gladys.

– Tak, dziękuję, lordzie Flinton – powiedziała. – Ariel. O ten przydomek mi chodziło. Niekiedy stylizował się na Wielkiego Nieznajomego, jak pan mówił. Wierzył, że jego piękno nie znajduje sobie równych na świecie. Paradował dokładnie tam, wśród publiczności, przed orkiestrą, rozdając bilety wizytowe i rzucając widzom wyzwanie, by zaproponowali kogoś, kto mógłby się z nim mierzyć.

Tym razem odpowiedział Bates. Następnie powiedziała coś lady Alda Morris.

Gladys się roześmiała.

– Na pewno byłoby to zabawniejsze – stwierdziła. – I niech pani tylko pomyśli, moja droga, jaka mina zagościłaby na jego pięknej twarzy, gdybym tam wtedy była i podjęła wyzwanie!

Do rozmowy włączył się kolejny męski głos. Osobnik wypowiedział ledwie dwa słowa, zbyt mało, żeby Lisburne go rozpoznał.

Głosy zaczęły się oddalać.

Swanton poderwał się z miejsca, tocząc wkoło dzikim wzrokiem.

– Gdzie ona jest? – zapytał. – Ten głos!

– To tylko Gladys – rzekł Lisburne. – Szkoda, że nie mogła zostać aktorką. Mówi tak…

– To ona? Ten głos!

– Tak, doskonale słyszalny – zgodził się Lisburne.

– Muszę ją znaleźć!

– Zalecałbym, żebyś tego nie robił.

– Broniła mnie!

– Bez wątpienia jedynie po to, by dokuczyć lady Aldzie. Stań z Gladys twarzą w twarz, a ryzykujesz, że obierze sobie ciebie za cel swojego dowcipu. Ostrzegam: potrafi wbić szpilę.

– Więc niech się na mnie wyżyje – oznajmił Swanton. – Niemal marzę, żeby ktoś to zrobił.

I odszedł.

Leonie odprowadziła go wzrokiem.

– Czy on oszalał? – zapytała.

– Jest zdenerwowany – wyjaśnił Lisburne. Wstał. – Niemądrze puszczać go samego. Jest całkowicie rozkojarzony.

Machnęła dłonią w rękawiczce.

– Niech pan idzie – powiedziała. – Nie zatrzymuję pana.

Ona także była zdenerwowana, choć dobrze to ukrywała.

Spojrzał w ślad za Swantonem, a potem znów na nią.

– Lepiej niech pani pójdzie ze mną. Nie może pani zostać tutaj sama.

Uśmiechnęła się chłodno.

– Wątpię, bym długo pozostawała sama.

Nazbyt prawdziwe. Co najmniej setka obecnych tu tego wieczoru mężczyzn z radością zajmie jego miejsce. Może dwie setki.

Usiadł ponownie.

– W takim razie do diabła z nim!

– Nie sądzę, by stała mu się krzywda – stwierdziła. – Jeśli chce porozmawiać z lady Gladys, będzie musiał przedrzeć się przez otaczający ją

tłumek wielbicieli. Być może inne sprawy nie pozwoliły panu zauważyć, jak wielu dżentelmenów jej towarzyszyło.

– Doliczyłem się jedynie trzech męskich głosów. Były z nią również lady Alda i Clara. Ci trzej mężczyźni mogli zabiegać o względy którejkolwiek z nich.

– Jutrzejsze „Zwierciadło” nam powie. To znaczy, jeśli zostanie im miejsce po tym, jak rozgromią lorda Swantona, Maison Noirot i Stowarzyszenie.

Choć mówiła spokojnie, wychwycił w jej głosie ukryte nuty gniewu i żalu.

– Wynagrodzimy to pani – rzekł. – Daję pani moje słowo.

– To i Botticelli, jeśli łaska.

Szukał odpowiedzi, kiedy rozejrzała się, a później nachyliła, rozsiewając wokół siebie kuszący zapach lawendy i Leonie. To nie przyspieszyło działań Wydziału Inteligentnych Ripost.

– On nie pamięta? – zapytała z niedowierzaniem, ściszając głos.

Lisburne nachylił się ku niej, uważając, żeby nie nadziać się na wyrastające z jej fryzury cuda.

– Był wtedy w rozpaczy – odrzekł równie cicho. – Po śmierci mojego ojca. – Z trudem dobywał z siebie kolejne słowa. Nienawidził mówić o tamtym okresie. – Po przybyciu do Paryża szukaliśmy ucieczki od rzeczywistości na sposób typowy dla młodych mężczyzn. Swanton nie ma wytrzymałości do rozpusty. Pochorował się. Kiedy wyzdrowiał, pamiętał jedynie fragmenty minionych tygodni.

Znów odchyliła się na oparcie. Opuszkami palców dotknęła skroni.

– Wiem, że to brzmi niedorzecznie – dodał. – W najlepszym razie. Będzie się pani zdumiewać głębią naszej deprawacji.

– Kiedy chodzi o mężczyzn, rzadko cokolwiek mnie zdumiewa.

– Postawiliśmy sobie za cel absolutną rozwiązłość. Zaczęliśmy od udziału w pewnego typu zamkniętych przyjęciach, obfitujących w hazard, alkohol, opium i kobiety… drogie kobiety. Dwa tygodnie takiego życia prawie nas zabiły. Może to opium uszkodziło mu pamięć. A może po prostu taki już jest. Jego umysł przypomina wzburzony ocean i niektóre rzeczy toną w nim, opadając na samo dno, jak statki zagubione podczas sztormu.

– Wydawałoby się jednak, że będzie pamiętał, choćby jak przez mgłę, że uwiódł niewinną młodą kobietę – stwierdziła.

– Zwłaszcza że to tak obce jego naturze – uzupełnił. – Mogło się to zdarzyć jedynie w trakcie tamtych dwóch tygodni, a trudno mi sobie wyobrazić, gdzie i kiedy miałby w tamtym okresie spotkać jakąkolwiek niewinność.

– Ale tego nie w i e m y. Nie zakwestionuję wiarygodności tej kobiety, dopóki nie będę absolutnie pewna. Zbyt wiele kobiet skończyło w Stowarzyszeniu albo na ulicy, ponieważ wina zawsze leży po ich stronie. A teraz może się okazać, że żadne Stowarzyszenie im nie p… pomoże.

Był przerażony. Nigdy nie widział jej do tego stopnia załamanej czy choćby zbliżającej się do takiego stanu. Przypomniał sobie jej pewność siebie, grację, z jaką zawładnęła sceną, to, jak trzymała widownię w szachu, promienny wyraz jej twarzy, kiedy wróciła za kulisy, przekonana o swym triumfie.

W jednej chwili straciła wszystko, co osiągnęła.

Nie, szkoda sięgała znacznie dalej niż zniweczenie osiągnięć tego wieczoru. Sprawdził wcześniej Stowarzyszenie dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet. Wiedział, kiedy zostało założone i na jakiej zasadzie je wspierano. Wiedział, że ona i jej siostry wkładały w nie pieniądze, kiedy butik nie przynosił zbyt wiele. Pamiętał, jak podzieliła się z nim nadziejami na powiększenie siedziby o sąsiedni budynek. Jeśli zniknie wsparcie, które zdobywały z takim mozołem, mogą utracić wszystko, co do tej pory osiągnęły. A jeśli butik straci klientów…

W tej chwili nie było sensu analizować wszystkich „jeśli”. To był koszmar, jak powiedział Swanton, przy czym poeta nie znał nawet połowy prawdy.

– Rozwikłam tę sprawę – rzekł Lisburne. – Obiecuję. Będzie dobrze.

Odwróciła się od niego, mrugając, i zaśmiała się krótko.

Wówczas pojawił się kelner z ich kolacją.

* * *

Przybycie kelnera gwałtownie przywołało Leonie do rzeczywistości.

Podniosła wzrok i zobaczyła, za nim i wszędzie wokół, świat jak z bajki. Gwiazdy migotały na niebie, światła – między drzewami i na kolejnych budynkach. Kiedy szli zadaszoną ścieżką do loży, widziała pawilon

orkiestry z wielokolorowymi lampami, konstrukcję jakby przeniesioną za sprawą czarów z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Dobiegały stamtąd dźwięki muzyki. Grała orkiestra, ludzie tańczyli. To nie byli jacyś domorośli grajkowie albo uliczni kataryniarze.

Dziewczęta usłyszą dziś prawdziwą muzykę, być może po raz pierwszy w życiu. Zobaczą także cuda Vauxhall: malowidła i rzeźby, gotycką i chińską świątynię, fontannę z orłem i podmorską grotę, pustelnika przepowiadającego przyszłość, żonglerów, tancerzy i akrobatów. I fajerwerki. A przede wszystkim były to ogrody, piękne miejsce na świeżym powietrzu zamiast brudnych ulic i obskurnych pokoików.

Pomyślała o ciasnym budynku, który ona i jej siostry z takim trudem przekształciły w wygodny dom dla niechcianych dziewcząt. Pomyślała o ciotce Emmie, która byłaby taka dumna z ich dokonań. Na piersi zaległ jej nieznośny ciężar.

Przyglądała się, jak Lisburne zdejmuje rękawiczki. Z jakiegoś powodu na widok jego obnażonych arystokratycznych dłoni zebrało jej się na płacz.

Wbiła wzrok w jedzenie na talerzu i zdjęła rękawiczki, choć wątpiła, czy przełknie choć kęs.

– Kiedy ostatnio pani jadła? – zapytał Lisburne.

– Około trzeciej – odparła. – Zamierzałam zjeść coś przed przyjściem tutaj, ale byłam za bardzo… za bardzo… – Przełknęła ślinę. – Podekscytowana. – Zamrugała. – Taka szansa.

Spoglądał na nią przez chwilę z wyrazem napięcia na twarzy.

– Naprawię to – powiedział. – Obiecuję. Ale musi pani coś zjeść. Proszę spojrzeć. – Odkroił kawałek szynki na swoim talerzu i przytrzymał w górze. – Szynka z Vauxhall cieszy się zasłużoną sławą. Jest tak cienka, że pomyśli pani, iż to niemożliwe, by spożywała pani jakieś ohydne mięso. Nie, pomyśli pani, że chłonie lekkie jak pajęczyna słodycze będące dziełem wróżek.

Udatnie naśladował Swantona w jego najbardziej żarliwych i dramatycznych uniesieniach, tak że nie zdołała powstrzymać śmiechu. Mimo to ciężar pozostał i przerażała ją wizja, że zaraz się rozpłacze.

Nie myśl o jutrze, powiedziała sobie. Nie myśl o porażce. Grałaś już gorszymi kartami. Jak wszyscy Noirotowie i DeLuceyowie.

Ale czuła się już tak zmęczona rozgrywaniem złych kart. Tak zmęczona traceniem wszystkiego i zaczynaniem na nowo. Przy czym nie miała

pewności, czy Marcelline i Sophy pomogą jej teraz zacząć na nowo.

– Mniejsza z tym – rzekł. – Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej: dość już się pani wycierpiała jak na jeden wieczór. Zabiorę panią do domu.

* * *

Lisburne zapłacił za ich niezjedzoną kolację i zabrał ją stamtąd. Była zbyt przybita, żeby dostatecznie stanowczo sprzeciwić się porzucaniu dziewcząt ze Stowarzyszenia, toteż wystarczyło, że trzykrotnie zapewnił ją, iż Simpson odeśle pryncypałkę i jej podopieczne do domu w wynajętym powozie, co zresztą zostało zorganizowane już wcześniej, poza tym Leonie nie proponuje chyba na poważnie, żeby zabrać je stąd przed pokazem fajerwerków?

Jako że do zamknięcia ogrodów pozostało jeszcze kilka godzin, a ta część widowni Swantona, która poczuła się zbyt oburzona, by tutaj zostać, dawno odjechała, Lisburne w miarę szybko wydostał swoją dwukółkę z placu dla powozów.

Jeśli Vinesa zaskoczył tak wczesny powrót, był zbyt zdyscyplinowany, żeby to okazać albo zakłopotać się na widok panny Noirot wspinającej się do pojazdu zamiast Swantona.

Podczas jazdy opowiedziała, dlaczego wcześniej zniknęła. Mimo że Lisburne dosłownie czuł, jak włosy stają mu dęba, zebrał w sobie całą siłę woli, by nie naskoczyć na nią, że naraziła się na niebezpieczeństwo. Nie wytknął jej, że ubrana w ten sposób aż się prosiła o kłopoty. Mówił sobie, że nic strasznego się nie zdarzyło. Poza tym teraz było za późno na toczenie piany.

Tak czy owak, gryzł się tym wszystkim, kiedy więc skończyła, zrobił wszystko, co w swojej mocy, żeby ograniczyć się do słów:

– W dorożce niewątpliwie siedział Meffat. On i Theaker tworzą dobraną parę od czasów szkolnych. Nie jestem zaskoczony. Kiedy zobaczyłem, jak Theaker ją wyprowadza, wiedziałem, że są zamieszani w tę sprawę. Najpewniej uważają to za świetny żart. Dręczenie Swantona zawsze sprawiało im frajdę.

Podniosła wzrok.

– Czy to dwaj z tych chłopców, którym spuścił pan cięgi w szkole?

Z trudem ukrył zaskoczenie.

– Ktoś musiał – odparł. – Jak się pani o tym dowiedziała?

– Clevedon. Ale wiedza o ich zaangażowaniu nie mówi nam, czy nakłonili ją do odegrania wykorzystanej kobiety, czy jedynie dodali jej odwagi i pomogli publicznie zawstydzić lorda Swantona.

– Czy nie wydaje się pani nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności, że oni dwaj ot, tak natknęli się na przypuszczalnie jedyną kobietę na świecie, którą Swanton mógł wykorzystać w trakcie tych wyjątkowych dwóch tygodni w Paryżu?

Odwróciła się od niego, udając, że podziwia mijane widoki. Wiedział jednak, że się zastanawia. Uwidaczniało się to w jej postawie, w sposobie, w jaki przekrzywiła głowę i wygięła szyję.

– Nie tak całkiem nieprawdopodobnym – odezwała się w końcu. – Usiłowałam przypomnieć sobie, gdzie wcześniej widziałam Theakera. To było w Instytucie Brytyjskim. Kiedy mnie pan podniósł, a…

– Pamiętam – rzekł. – Szczegółowo.

Pamiętał, jak stała urzeczona obrazem, który tylu innych ominęło.

Pamiętał jedwab, koronki i wstążki, i ciepło jej ciała w swoich ramionach. Pamiętał niski, rozkoszny pomruk doskonałej francuszczyzny, kiedy mu dziękowała, i ponętną sugestię Paryża w jej bezbłędnym przecież angielskim. Pamiętał jej zapach, prosty, świeży i dogłębnie zniewalający.

– Zauważyłam ich, Theakera i jego przyjaciela – ciągnęła. – Byli niby z innymi, lecz poniekąd osobno. Rzucało się w oczy, że to dżentelmeni. Jeśli tajemnicza kobieta krążyła na tyłach, szukając sposobu, by dostać się do Swantona, niewykluczone, że spostrzegła ich i podeszła. Albo oni spostrzegli ją.

Furia przywołała Lisburne’a z powrotem do rzeczywistości. Piękny letni wieczór zrujnowany za sprawą Theakera i Meffata. Kiedy ich dorwie, zabije. Powoli.

– Ponieważ jest młoda i atrakcyjna, podeszliby do niej bez wahania – stwierdził. – Choć prawdopodobnie nie wtedy, gdyby miała ze sobą dziecko. Trudno powiedzieć. Na pewno wydaje się możliwe, że zachęcili ją, by przyprowadziła dziecko dziś wieczorem jako rozdzierający serce rekwizyt sceniczny.

Byli dostatecznie przebiegli, żeby pomyśleć o takim detalu. W każdym razie Theaker był. Czy jeśli, zamiast zbudować mistyfikację od podstaw,

jedynie skwapliwie skorzystali z okazji i pomogli tej kobiecie zawstydzić Swantona, niesportowo będzie zabić ich po prostu dla zasady?

– Potrafię sobie wyobrazić, że tłum wokół Swantona ją onieśmielał – powiedziała Leonie. – Czuła się zdesperowana, lecz zarazem nie wiedziała, jak do niego podejść. A jeśli sprawiała wrażenie bezbronnej, ci dwaj wyglądają mi na mężczyzn, którzy uznaliby ją za łatwą zdobycz.

Pokiwała głową, usatysfakcjonowana zaproponowanym scenariuszem, a wyrastające z jej fryzury kwiaty podskoczyły sprężyście – niedorzecznie radosny ruch.

– Wiedziałam, że muszę iść za nimi – stwierdziła. – A potem, kiedy zobaczyłam, jak ona wsiada do dorożki i nie wydaje się zaniepokojona tym, że w środku siedzi już jakiś mężczyzna, nabrałam pewności, że tkwią w tym razem, o cokolwiek chodzi. – Wygładziła rękawiczki. – Tak, tak już lepiej.

– Porządek zaprowadzony?

Podniosła nań wzrok.

Uśmiechnął się.

– Zgrabnie zawęziła pani wstrząsającą scenę i setkę jej możliwych interpretacji do dwóch linijek dochodzenia. Oczyma wyobraźni widzę księgę w pani umyśle… może zresztą po powrocie do domu istotnie wszystko pani zapisze. Kolumna dla Teorii A. Kolumna dla Teorii B.

– Ktoś musi być tą zorganizowaną osobą – odparła. – Ktoś musi twardo stąpać po ziemi.

– Wiem. Proszę mi wierzyć, wiem.

* * *

Kiedy przyjechali pod jej dom, ten sprawiał wrażenie opuszczonego. Lisburne’a mocno to zaniepokoiło.

– Gdzie służba? – spytał, kiedy otwierała kluczem prywatne drzwi na tyłach budynku.

– W łóżkach – odparła. – Staram się nie wymagać, żeby na mnie czekali.

Nie wyobrażał sobie, jak ona się rozbierze bez pomocy pokojówki. A nawet dwóch. Wtedy wszakże jego umysł przystąpił do analizy procesu

rozbierania jej, co z kolei prowadziło do zgłębiania sposobów na to, żeby jej w tym pomóc.

Wyrzucił ten ciąg myśli z głowy.

Nie było sensu oddawać się fantazjom. Zwiększą tylko jego frustrację. Rozbieranie nie zdarzy się tej nocy. Ani nigdy, jeśli Lisburne nie rozwiąże kilku poważnych problemów.

Cały męski urok świata nie wystarczyłby, żeby ją zdobyć po tym katastrofalnym wieczorze.

– Kogoś trzeba będzie obudzić – stwierdził. – Musi pani coś zjeść.

– Znajdę sobie jedzenie na dole. Wie pan, przywykłam sama dbać o siebie. Do tego wspaniałego budynku przeprowadziłyśmy się zaledwie kilka miesięcy temu. W przeszłości zadowalałyśmy się jedną pokojówką. W rzeczy samej, był taki czas, kiedy wcale nie miałyśmy służby.

– Jeśli uda się pani w tym stanie do sutereny, jest wielce prawdopodobne, że potknie się pani i skręci kark. Szanse pani przeżycia rosną, jeśli skieruje się pani na piętro, mocno trzymając się poręczy. Obudzę kogoś i polecę, żeby sklecił dla pani posiłek z zapasów w spiżarni. – Machnął na nią. – Proszę iść.

– Może Fenwick jeszcze nie śpi – powiedziała. – Nie lubi kłaść się wcześnie. Nie dorastał w uporządkowanym świecie.

– Znajdę go – obiecał Lisburne.

Budynek był wysoki, ale – jak wiele innych w Londynie – wąski. Tego typu domy miały zwykle podobny układ wnętrz. W każdym razie Lisburne wiedział dość, żeby wyobrazić sobie, że pokoje tutejszej służby były znacznie mniejsze od tych w jego pałacyku w Regent’s Park. Co prawda nigdy nie zapuścił się do sutereny, ponieważ pan domu po prostu nie robi takich rzeczy, a pogwałcenie tej zasady wprawiłoby w drżączkę każdy szanujący się zespół służących. Gospodarstwo domowe to delikatny i skomplikowany mechanizm. Drżączki służących bywają katastrofalne w skutkach.

Tak czy owak, w głowie miał jasny obraz rozkładu pomieszczeń. Znał zasady funkcjonowania każdego ze swoich domów. Wiedział, kto gdzie pracuje, co robi i ile to kosztuje. Od lat mieszkał za granicą, ale to nie oznaczało, że porzucił swoją własność oraz tych, którzy dla niego pracowali. Z pozycją, władzą i zamożnością wiąże się odpowiedzialność. Była to jedna z pierwszych lekcji, jakie wpoił mu ojciec.

Ktoś musi być zorganizowany. Ktoś musi twardo stąpać po ziemi. Ktoś musi objąć dowodzenie, choćby nie czuł się na to gotowy.

* * *

Niedługo później

Markiz Lisburne zrobił kanapki. Dla niej.

Leonie wpatrywała się w tacę w jego rękach, a potem w jego twarz, zastanawiając się, czy zasnęła i wkroczyła do krainy dziwów i cudów.

– Chłopiec na pół spał i nie zrozumiałem praktycznie ani słowa z tego, co mówił – wyjaśnił Lisburne. – Znam kilka języków, ale cockney się do nich nie zalicza. Toteż sam porządziłem się tam na dole. Znalazłem pół bochenka chleba, szynkę, ser i musztardę. Znalazłem butelkę bardzo dobrego wina. Umiem otworzyć wino. Umiem nawet zrobić kanapkę.

Postawił tacę na stole.

Leonie nie zawędrowała jeszcze do garderoby, żeby rozpocząć żmudny proces wydobywania się z ubrań; na razie zdjęła tylko mantylkę. Nie dotarła dalej niż do bawialni. Wszedłszy tutaj, spostrzegła na stole notes Sophy. Otworzyła go i przez chwilę patrzyła na tak znajome pismo. Po czym się rozpłakała. Ale tylko na chwilę. Cieszyła się szczęściem siostry. Obu sióstr. Naprawdę. Zakochały się, i to z wzajemnością, mimo że są Okropnymi DeLucey i zarazem Noirot, francuskimi odpowiednikami DeLuceyów. Zdarzyło się coś cudownego i wspaniałego. Były szczęśliwe. Chciała, żeby jej siostry były szczęśliwe.

Jej problem polegał na tym, że czuła się zmęczona, a ta noc okazała się trudna i zniechęcająca, no i Leonie nic nie jadła, tak więc owszem, stała się… podatna na emocje.

Wiedziała o tym wszystkim. Wzięła się w garść.

A potem wszedł on, niosąc kanapki, które zrobił dla niej własnoręcznie, tymi arystokratycznymi dłońmi.

W tej właśnie chwili zrezygnowała z walki i zakochała się w nim.

– Mam nadzieję, że zamierza się pan przyłączyć – odezwała się tak energicznym tonem, na jaki tylko było ją stać. – Z pewnością nie oczekuje pan, że zjem to wszystko sama.

– Liczyłem na pani zaproszenie – przyznał. – Umieram z głodu. W przeciwieństwie do Swantona cierpię na ordynarny niedobór wrażliwości i nie jestem zdolny żywić się uczuciami.

Przeniósł talerze, kieliszki i butelkę z tacy na stół, oparł tacę o najbliższą ścianę i przystąpił do usługiwania Leonie.

– Proszę jeść – zachęcił. – Naharowałem się, przygotowując tę ucztę.

– Ma pan obsesję na punkcie jedzenia – skomentowała.

– Za ciężko pani pracuje, żeby opuszczać posiłki. Musi mieć pani więcej siły. Dziewczęta jej potrzebują. Ja potrzebuję. Mamy tajemnicę do wyjaśnienia i musimy zająć się nią jak najszybciej. – Uniósł kieliszek z winem. – Ale nie tej nocy. Tej nocy ukoimy nasze wzburzone dusze i pokrzepimy ciała jedzeniem i napitkiem. Jutro wyruszymy na polowanie.

– My.

– Oboje mamy problem. Rozwiązanie go leży w naszym najlepszym interesie. Nigdy nie dokonam tego z pomocą Swantona. Potrzebuję pani umysłu. Tego, który zawęził potencjalne wyjaśnienia do dwóch. Właśnie tego. Kocham ten umysł.

Serce jej podskoczyło. Dwukrotnie. Uniosła kieliszek.

– A zatem za sprawiedliwość – powiedziała.

– Tak. I za nas dwoje.

* * *

Co niepokojące, istotnie znajdowali się tu tylko we dwoje. Niepokojące, ponieważ Lisburne czuł nieobecność jej sióstr. Nie był mężczyzną skłonnym do fantazjowania. To wrażenie nie miało nic wspólnego z wyczuwaniem w tym domu czyjegoś ducha. Chodziło o drobne sygnały rozsiane po bawialni: otwarty notes zapisany kobiecym pismem, ale nie jej własnym… szkicownik, bez wątpienia należący do księżnej Clevedon… trzy krzesła przy stole… szpargały… Ten pokój urządzono dla trzech osób.

Wrażenie, że kogoś brakuje, przeszkadzało mu, ale w trakcie posiłku swobodnie podtrzymywał rozmowę. Temat Fenwicka okazał się dobrym wyborem. Leonie go uczyła, jak dowiedział się Lisburne, a chłopiec był pojętny. Wysławiał się coraz lepiej, powiedziała, i opanował alfabet, potrafił też zapisać swoje imię. Rozpoznawał całkiem sporo słów, zwłaszcza

w druku. Zrobił nadzwyczajne postępy, mimo że pracowała z nim o dziwnych porach i zaledwie od paru tygodni. Kiedy jednak był zmęczony lub podekscytowany, uliczny sposób wymowy i potoczne wyrażenia wkradały się z powrotem i tak, trudno było doszukać się w jego języku pokrewieństwa z angielskim.

– Orientuje się pani, co opętało pani siostrę, żeby zgarnąć go z ulicy i przyprowadzić do domu?

– Sophy uznała, że taki zasób przestępczej inteligencji stanowczo zbyt niebezpiecznie jest puszczać samopas, zwłaszcza że nam przyda się o wiele bardziej – wyjaśniła.

– Widziałem go tylko, jak otwiera drzwi klientom – stwierdził, napełniając ponownie ich kieliszki.

– Ciągnie go do koni i ma obszerną wiedzę na temat powozów. Zaprzyjaźnia się ze wszystkimi stajennymi, stangretami i dorożkarzami. Zdobywamy tą drogą mnóstwo użytecznych informacji. Jego dawni kompani nieraz pomogli nam poradzić sobie z pewnymi problemami. No i nasze damy zdają się go lubić. Niektóre traktują go wręcz jak maskotkę. Ale nie, nad czym zdaje się pan zastanawiać, zazwyczaj nie ratujemy chłopców z ulicy. Postanowiłyśmy skoncentrować nasze starania na kobietach.

Ponad dwa lata starań… które dwóch arystokratów zniweczyło w ciągu paru minut.

Musiał to naprawić. Co oznaczało, że najpierw powinien oczyścić umysł. Pomyśleć.

Skończyli posiłek i nie miał wymówki, żeby dalej tu przesiadywać. Dawno powinien sobie pójść.

Wstał, zamierzając się pożegnać, ale po raz kolejny to odłożył. Wydała mu się tak dogłębnie samotna, gdy siedziała przy stole przeznaczonym dla trzech osób. Z łatwością wyobraził sobie trzy głowy – czarną, blond i rudą – pochylone ku sobie, żeby dzielić się sekretami, smutkami, żartami.

Dlatego rozejrzał się i rzekł:

– Proszę mi powiedzieć, że mieszka z panią ktoś oprócz służby.

– Wprowadziła się tu Selina Jeffreys, gdyż Clevedon na to nalegał. Nie widział jej pan, bo położyła się spać już kilka godzin temu.

– Stosowniejsza wydawałaby mi się pryncypałka. Starsza kobieta.

– Jako przyzwoitka? – Uniosła brew. – Nie jestem damą. Właścicielka sklepu nie potrzebuje żadnej przyzwoitki.

– Może i nie, ale większość kobiet ma na podorędziu jakiegoś mężczyznę, choćby tylko dla bezpieczeństwa.

– Moje siostry i ja nie jesteśmy większością kobiet. Mówi pan jak Clevedon. On chce, żebym się przeniosła do Clevedon House. Wyobraża pan sobie?

Wyobrażał sobie. Takie posunięcie byłoby stosowne, nie mówiąc już o tym, że mądre.

I stanowiłoby piekielną niedogodność.

– Lokaj deptałby mi po piętach za każdym razem, kiedy wychodziłabym z domu – ciągnęła. – Nie mam pojęcia, jak Marcelline to znosi. Z drugiej strony, ostatnio źle się czuje, przez co nie jest do końca sobą. W każdym razie wiem, że to tylko sposób, by mnie stąd wywabić. Clevedon chce, żebyśmy przestały pracować w butiku. Ma dla nas inne plany. A ja nie jestem… gotowa.

Lisburne zastanowił się, a wymagało to namysłu, ponieważ w jego świecie kobiety nie pracowały, i odkrył, że trudno mu postrzegać ją jako kobietę spoza jego świata. Ktokolwiek odpowiadał za jej wychowanie, wychował ją na damę. Była damą. Dostrzegało się to w jej mowie, manierach, sposobie chodzenia. Nie grała. Nie nosiła maski, która mogłaby się zsunąć.

A mimo to damą nie była.

Spacerował po pokoju, podziwiając kolekcję odbitek na ścianach. Dwanaście pięknie pokolorowanych francuskich rycin z modnymi strojami. I, ku jego zaskoczeniu, kolekcja satyrycznych rysunków Roberta Cruikshanka. Tematem każdego były przesada i absurdy w modzie.

– Przypuszczam, że nudziłaby się pani – rzekł – nie mając zajęcia. Jeśli nie dorastało się w ten sposób, takie życie zapewne wydaje się puste. O, to jest wspaniałe.

Zatrzymał się przed rysunkiem zatytułowanym *Mdlejący dandys albo – Wykwintniś w spazmach*. Cruikshank umieścił scenkę w loży w operze. Postaci były komiczne, teksty w chmurkach również. Lisburne nie zdołał powstrzymać śmiechu.

Podeszła do niego.

– Ci dżentelmeni są przeuroczy.

– „Uważaj, żebyś nie pokalał halsztuka naszego drogiego kolegi” – przeczytał. – A drugi mówi: „Obawiam się konsekwencji! Ta ostatnia aria w wykonaniu Signeur Nonballencesa tak nim wstrząsnęła”. Cha, cha! Jakbym widział siebie. I Swantona, oczywiście.

– Bez wątpienia wykwintniś z pana – stwierdziła. – Można zrzucać winę na Polcaire’a, ale rezultat pozostaje ten sam. Rysunek drwi z nich i ukazuje ich jako kruchych i zniewieściałych. Jednakże ogromnie przesadza dla uzyskania efektu komicznego. Rzeczywistość przeważnie jest inna. Tak wielu poznanych przeze mnie dandysów to męscy mężczyźni… na pewno co najmniej tak j u r n i jak lord Swanton.

Spojrzał na nią. Z uśmiechem patrzyła na rysunek.

Jej nastrój najwyraźniej się poprawił. Lisburne dobrze postąpił, wmuszając w nią jedzenie i wino. Wyczyścili talerz z kanapek i opróżnili butelkę.

Teraz musiał zachować resztki rozsądku i pójść do domu.

– Wygląda na to, że dobrze się spisałem – oznajmił. – W tej chwili w najmniejszym stopniu nie przypomina pani tego biednego, mdlejącego dandysa. Mimo to musi się pani przespać, inaczej jutro nie będę miał z pani pożytku… a powinna mnie pani oczekiwać już z samego rana.

– Czyli chce pan powiedzieć, około południa – doprecyzowała.

– Mniej więcej tak. – Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu cylindra.

– Może pan zostawić tacę, brudne naczynia i sztućce pokojówce – powiedziała. – Wiem, że w wyjątkowych okolicznościach dżentelmen sam zrobi sobie kanapkę. Jednakowoż mocno wątpię, by pańskie arystokratyczne nerwy zniosły szok sprzątania i zmywania.

– Cylinder. Szukam tylko cylindra. Już pamiętam. Na dole. Zostawiłem go na stoliku przy drzwiach.

– Lepiej pana odprowadzę. Jeśli Fenwick rzeczywiście spał, kiedy przybyliśmy, wolałabym nie budzić go ponownie.

– Oczywiste, że nie jest pani damą. Żadna dama nie kłopotałaby się tym, że służący się nie wyśpi.

Przestań to odwlekać, zbeształ się.

Podszedł i otworzył drzwi. Minęła go z trzepotem wstążek i koronek, z szeptem jedwabiu.

Szedł za nią po schodach na dół, z ulgą odnotowując, że pewniej trzyma się na nogach i coraz bardziej przypomina codzienną wersję samej siebie.

Przy drzwiach znalazł swój cylinder.

– W zamierzeniu miał to być wieczór doskonały – rzekł. – Przepraszam, że stało się inaczej.

– Pierwsza część poszła dobrze – odparła. Zaśmiała się cicho. – I kolacja także. Dziękuję. Był pan bardzo miły.

Zbliżyła się i wspięła na palce, żeby cmoknąć go w policzek.

On, zaskoczony tym ruchem, odwrócił głowę dokładnie w momencie, gdy jej usta miały sięgnąć celu. Ich wargi się zetknęły i w następnej chwili jedną dłonią przytrzymywał jej głowę, drugą zaś przyciągał ją bliżej i całował z całą dzikością, którą tłumił w sobie przez tę długą noc.

Rozdział 10

Pobożność, prawość, hart ducha, życzliwość,
posłuszeństwo, delikatność, szczerość, zapobiegliwość,
aktywność i sympatyczne usposobienie, wraz
ze skłonnościami mającymi w nich swe źródło tudzież
miłymi cechami, które biorą z nich początek, mogą,
jak przypuszczamy, nieomal definiować te cechy moralne,
które uchodzą za wymagane w codziennym
postępowaniu i zwyczajowym sposobie bycia
młodych dam.
Księga Młodej Damy (1829)

Uległa impulsowi, to wszystko.

Stał tam, światło lampy w holu rzucało poblask na jego ciemnozłote włosy. W tamtej chwili romantyczne wyobrażenia najzwyczajniej w świecie wzięły górę nad rzeczywistością, zmysłem praktycznym i logiką i Leonie postąpiła tak, jak postąpiłaby każda inna dziewczyna po tym, jak mężczyzna zrobił dla niej kanapki i nakłonił ją do rozmowy i śmiechu, powstrzymując przed zatonięciem w bagnie przygnębienia i użalania się nad sobą. Pocałowała go.

Problem polegał na tym, że nie była jak inne dziewczyny. Jej impulsy nadpływały z głębokiego i ciasnego miejsca, gdzie upchnęła całe lata sekretów.

Na pierwszy dotyk jego warg klapa krypty odskoczyła niczym wieko puszki Pandory. Sekrety jej serca wyrwały się na zewnątrz i przytłoczyły jej racjonalny umysł, a ona, bez choćby sekundy wahania czy najlżejszego niepokoju sumienia, poddała się miażdżącemu uściskowi Lisburne’a.

To ona była tą, która twardo stąpa po ziemi. Ona była tą logicznie myślącą i zorganizowaną, a mimo to zadziałała na oślep, nierozważnie, jak wszystkie kobiety.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i wygięła się w łuk, by dopasować się do jego ciała. Odwzajemniała pocałunek, wkładając w niego wszystko, co w sobie miała – całą wieczność tłumionej tęsknoty.

Ich wargi spotkały się czule, raz, po czym czułość ustąpiła miejsca dzikszej potrzebie, dla której Leonie nie znajdowała nazwy, której nie rozumiała i nie miała też stosownej zbroi czy oręża, żeby z nią walczyć. Cokolwiek to było, dokądkolwiek prowadziło, nie potrafiła się temu oprzeć.

Całowano ją już wcześniej, bynajmniej nie niewinnie, i podobało jej się to. Z nim wkroczyła w inny wymiar. Określić to, co jej robił, mianem pocałunku, było jak nazwać ocean wodą. Zatraciła się w tym doznaniu. Zatonęła w jego dziwnej radości, dzikiej zmysłowej przyjemności: ciepło jego umięśnionego torsu, zaborczy napór ramion, szlachetne płótno i wełna ocierające się delikatnie o jej twarz i kark. Pochłonęła ją ta erotyczna plątanina smaku, zapachu i ruchu.

Pragnęła na zawsze pozostać w tym miejscu, w świecie wyznaczonym jego ramionami.

Nie chciała słuchać ostrzeżeń bijących na alarm na skraju jej świadomości.

Przesunął dłoń na jej pośladki i docisnął ją do siebie. Zbyt wiele stało im na przeszkodzie. Warstwy jej sukni, ozdoby, wszystkie halki i bielizna przywodziły na myśl wciśniętą między nich pierzynę. W jej życiu chodziło o ubrania, lecz w tym momencie pragnęła skóry przy skórze.

Przerwał pocałunek, oddychając szybko.

– Muszę wyjść – powiedział. – Teraz.

– Tak – odparła, powtarzając sobie, że powinna być rozsądna.

W zakamarku umysłu, na spokojnej wyspie pośród wzburzonego morza uczuć, zaczął pracować jej intelekt. Przypomniał jej o zdarzeniach tego wieczoru i o wszystkim, co mogła stracić i co mogli utracić ci, którzy zależeli od niej i od butiku. Błyskotliwy plan Lisburne’a wpakował ją w kłopoty i musiała wydobyć się z nich sama, jak zwykle. Nie miała czasu na zakochiwanie się i łamanie sobie serca.

Stała przez chwilę z pochyloną głową, opierając czoło poniżej zwojów jego halsztuka, i walczyła ze sobą. Musiała odnaleźć drogę do swego uporządkowanego świata, stabilnego miejsca, gdzie żyła w spokoju. Wiedziała o tym. Usiłowała przepchnąć tę wiedzę na pierwszy plan, ale jego halsztuk ją rozpraszał.

Świeży i starannie zawiązany na początku wieczoru zwisał teraz, oklapły i pomięty. Ostatnim razem widziała Lisburne’a tak wymiętoszonego

w Hyde Parku. W deszczu. Uzmysłowiła sobie, że to właśnie wtedy nauczył ją pragnąć od niego więcej aniżeli samych pocałunków.

Pozwoliła palcom zakraść się do węzła halsztuka. Tak bardzo chciała go rozwiązać i dotknąć jego nagiego gardła.

Nakrył jej dłoń swoją.

– Muszę iść – powiedział.

– Tak.

Przekręciła dłoń, by spleść palce z jego palcami. Skóra przy skórze. Ręce miał ciepłe. Ich splecione dłonie spoczywały na jego sercu. Czuła, jak bije. A może nie. Jej własne serce waliło tak mocno, że nie potrafiła tego stwierdzić.

– Wyjdę teraz – rzekł, łagodnie rozplatając ich dłonie. – Porozmawiamy jutro, kiedy… ochłoniemy.

Nie chciała ochłonąć.

– Tak – powiedziała i zmusiła się, żeby zrobić krok w tył, oddalić się od niego, od dotyku płótna i wełny, i wielkiego, ciepłego ciała, przy którym czuła się tak bezpiecznie, mimo że było wręcz przeciwnie.

Sięgnął po nią i przyciągnął z powrotem, i pocałował znowu, przeczesując dłońmi jej włosy, burząc fryzurę, przemieszczając szpilki, kwiaty i wstążki.

Najwidoczniej jednak jakaś racjonalna część jego umysłu nadal funkcjonowała, gdyż w końcu ją puścił.

Cofnęła się o krok i powiedziała sobie, że tak jest lepiej. Któreś z nich musiało oprzeć się pokusie, a ona nie miała pojęcia, jak tego dokonać.

Sięgnął do gałki u drzwi.

A potem…

– Mój cylinder – powiedział. – Psiakrew! Mój cylinder.

Z jakąż rozkoszą tupnęłaby nogą, najlepiej depcząc przy okazji ten jego przeklęty cylinder! Stało przed nią zadanie wzięcia w karby rozszalałej hordy pragnień i rozczarowań. Wepchnięcia ich z powrotem do ciasnego sejfu w sercu. Powinna uciec w jakieś spokojne miejsce, z dala od niego, i skończyć z tą głupotą.

Ale nie. Musiała zostać, udając całkowicie spokojną, rozsądną osobę, która czeka jedynie na to, by zamknąć za nim drzwi na klucz.

Tymczasem on, kwintesencja eleganckiej gracji, przeszukiwał wzrokiem słabo oświetloną sień. Stał w miejscu, gdzie światło lampy tworzyło na

czubku jego głowy efekt aureoli, podkreślając ciemnozłote loki. Podobnie jak halsztuk, utraciły perfekcję, rozczochrane, jakby dopiero co wstał z łóżka. Pamiętała, jak miękkie w dotyku były te włosy, kiedy przeczesywała je palcami. Nadal czuła je w dłoniach.

W jej wyobraźni pojawił się obraz Botticellego i zobaczyła, jak bogini miłości kładzie dłonie na bogu wojny, na jego nagiej skórze. Zobaczyła, jak Mars kładzie dłonie na Wenus, w miejscach, na które pewne kobiety nawet nie spoglądają.

Splotła ramiona na wysokości talii i czekała. Jego głowa znieruchomiała, kiedy wreszcie spostrzegł cylinder, na podłodze, tam, gdzie go upuścił.

Zgarnął go z ziemi, osadził na głowie, chwycił gałkę, otworzył drzwi i wyszedł.

Nie minęła nawet minuta, Leonie nie zdążyła otrząsnąć się z rozczarowania i upokorzenia i ruszyć ku schodom, kiedy wszedł z powrotem, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi, rzucił kapelusz na stolik i porwał ją w ramiona, a wszystko to w jednym burzliwym ciągu ruchów.

Pocałował ją, wiodąc po niej dłońmi, wzdłuż jej ramion, po plecach, z całej siły przyciskając ją do siebie. Wbiła palce w jego plecy i usiłowała przysunąć się jak najbliżej.

Porzucił jej usta i się odsunął.

Odepchnęła go i zaczęła się odwracać, żeby mógł sobie pójść – choćby i do diabła, gdyby ktoś ją pytał! Ale złapał ją za ramię i już stała przyciśnięta do ściany, on zaś nachylał się nad nią i mówił, głosem niskim i chropawym: „Psiakrew, Leonie!”, na co odparła: „Nie jestem dla pana L e o n i e…”, a on zdusił ustami tę gniewną ripostę.

Powinna go powstrzymać. Choćby i zranić, gdyby zaszła taka konieczność.

Mimo to nawet nie udawała, że się opiera. Stać ją było jedynie na to, by trwać w tej samej pozycji, z dłońmi przyciśniętymi do ściany, podczas gdy on wiódł ją znowu w tamto mroczne miejsce, jego wargi i język na przemian to kusiły, to żądały, aż balansowała na krawędzi, nad wzburzonym morzem, którego fale mknęły, by wciągnąć ją w głębiny.

Miała świadomość, że on także dociska dłonie do ściany, po obu stronach jej twarzy. Jego długie ciało znajdowało się tuż obok, zamykając ją w potrzasku, a jego zapach, ostrzejszy i mroczniejszy niż wcześniej, wypełnił tę ciasną przestrzeń. Jego smak gościł w jej ustach i wirował

w głowie, mieszając się z odurzającą wonią mężczyzny. Nie potrafiła odzyskać równowagi, nogi uginały się pod nią i zsunęłaby się po ścianie, gdyby nie uchwyciła się go w ostatniej chwili.

Przerwał pocałunek.

Już unosiła rękę, żeby go uderzyć, ponieważ tonęła, a on się z nią bawił, kiedy dotknął wargami jej policzka.

Zaczerpnęła tchu.

A potem całował ją, po całej twarzy, delikatne pocałunki, które zadawały jej ból i przez które zbierało jej się na płacz.

Z żądzą mogła się mierzyć.

Ale nie z taką słodyczą.

Nie była w stanie się ruszyć. Tkwiła jak zaczarowana, rozsypywała się, podczas gdy pocałunki spadały na jej twarz jak leniwy letni deszcz. Trwała tak, nie podejmując najmniejszej walki, podczas gdy on sunął wargami wzdłuż jej szyi i ramion, a w niej wszystko się topiło i nie wiedziała już, czy stoi, czy spada.

Stała, zagubiona, kiedy oderwał dłonie od ściany i ujął w nie jej twarz, a później wolno powiódł nimi w dół, przez jej barki, na piersi, i musiała nauczyć się nowego sposobu oddychania, utrudnionego przez potężny napływ uczuć.

Tęsknota i przyjemność splotły się i gdzieś pomiędzy nimi, pod nimi, napędzając je, kipiało pożądanie przekraczające wszystko, na co znajdowała słowa.

Przy jej uchu rozbrzmiał jego głęboki, ciemny głos:

– Każ mi przestać.

– Nie.

– Nie zostawiaj mi tej decyzji – rzekł, w przerwach między słowami całując jej szyję.

– Zostawię.

Jeśli chciał przestać, niech mu będzie. Wiedział, co robi. Ona była w tych sprawach nowicjuszką, w dodatku o słabym morale. Niechże sam postanowi.

– Leonie.

Brzmienie jej imienia, sposób, w jaki je wypowiedział, wprawiły jej serce w kompletne pomieszanie. Nie było w porządku, że robił jej coś

takiego. Czego chciał? Dlaczego po prostu nie weźmie tego, co tylko na niego czekało?

Zamknęła w pięści jego halsztuk.

– Niech pan idzie. Kto pana zatrzymuje? Dlaczego ciągle pan wraca? Czy ja o to proszę? Czy pana tu trzymam?

– Nie każesz mi przestać.

Pozostawiał decyzję jej – tej, która się zakochała i której serce wkrótce zostanie złamane, tej, która uprawianie miłości znała tylko w teorii – a ta wiedza na nic jej się teraz nie zda.

– Doskonale – powiedziała. – Proszę przestać się ze mną bawić.

Puściła jego halsztuk, zebrała wszystkie zbłąkane strzępy siły woli, jakie udało jej się znaleźć, i odepchnęła go z całej siły. Oddaliła się sztywnym krokiem i ruszyła po schodach, odgarniając z twarzy zwichrzone włosy.

Był mężczyzną. Powinien chcieć jednego.

Czy to było aż tak trudne?

Marcelline powinna była…

– Nie zaryglujesz drzwi? – zapytał za jej plecami.

– Kiedy będę pewna, że pan sobie poszedł.

– To niebezpieczne.

Szła dalej.

„Niebezpieczne”. Co z nim było nie tak?

Kiedy opuszczała podest, dobiegł ją odgłos rygla zasuwanego z wielką siłą.

Serce jej łomotało.

Przyspieszyła kroku, pokonała ostatnich kilka stopni i weszła do pokoju konsultacji. Przesunęła manekin i wyrównała wzorniki. Nie miało znaczenia, czy on wróci, czy znowu wyjdzie. Przeżyła zniszczenie Paryża i pożar w Londynie. Przeżyła śluby sióstr z arystokratami. On w końcu podejmie decyzję. A ona przeżyje i to, cokolwiek się zdarzy.

Tymczasem przejdzie przez cały dom, jeśli okaże się to konieczne, doprowadzając kolejne pomieszczenia do idealnego porządku, aż sama osiągnie taki właśnie stan.

Usłyszała kroki w korytarzu i wyczuła, że zawahał się w progu. Nie odwróciła się.

– Wiesz, że nie mogę wyjść, gdy nie ma komu zaryglować za mną drzwi – powiedział.

– Dobra wymówka.

– Pójdź no tu.

Krew w niej zawrzała. Świat na krótko przyoblekł się w czerwień. Chciałaby mieć jakąś broń. Zardzewiała siekiera byłaby w sam raz.

Odwróciła się.

– Pójdź no tu? – powtórzyła. – Pójdź no tu?! Co jest z panem nie tak?!

– Usiłowałem odejść. Ale nie mogę cię tak zostawić. – Niejasnym gestem wskazał pomieszczenie, w którym się znajdowali.

– Nie może mnie pan zostawić w moim własnym domu?

– Nie chcę… nie zdawałem sobie sprawy… – Umilkł, ściągając brwi. – Jesteś zła, a niebezpiecznie…

– Nic pan o mnie nie wie.

– Jeśli usiłujesz mi powiedzieć, że potrafisz sama o siebie zadbać, wiem, że to nieprawda. Powinnaś była dać mi w twarz albo mnie kopnąć, albo dźgnąć szpilką do włosów. A nie zrobiłaś nic!

Sądziła, że osiągnęła już najwyższy stan wzburzenia, teraz jednak poczuła, jak policzki jej płoną, a ogień rozlewa się wszędzie: wstyd i frustracja, i potężna, chaotyczna wściekłość.

– Bo nie chciałam pana powstrzymywać! – wybuchła. – Jak pan śmie zrzucać na mnie winę. Niech pan nie udaje, że nie pracował nad tym, żeby mnie uwieść, od pierwszej chwili naszej znajomości. Pan i ten pański niedorzeczny zakład. Nie ma dla pana znaczenia, czy pan go wygra, czy przegra, bo i tak zamierza pan zdobyć to, na czym w istocie od początku panu zależało. W sztuce uwodzenia przewyższa pan wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam… i zapewne również tych, których dopiero spotkam, choć poczekamy, zobaczymy. Cóż, udało się panu. I jest pan zaskoczony? Zgorszony? Protestuje pan?

– Nie o to mi chodziło.

– A wie pan, o co mu chodziło? Wątpię. Sądzę, że przypomina pan innych mężczyzn, zwłaszcza arystokratów, którzy nudzą się szybciej niż pozostali. Chce pan tego, co nieosiągalne, a kiedy to dostaje, traci zainteresowanie. Doskonale. Stracił pan zainteresowanie.

– Nie straciłem. Zupełnie nie o…

– Zabawne – weszła mu w słowo. – Ja straciłam. Znudziła mnie ta zabawa. Chcę, żeby opuścił pan mój dom. Z chęcią kazałabym się panu wynosić z mojego życia, ale to byłoby nierozsądne, a ja jestem przecież na

wskroś rozsądna i wyrachowana, i uporządkowana. Wprowadził pan anarchię w moją pracę, moje obowiązki, moje życie… pan i ten głupiec, pański kuzyn, który nie potrafi sobie przypomnieć, czy zapłodnił młodą kobietę, chociaż zauważa każdą więdnącą stokrotkę i każdego wróbla, który być może złapał śmiertelne p-przeziębienie. – Ku swemu przerażeniu rozpłakała się.

Ruszył ku niej. Chwyciła pierwsze, co było pod ręką – poduszeczkę do igieł – i rzuciła tym w niego.

– Leonie.

Pospieszyła ku drzwiom, usiłując zdusić łkania, które groziły rozerwaniem jej piersi.

Złapał ją, nim dotarła do celu, poderwał z ziemi i uniósł w ramionach.

– Nie! – Uderzyła go w pierś, wierzgając dziko. – Postaw mnie! Wynocha stąd! Skończyłam z panem!

Zaniósł ją na szezlong niczym jedną z jej szlachetnie urodzonych klientek, bliską omdlenia z nadmiaru wrażliwości lub delikatności, podczas gdy było wprost przeciwnie i z chęcią wyładowałaby na nim swą wściekłość. Nie położył jej, ale usiadł z nią na kolanach, ona zaś nadal walczyła, z nim i z dławiącym ją smutkiem.

– Nienawidzę pana – wykrztusiła. – Nienawidzę pana i tego idioty, pańskiego kuzyna. Wszystko zniszczyliście!

Wsparła głowę na jego ramieniu, poddała się i płakała. Była w żałosnym stanie – zażenowana, przybita, zła. Miała powód do płaczu. Życie, które tak pracowicie zbudowała, właśnie się rozpadało. Zakochała się w rzymskim bogu, a wszyscy wiedzieli, do czego to prowadzi.

* * *

Lisburne nie mógł jej tak tutaj zostawić, samej, zapłakanej.

Nie zostawiłby jej tak czy owak, nieprawdaż?

Teraz trzymał ją na kolanach, ciepłą, łkającą i sponiewieraną, z rozsypującymi się włosami – dosłownie, gdyż sztuczne warkocze wyślizgiwały się z mocowań. Żeby czymś się zająć, kiedy usiłował podjąć decyzję, co dalej, przystąpił do demontażu jej fryzury.

Wysunął szpilki z kwiatami i ostrożnie odczepił opleciony wstążkami sztuczny warkocz. Wyjął szpilki przytrzymujące łuki Apolla na czubku jej głowy i łagodnie rozpuścił jej włosy, tam i po bokach. Wiązki loków przy uszach również się poluzowały, opadając jej na ramiona.

Kiedy pracował, uspokoiła się. Gdy wysuwał ostatnie szpilki, uniosła głowę z jego ramienia i siedziała z zamkniętymi oczami, zwrócona doń tyłem.

Popatrzył na jej gładki kark i wiedział, że w najbliższym czasie nigdzie się stąd nie wybiera.

„Udało się panu”, oznajmiła, a on nie znalazł na to odpowiedzi, ponieważ nie miał pojęcia, dlaczego zachował się tak, jak się zachował. Gdyby nie porwał jej w ramiona, może jakoś by to sobie poukładał. Ale stracił kontrolę i całował ją, i tulił do siebie. A później, ilekroć próbował wyjść, okazywało się to o wiele za trudne i zdawało się nie mieć najmniejszego sensu.

Teraz również nie był w stanie myśleć. Całe wzburzenie – namiętność i złość, i co tam jeszcze – nadal im towarzyszyło, pulsując pod powierzchnią, ów chaos zaś uniemożliwiał mu oczyszczenie umysłu.

Trzymał w objęciach piękną kobietę, pachnącą, ciepłą i kształtną, kobietę, której pragnął, jak się zdawało, od wieków, w dodatku rozpuścił już jej włosy, tak że opadały lśniącymi falami na jej ramiona i plecy.

Chciał zobaczyć te ciemnoczerwone loki na jej nagich plecach.

Znalazł haftkę z tyłu przy krawędzi wycięcia sukni i rozpiął ją. Odetchnęła szybko, ale nic nie powiedziała. Siedziała w absolutnym bezruchu, czekając.

On także nic nie mówił. Nie był w stanie sprawnie myśleć. Zbyt wielkie istniało ryzyko, że powie nie to, co trzeba.

Koncentrując się na haftkach, posuwał się w dół wzdłuż pleców jej sukni. Miał świadomość, że oddech mu przyspieszył, kiedy suknia się rozchyliła i jego oczom ukazał się pięknie wyszywany gorset, linie i zawijasy nici na satynowej bawełnie. Halka z doskonałego płótna wystawała między sznurowaniem z tyłu gorsetu a skrajem dekoltu na plecach.

Pocałował ją w kark nad naszyjnikiem, a później pod nim, i wędrował dalej w dół, delikatnymi pocałunkami wytyczając ścieżkę do kuszącego skrawka halki.

Słyszał, jak Leonie wciąga powietrze w płuca i wypuszcza je z drżeniem.

Sam również nie był w pełni opanowany, kiedy rozpinał dwie większe haftki na wysokości jej talii. Suknia otworzyła się, sporo poniżej talii, gdzie pod zakładkami spódnicy kryło się długie rozcięcie. Nadal jednak zsunięcie z niej górnej części kreacji wydawało się skomplikowanym przedsięwzięciem, zwłaszcza ze względu na bufiaste rękawy, które musiał rozwiązać, by uwolnić jej ręce. Mimo to w miarę sprawnie poradził sobie z zadaniem, jeśli wziąć pod uwagę, że mężczyzna rzadko trwoni czas na takie drobiazgi, ani też się tego od niego nie wymaga. Doświadczone kobiety znajdują sposoby, żeby zawczasu odpowiednio wszystko zaaranżować. A przeważnie mało kto zawraca sobie głowę zrzucaniem ubrań.

Tym razem było inaczej, choć nie umiałby określić dlaczego.

Zaplanował kolejne posunięcia, jak to miał w zwyczaju. Orientował się mniej więcej, na jakiej zasadzie poszczególne elementy garderoby składają się w całość. Mało tego, już wcześniej studiował jej strój i rozważał, jak by ją z niego wyłuskać jeszcze w tym stuleciu.

Polecił jej, żeby wstała, co zrobiła, nie patrząc na niego. Ukląkł i rozwiązał tasiemki u jej pantofli, a potem zsunął je z jej stóp. Wstał, trzymając skraj sukni. Sięgnął pod spód i odwiązał wzmacnianą drutami półhalkę, która nadawała spódnicy kształt. Następnie zdjął jej suknię przez głowę i upuścił na podłogę, gdzie opadła z cichym sykiem.

– Czekałem na to od wieków – powiedział.

Spojrzała w dół.

Pozostało jeszcze kilka warstw. Gorset, halka, pantalony, podwiązki, pończochy.

Potem skóra. Te miękkie, różowe części.

Coraz bardziej się niecierpliwił.

Odwrócił ją plecami do siebie, sięgnął pod halkę i rozwiązał pantalony. Ześlizgnęły się na podłogę. Zamknęła oczy, przełknęła ślinę i wyszła z nich.

Serce biło mu szaleńczo, jak u chłopca czekającego na swój pierwszy raz.

Przyciągnął ją znów do siebie, całował bok jej szyi, aż do barku. Zadrżała. On także drżał, puls mu galopował, ręce nie były tak pewne, jak być powinny, kiedy zabrał się do sznurówek gorsetu. Wiązanie znajdowało się na pochyłości jej pięknie uformowanych pośladków. Pomimo całej sztuczności sukni kształty miała prawdziwe, rozkosznie wyrzeźbione.

Doskonałe.

Jej zapach unosił się teraz wszędzie. Lawenda i Leonie nasyciły jej bieliznę, która pachniała jeszcze intensywniej, ponieważ znajdowała się tuż przy skórze. Serce mu łomotało, szybko i nierówno.

Zmusił się, żeby rozsznurować jej gorset równie miarowo i spokojnie, jak wcześniej rozpuszczał jej włosy i rozpinał suknię. Nie był chłopcem, lecz mężczyzną obytym i wiedział, że nie popędza się kobiet, chyba że jednoznacznie dadzą do zrozumienia, iż życzą sobie być popędzane.

Gorset się rozchylił, a wtedy uniosła ręce, by przytrzymać go na piersiach. Na widok tego gestu, tak niewinnego, ścisnęło go w gardle.

Całował jej plecy, luzując sznurki halki. Nadal przytrzymywała gorset. Wytyczył ścieżki z pocałunków wzdłuż jej nagich ramion, które oglądał teraz po raz pierwszy. Chwycił je, rzeźbił dłońmi ciepłą, jedwabistą skórę i jednocześnie całował ją za uszami, najpierw za jednym, potem za drugim. Wyrwał jej się cichy dźwięk, ni to śmiech, ni łkanie, nie był pewien.

Nakrył jej dłonie swoimi i uniósł. Gorset ześlizgnął się w dół. Kiedy po niego sięgnęła, położył ręce na jej piersiach. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Delikatne płótno halki było ciepłe od ciepła jej skóry. Ścisnął piersi Leonie, a z jej ust wymknęło się krótkie „Och”.

Pieścił ją, zarazem całując jej szyję i uszy, a ona puściła gorset, tak że opadł na podłogę. Znowu drżała, oddychała nierówno.

Gdyby myślał, być może by się zawahał. Być może zastanowiłby się, co oznaczają jej reakcje. Ale dodanie dwóch do dwóch przekraczało aktualnie jego możliwości. Górną ich granicę osiągnął, kiedy analizował jej ubranie i skórę, i czynności konieczne, żeby dostać to, czego pragnął. Umknęła mu różnica między dziewczyną o ograniczonym doświadczeniu a dziewczyną niedoświadczoną.

Odwrócił ją i pocałował w usta. Otoczył ją ramionami, tym razem bez śladu niezdecydowania lub wątpliwości. Zbroja zniknęła, a ona była tak miękka i ciepła, idealnie wpasowywała się w jego ramiona, jego Wenus. Nie rozważał więcej, co jest słuszne bądź złe, najlepsze bądź najgorsze.

Upijał się głębokimi pocałunkami. Jej skóra w dotyku przypominała aksamit. Zdjął z niej halkę i odrzucił na bok. Ujął w dłonie jej piersi, całował je i ssał. Pieścił jej brzuch, a potem prześlizgnął się dłonią w dół, do miękkich jak puch miedzianych loków między jej nogami. Zatchnęła się, kiedy jej tam dotknął.

Zatrzymał się.

– Zadaję ci ból?

– Nie. – Otworzyła oczy, tak niebieskie. – Moje pończochy – dodała zduszonym głosem.

Na ten dźwięk wezbrał w nim żar, grożąc, że zmiecie ostatnie cząstki samokontroli. Zdołał powiedzieć:

– Chcę, żeby zostały.

Zadrżała.

– A pan?

– Zdejmę surdut.

Podniosła na niego oczy, szeroko otwarte i nagle pociemniałe.

– Więcej – powiedziała.

Sięgnęła do jego halsztuka i rozwiązała go nieporadnie, dłońmi równie niepewnymi jak jego własne. Odplątała mu go z szyi i upuściła na podłogę. Niespiesznie rozpięła mu kamizelkę, a potem samotny guzik u koszuli. Rozchyliła materiał.

– No i proszę – szepnęła.

I pocałowała go u podstawy szyi. Kolejnymi pocałunkami powędrowała w dół, naśladując jego wcześniejsze poczynania.

Jeśli nie zadziała szybko, skompromituje się.

Popchnął ją na szezlong.

Planował się nie spieszyć, ale przecież już się do tego zastosował, rozbierał ją nieskończenie długo, pieścił tak delikatnie, jakby była ptakiem, którego trzeba oswoić. W swoich kalkulacjach nie uwzględnił jednak jej głosu i oczu, i dotyku.

Zrzucił dolne części garderoby – buty, pończochy, spodnie – w nerwowym pośpiechu, jakby nie miał chwili do stracenia, jakby ptak mógł lada moment odfrunąć. Koszula skrywała jego przyrodzenie, ale nie podniecenie, i jak przez mgłę odnotował, że cofnęła się nieco z szeroko otwartymi oczami.

Jeśli cokolwiek zdołałoby go zaalarmować, to właśnie ta jej reakcja, lecz na dobre utracił już chyba zdolność myślenia.

Zdjął koszulę przez głowę i odrzucił ją na bok.

– *Mon Dieu* – powiedziała.

Krew łomotała mu w uszach, ale zawahał się, słysząc jej zszokowany głos. Lustrowała go wzrokiem, wędrując rozszerzonymi oczami z góry na

dół, przy czym zatrzymała się na dłużej na jego nabrzmiałym członku.

Później odetchnęła głęboko i powiedziała po francusku, drżącym głosem:

– Bardzo pan przystojny. Proszę tutaj.

I wyciągnęła w górę ramiona, a on podszedł do szezlonga i zapadł się w nie.

* * *

Choć była przerażona, Leonie za nic nie chciała przerywać.

Marcelline nie objaśniła jej nawet ułamka: czego potrafi dokonać dotyk… czym jest doznanie jego ust na skórze… ta szokująca przyjemność, gdy ujął w dłonie jej piersi i pieścił je… i gdy, jak teraz, wyginał piękne ciało w łuk nad jej ciałem, a niesforne kosmyki łaskotały ją w brodę, kiedy zasypywał pocałunkami jej szyję, wędrując w dół… ten wstrząs, gdy zamykał wargi na jej sutkach i ssał, a żar mknął od tych punktów w głąb jej trzewi, aż wiła się i prężyła, wydając dźwięki, które nie wyrwały jej się nigdy wcześniej.

Nie dało się ująć tego w słowa: owej niemożności trwania w bezruchu, przymusu nieustannego dotykania… presji, by zagłębić twarz w jego skórę, ponieważ ciągle nie było jej dość jego dotyku, zapachu, smaku.

Nikt nie umiałby opisać tej potrzeby, tej siły, która niosła ją niczym rozszalały nurt.

Nie potrzebowała dłużej niczyich opisów.

Powiódł dłonią w dół jej brzucha i niżej, do miejsca między nogami, gdzie dotknął jej wcześniej. Spodziewała się tego, a mimo to doznanie ją zaskoczyło. Następnie cały przesunął się w dół, aż jego usta znalazły się tam, gdzie przedtem były dłonie, i całował ją w owym miejscu. Naprężyła się, wiła, a on pomógł sobie kciukiem i przyjemność przekroczyła wszystko, co znane. Narastała i narastała, aż Leonie nie mogła tego znieść, a jednak jakimś cudem znosiła, ponieważ nie potrafiła przerwać i umarłaby, gdyby on przerwał.

Potem przestała rejestrować jego poczynania, gdyż dowodzenie objęło jej ciało. Krew mknęła żyłami i łomotała w głowie. Wszystko wibrowało, z jej nogami włącznie, aż wreszcie skumulowane uczucia eksplodowały w jej

wnętrzu, wydała z siebie cichy okrzyk i wbiła w Lisburne’a palce, chcąc się przytrzymać, by nie ulecieć pod sufit.

Poczuła, jak on się unosi, i ledwie otworzyła oczy, żeby sprawdzić, co robi, gdy w nią wszedł.

Au!

Spodziewała się, że to zaboli, przynajmniej odrobinę, ale wtedy jeszcze jej mózg funkcjonował, czego nie dało się o nim powiedzieć obecnie, toteż doznanie zaskoczyło ją i unieszczęśliwiło.

– Do diabła, Leonie! – powiedział.

Podniosła nań wzrok. Podobna bogom istota pociła się jak śmiertelnik, z wyrazem oszołomienia i szaleństwa na twarzy.

– Nie wiedziałem – rzekł. Głos miał ochrypły.

Z trudem dobyła z siebie własny. Kiedy się odezwała, zabrzmiał jak u pijaczki.

– O czym?

– To twój pierwszy raz, zgadza się? – Robił jej z tego zarzut.

– Byłam z a j ę t a.

Długa, pełna napięcia chwila. Potem roześmiał się chrapliwie, pokręcił głową, nachylił się i pocałował ją.

– Teraz nie ma już sensu przerywać – powiedziała, kiedy uniósł głowę.

– Nie przerywam. Na to jest o wiele za późno.

Zarzucił sobie jej nogi na ramiona. Miejsce, gdzie się w nią wklinował, odrobinę się rozluźniło i wrażenie ucisku zelżało. Poruszył się w niej, a jej mięśnie ustąpiły jeszcze trochę. I wkrótce moment niepokoju przeminął. Uczucia nadpłynęły z powrotem, a żar, przyjemność i ekscytacja z powodu tego, że ma go w sobie, że są połączeni, zdusiły w niej skrupuły i obawy.

Przez cały czas się w niej poruszał, wolno, a jej ciało poddawało się, przyjmując go w siebie. Żar narastał i znów wibrowała, jak przedtem, tyle że silniej, z większym podnieceniem. Wchodził w nią raz za razem, a jej ciało dopasowywało się do tego rytmu. Przywodziło to na myśl taniec w burzy, jazdę na falach oceanu. Zapomniała o dyskomforcie, istniał wyłącznie on i ich żywiołowe połączenie.

Raz jeszcze uczucia pulsowały w jej wnętrzu i porywały ją w górę, jakby jakiś bóg niósł ją na Olimp. Wyżej i wyżej, pośród pulsującego żaru, gdy ogromna burzowa chmura emocji wirowała wokół niej i w jej wnętrzu. W końcu dotarła do celu, długiej, podniosłej chwili czystej radości, po

której nadeszła ulga. Później Lisburne opadł na nią i pocałował ją, ona zaś niespiesznie powróciła do tego świata, z dłońmi wplątanymi w jego włosy.

Rozdział 11

Krąży wielce skandaliczna opowieść o pewnym
Angliku w Paryżu, panu H., oraz dwojgu osieroconych
dzieciach niemieckiego barona, zrodzonych z angielskiej żony:
poczekajmy, czego dowiedzą się nasi
korespondenci.
„Lady’s Magazine & Museum”, marzec 1835 roku

Szezlong był wąski, nie zaprojektowano go dla dwojga. Niemniej kiedy Lisburne wykonał ruch, żeby unieść się z Leonie, odwróciła się w jego ramionach, splotła nogi z jego nogami i dopasowała się do niego z taką łatwością, jakby ćwiczyli to od lat. W ten sposób mieli dosyć miejsca, dokładnie tyle, ile było im trzeba, to znaczy przylegali do siebie ściśle, choć już z niej wyszedł.

Stygł i uspokajał się, po części ześlizgując się w sen, z dłonią ulokowaną wygodnie na jej biodrze. Po części jednak kurczowo uczepił się przytomności. Zmuszało go do tego miotające się szaleńczo sumienie – teraz, gdy było za późno, po tym, jak tkwiło w odrętwieniu przez cały ten czas, kiedy miało szansę na cokolwiek się przydać.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Wtulała twarz w jego bark, toteż jej słowa nadpłynęły z lekka zduszone.

– Teraz wiem, skąd u Wenus tamten wyraz twarzy. Myślała sobie: „Co się właśnie stało? Wszystko ze mną w porządku? Jak on może spać w takiej chwili?”.

Nawet w przybliżeniu nie przypominało to jakiejkolwiek z oczekiwanych przez Lisburne’a odpowiedzi. Łzy, wstyd, strach, poczucie winy – czy nie takie były przeważnie reakcje?

Powinien mieć więcej rozumu. Chodziło o Leonie, tę, która stała w bezruchu przed jego obrazem przez co najmniej kwadrans. Pojął, że tkwiła tam, gdyż usiłowała dojść z dziełem do ładu i poprawnie umiejscowić je w swej mentalnej księdze.

– Mars śpi – wyjaśnił, na moment odsuwając na bok niepokój – ponieważ czuje się tak, jakby w ciągu paru minut wykonał wszystkie prace

Herkulesa. W najprzyjemniejszy z możliwych sposobów. Ale jednak…

– To duży wysiłek dla mężczyzny. Teraz dobrze to rozumiem.

T e r a z rozumiała. Dzięki niemu. Wiedział, że niektórzy mężczyźni szczególnie gustują w dziewicach i płacą za nie wysokie ceny. Nie zaliczał się do nich wszakże Simon Blair, czwarty markiz Lisburne. Ojciec powiedział mu, że prawdziwy dżentelmen nawiązuje intymne relacje tylko z jedną dziewicą, mianowicie swoją żoną, w noc poślubną.

Za to, co zaszło, Lisburne mógł winić wyłącznie siebie. Leonie była nowicjuszką. Bez względu na to, jak wyrafinowana się wydawała, brakowało jej doświadczenia. To Lisburne, który swym doświadczeniem mógłby obdzielić kilku dżentelmenów, ponosił odpowiedzialność. Powinien był okazać się mądrzejszy. Powinien był zauważyć. Ale rozmyślnie pozostawał ślepy.

Teraz, kiedy było za późno, przypomniał sobie wskazówki: wahanie, z jakim pocałowała go po raz pierwszy, odnoszone przezeń wrażenie, że uczy się w miarę rozwoju wypadków. Do czorta, czyż mu nie powiedziała?!

„Może jestem niedoświadczona, ale bardzo szybko się uczę, a jeśli już czegoś się uczę, zamierzam opanować to n a d z w y c z a j dobrze”.

„Niedoświadczona”. Zinterpretował to słowo tak, jak najbardziej mu pasowało. Możliwość, że jest dziewicą, odrzucił jako wysoce nieprawdopodobną. Miała dwadzieścia jeden lat. Była krawcową, która mieszkała wcześniej w Paryżu. Była wyrafinowana, przy czym chodziło o coś więcej niż miejską patynę, jakiej przeciętna debiutantka nabiera po sezonie czy dwóch.

Tak, te elementy czyniły dziewictwo mało prawdopodobnym. Ale nie niemożliwym.

Intelekt, którym tak się szczycił, bez wątpienia dopuszczał taką możliwość. Lisburne pozwolił jednak, by pożądanie i próżność wzięły w nim górę nad rozsądkiem i logiką. Nie chciał dostrzec wskazówek.

– Tyle ciężkiej pracy, a mimo to pan nie zasypia – zauważyła.

– Myślę.

Poczuł, że stężała.

– Że to był błąd? – spytała.

– Że zrobiłem coś, o czym wiem, że jest złe.

– Ach, sumienie – skomentowała z przekąsem.

– Kochana…

– Ja nie mam sumienia – weszła mu w słowo. – Jedynie teoretycznie rozumiem, na jakiej zasadzie ono działa. Nie mam też moralności. Nie jestem damą.

– To bez znaczenia. To był twój pierwszy raz.

– Mój pierwszy raz zdarzyłby się dawno temu, gdybym miała… albo wygospodarowała… więcej czasu dla mężczyzn. Gdyby nie pan, byłby to ktoś inny, w końcu. Chciałam, żeby to był pan. Wiedziałam, że z panem będzie przyjemnie, i było. Było… bardzo miło. Niemalże jestem w stanie wybaczyć panu, że rujnuje mi życie.

Znów pocałował jej bark.

– Myślałem, że było lepiej niż bardzo miło.

– Brak mi punktu odniesienia.

– Mnie też.

Uniosła głowę i odsunęła się nieco, żeby posłać mu twarde spojrzenie.

– Jesteś moją pierwszą dziewicą – powiedział i mimo że czuł się sobą zdegustowany, po prostu musiał rozkoszować się widokiem ponętnych krągłości i kremowej skóry, tak doskonale komponujących się z jej włosami. Tycjan by zemdlał. Botticelli także.

– To jakaś kpina? – zdumiała się. – Nawet za chłopięcych lat?

Nie lubił opowiadać o ojcu poza wąskim kręgiem rodziny. Nawet teraz poczucie straty utrudniało mu mówienie. Czas złagodził smutek, ale go nie wymazał. Nikt spoza najbliższej rodziny nie rozumiał, jak to jest.

Mimo to uniósł się na łokciu, niczym rzymski bóg zajmujący wygodną pozycję do konwersacji przy posiłku, i wyjaśnił jej. Zasady. Co dżentelmen robi, a czego nie. I dlaczego. Słuchała ze skupieniem w niebieskich oczach, z pełną uwagą. Wiedział, że analizuje poszczególne informacje i organizuje je w schludne pakiety, które zaznacza w kolumnach swego prywatnego rejestru.

Poczuł się jeszcze bardziej nagi.

Kiedy skończył, przyłożyła mu dłoń do policzka. Odwrócił głowę, by ucałować jej wnętrze.

Przełknęła ślinę.

– Chyba obojgu nam zdarzało się jaśniej ocenić sytuację – stwierdziła. – Ale mówiąc uczciwie, milordzie…

– Simonie – wtrącił. – Wydaje mi się, że kiedy dwoje nagich ludzi dzieli wąski mebel, można dopuścić pewną bezpośredniość.

Pokręciła głową.

– Nie jestem gotowa na bezpośredniość. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę. Moim zdaniem powinien pan zwracać się do mnie „panno Noirot”, kiedy jesteśmy nadzy. Zwłaszcza wtedy. W sytuacji takiej jak teraz, gdy… – Urwała, jej wzrok stał się raptem nieobecny, oczy się zaokrągliły. – Och, na Zodiak, co ja najlepszego zrobiłam?!

Poderwała się z szezlonga i oddaliła w pośpiechu, podczas gdy Lisburne dopiero próbował usiąść. Biegała po pokoju z jedną pończochą zsuwającą jej się z nogi.

– Która godzina? Co ja zrobiłam?

– Leonie.

Szamotała się pośród rozrzuconych na podłodze ubrań i drobnych elementów ich garderoby, które wylądowały na rozmaitych meblach. Znalazła swoją koronkową chusteczkę i otarła się nią pospiesznie. Porwała halkę i założyła ją przez głowę.

– Jak mogłam być tak głupia?

– Leonie, nie trzeba.

– Lepiej niech pan już idzie.

Zniknęła za kotarą – zapewne w przymierzalni.

– Nigdzie się nie wybieram – oznajmił. – Oczekiwałem łez. I histerii. Aczkolwiek spodziewałem się ich wcześniej. Mówiłaś…

Urwał, kiedy wypadła zza kotary w nieomal przezroczystym, na wskroś nieprzyzwoitym peniuarze, narzuconym na halkę uszytą z mgiełki.

– Oczywiście, że histeryzuję! – powiedziała. – Że też akurat dzisiaj zapomniałam o Tomie!

Wybiegła z pokoju.

* * *

Odszukanie i narzucenie na siebie koszuli zajęło Lisburne’owi chwilę. Jakkolwiek skonfundowany i zaniepokojony, zachował choć tyle przytomności umysłu, żeby unikać szokowania niewinnej pokojówki, która mogłaby go podglądać zza załomu korytarza.

Na myśl o służących na moment się zatrzymał. Plotki… kolejny skandal związany z Leonie i butikiem…

A gdyby urodziła dziecko…

Dziecko, dziecko. Leonie nosząca jego dziecko.

Nie, nie, nie będzie myślał o tym w tej chwili. Miał dosyć na głowie. Jeden problem naraz, a obecnie najważniejszą sprawą była jej panika.

Ponieważ nie zamknęła za sobą drzwi, wychwycił stłumiony odgłos stóp w pończochach. Spiesznie wyszedł z pokoju, spojrzał w dół, a później w górę klatki schodowej. Mignął mu zwiewny peniuar.

Kiedy dotarł na korytarz drugiego piętra, zobaczył światło wylewające się z bawialni. Tam ją znalazł, kładła właśnie papier oraz podstawkę na kałamarz i pióra na stole, przy którym jedli.

– Trudno mi uwierzyć, że Tom, kimkolwiek jest, wyzionie ducha z rozpaczy, jeśli nie napiszesz dziś do niego miłosnego listu – skomentował.

– Proszę nie być niedorzecznym. Kto ma czas na listy miłosne? Chodzi o interesy, milordzie…

– Simonie.

– Chodzi o interesy, *mon cher monsieur*.

– W porządku, zaakceptuję „mój drogi panie” – ustąpił – ponieważ mówisz to z idealnie paryskim akcentem.

– Dorastałam głównie w Paryżu. Jako najmłodsza, spędziłam tam największą część życia. Proszę mnie nie rozpraszać. Już i tak nie jest mi łatwo. Może powinien pan wracać do domu. Albo… – Opadła na krzesło i wbiła wzrok w kartkę papieru. – Albo może naleje mi pan solidną porcję brandy. Nienawidzę tego!

Podszedł do stołu i spojrzał na pustą stronę.

Podniosła nań wzrok.

– Ma pan pojęcie, jak trudno jest dziewczynie zebrać myśli, kiedy stoi nad nią niemal zupełnie nagi mężczyzna?

Trudno było zebrać myśli, kiedy stało się nad prawie nagą kobietą o tak smakowitym zapachu i smaku, tak cudowną w dotyku. Z chęcią zgarnąłby ze stołu papier, podstawkę na kałamarz i całą resztę, posadził ją na blacie i nauczył paru nowych rzeczy.

– O czym musisz myśleć o tak późnej porze? – zapytał. – Północ minęła wieki temu.

– Wiem! A on musi dostać tekst przed piątą, jeśli chcę mieć choć cień nadziei, że go zamieści.

– Przepraszam, ale o czym my, u licha, mówimy?!

Podniosła nań wzrok.

– Tom Foxe. „Poranne Zwierciadło”. Jeśli nie prześlę mojego sprawozdania z Vauxhall, świat przeczyta wyłącznie relacje innych korespondentów, a w nich butik i Stowarzyszenie na pewno wypadną jak siedlisko oszustów i degeneratów. Tylko że ja nie mam do tego smykałki. Sophy ma. Ale ona… jest daleko stąd!

Przysunął krzesło do jej krzesła i usiadł. Wyjął jej z ręki pióro i umieścił na podstawce. Ujął jej dłonie w swoje.

– Oto, co zrobimy – zarządził. – Dasz sobie chwilę na uspokojenie. Potem wyłożysz mi, na czym polega problem, na swój zwykły, uporządkowany sposób. Potem przyniosę ci brandy albo spróbuję pomóc, albo zrobię coś innego, cokolwiek wyda się najbardziej użyteczne.

* * *

Leonie popatrzyła na ich złączone dłonie i powiedziała sobie, że to nad wyraz niemądre. Nie mogła zwierzyć mu się w zaufaniu jedynie ze względu na ich niedawne szalenie intymne interludium. Nie chciała postrzegać go jako kogoś, do kogo może się zwrócić w przypadku trudności, ponieważ kiedy on w końcu odejdzie, tym mocniej będzie za nim tęskniła. Wystarczy spojrzeć, jak zdruzgotała ją nieobecność sióstr!

Ale znalazła się w wielkich tarapatach, niekiedy zaś samo wytłumaczenie komuś istoty problemu pomaga dostrzec jego rozwiązanie.

No i był praktycznie nagi. Światło padało nań w taki sposób, że wyglądał jak złoty bóg, a w dodatku trzymał ją za ręce, tak więc mądre zachowanie okazało się poza jej zasięgiem.

Wyjaśniła mu, że Maison Noirot zalicza się w poczet anonimowych korespondentów „Porannego Zwierciadła”.

– Głównie relacjonujemy, co nasze klientki miały na sobie przy takiej czy innej okazji. Tom łączy te relacje z doniesieniami swoich plotkarskich źródeł na temat zajść w trakcie danego wydarzenia, tworząc z tego żywą opowieść. Ale Sophy czerpała plotki z własnych źródeł i przepięknie splatała je z opisami ubrań, żeby przyciągnąć uwagę do butiku.

Leonie umilkła. Świat nie może odkryć, że Sophy odwiedzała modne spędy towarzyskie w przebraniu, by szpiegować wyższe sfery i donosić, co

kto zrobił lub powiedział. Przekazywała plotki Tomowi Foxe’owi na wyłączność – w zamian za pierwszorzędne miejsce na łamach jego cieszącej się szaloną popularnością gazety plotkarskiej.

– Sophy znalazłaby sposób, żeby obrócić dzisiejsze fiasko na naszą korzyść albo przynajmniej zmusić ludzi do przemyśleń.

– Tak jak zrobiła to Gladys? – spytał Lisburne.

Podniosła nań wzrok. Przez jego koszulę widziała wszystko. Nieważne, że oglądała obrazy, ryciny i rzeźby przedstawiające nagich mężczyzn. Żaden z tamtych wizerunków nie wywołał u niej rumieńca, który rozciągał się od czubka głowy po palce stóp.

– Gladys? – powtórzyła, usiłując przypomnieć sobie, o kogo może chodzić.

– Ten nieoczywisty sposób, w jaki odwróciła uwagę słuchaczy od Swantona – wyjaśnił. – Mówiła o tym, że Vauxhall przyciąga dziwaków, a następnie zaprzęgła słuchaczy do ustalenia tożsamości Ariela. Kiedy już skupili uwagę na jego historii, przystąpiła do jej relacjonowania. Interesująca metoda obrony Swantona tak, by nie wyglądało na to, że go broni. Zamiast mówić: „Nie wierzę w to” albo „To nie może być prawda”, wzorem części tych zadurzonych dziewcząt, zastosowała taktykę dywersyjną.

Pomimo dręczącego ją niepokoju Leonie się uśmiechnęła. Swego czasu krótko nawiązała do strategii wojskowej, a córka generała błyskotliwie wprowadziła koncept w życie. Dama uzmysłowiła sobie, że nie musi przechodzić całkowitej metamorfozy. Dostrzegła sposób, by jak najlepiej wykorzystać swoje walory, jak również przekształcić mniej pociągające aspekty swojej osobowości w atuty. Nie była już na łasce lady Ald tego świata.

– Powinnam opisać suknię lady Gladys – powiedziała. – Obszernie, ponieważ była wspaniała i ponieważ ostatnio wszystkich ciekawią jej kreacje.

– Moglibyśmy dodać, że „podsłuchano, jak napomknęła” o dziwnych indywiduach pokazujących się w Vauxhall – zasugerował Lisburne. – Oraz że oczekujemy na dalsze informacje od korespondentów. Tym sposobem scena, której wszyscy byli świadkami, zaczęłaby wyglądać jak zagadka, którą należy rozwikłać, nie zaś sprawa z góry przesądzona.

Coś w tym stylu zrobiłaby Sophy, tyle że ona miała skłonność do podkręcania dramatyzmu. Leonie wolno skinęła głową.

– Bardzo… dobry pomysł.

Puścił jej dłonie.

Chwyciła pióro. Wbiła wzrok w papier.

– Może ja to napiszę pod twoim nadzorem – zaproponował. – Podasz szczegóły stroju, a ja opowiem historię. Albo podyktuję ci moją część, a ty zapiszesz całość?

Popatrzyła na niego.

– Nie umyka mojej uwadze, że zaproponował pan dwa rozwiązania, z których każde zakłada pańskie zaangażowanie.

– Im szybciej się z tym uporamy – odparł niższym, bardziej mrocznym głosem – tym szybciej zajmiemy się sprawami mniej wyczerpującymi umysłowo.

Odłożyła pióro.

– Przyniosę brandy – powiedziała.

Z pomocą Lisburne’a zadanie zajęło ułamek czasu, jaki pochłonęłoby w innym wypadku, a rezultaty przewyższały wszystko, co Leonie zdołałaby wyprodukować samodzielnie. Przyznawała to bez oporów. Radziła sobie świetnie z liczbami, nie ze słowem pisanym.

W pół godziny podyktował jej zgrabną, dość zabawną notkę, zawierającą trzy plotki, których dotąd nie słyszała. Wygładził nawet jej opisy sukni z Maison Noirot. Miał podejście do przymiotników, którego jej brakowało. Jednak najlepszy okazał się fragment dotyczący lady Gladys. Biorąc pod uwagę, jak bardzo zdawał się nie lubić rzeczonej damy, opisał jej garderobę i wypowiedzi wielkodusznie i z delikatnością. Niemalże otarł się o liryzm.

Z drugiej strony, próbował ocalić lorda Swantona, a Leonie rozumiała, co czuł. Sama bez wahania poświęciłaby osobiste sympatie i antypatie, żeby ratować siostry lub siostrzenicę.

Brandy, którą skonsumowali w trakcie tych pisarskich wprawek, uczyniła osobiste poświęcenia mniej bolesnymi. Zmusiła także Leonie, by zwolniła kroku, kiedy spieszyła na dół z cenną notatką prasową.

Ściśle rzecz biorąc, nie była pijana. Do tego potrzeba by więcej niż paru kieliszków wina i szklaneczki brandy. A jednak kontury świata wygładziły się, zmysł równowagi zaś z lekka ją zawodził. Kiedy otworzyła drzwi, pod wpływem podmuchu nocnego powietrza, jakkolwiek ciepłego, zatoczyła się

do tyłu. Pozbierała się prędko, umieściła wiadomość w skrzynce, skąd odbierze ją posłaniec Toma, i wycofała się do domu.

Zamknęła i zaryglowała drzwi i już odwracała się ku schodom, kiedy spostrzegła cylinder Lisburne'a. Leżał na podłodze w pobliżu stolika, na którym w zamyśle miał wylądować. Podniosła go i otrzepała dłonią. Już zaczęła odkładać go na stolik, gdy zmieniła zdanie i założyła cylinder na głowę.

Do jej świadomości dotarł jakiś ruch na piętrze. Przypomniała sobie, że on tutaj nie mieszka, że wkrótce wróci do siebie. Oczywiste, że będzie się ubierał. Rozważyła, czy odłożyć cylinder na stolik. Ale był na nią za duży, co ją rozbawiło, a w dodatku pachniał Lisburne'em, Leonie zaś nie czuła się jeszcze gotowa na rozstanie z nim bądź czymkolwiek, co się z nim wiązało.

Niespiesznie pokonywała stopnie, do maksimum przedłużając przyjemne wrażenia. Kiedy znalazła się u szczytu schodów, przystanęła, żeby przygotować się na pożegnanie, podobnie jak przygotowywała się do spotkania z trudną klientką albo publicznego wystąpienia przed wytwornym towarzystwem.

Poszła do bawialni. I zatrzymała się w progu.

Najwyraźniej słyszane przez nią wcześniej hałasy to był Lisburne, zbierający ich ubrania w pokoju do konsultacji na pierwszym piętrze. Segregował je właśnie na dwa stosy, jego i jej. Oderwał wzrok od swego zajęcia i spojrzał na nią.

Uniosła brodę, wyprostowała plecy, splotła ramiona w talii i posłała mu druzgocący uśmiech DeLuceyów.

Rzucił kamizelkę, którą miał w ręku.

– Zamierzałem postąpić rozsądnie i pójść do domu – powiedział – ale szaleństwem było sądzić, że zdołam zachować rozsądek w twojej obecności. *Cherie*, chyba jesteś pijana.

– Absolutnie nie.

– Jesteś prawie naga i masz na głowie mój cylinder. Jak byś to określiła?

Zapomniała o cylindrze. Jakim cudem? Istotnie, oto tkwił na jej głowie.

– Mniejsza o określenia – rzekł. – Według mnie to czarujące. Pójdź no tu.

Wyciągnął ku niej ramiona. Tym razem się nie spierała. Weszła w jego objęcia, a jej serce szybowało.

* * *

Lisburne zamierzał pod osłoną nocy wymknąć się tylnymi drzwiami, prześlizgnąć przez podwórze i stamtąd na ulicę.

Każdy, kto wyszpiegowałby go na St. James o tej porze, uznałby go po prostu za kolejnego dżentelmena w drodze do lub z klubu Crockford’s bądź dowolnego innego spośród licznych przybytków hazardu w tej okolicy.

Opuszczenie tego miejsca dobrze przed świtem było najmądrzejszym rozwiązaniem. Później różni modnisie zaczną wracać ze swoich schadzek. W świetle dnia z łatwością rozpoznają Lisburne’a i odnotują niespotykane u niego rozchełstanie. Nie będą potrzebowali dalszych wskazówek, żeby ustalić, gdzie był i co tam robił.

Wtedy wszakże w drzwiach pojawiła się Leonie, przyodziana w olśniewający uśmiech, jego cylinder i niewiele poza tym, i rozsądek stracił prawo głosu.

Weszła w jego ramiona, a on objął ją i trzymał mocno, przekrzywiając cylinder na jej głowie. Kiedy już nawdychał się do woli jej zapachu i dostatecznie długo delektował jej ciepłem i miękkością doskonale wyrzeźbionego ciała, cofnął się i spróbował przywołać się do porządku. Ale cylinder zsunął się na jej niebieskie oko i uśmiechnęła się tak niegrzecznie i przekornie, kiedy podniosła nań wzrok.

Dźwignął ją, zaniósł na stół i posadził na nim, opasując jednym ramieniem, podczas gdy drugim zmiatał z blatu papier, pióra, ołówki i podstawkę na kałamarz.

Papier fruwał wszędzie, buteleczki się porozbijały, jego zaś nic to nie obchodziło. Spychał cylinder z jej głowy i całował jej czoło, nos, policzki, wargi. Całował jej szyję i szarpał tasiemki peniuaru. Nakryła jego dłonie swoimi i odciągnęła od wstążek. Rozwiązała je prędko, podczas gdy on na powrót odszukał ustami jej usta i zatracił się w jej smaku, w zapachu jej skóry, zarazem usuwając z drogi przejrzysty strój, by pochwycić jej piękne piersi. Pasowały do jego dłoni idealnie, tak jak jej usta idealnie pasowały do jego ust, odwzajemniała jego pocałunki, drocząc się i wabiąc, ich języki splatały się w grzesznym tańcu, którego kroki znali wyłącznie oni dwoje.

Podciągnęła na nim koszulę i położyła mu dłonie na piersi, a później powiodła nimi po jego brzuchu i biodrach. Pieściła go ze swobodą osoby,

która wie, co jej się należy, i cieszy się tym bez nieśmiałości. Pewny dotyk jej dłoni był jak płomień świecy przytknięty do wiązki słomy.

Jej palce ześlizgnęły się do jego erekcji, dotyk wyrażał niepewność i zaciekawienie. Sięgnął po jej dłoń, żeby ją tam przytrzymać, pokazać jej, jak mocniej owinąć go palcami.

– To przyjemne? – spytała.

Jego serce pracowało jak bliska przegrzania maszyna parowa, gwałtownie pompując krew w żyły.

Popełnił błąd, nie docenił tego, co ona może mu zrobić.

– Tak – odparł rwanym szeptem.

– Chcę się nauczyć.

– Później – wycedził przez zęby. Jego samokontrola wisiała na najcieńszym włosku. – To zbyt przyjemne.

Odsunął jej dłoń i wdarł się w nią, jej zaś wyrwał się cichy okrzyk.

Krew huczała mu w głowie, znalazł się u progu eksplozji, ale się zatrzymał.

– Nie, nie przestawaj – rzuciła na bezdechu. – To bardzo miłe.

„Bardzo miłe”.

Mimowolnie parsknął zdławionym śmiechem.

– Leonie – powiedział.

– Panno Noirot, jeśli łaska, milordzie. Albo madame.

– Madame.

Uniósł jej nogi w sposób, który poprzednio okazał się dla niej wygodniejszy, przy czym cudem było, że w ogóle zdołał o tym pomyśleć, że cokolwiek pamiętał. A jednak pamiętał, nawet kiedy w nią wchodził, kiedy ich ciała odnalazły wspólny rytm. Tym razem była pewniejsza – „szybko się uczę”, jak powiedziała – uniosła się na łokciach i zmieniła pozycję, aby poruszać się wraz z nim, wziąć go głębiej.

Wyglądała pięknie, z przymkniętymi niebieskimi oczami i półuśmiechem na wargach. Nauczyła się szybko, tak jak mówiła, i była pewna siebie i pewna jego. Jej instynktowne ruchy, prędkie zrozumienie, pewność zadawały mu ból, doprowadzały go do szaleństwa i otępiały, aż utracił wszelką zdolność myślenia. Pozostały jedynie szaleńcza potrzeba i wiadomości przesyłane mu przez zmysły: jej zapach i miękkość… doznanie bycia w niej… poruszania się w niej, kiedy zaciskała wokół niego mięśnie w tej najbardziej intymnej grze kochanków.

Pragnął znaleźć się jeszcze bliżej. Nachylił się ku niej, ona zaś uniosła się, pocałowała go śmiało i oplotła ramionami. Trzymała go, kiedy rytm połączenia wiódł ich ku pulsującej kulminacji. Trzymała go, kiedy żar spółkowania ustąpił miejsca przeszywającemu uczuciu szczęścia. I trzymała go nadal, kiedy świat ześlizgiwał się w ciemność.

* * *

Gdy Leonie wróciła do rzeczywistości – na tyle, na ile było to jeszcze możliwe w jej przypadku – pierwszym, czego stała się świadoma, był jego oddech, głęboki i miarowy. Osunął się na krzesło, z głową wspartą na jej udzie. Przeczesała palcami jego włosy. Na zewnątrz rozległ się jakiś dźwięk i podniosła wzrok, a wtedy zauważyła, że światło się zmieniło. Powędrowawszy spojrzeniem w stronę okna, odkryła, że mrok rzednie, niosąc obietnicę świtu.

Jej spustoszony przez żądzę umysł potrzebował chwili, by zrozumieć, co to oznacza poza faktem, że wkrótce nastanie ranek. Później wróciło wspomnienie pracowitych minut poprzedzających orgię na stole w bawialni. Tom. Artykuł dla „Zwierciadła”.

Która była godzina?

Nie miała pojęcia, gdzie podział się jej zegarek, ale niedostatecznie ciemne okno stanowiło wystarczającą wskazówkę. Potrząsnęła lekko Lisburne’em, a kiedy ten z pomrukiem niezadowolenia zmienił pozycję, potrząsnęła nim ponownie.

Uniósł głowę.

– Co?

Potem najwyraźniej dotarło do niego, gdzie jest, odwrócił się bowiem i pocałował ją w udo. Zaczęła się topić. Ale za oknem słyszała odgłosy powozów, towarzyszące Londynowi udającemu się do łóżek.

– Niech się pan obudzi – powiedziała. – Wkrótce wzejdzie słońce, nie może pan tu zostać.

– Jeszcze ranek nie tak bliski – wymamrotał, znów całując ją w udo. – Słowik to, a nie skowronek się zrywa.

– Nie mówiłam nic o słowikach.

– *Słowik to, a nie skowronek się zrywa/I śpiewem przeszył trwożne ucho twoje*[5]. – Pocałował ją w kolano. – *Romeo i Julia.*

Widziała tę sztukę więcej niż raz. Mimo to pamiętała zaledwie strzępki zdań. Lepiej znała starożytnych Greków i Rzymian, których opowieści czytała po francusku i angielsku.

– Sztuka jest bez wątpienia piękna – powiedziała – ale Szekspir używa angielszczyzny, ze zrozumieniem której mam trudności.

– Z chęcią wcielę się w nauczyciela – zaproponował miękko.

– Nie, nie zrobi pan tego. Nie mamy czasu. Musi pan iść, teraz… zanim zjawi się posłaniec „Porannego Zwierciadła”. Mają drukować napisane przez nas plotki, a nie odkrywać i zamieszczać własne na nasz temat.

Wtedy wyprostował się na krześle i potrząsnął głową. Przeczesał włosy palcami, w niepojęty sposób przydając tym sobie jeszcze atrakcyjności.

Ale to wszystko rozgrywało się w jej głowie. Nie umiała postrzegać go inaczej niż jako pięknego i godnego pożądania; niemądra, beznadziejna kobieta!

By oprzeć się pokusie, ześlizgnęła się ze stołu.

– Proszę się pospieszyć – powiedziała, kierując wzrok ku oknu.

Było o ton jaśniejsze niż jeszcze przed chwilą.

Co za okropność. Nie chciała, żeby odchodził. Nikt jej nie wytłumaczył, jak człowiek się czuje, doświadczywszy tak głębokiej intymności. Nikt jej nie uprzedził, że będzie chciała zatrzymać go przy sobie albo że jej serce zacznie pękać na samą myśl o jego odejściu, o tym, że nastał koniec…

Miała świadomość konsekwencji i pomartwi się nimi później, bez wątpienia, lecz w tej chwili konsekwencję stanowił ból rozłąki.

Romeo i Julia… znając źródło tych słów, przypomniała sobie scenę, w której Julia usiłowała przekonać Romea, że ranek jeszcze nie nadszedł. Leonie rozumiała teraz, dlaczego Julia nie potrafiła zachować się rozsądnie i pozwolić kochankowi odejść.

To było głupie, wiedziała. Mężczyźni chcieli jednego, a kiedy to dostali, odchodzili.

Wiedziała o tym. Wiedziała, że to kobietom przypada w udziale borykanie się z konsekwencjami.

Ta wiedza niczego nie zmieniała.

Nie chciała, żeby odchodził.

Zaczęła przepędzać go gestami.

– Szybciej, szybciej! – ponaglała. – Słyszę powozy, za kilka minut zrobi się…

– Wiem.

Wstał, w niespełna dziesięć minut doprowadził się jako tako do porządku, po czym już go nie było.

* * *

Później w Lisburne House

Lisburne ruszał właśnie na górę do swojej sypialni, kiedy usłyszał kroki Swantona.

Dopiero wówczas przypomniał sobie, że porzucił kuzyna w Vauxhall, by ten samodzielnie odnalazł drogę do domu.

Zatrzymał się, usiłując zdecydować, co powiedzieć.

– Tutaj jesteś – rzekł Swanton. – Nikt nie wiedział, gdzie się podziałeś, ale nie wiedziano także, gdzie jest madame, zakładam więc, że się nią zaopiekowałeś?

– Tak.

– Jaki to był dla niej koszmar! – Swanton ruszył po schodach w ślad za nim.

Lisburne podjął wspinaczkę.

– Istotnie. Chociaż niewykluczone, że nieco ograniczyłem zniszczenia. A ty? Znalazłeś Gladys?

Swanton nie odpowiedział.

Lisburne popatrzył na niego. Twarz poety przybrała szkarłatny odcień.

– Nie okazała się tak przyjazna i wyrozumiała, jak na to liczyłeś? – podsunął Lisburne.

– Nie mogłem jej znaleźć. Raz po raz słyszałem jej głos, ale na tyle cicho, z oddali, że przypuszczalnie bym go przeoczył, gdyby nie był tak charakterystyczny. Na pewno słyszałem go między kilkorgiem naszych znajomych, którzy akurat tańczyli. Ale nie mogłem jej wypatrzyć. Cały świat zdawał się tańczyć, a… – Swanton urwał, ściągając brwi. – Chyba nie jest tak wysoka jak Clara?

– Niewiele kobiet jest tak wysokich jak Clara – odparł Lisburne.

Uważał Gladys za dostatecznie szeroką, żeby nie przeoczyć jej w tłumie. Z drugiej strony, ostatnio jakby zrzuciła parę kilogramów. A może to w nowych strojach wyglądała na trochę szczuplejszą. Zaledwie trochę. Nikt nigdy nie opisałby jej jako smukłej.

– W każdym razie niemożnością było zyskać pewność, która to ona, a po wydarzeniach minionego wieczoru wolałem nie nagabywać kobiety, nie wiedząc, czy to ta właściwa. – Swanton potarł czoło. – I może też zacząłem mieć wątpliwości, czy ją nagabywać. No i tak… – Urwał, czerwieniąc się jeszcze bardziej. – Słuchałem jej głosu, a potem zagadnął mnie Crawford. Powiedział, że scena z tą kobietą była śmiechu warta. Nikt nie uwierzy, że tak postąpiłem. Na to pojawił się Hempton i on z kolei stwierdził, że ludzie uwierzą w każdy skandal. Naturalnie, zaczęli się o to spierać. Słowo daję, są szczęśliwi tylko wtedy, gdy mają odmienne zdanie, bo dzięki temu mogą założyć się, który z nich ma rację. No i gdzieś mi zniknął ten piękny głos, i więcej nie udało mi się go odnaleźć. Sądzę, że twoje kuzynki opuściły Vauxhall, kiedy Crawford i Hempton się spierali, ponieważ gdy po raz kolejny zobaczyłem Batesa i Flintona, dam już z nimi nie było. To znaczy dotrzymywali towarzystwa innym kobietom, a… cóż, czułbym się zakłopotany, pytając o twoje kuzynki.

– Najpewniej przeraźliwie by cię wykpili – orzekł Lisburne.

Tymczasem dotarli już do szczytu schodów, on zaś poczuł się, jakby miał sto lat. Było ogromną niesprawiedliwością, że Swanton, tak wrażliwy, znalazł się w tej upokarzającej sytuacji. Gdyby nikomu nieznana kobieta oskarżyła dowolnego innego mężczyznę o to, że spłodził i porzucił dziecko, Wielki Świat wzruszyłby ramionami. Ale świat uwielbia obalać idoli. W przypadku Swantona wytworne towarzystwo rozerwie go na kawałki i każdy z nich z osobna obrzuci błotem.

Jednak najgorsza w tym wszystkim – bo Swanton przeżyje i prędzej czy później się pozbiera – była szkoda wyrządzona Leonie. I jej dziewczętom. I jej butikowi.

Tak czy owak, zadręczanie się tym mijało się z celem, podobnie jak nie było sensu, żeby Lisburne gryzł się własnym niehonorowym postępkiem. Albo faktem, że nie zdenerwował go on tak bardzo, jak powinien. Wyrządził jej krzywdę, a mimo to…

Czuł się szczęśliwy. W głowie miał jej obraz – prawie nagiej, w jego cylindrze na głowie – i choć zamaskował uśmiech, nie udało mu się

stłamsić samozadowolenia.

W każdym razie on i Leonie uczynili, co leżało w ich mocy, żeby wyciszyć skandal. Gladys także wniosła swój wkład, nieistotne, z rozmysłem czy mimowolnie.

W tej chwili nie mógł zrobić nic więcej – z pewnością nic inteligentnego, dopóki solidnie się nie wyśpi.

– Prześpij się trochę – poradził Swantonowi. – Wszystkim nam się to przyda.

Rozdział 12

Rozalinda: *Nie widzę na tobie żadnego ze znaków*

mojego stryja; nauczył mnie, jak poznać zakochanego;
wiem, że nie jesteś więźniem w klatce z tego sitowia.
Orlando: Jakież to są znaki zakochanego?
Rozalinda: Twarz wychudła, której nie masz; zapadłe
i podbite oczy, których nie masz […]. Prócz tego twoje
pończochy nie powinny by mieć odwiązek, twój kapelusz
wstążki, guzików twoje rękawy, rzemyków twoje
trzewiki; cała twoja osoba powinna by nosić ślady
boleści na wszystko obojętnej.
William Shakespeare, *Jak wam się podoba*, akt III, scena II[6]

Wtorek, 21 lipca

Lisburne usiłował spać, ale nie poszło mu to tak dobrze, jak można by się spodziewać, biorąc pod uwagę jego potworne zmęczenie. Rzucał się i wiercił, i raz po raz całkowicie rozbudzał, owładnięty jakimś szaleństwem, w przekonaniu, że dzwony zaczęły bić na alarm albo dach się wali, on zaś musi biec ostrzec ludzi i Coś Zrobić.

Gdy słońce wspięło się nieco nad horyzont, porzucił nadzieję na sen, mimo to pozostał w łóżku. Z ramionami założonymi za głową, wpatrzony w baldachim, ponownie przeżywał czas spędzony z Leonie, a zwłaszcza kilka ostatnich godzin.

W końcu usłyszał, jak do pokoju zakrada się Polcaire, żeby jak zwykle przygotować wszystko, nim panu przyjdzie na myśl się poruszyć. Tego ranka pan poruszył się od razu, ku irytacji lokaja. Biedaczysko nie poczuł się ani trochę szczęśliwszy, kiedy pan obmył się, ogolił i ubrał w nieprzyzwoitym pośpiechu, a następnie zszedł na śniadanie.

Swanton akurat jadł. Przy krawędzi jego talerza leżało „Poranne Zwierciadło”, złożone tak, by ułatwić czytanie.

– Wiadomości chyba nie są całkiem potworne, skoro apetyt ci dopisuje – skomentował Lisburne.

– Mam nadzieję trafić na jakąś wskazówkę, która doprowadzi mnie do prawdy – wyjaśnił Swanton. – Imię, słowo, które wcześniej przeoczyłem: coś, cokolwiek, co poruszyłoby uśpione wspomnienia. Udaję, że „Zwierciadło” plotkuje o kimś innym. I właściwie tak to wygląda, bo Foxe zamieścił trzy sprzeczne relacje. Najbardziej przystępna z nich wyczerpująco opisuje, co kto miał na sobie. – Umilkł na chwilę. – W szczególności, co miała na sobie twoja kuzynka Gladys. I co powiedziała. W tym artykule więcej miejsca poświęcono jej niż lady Clarze. – Podniósł wzrok na Lisburne’a. – Przyznam, zastanawiałem się, czy to nie ty napisałeś ten kawałek, ale jakoś nie potrafiłem wyobrazić sobie ciebie rozpływającego się w zachwytach nad kuzynkami, nawet lady Clarą, która, jak się zdaje, w powszechnej opinii uchodzi za najpiękniejszą kobietę w Londynie. Zachwyty nad kobietą nie są w twoim stylu. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek widziałem, żebyś zachwycał się czymkolwiek. No i co ty wiesz o kobiecych strojach, jeśli pominąć jak najszybszy sposób na to, by się ich pozbyć?

To prawda, Lisburne nie przejawiał skłonności do poetyckich uniesień, gdy chodziło o kobiety. Nie zdarzyło mu się to od czasów, kiedy jako uczniak tkwił w szponach pierwszego zadurzenia.

A jednak zacytował Leonie Szekspira – fragment sceny miłosnej z *Romea i Julii*, ni mniej, ni więcej.

Nie żeby Swanton musiał o tym wiedzieć.

– Ty nawet do własnego stroju nie przykładasz wagi – dodał Swanton.

Lisburne spojrzał na siebie i zmarszczył brwi.

W jego wyobraźni ożyła scena z *Jak wam się podoba*: Rozalinda opisująca, po czym rozpoznać zakochanego mężczyznę.

Prócz tego twoje pończochy nie powinny by mieć podwiązek […], guzików twoje rękawy, rzemyków twoje trzewiki; cała twoja osoba powinna by nosić ślady boleści na wszystko obojętnej.

Ale dramat i poezja stanowiły działkę Swantona – a Lisburne n i e b y ł zakochany. Po prostu odczuwał zbyt wielkie zmęczenie i irytację, żeby jak zwykle spędzić wieczność na ubieraniu się.

Tymczasem Swanton mówił dalej, trzymając w ręku gazetę:

– Kwestie swojej prezencji pozostawiasz Polcaire’owi. Może on by to dla nas przetłumaczył. „Rękawy z dublowanymi *bouffan* i francuskim marszczeniem wykończonym koronką”? „Półpodniesiony stanik”? Masz choć cień pojęcia, o co chodzi?

Lisburne pokręcił głową i podszedł do kredensu. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pozakrywane półmiski, nim dotarło do niego, że nie myśli o jedzeniu. Myślał o Leonie. W jego cylindrze na głowie i kilku strzępach pajęczyny. Przyodzianej wyłącznie w półuśmiech… pieszczącej go… tak go pewnej…

W porządku. Lubił ją do przesady. Pożądał jej, być może za bardzo, żeby czuć się z tym w pełni komfortowo. Ale nie był zakochany. Wiedział, że coś takiego istnieje. Jego rodzice byli w sobie głęboko zakochani. Niemniej stanowili wyjątek, na ile miał okazję się przekonać.

– Widzę, że też jesteś w kropce – ciągnął Swanton. – Przypuszczam, że chodzi tu po prostu o bufy, ale pogubiłem się, w którym miejscu rękawa się znajdują i w jakim sensie są zdublowane, i na czym polega francuskość tego marszczenia.

– Zapytam madame, kiedy będę z nią rozmawiał – odparł Lisburne. – Jeśli zechce ze mną rozmawiać.

– Rozstaliście się wczoraj w niezgodzie?

Zanim wycieńczony mózg Lisburne’a sklecił stosowną odpowiedź, Swanton odchylił się na krześle i pacnął w czoło w sposób godny poety.

– Ależ głupiec ze mnie! Jak mogliście rozstać się w zgodzie po tym, co się stało? I jeszcze ja sam, robiący z siebie kompletnego idiotę, kiedy zapytała mnie o to dziecko. Widziałeś jej minę, gdy dociekała, czy zasłaniam się amnezją? Do licha, mężczyzna powinien mieć choć blade pojęcie, czy spłodził dziecko! Byłem zbyt wzburzony, żeby uważnie przyjrzeć się tej dziewczynce… ale czy twoim zdaniem była do mnie podobna?

– Na tyle, na ile widziałem, była podobna do ciebie i tysięcy innych Anglików – odparł Lisburne.

Zapełnił talerz jedzeniem, nie zwracając uwagi na to, co sobie nakłada, wrócił do stołu i usiadł. Jadł, ponieważ mężczyzna jeść musi, on zaś potrzebował sił, miał dziś bowiem mnóstwo do zrobienia. Nie mógł sobie pozwolić na romantyczną bezproduktywność, obojętność na sprawy tak

przyziemne jak posiłek. Nie był poetą. Niechże Swanton chadza z głową w chmurach. Lisburne był tym, który mocno stąpa po ziemi.

Jedli w milczeniu, Swanton ślęczał nad „Porannym Zwierciadłem” niczym antykwariusz studiujący zwój dopiero co wygrzebany z popiołów Pompei.

Nim skończyli śniadanie, Lisburne postanowił, co zrobi. Jedna decyzja dotyczyła tego, że powie Swantonowi jak najmniej. Druga, że złoży wizytę w Maison Noirot, choć nie wiedział, jak postąpi lub co powie, kiedy tam dotrze.

Popełnił błąd, wspominając Swantonowi o planowanej wizycie w butiku. W rezultacie stracił irytująco dużo czasu, by przekonać rozpoetyzowanego kuzyna, że jego udział w wyprawie z dużym prawdopodobieństwem przyniósłby katastrofalne skutki.

– Ale może będzie tam lady Gladys – upierał się Swanton.

– Jeśli tak rozpaczliwie chcesz się z nią zobaczyć, idź do Warford House – poradził Lisburne. – Absurdem jest liczyć na przypadkowe spotkanie w Maison Noirot. Jak często twoim zdaniem kobiety odwiedzają swoje krawcowe? Nawet dla tych najbardziej próżnych nie jest to stały element rozkładu dnia.

– We wtorki rodzina jest niedostępna – odparł Swanton.

Lisburne wytrzeszczył na niego oczy.

Uszy i szyja Swantona przybrały odcień czerwieni.

– Podsłuchałem, jak ktoś wspomniał o złożeniu tam dziś wizyty, a ktoś inny powiedział, że we wtorki rodzina nie przyjmuje – wyjaśnił. – Nie żebym liczył, że w ogóle mnie przyjmą. Chyba nie przypuszczasz, iż chciałbym pokazywać się lady Warford dzień po tym, jak zdemaskowano mnie jako deprawatora niewinnych młodych kobiet i rodziciela bękartów, których się wypieram i które porzucam.

– W takim razie zalecam ci, żebyś powłóczył się po Hyde Parku w porze spacerów. Kiedy Gladys będzie przejeżdżać, wybiegnij na drogę, niby to w poetyckich spazmach. Tylko daj jej czas na zatrzymanie powozu, chyba że pragniesz zostać stratowany i skonać z plamą na honorze, przypuszczalnie niezasłużoną.

Swanton przeszył kuzyna spojrzeniem.

– Humor dziwnie ci dziś dopisuje.

– Czuję się zobowiązany wytężyć wyobraźnię – odparł Lisburne – skoro twoja najwyraźniej porzuciła cię w Vauxhall. Nie mogę uwierzyć, że muszę mówić dwudziestopięcioletniemu mężczyźnie, jak zawrzeć znajomość z dziewczyną. Nie mogę uwierzyć, że zniżasz się do skradania się po ogrodach i podsłuchiwania. Nie rozumiem, dlaczego zwyczajnie do niej nie podejdziesz.

Opuścił pokój i udał się na górę, gdzie Polcaire z wielką ulgą wcisnął swego niesentymentalnego, absolutnie niezakochanego pana w stosowny strój.

* * *

Maison Noirot
Tego samego dnia po południu

– Będziemy musieli posłać po Sophy – mówiła właśnie Marcelline. – Artykuł w „Porannym Zwierciadle” był naprawdę sprytny. Wiem, jak bardzo nie znosisz takich zadań. A mimo to świetnie się spisałaś i na pewno trochę wygładziłaś sprawy. Niestety, „trochę” nie wystarczy. Gadaliśmy z Clevedonem do utraty tchu, ale żadne z nas nie wie, jak się do tego zabrać, żeby było dobrze. Potrzebujemy Sophy.

– Prawda jest taka, że nikt nie wie, jak Sophy to robi – stwierdził książę Clevedon.

Stali w salonie sprzedaży, w którym nie było klientek. Ich niedostatek nie dziwił o tej porze dnia, kiedy damy przebywały w domach, przebierając się na spacer lub odpoczywając, nim zaczną szykować się na wieczór. Jednakże panie unikały butiku od rana. Nawet lady Clara przysłała liścik z przeprosinami, że nie przyjdzie okazać wsparcia – jej mama uważała za niewskazane, by tak szybko składała wizytę w Maison Noirot. Liścik donosił również, że lady Gladys wysunęła błyskotliwe argumenty w obronie butiku, niemniej, jak powszechnie wiadomo, przekonanie mamy Clary, gdy już podjęła decyzję, graniczyło z niemożliwością. Jedynie Sophy potrafiłaby tego dokonać, ale właśnie jej tutaj nie było.

– Nie możemy ściągnąć jej z powrotem – zaoponowała Leonie. – Jest za wcześnie. Ludzie ją rozpoznają, zwłaszcza teraz, gdy wszystkie znajdziemy

się pod szczególną obserwacją.

– Ten bałwan Swanton – zagrzmiał Clevedon. – Z chęcią ukręciłbym mu łeb. I nie ja jeden. Nie oszukuj się, Leonie. Kiedy Longmore się dowie… a jest to kwestia paru dni, jeśli nie godzin… przygna do Londynu, żeby rozerwać Swantona na strzępy. I Lisburne'a także, ponieważ nie upilnował swojego lekkomyślnego kuzyna.

– Nie rozumiem, dlaczego ludzie oczekują, że lord Lisburne będzie kontrolował swojego kuzyna – powiedziała Leonie. – Lord Swanton jest dorosłym mężczyzną. I śmiem twierdzić, że był nim także pięć lat temu, w Paryżu.

Spotkało ją to szczęście, lub może pech, że osobiście doświadczyła tego, co Swanton potencjalnie robił z kobietą w czerni. Choć rudowłosa, nie miała karnacji typowej dla rudzielców. Nie miała piegów ani tendencji do łatwego płonienia się. Mimo to poczuła gorąco i mrowienie w miejscu poniżej talii, które przeważnie nie mrowiło.

– Nie zgrywaj przy nas świętoszka, *chéri* – skarciła męża Marcelline. – Wszyscy wiemy, co robiłeś w Paryżu ledwie pół roku temu. Anglicy udają się tam dla rozpusty.

– Nie w tym rzecz – odparł Clevedon. – Po prostu jest faktem powszechnie znanym, że Swanton to marzyciel. Trzeba go pilnować. A już na pewno wie o tym Lisburne.

– Nie pojmuję, czemu życie lorda Lisburne'a musi nieustannie obracać się wokół lorda Swantona – powiedziała Leonie. – Jedną rzeczą jest opieka nad młodszym, słabszym kuzynem, kiedy obaj są chłopcami w szkole. Ale Swanton jest już dostatecznie dorosły, żeby samemu troszczyć się o siebie. A jeśli zadanie go przerasta, niech wynajmie ochroniarza.

Marcelline popatrzyła na nią.

„Później", przekazała jej Leonie samym ruchem warg.

Zawsze mówiła Marcelline o wszystkim, ale nie miała dotąd okazji podzielić się z nią doniosłymi wieściami. Marcelline przyszła z Clevedonem. Jakkolwiek Leonie lubiła i szanowała szwagra, ani myślała zwierzać się siostrze w jego obecności. Zwłaszcza jeśli rozsadzała go wściekłość na lorda Lisburne'a i jego nieżyciowego kuzyna.

– To nie stanowiłoby problemu – rzekł Clevedon – gdybyście wy trzy nie były bezpośrednio zaangażowane w sprawy butiku. Gdyby chodziło

o przeciętne krawcowe, nikt by nawet nie mrugnął. Ale nie jesteście już przeciętnymi krawcowymi…

– Nigdy takie nie byłyśmy – weszła mu w słowo żona. – Przeciętne, też coś! Nie wierzę, że to powiedziałeś.

– Jesteś księżną – argumentował. – A Sophy hrabiną. Nikogo nie obchodzą poczynania krawcowych. Poczynania księżnych i hrabin wprost przeciwnie. Na Zeusa, Marcelline, zostałaś przedstawiona królowej! Rozumiesz konsekwencje? Wytworne towarzystwo może cię guzik obchodzić…

– Cóż za nonsens. Ogromnie mnie obchodzi. To moja klientela.

– Ci ludzie tworzą twój krąg towarzyski – rzekł z naciskiem. – Zakrawa na komedię, że jednego dnia wydajesz obiad dla dam, a następnego usługujesz im w sklepie.

Leonie nie wątpiła, że ten spór toczy się już od pewnego czasu. Z początku Clevedon zostawił Marcelline pełną swobodę, nie mieszał się, ponieważ cenił jej pasję. Rozumiał, że jest artystką, a jej praca to część jej życia. Poza tym nie bardzo wiedział, jak miałby ją powstrzymać. Wymagałoby to drastycznych środków, takich jak przemoc i uwięzienie, on zaś nie był do tego zdolny.

Faktem jest, że miał rację we wszystkich kluczowych kwestiach. Rozsądek podpowiadał Leonie, że obecny układ nie może i nie powinien trwać. Na księżnej ciążą bardzo konkretne obowiązki. Wielkie damy dzierżą zarówno polityczną, jak i towarzyską władzę. Marcelline miała potencjał, by zostać wielką damą. Odziedziczyła cały urok osobisty DeLuceyów i Noirotów. Była bystra. Zrobi więcej dobrego jako księżna niż jako krawcowa.

Ale czułaby się nieszczęśliwa, nie mogąc projektować ubrań. Była artystką. Potrzebowała swojej sztuki.

Rozsądek nie pokazał jeszcze Leonie, jak rozstrzygnąć ten konflikt.

– Z całą pewnością musimy o tym porozmawiać – powiedziała. – Aktualnie jednak produktywniej będzie zająć się bieżącym problemem. Może przeniesiemy się do mojego kantorka? Nie ma sensu tkwić tutaj w oczekiwaniu na nienadchodzące klientki.

Odezwał się dzwonek nad drzwiami butiku. Wszystkie trzy głowy zwróciły się w tym kierunku.

Do środka leniwie wkroczył lord Lisburne.

* * *

– Lisburne.

– Clevedon.

Wymiana chłodnych, płytkich ukłonów.

Nawet jeśli serce Lisburne’a biło szybciej, miało to związek z Leonie, nie zaś z jakimkolwiek strachem przed Clevedonem. Lisburne nie bał się żadnego mężczyzny, nawet tego tutaj, równie potężnego i silnego jak on sam, który obecnie prezentował się jeszcze potężniej, gdyż w niemal widoczny sposób puchł z gniewu.

– Przyszedłeś kupić parę sukien? – zagadnął Clevedon. – Ponieważ nikt inny tego nie zrobił.

Lisburne spojrzał na Leonie, która nie sprawiała wrażenia przesadnie uradowanej jego widokiem.

– Ani jednej klientki przez cały dzień – powiedziała.

Podejrzewał, że będzie źle. Nie odgadł, że aż tak bardzo.

– Masz choć cień pojęcia, przez co przeszły moja żona i jej siostry w ostatnich miesiącach, kiedy ty i Swanton trwoniliście czas za granicą? – spytał Clevedon. – Podczas gdy twój kuzyn w Wenecji mordował angielszczyznę…

– Nie nazwałbym tego mordem – wszedł mu w słowo Lisburne. – Powierzchowne rany, nic więcej. Przeceniasz go. Poza tym to we Florencji, nie w Wenecji, skomponował ostatnią partię wierszy. W ładnym domu z widokiem na Arno.

– Mądrzej byś zrobił, gdybyś nie prowokował mężczyzny, którego żona jest przy nadziei – poradził mu Clevedon, rozrastając się jeszcze bardziej. – Jej Książęca Wysokość źle się czuje i bez nieznośnych obaw, że straci wszystko, na co ona i jej siostry pracowały przez tyle lat. I to tylko dlatego, że Swanton… co? Jest zbyt delikatny, żeby pamiętać, czy uwiódł w Paryżu młodą Angielkę? Zbyt zajęty flirtem z muzą, żeby odpowiedzieć na prośbę o wsparcie matki jego dziecka? Do diaska, Lisburne, ty wiesz, co się robi w takich przypadkach, nawet jeśli on chodzi z głową w chmurach! Jak, u czorta, mogłeś dopuścić, żeby do tego doszło?!

– Clevedon, proszę, spróbuj podejść do sprawy racjonalnie – wmieszała się Leonie. – Lord Swanton nie jest dzieckiem. Dlaczego winisz markiza za

błędy jego kuzyna?

– Na takiej samej zasadzie, na jakiej winiłbym Longmore’a, gdyby któryś z jego braci zachował się tak głupio – odparł Clevedon. – Ci dwaj od dzieciństwa są jak bracia. A Lisburne’owi wystarczy inteligencji, żeby bronić się bez twojej pomocy. Wiem, że kobiety mdleją na jego widok i mają go za bezradne niewiniątko, niemniej sądziłem, że akurat ty okażesz się na tyle rozsądna, by nie dać się nabrać na ładną buzię.

– Nie znałam cię od tej strony, tak agresywnie obstającego przy mylnych opiniach – docięła mu Leonie. – Marcelline jest tylko w ciąży, nie na ostatnim etapie galopującej gruźlicy. I gdyby nie było jej w tej chwili tak niedobrze…

– To znudzenie, nie nudności – wtrąciła księżna.

– Mam ładną twarz? – spytał Lisburne. – Cieszę się, że ktoś tak sądzi, nawet jeśli jest to tylko Clevedon.

– Proszę nie prowokować – zganiła go Leonie.

– Ależ, kochana…

– Kochana?! – przerwał mu Clevedon. – Kochana kto? – Przeniósł zielone spojrzenie z Lisburne’a na Leonie. Minimalnie się zaczerwieniła. – Niech cię piekło pochłonie, Lisburne! Zdeprawowałeś moją siostrę!

Rzucił się na Lisburne’a, ten zaś go odepchnął. W następnej chwili trzymali się nawzajem za gardła. Potknęli się o fotel i padli na podłogę, dysząc żądzą mordu.

* * *

– Przestańcie!

– Nie w butiku!

– Wstawajcie! Dość tego!

Mężczyźni nic nie słyszeli. Nadal próbowali udusić jeden drugiego, na przemian to zdobywając, to tracąc przewagę.

Natomiast szwaczki usłyszały.

Zwabione odgłosami bijatyki, wpadły do sklepu, a za nimi Selina Jeffreys, która na próżno usiłowała zagonić dziewczęta z powrotem do pracowni.

Nadbiegły akurat wtedy, gdy mężczyźni wstali z podłogi i zaczęli na poważnie wymieniać ciosy.

Byli podobnej budowy, świetnie się boksowali, Leonie zaś lubiła dobrą walkę na pięści jak każda żądna krwi kobieta. Ale nie w butiku. Przewrócili stojak z kapeluszami, potem manekin. Dziewczęta krzyczały, jedna zemdlała.

Leonie chwyciła wazon z kwiatami i chlusnęła jego zawartością na mężczyzn.

– Przestańcie! Natychmiast! – wrzasnęła.

Rzuciła wazonem w plecy Lisburne’a. Zdawało się, że nawet tego nie poczuł, kiedy jednak wazon z hukiem rozbił się o podłogę, markiz się zawahał.

Skoczyła ku niemu, chwyciła go od tyłu za surdut i odciągnęła. Marcelline z kolei odciągnęła swojego męża.

Wyrwali się im obaj i znów ruszyli na siebie.

– Dosyć! – krzyknęła Marcelline. – Zaraz będę wymiotować!

To zatrzymało Clevedona. A wtedy Lisburne także musiał ustąpić.

– Wynocha – rzuciła Leonie do szwaczek.

Wybiegły ze sklepu. Postawienie na nogi omdlałej szwaczki i wyciągnięcie jej z salonu sprzedaży zajęło Jeffreys chwilę, niemniej wkrótce i one dwie podążyły za resztą. Drzwi się zamknęły.

Leonie zmierzyła wzrokiem Lisburne’a i swojego szwagra w ten sam sposób, w jaki nie tak dawno spoglądała na kłócące się szwaczki.

– To niedorzeczne – oznajmiła.

– Bijatyka – dodała Marcelline. – W butiku! Clevedon, jesteś niemożliwy.

Nie sprawiał wrażenia zawstydzonego, wręcz przeciwnie, wyglądał, jakby nadal chciał zamordować Lisburne’a. Co na swój sposób było nawet słodkie.

Kiedy Clevedon poślubił Marcelline, przejął całą jej rodzinę. Jej siostry stały się jego siostrami. Jej córka jego córką. Tak, była to typowa zaborczość arystokraty i obecność starszego brata mogła momentami irytować, zwłaszcza jeśli człowiek przez całe życie doskonale radził sobie bez takowego. Zarazem nie tak przykro było wiedzieć, że ktoś oprócz sióstr troszczy się o twoje dobro – i twoją cnotę, skoro już o tym mowa. Nie żeby

jakakolwiek Noirot w historii przywiązywała wielką wagę do tego ostatniego elementu.

– Nie będę go przepraszał – oznajmił Clevedon. – Chyba że potraktowałem go niesprawiedliwie, w co wielce wątpię. Zawsze był z niego pierwszej klasy uwodziciel.

– Moje poczynania możesz sobie krytykować i naśmiewać się z nich do woli – rzekł Lisburne. – Zdajesz się jednak nie zauważać, że podajesz w wątpliwość także zachowanie panny Noirot.

– Czy to znaczy, że obaj broniliście mojego honoru? – spytała Leonie. – Ależ to ekscytujące! Zresztą nie mam absolutnie nic przeciw bitce. Z Marcelline jest większy delikacik, zwłaszcza ostatnio, ale ja uwielbiam patrzeć, jak mężczyźni okładają się pięściami. Zapraszam, możecie kontynuować na podwórzu za domem… albo, jeszcze lepiej, na ulicy. Przynajmniej Londyn zyska nowy temat do plotek. Gdyby była tu Sophy, na pewno by was do tego zachęcała.

Na te słowa Lisburne uśmiechnął się do niej, a wtedy świat otworzył się i pojaśniał. Znajdowała się w poważnych tarapatach, lecz jego tkliwy uśmiech był jak promienie słońca, przebijające się przez przygnębiający mrok, z którego obecności nie zdawała sobie wcześniej sprawy.

– Jak zawsze przechodzi pani prosto do sedna problemu – skomplementował ją Lisburne. – Musimy odkręcić skandal i z radością stłukę Clevedona do nieprzytomności, jeśli pani zdaniem przyniesie to pożytek.

– Jeśli ktokolwiek zbierze tu cięgi, będziesz to ty – odparował Clevedon. – A ja poczuję się zaszczycony, podejmując się tego zadania.

– Nie, nie poczujesz się – oświadczyła Marcelline. – Mam dość bójek na dzisiaj, a szwaczki szybko rozniosą wieści. Taktyki dywersyjne to świetna sprawa, ale są specjalnością Sophy, a jej tutaj nie ma.

– A ja mam plan – oznajmiła Leonie.

– Oczywiście, że pani ma.

Jeśli ktoś chciałby uwierzyć, że markiz się zadurzył, za dowód wystarczyłby wyraz jego twarzy. Niemniej tego rodzaju minę dowolny Noirot czy DeLucey opanowałby do perfekcji, a Leonie była zbyt mądra, by ufać równie lichemu dowodowi jedynie z tego względu, że pasował do jej fantazji.

To prawda, że minionej nocy wierzyła w swoje fantazje. Do pewnego stopnia. Ale zrobił dla niej kanapki! Teraz jednak myślała o wiele jaśniej. No i nie była podpita.

– Możemy przedyskutować temat w pokoju do konsultacji – zaproponowała.

Trudno będzie wrócić do tego pomieszczenia z Lisburne’em, pamiętając, co w nim zaszło. Ale tam zmniejszało się ryzyko, że zostaną podsłuchani. Poza tym będą z nimi Clevedon i Marcelline. Przez co spotkanie stanie się… napięte. Nie żeby Leonie pozwoliła sobie na okazanie, że czuje się choć odrobinę zakłopotana lub skrępowana. Przecież dorastała w Paryżu. Była Noirot. I DeLucey.

Wezwała przez tubę Mary Parmenter, żeby doglądała sklepu. Butik pozostanie otwarty w tych samych godzinach co zwykle, mimo że Leonie nie oczekiwała klientów. Wcześniejsze zamknięcie wyglądałoby jak kapitulacja. Poza tym złodzieje mogli się pojawić równie dobrze dzisiaj, jak każdego innego dnia. Nie obchodziło ich, czy nad butikiem zebrały się chmury.

Ale zarówno przekazanie pieczy nad salonem sprzedaży, jak i krótka wizyta w kantorku zajęły trochę czasu, kiedy zaś Leonie dotarła do pokoju konsultacji, jej siostry i szwagra już tam nie było.

* * *

– Nie zamordowałem ich i nie ukryłem w pośpiechu ciał – zapewnił Lisburne, kiedy Leonie weszła do pomieszczenia. – Jej Książęca Wysokość źle się poczuła. Najpierw zbladła, a potem przybrała interesujący odcień zieleni. Pomknęła do niewielkiego pomieszczenia w głębi korytarza. Clevedon poszedł za nią. Kiedy stamtąd wychynęli, oznajmił, że zabiera ją do domu. Wyszli tylnymi drzwiami. Mamy się z nimi spotkać w Clevedon House.

– Spotkać się z nimi? – Leonie rozejrzała się po pokoju, a na jej twarzy wyraźnie odznaczyło się rozdrażnienie.

Uzmysłowił sobie, że to niezwykłe. Zawsze tak dobrze się kontrolowała. Nie licząc chwil namiętności.

– Nie mogę zostawić butiku! – obruszyła się. – Nie dzisiaj. Będzie wyglądało, jakbyśmy go porzuciły.

– Nieważne, że klientki porzuciły was.

– On nie rozumie. Stara się. Rozumie do pewnego stopnia, ale nigdy nie musiał zarabiać na życie. Nie… – Pokręciła głową. – Po prostu żyje jak książę i zakłada, że my będziemy żyć jak książęca rodzina. Mocno pana poturbował?

– Ledwie musnął – odparł Lisburne. Powstrzymał się przed pomacaniem obolałego miejsca na szczęce, gdzie Jego Książęca Wysokość nawiązał kontakt… i gdzie dokonałby poważnych szkód, gdyby Lisburne uchylił się odrobinę wolniej. – Zbyt równi z nas przeciwnicy, no i nie mieliśmy czasu poszukać u siebie nawzajem słabych punktów. Aczkolwiek odnotowałem delikatne zaczerwienienie nad prawą kością policzkową Clevedona. Przy odrobinie szczęścia zrobi się z tego ładna śliwa. Skoro jednak mowa o urazach – wskazał miejsce na swojej szczęce – chyba mimo wszystko wyczuwam delikatne pulsowanie. Pocałunek przyniósłby mi ulgę.

Leonie się odsunęła.

– Nie w godzinach pracy.

Zerknął na szezlong i stłumił westchnienie.

– No cóż, dobrze, interesy – rzekł. – Wolałbym nie spierać się z Clevedonem o każdy szczegół. Bywa nieznośnie władczy. Jak to książę, że panią zacytuję. Jeśli wyłoży mi pani swój plan, obiecuję słuchać z uwagą i być grzeczny jak anioł.

Jeżeli stanie zbyt blisko, poczuje jej zapach. A wtedy o aniele będzie można zapomnieć.

Podszedł do lustra i przejrzał się w nim z uwagą. Nic nie odbiegało drastycznie od normy. Wszystko zapięte i zawiązane jak należy. Buty lśniły. Wskutek scysji z Clevedonem włosy miał w lekkim nieładzie, halsztuk również. Ale nie odnotował żadnych oznak „boleści na wszystko obojętnej”.

Usłyszał cichy chichot, prędko zduszony. Odwrócił się i spojrzał na nią.

Miała poważny wyraz twarzy, wiedział jednak, że ubawił ją, odgrywając Narcyza – on, który troskę o własny wygląd nieodmiennie pozostawiał lokajowi.

Popatrzyła na przyniesioną przez siebie kartkę.

– Narysowała pani dwie kolumny? – spytał. – Za pomocą linijki?

– Oczywiście. Po pierwsze, musiałam wypisać za i przeciw wzywania Sophy. Przeciw przeważają. Nie będę pana nimi zanudzać. Sophy bez wątpienia znalazłaby sposób, by odwrócić tę wrzawę na naszą korzyść. Ale mocne argumenty przemawiają przeciw temu, by wracała już teraz. Dlatego też sądzę, że najlepszym rozwiązaniem dla nas wszystkich będzie ustalenie prawdy. Mam wyjaśnić czemu?

Zastanawiał się, z jakiego powodu Sophy, najwyraźniej bardzo ważna dla butiku, musiała trzymać się z dala. Słyszał opowieści o niej i Longmorze, ale żaden ich element, nie licząc podróży poślubnej, nie tłumaczył tej wymuszonej nieobecności.

Wiedział, że nie ma sensu pytać. Leonie bywała zadziwiająco bezpośrednia i otwarta. Jeśli w danej sprawie taka nie była, to nie była i już.

– Ja również chcę odkryć prawdę na temat tajemniczej kobiety Swantona – rzekł. – Ale moje powody są oczywiste. Z chęcią poznam pani motywację.

– Jest dosyć prosta. Jeśli ustalimy, że lord Swanton postąpił źle, zadośćuczyni za to. Nam wyjdzie to na dobre. Skoro Maison Noirot i Stowarzyszenie są aktualnie łączone z nim, będziemy kojarzone ze zrobieniem tego, co należy. Ludzie lubią wyznania winy i odkupienie.

– Lubią także egzekucje.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, nawet jeśli wykryjemy oszustwo. Ale najpierw musimy określić, które z tych wyjaśnień wchodzi w rachubę.

Nie wątpił, że wypisała już w punktach możliwe sposoby postępowania dla każdego potencjalnego wyniku.

– Z chęcią wytłukę prawdę z Theakera i Meffata – zadeklarował. – A choć nie potrzebuję pomocy, sądzę, że Clevedon rad się przyłączy. Byłby to dobry sposób na… hm… poprawę naszych relacji. Nie lubię być z nim skłócony.

Nienawidził tego. Zwłaszcza zaś nienawidził świadomości, że zasłużył sobie na atak Clevedona.

– Ostatnimi czasy jest bardziej drażliwy z powodu Marcelline – wyjaśniła. – Wolałabym jednak pozostawić przemoc jako ostatnią deskę ratunku. Chciałabym raczej odnaleźć tę kobietę.

– Nikt poza Theakerem i Meffatem nie wie, kim ona jest. Może być wszędzie. Nie znamy jej nazwiska. Nawet dobrze się jej nie przyjrzałem.

– Zapamiętałam numer dorożki.

Mrugnął, zdumiony. Potem dostrzegł, jakie to głupie, że dał się zaskoczyć. Była rozsądna i uporządkowana, poza tym miała głowę do liczb. Wystarczyło jej przytomności umysłu – lub brawury – lub jednego i drugiego – żeby śledzić Theakera i tę kobietę, podczas gdy Lisburne i Swanton kręcili się w kółko.

– Wie pani, ile dorożek kursuje po londyńskich ulicach? – spytał. – Ponad tysiąc. Mogą być wszędzie o każdej porze dnia. Bądź nocy.

– Fenwick zna większość dorożkarzy. Na pewno już o tym napomykałam.

Wtedy sobie przypomniał. Jej siostra Sophy znalazła Fenwicka na ulicy. Chłopiec lubił konie, przyjaźnił się ze stajennymi i dorożkarzami. Leonie mu o tym mówiła. Minionej nocy.

Przed „bardzo miłym” interludium.

– Nadal nie wiemy zbyt wiele o Fenwicku – dodała. – Milczy na temat swojej przeszłości. Ale jesteśmy przekonane, że dobrze zna mniej wytworną część populacji Londynu. Posłałam go, żeby wytropił naszą kobietę w czerni.

– Posłała pani chłopca w olśniewającej liberii, który posługuje się własną, szczególną odmianą angielszczyzny – doprecyzował.

Umysł Lisburne’a nie pracował tak sprawnie jak powinien. Znosiło go ku szezlongowi. Albo ciągnęło na górę, do bawialni. Przypomniał sobie, jak ją rozbierał. Jak rozkosznie długo to trwało. Wzruszającą skromność, z jaką osłaniała gorsetem swoje piękne piersi… całkowity brak skromności chwilę później.

– Ludzie, z którymi będzie rozmawiał, rozumieją go dostatecznie dobrze – stwierdziła. – Nie pierwszy raz pomaga nam odnaleźć zaginioną osobę. Byleby dokonał tego szybko. Ostatni bal u Almacka jest jutro wieczorem. Potem ludzie zostaną jeszcze w mieście, ale przed końcem miesiąca zaczną się rozpraszać.

– Dziesięć dni – podsumował.

– Nie stać nas na dziesięć dni bez klientek.

Umilkła i odsunęła się, żeby podnieść z fotela wstążkę. Ponieważ nie miała dziś umówionych wizyt, bez wątpienia była to pamiątka minionej nocy.

Miniona noc. Miniona noc.

Mógłby zamknąć drzwi. Żadnych klientek. Pracownice zajęte piętro niżej. Zaprowadziłby ją za kotarę…

– Niewykluczone, że będę zmuszona sprzedać Botticellego – powiedziała.

* * *

Twarz Lisburne’a wyrażała zaskoczenie.

Leonie wiedziała, że błądził myślami gdzie indziej, i domyślała się gdzie. Jej umysł również pragnął się tam udać. A w zasadzie jej ciało. Prosto w jego ramiona. Powtórka z minionej nocy. Śniła dziś takie piękne, grzeszne sny.

Ale był środek dnia, koszmarnego dnia, a sny przynależą do nocy, podobnie jak uprawianie miłości. Sny, podobnie jak uprawianie miłości, służą ucieczce.

W tej chwili nie mogła uciekać. Ogromny, niebezpieczny problem domagał się rozwiązania. Jeśli się z nim nie upora, straci wszystko, co się liczyło, wszystko, na co ona i jej siostry pracowały, dla czego ryzykowały, o co z takim wysiłkiem zabiegały. Straci wszystko, co podarowała im ciotka Emma, i będzie tak, jakby ponownie oglądała jej śmierć.

Musiała skoncentrować się na interesach.

Lisburne był przyjemnością. Nie, dla niej był czymś o wiele więcej. Zakochała się i oddała mu radośnie, i zrobi to ponownie, i będzie robić raz za razem, dopóki mu się nie znudzi. Albo dopóki jakimś cudem nie zostanie uleczona, tak że to ona będzie miała go dość.

Ale interesy najpierw, na końcu, zawsze. Musiała zaradzić katastrofie i nie miała ani chwili do stracenia.

– Botticellego – powtórzył.

– Nasz zakład? – podsunęła. – Lady Gladys? Adoratorzy, propozycje małżeństwa i zaproszenia przed końcem miesiąca? Coś panu świta?

Jego zielone oczy się zwęziły.

– Owszem. Dwa tygodnie z panią. Pani niepodzielnej uwagi. Żadnych i n t e r e s ó w.

– Jeśli sprawy nie zmienią biegu, nie będę miała interesów.

– Jak, u diaska, zamierza pani wygrać, skoro damy nie będą przychodziły do butiku?! Gladys zatrzymała się u lady Warford, przecież pani wie, podczas gdy jej ojciec, jak na wielkiego generała przystało, posyła żołnierzy na śmierć gdzieś za granicą. Nie ma znaczenia, że jesteście spowinowacone. Gdyby wmieszała się pani w skandal jako rodzona siostra Clary, lady Warford odesłałaby panią na odludną wyspę u wybrzeży Szkocji, gdzie za całe towarzystwo miałaby pani owce, a Clara otrzymałaby zakaz choćby pisania do pani.

– Lady Gladys musi zajść do butiku – odparła. – Mamy dla niej dwie suknie spacerowe, suknię balową i wizytową. A Joanie Barker zrobiła wspaniały kapelusz. Sophy jest genialną modystką, a Joanie to jej protegowana.

– Gdzie wobec tego, u diabła, podziewa się Sophy, skoro jest taka niezastąpiona?!

– Tam, gdzie musi pozostać – ucięła Leonie. Przypomniała sobie przewidywania Clevedona, że Longmore przygna z powrotem do Londynu, by zabić Swantona. Nie zdarzy się to jednak w najbliższych godzinach. On i Sophy byli obecnie w Szkocji. – Lepiej do niej napiszę i wyślę list ekspresem. Poinformuję ją, że sprawy są pod kontrolą i ma nie przyjeżdżać, bo tylko wszystko skomplikuje.

Ruszyła ku drzwiom. Lisburne złapał ją za ramię – swobodny, lekki chwyt. Ale poczuła ciepło i ucisk wszędzie, zwłaszcza zaś w miejscu, gdzie połączyli się minionej nocy.

– Nie przewiduję utraty Botticellego – oznajmił. – Chcę jednak, by miała pani jakieś szanse. Życzy pani sobie, żebym napisał do Longmore’a? Albo z nim pomówił, jeśli okaże się to wykonalne?

Co mogła zrobić? Pogłaskała go po policzku. Przekręcił głowę i pocałował wnętrze jej dłoni.

– Chcę pomóc – rzekł. – Nie chcę siedzieć bezczynnie w oczekiwaniu na raport Fenwicka. Czy mam stawić się przed Longmore’em, żeby mógł spróbować mnie zabić?

– Bardziej przyda się pan żywy i nieuszkodzony. – Leonie cofnęła rękę. – Jeśli napiszę, Sophy posłucha i zapanuje nad nim… albo pozbawi go przytomności, jeśli zajdzie taka konieczność. Pana potrzebuję tutaj, w Londynie.

– Brzmi obiecująco. Odnoszę jednak wrażenie, że chodzi ci o coś innego niż to, o czym myślę.

– Potrzebuję szpiega.

– Czy to znaczy, że mam się u ciebie zameldować w przebraniu ciemną nocą?

Ten niski, ekspresyjny głos. Cień uśmiechu. Sposób, w jaki zbliżył się do niej i nachylił głowę, jakby koncentrował na Leonie całą swą uwagę.

Nie mogła znowu przyjąć go tutaj w środku nocy. Nie mogła ryzykować, nie teraz.

Była kobietą interesu, zawsze i nieodmiennie.

Ale była także, jak wszystkie jej podobne, hazardzistką.

– Tylko żeby nikt pana nie zobaczył – zastrzegła.

Rozdział 13

Almack. – Bal w środowy wieczór zamknął wyjątkowo udany sezon. Tańce rozpoczęły się, niewiele po jedenastej, pod dyktando wspaniałej orkiestry Collineta, kadrylami Musarda Les Gondeliers Venetiens, po których nastąpiły walce Le Soufle du Zephir i ulubiony Les Souvenirs de Vienne. W trakcie wieczoru w godnym podziwu stylu wykonano Les Puritans, Rome i inne. Bal dobiegł końca o czwartej nad ranem, kiedy to orkiestra zaintonowała Boże, chroń Króla.
„Court Journal”, 25 lipca 1835 roku

Klub Almacka
Wczesny czwartkowy ranek

Chociaż naoglądał się już nowej Gladys na tyle, żeby minął pierwszy szok, Lisburne mimo wszystko poczuł się zaskoczony, gdy ujrzał ją w tańcu z Crawfordem. Crawford, wiodący intensywne życie kompan hrabiego Longmore’a, jakkolwiek nieobdarzony ani ostrym jak brzytwa intelektem, ani przesadnym poczuciem humoru, cieszył się popularnością wśród kobiet, zaliczał się bowiem do najlepszych tancerzy w Londynie.

Obecnie towarzyszył na parkiecie Gladys, o której, jak Lisburne sobie przypominał, w trakcie jej pierwszego sezonu ktoś napisał, że „boleśnie przywodzi na myśl tańczącego niedźwiedzia, przystrojonego w jedwabie, koronki i pół skarbca biżuterii”.

Crawford poprosił ją do kadryla, a teraz się uśmiechał i ona również się uśmiechała, wykonując kolejne figury z równą łatwością jak każda inna młoda kobieta. Lady Alda stała nieopodal, przyglądając się chciwie, zwracając głowę to w tę, to w tamtą stronę i raz po raz skrywając się za wachlarzem, by wyszeptać kąśliwy komentarz do przypadkowego słuchacza.

Kiedy zbliżyli się do siebie w tańcu, Gladys coś powiedziała, a Crawford się uśmiechnął. Potem on coś powiedział. Roześmiała się, a wówczas w jej kierunku powędrowało mnóstwo spojrzeń, włącznie ze spojrzeniem lady

Aldy. Lisburne odnotował sporo min wyrażających konfuzję i kilka pełnych uznania. Twarz lady Aldy przybrała kwaśny wyraz.

Gladys miała ładny śmiech, zaskakująco ciepły, uzmysłowił sobie Lisburne. Nie chichotała. Nie siliła się na dźwięczny efekt. Ten śmiech nie był w żaden sposób sztuczny. Nadpływał z jej wnętrza, pełen radości, i zdawał się uszczęśliwiać słuchaczy.

Głos, wiedział o tym, może stanowić potężną broń.

Nauczył się używać swojego do wydawania poleceń służącym, do zagwarantowania sobie poważnego traktowania ze strony mężczyzn dwa lub trzy razy starszych od niego, no i, oczywiście, do zdobywania kobiet. Gladys niewątpliwie zawładnęła wyobraźnią Swantona. Ale poeta zawsze popadał w skrajności. Lisburne uważał jej głos za przyjemny, nic ponadto.

Głos Leonie to była zupełnie inna historia. Ten dziarski ton kobiety interesu, który tak perwersyjnie go podniecał. I jej prywatny głos, jeszcze bardziej smakowity, który nie każdemu dane było usłyszeć. Niski, sugestywny, zduszony śmiech nie był przeznaczony dla szerokiej publiczności. Podobnie jak to jej spojrzenie kątem oka, cień uśmiechu na wargach…

Przy czym w tej chwili nie mógł pozwolić sobie na takie rozmyślania, nawet jeśli nie widział jej od wtorkowego popołudnia.

Tak jak na balu u lady Eddingham minionego wieczoru, w rozmaitych klubach w ciągu dnia i na obiedzie u lady Gorrell kilka godzin temu, przybył tu zbierać informacje. Clevedon robił to samo, tyle że gdzie indziej. Lisburne żywił nadzieję, że księciu bardziej dopisuje szczęście – w obu znaczeniach – w Crockford’s albo dowolnym innym przybytku hazardu, który zamierzał odwiedzić tej nocy.

Lisburne nigdy nie rozsmakował się w hazardzie. Sporadyczną partyjkę w karty uważał za dobrą zabawę, ale nie pociągały go szulernie.

Dlatego tej nocy wziął na siebie dyżur u Almacka. Miał flirtować i tańczyć z największymi plotkarkami. Następny na liście był walc z lady Aldą Morris.

Przyglądał się, jak Crawford odprowadza Gladys na miejsce, czyli tam, gdzie rezydowała lady Warford w roli przyzwoitki. Geddings z kolei odprowadził Clarę. Kilku mężczyzn snuło się w pobliżu. Crawford zwlekał z odejściem, rozmawiając z Gladys. Podszedł Flinton, żeby poprosić do tańca… właśnie Gladys. Ktoś inny poprowadził Clarę. Herringstone.

Trudno było to stwierdzić z całą pewnością, ale Crawford, Flinton i Geddings zdawali się należeć do kręgu Gladys. Albo przynajmniej dzielili czas między nią a Clarę.

Wystarczy, że Gladys zdobędzie sześciu adoratorów, trzy zaproszenia do wiejskich rezydencji i jedną propozycję małżeństwa, a po wystawie Botticelli zamieszka w nowym miejscu.

Niemniej Lisburne wciąż miał jeszcze szanse. Gladys pozostało zaledwie osiem dni na spełnienie warunków zakładu. Tymczasem najwyraźniej nieźle radziła sobie na polu towarzyskim, którego to sukcesu Lisburne jej nie żałował.

Żałowałby natomiast bardzo, gdyby utracił swoje dwa tygodnie z Leonie. Jej niepodzielną uwagę…

…która nie będzie niepodzielna, jeśli do tego czasu nie uda im się wyciszyć incydentu w Vauxhall.

Toteż przemocą skierował myśli ku lady Aldzie, której kwaśna mina zniknęła, kiedy podszedł, żeby poprosić ją do tańca.

– Jakże będzie mi przykro, gdy ten sezon dobiegnie końca – powiedziała, kiedy zaczęli. – Lady Gladys tak go ożywiła.

– Rzeczywiście? – spytał. – Ostatnimi czasy widywałem ją tylko w przelocie. – Umilkł na moment. – Aczkolwiek, jak wszyscy, na bieżąco śledziłem jej poczynania i wypowiedzi dzięki „Porannemu Zwierciadłu”.

– Wygłasza doprawdy zadziwiające komentarze – stwierdziła lady Alda. – Wiem, że według niektórych wyrażanie tak stanowczych opinii jest rzeczą zuchwałą i niegodną damy. Ale chyba nikt jej nie zarzuci, że nadmiernie pragnie wszystkich zadowolić, zgodzi się pan? Niektórzy powiedzieliby, że ta suknia jest dla niej zbyt dojrzała, jednak moim zdaniem mądra dama ubiera się stosownie do swojej figury. Tańczy teraz lepiej, nieprawdaż? Nawet do taktu, nie tak jak dawniej, i jestem przekonana, że jeśli dalej będzie ciężko ćwiczyć z dobrym nauczycielem tańca, jej ruchy ramion nabiorą gracji. Ale za sprawą pana Crawforda partnerka zawsze dobrze się prezentuje. Lorda Flintona, jak widzę, także to dotyczy. Tym wyróżnia się dobry tancerz, czyż nie?

Ten monolog toczył się z przerwami, ilekroć kroki zbliżały ich do siebie.

Lisburne’owi przyszedł na myśl wiersz – nie autorstwa Swantona, ale chętnie przez poetę cytowany. Jeden z komicznych utworów pani Abdy. Co

to było? Coś o przyjaciółce, pełne podobnych dwuznacznych komplementów. Bardzo prawdopodobne, że Leonie też go zna.

Przypomniał sobie, jak wykonała *Drugiego syna* w Zachodnim Ateneum. Spróbował wyobrazić sobie jej interpretację tego wiersza o przyjaźni.

Po chwili uświadomił sobie, że lady Alda patrzy na niego wyczekująco, i zrozumiał, że spodziewała się usłyszeć od niego, iż sama jest uosobieniem gracji, bez względu na partnera. W innym miejscu i czasie wyrzekłby właściwe słowa bez namysłu. Obecnie, z jakiegoś powodu, nie był w stanie sklecić zdania i stosowna chwila minęła w niezręcznej ciszy.

– Ogromnie się cieszę ze względu na pana, że patronki zdecydowały się przymknąć oko na tę okropną scenę w Vauxhall w poniedziałkowy wieczór – powiedziała.

Najwyraźniej wykorzystała ów moment ciszy, żeby nabrać tchu na kolejną porcję złej woli.

– To ostatni bal u Almacka w tym sezonie – odparł. – Raczej nie warto się wysilać, żeby wyrzucić niepożądanych.

Zaprotestowała, mówiąc, że on nie jest n i e p o ż ą d a n y. Zachichotała. Wiedział, że oczekuje się po nim flirtu. Lubił flirtować. To była jedna z jego ulubionych rozrywek.

A mimo to w głowie miał pustkę i zdobył się jedynie na uprzejmie rozbawione podziękowania.

Tańczyli przez jakiś czas w milczeniu.

– Zauważyłam, że lord Swanton postanowił się nie pojawić – zagaiła ponownie. – Zapewne wolał nie testować pobłażliwości patronek.

– Nie on jeden – stwierdził Lisburne. – Nie widzę tu nigdzie Theakera. On także odegrał znaczącą rolę w przedstawieniu w Vauxhall.

– Przyznam, że zdumiało mnie, iż jemu i panu Meffatowi nie cofnięto zaproszeń do Almacka.

Lisburne uniósł brwi.

– Po tej okropnej aferze ich przyjaciela lorda Adderleya w ubiegłym miesiącu, z tą francuską wdową – wyjaśniła. – Czy kimkolwiek była. Muszę przyznać, że coś mi w niej nie pasowało. – Podniosła nań wzrok. – Ale zapominam. Nie było pana wtedy w Londynie.

– Kiedy to się działo?

– Na krótko przed ślubem lorda Longmore’a z tą krawcową – odparła. – To znaczy panną Noirot. Przyznam, że to był szok. Zakładaliśmy wszyscy,

że coś wyniknie z jego znajomości z tą francuską wdową. Niemniej zniknęła, a lord Longmore zadziwiająco szybko otrząsnął się z zadurzenia. Ale nie mam pojęcia, czemu opowiadam o tym szokującym epizodzie. Zamierzałam tylko powiedzieć, że niektórzy oczekiwali, iż przyjaciele lorda Adderleya zostaną splamieni przez skojarzenie z nim. Moim zdaniem nie jest to do końca sprawiedliwe. Nie powinno się osądzać dżentelmena na podstawie zachowania jego przyjaciół.

Lisburne nie zapytał, czy tę samą zasadę stosuje wobec kobiet. Zgadywał odpowiedź. Poza tym jego ciekawość wzbudził ów drugi temat. Nie trzeba było szczególnie zachęcać lady Aldy, żeby wyjaśniła, na czym polegał „szokujący epizod".

Historia nie dostarczyła Lisburne'owi wielu nowych informacji na temat Theakera i Meffata, właściwie był to przede wszystkim pokaz mistrzostwa lady Aldy w stosowaniu zawoalowanych zniewag. Z drugiej strony, opowieść o tajemniczej francuskiej damie okazała się wielce interesująca.

* * *

Choć środa nie była może najgorszym dniem w historii Maison Noirot, Leonie nie zaliczyłaby jej również w poczet dni udanych. Do butiku zajrzała jedynie garstka klientek, które w dodatku nie przyszły nic kupić. Obmacywały kapelusze i szale, z szyderczym uśmiechem mierzyły wzrokiem manekiny, scenicznym szeptem wygłaszały obraźliwe komentarze i wytrącały z równowagi sprzedawczynie, uporczywie się na nie gapiąc. Na szczęście większość panien sklepowych dorobiła się grubej skóry. Mimo to w pracowni uroniono parę łez. Dziewczęta obawiały się o swoją przyszłość.

Czwartek przyniósł minimalną poprawę. Jedna z najważniejszych klientek butiku, pani Sharp, pozostała lojalna, uważała bowiem, że musi podtrzymać swój wizerunek osoby kreującej modę, przynajmniej we własnym kręgu. Jakkolwiek grupa ta nie obejmowała śmietanki eleganckiego świata, należało do niej kilka najbogatszych rodzin w Londynie.

Córka pani Sharp, Chloe, jakimś sposobem usidliła jednego z najbardziej nieuchwytnych kawalerów w Londynie. Jako że wkrótce miała zostać

hrabiną, stroje ślubne musiały być w najlepszym guście. Zresztą nic innego nie wchodziło w grę. Najstarsza córka Sharpów jakiś czas temu poślubiła wszak księcia, a o sukniach jej i jej druhen mówił cały Londyn. Kreację panny młodej opisało w szczegółach, za sprawą Sophy, kilka magazynów dla pań.

– Powiedziałam panu Sharpowi, że albo Maison Noirot, albo Paryż – wyjaśniła pani Sharp. – Uznał Paryż za przesadę, jak przewidywałam. Nie zdaje sobie sprawy, w przeciwieństwie do mnie, że nawet dzieła Victorine nie mogą się równać z dokonaniami pań.

Mimo to pani Sharp wolała zachować wizyty w Maison Noirot w sekrecie. Przyprowadziła córkę z samego rana, kiedy większość eleganckiego świata jeszcze spała, i poprosiła Leonie o dyskrecję. Książęca rodzina jej zięcia brak bogactw nadrabiała przesadną moralnością. Pani Sharp nie miała chęci wysłuchiwać kazań powinowatych.

Milczenie na temat dużego, kosztownego zamówienia raczej nie poprawiało sytuacji butiku. Sophy by się wściekła.

Tymczasem w ciągu minionych dwóch dni Fenwick przeważnie pozostawał nieobecny. Kiedy w końcu się pojawił, wkrótce po tym, jak Leonie zamknęła butik w czwartkowy wieczór, jego raport brzmiał zwięźle:

– Na razie nic. Wezne i spróbuje w Covent Garden.

Zjadł dwa kawałki mięsnej zapiekanki, ale tylko dlatego, że Leonie nalegała. Protestował, że będzie zbyt napchany, by zjeść coś potem w kawiarni u Jacka.

– Ani się waż jeść cokolwiek w tamtym miejscu – zastrzegła Leonie. – To wylęgarnia robactwa.

Stara kawiarnia w Covent Garden obrzydliwym brudem dorównywała swojej złej reputacji. Leonie wolałaby, żeby chłopiec tam nie szedł, domyślała się jednak, że obiecałby jej, że nie pójdzie, a potem i tak zrobiłby po swojemu. Powiedziała sobie, że przeżył w Londynie aż do tej pory, który to wyczyn udawał się nie tak znów wielu niechcianym dzieciom, oraz że trudno byłoby go więzić. Napomniała się, że sama przetrwała na ulicach Paryża, będąc mniej więcej w jego wieku.

– Co spodziewasz się tam znaleźć? – spytała.

– Nie wim – odparł. – Jakie najmowane pokoje? Znam takiego jednego typa, co tam przyłazi. Może on co wi. Wie.

– Czyli ani słychu o tym dorożkarzu – stwierdziła. – Charliem Juddzie.

Ponieważ znali numer dorożki, ustalenie nazwiska dorożkarza nie nastręczyło trudności. Odnalezienie go to inna sprawa. Dorożkarz nie może odmówić żadnemu klientowi bez względu na porę czy liczbę przepracowanych dotąd godzin, bywa też, że jeździ i dobre piętnaście kilometrów za miasto.

Chłopiec potrząsnął głową.

– Wychynie, psze panienki.

Ale kiedy? Mimo całej pewności siebie, jaką okazała przy Lisburnie, Leonie wiedziała, że poszukiwania mogą zająć mnóstwo czasu. A nie mieli go zbyt wiele. W sierpniu większość wytwornego towarzystwa opuści Londyn, przenosząc się do wiejskich posiadłości. Lipiec kończył się za osiem dni.

Sierpień zawsze oznaczał finansowe trudności. W tym roku mogły się one okazać zabójcze, aczkolwiek istniała nadzieja, że dzięki ambicjom pani Sharp i pieniądzom pana Sharpa butik zwiąże koniec z końcem.

Leonie zmierzała właśnie do kantorka, żeby przejrzeć wydatki i zdecydować, gdzie coś przyciąć i które rachunki zapłacić najpierw, kiedy rozległo się władcze pukanie do tylnych drzwi. Najwidoczniej otworzył je Fenwick, który akurat wychodził, usłyszała bowiem, jak chłopiec coś mówi, na co odpowiada mu znajomy głos.

Serce zabiło jej szybciej. Z chęcią pobiegłaby do drzwi. Zmusiła się jednak, żeby przystanąć w korytarzu przed kantorkiem, przybrać uprzejmy wyraz twarzy i czekać z na pozór absolutnym spokojem.

Przyglądała się, jak Fenwick wychodzi, a Lisburne zamyka i rygluje drzwi.

Odwrócił się ku niej i oto znów miała przed sobą tę doskonale wyrzeźbioną twarz i złote błyski we włosach i zielonych oczach, i te niecne usta, które dotykały każdego centymetra jej skóry, z sekretnymi miejscami włącznie. Jej serce robiło fikołki.

– Nadal nie rozumiem ani słowa z jego wypowiedzi – poinformował ją. – Ledwie go rozpoznałem. Nadzwyczajnie obrósł brudem.

– Trudno, żeby włóczył się po półświatku w lawendowo-złotej liberii – stwierdziła. – Gdyby wyglądał zbyt ładnie, ktoś by go ukradł.

– Proszę mi powiedzieć – zagaił. – Kiedy Sophy go znalazła, udawała francuską wdowę czy kogoś innego?

Leonie czuła się zakłopotana i szczęśliwa, i pełna niepokoju, wszystko to naraz, ale nawet nie mrugnęła. Choćby i rozstrojona przez miłość, pozostała Noirot i DeLucey. Wiedziała, jak rozgrywać partie.

– Wolę nie wnikać zanadto w poczynania Sophy – odparła. – Mam nadzieję, że przynosi pan użyteczne wieści.

Nie zjawił się ciemną nocą, jak obiecał. Nie widziała go od wtorkowego popołudnia. Nie żeby oczekiwała czegoś innego. Oczywiste, że będzie składał obietnice i ich nie dotrzymywał. Mężczyzna, który wyglądał, mówił i kochał się tak jak on, mógł grać według własnych zasad.

– Lady Alda żywi przekonanie, że „coś jej nie pasowało” we francuskiej wdowie Longmore’a – powiedział. – Zaprzęgnąwszy umysł do pracy… nie taka prosta sprawa, kiedy lady Alda rozsyła na wszystkie strony zatrute strzały, pomiędzy jednym a drugim strzałem usiłując zniewolić i oczarować nieostrożnych… co wymaga od mężczyzny zachowania przytomności umysłu. – Zmarszczył brwi. – Ostatnio to zadanie nastręcza mi dziwnych trudności. Zastanawiam się, z jakiego powodu. O czym to ja mówiłem?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła. – O cokolwiek chodzi, nie odnoszę wrażenia, by była to użyteczna informacja.

Weszła do kantorka.

Podążył za nią i zamknął drzwi.

Podeszła do biurka, po czym zaczęła porządkować dokumenty. Rachunki. Dwa listy z rezygnacją z zamówień.

– Już pamiętam – rzekł. – Po wielkim umysłowym wysiłku dokonałem odkrycia. Lady Longmore nie może jeszcze wrócić do Londynu, ponieważ ten i ów mógłby ją pomylić z francuską wdową Longmore’a i wielkim romansem, z którego tenże zadziwiająco szybko się otrząsnął.

– Jest mężczyzną – stwierdziła Leonie. – Co też Byron powiedział o zakochanych mężczyznach, w przeciwieństwie do zakochanych kobiet?

– Byron? Wydawało mi się, że nie gustuje pani w literaturze.

– Czytałyśmy *Don Juana* ze względu na jego pikanterię.

– *Miłość mężczyźnie nie jest życiem całym* – zacytował. – *Dla kobiet miłość – jedyne istnienie*[7]. Swanton wielbi *Don Juana*. I *Beppo*. Ubóstwia także Toma Moore’a. A ty skutecznie odwróciłaś moją uwagę. – Jego głos nabrał głębi. – Pójdź no tu.

– Wykluczone. Muszę dodać dwa do dwóch i uzyskać dziesięć albo dwadzieścia. Muszę sprawdzić, czy z jednym zleceniem w garści uda mi się

zapewnić nam wypłacalność przez cały sierpień, a może i część września. Muszę…

– Tęskniłem za tobą – wszedł jej w słowo.

W tejże chwili uleciał z niej cały rozsądek i pragnęła tylko jego.

Głupia, głupia, głupia. Nie miała czasu na takie sprawy, na niedorzeczne i nieodpowiedzialne zachowania.

– Minęły całe wieki – ciągnął. – Bale i towarzyskie spędy trwają do świtu, a wiem, że szwaczki przychodzą o dziewiątej, butik zaś bezwarunkowo otwiera podwoje o dziesiątej, nawet jeśli nikt nie przychodzi tu o tak nieludzkiej porze. Wiedziałem, że nie wolno mi zakłócać twojego odpoczynku.

Do tego wcale nie była potrzebna jego obecność.

– Od pana ostatniej bytności tutaj upłynęło niewiele ponad dwa dni. – Wyjęła kieszonkowy zegarek. – Szacuję, że około pięćdziesięciu czterech godzin.

– Nie możesz być bardziej precyzyjna? – spytał. – Kocham twoją precyzję.

Serce biło jej zbyt szybko. „Kocham”. Ale nie „kocham cię”. Niedbale użyte słowo, które znaczyło jedynie tyle, że go bawiła. O czym skądinąd wiedziała od początku.

Miłość mężczyźnie nie jest życiem całym,
Dla kobiet miłość – jedyne istnienie.

Nie w jej przypadku. Miała życie, pełne i intensywne. Życie sprzed momentu, gdy leniwie w nie wkroczył.

– Co więcej, zapewniam pana, że klientki przychodzą, jak by to ujęły pańskie wielkie damy, bladym świtem – powiedziała energicznie. – Nie są wielkimi damami, za to natychmiast regulują rachunki. Straszliwie to z ich strony mieszczańskie, wiem, ale…

– Rozważałem, czy nie stanąć na ulicy pod twoim oknem i wyć jak pies do niedosięgłego księżyca – wszedł jej w słowo. – Ale nie chciałem zakłócać twojego snu. No i niewykluczone, że ludzie rzucaliby we mnie butami albo wylewali mi na głowę zawartość nocników. Poza tym nie byłem pewien, które okno należy do twojej sypialni. Nigdy do niej nie dotarliśmy, jak być może sobie przypominasz.

Zalał ją żar.

– Toteż pokornie udałem się do domu – ciągnął – do mojego łóżka, i wyobrażałem sobie ciebie w twoim łóżku, z nieznacznym rumieńcem na twarzy. Może odrzuciłaś na bok przykrycia, ponieważ noc była ciepła. A może zrobiło ci się gorąco, gdyż myślałaś o mnie. Udawałem, że myślisz o mnie w ten sam sposób, w jaki ja myślałem o tobie… – Umilkł i Leonie ze zdumieniem spostrzegła, jak rumieniec wspina się po jego szyi, na szczękę i dalej, sięgając kości policzkowych. – Niech go diabli porwą! Styl tego mojego kuzyna jest zaraźliwy. Co ja wygaduję?

– Poezję. Swoistego rodzaju. Poezję zalotną.

Jakby nie zdążył już przejść do etapu zalotów, praktycznie bez wysiłku dokonując podboju. Była w nim zadurzona od chwili, kiedy spojrzała na niego w Instytucie Brytyjskim. Od zadurzenia do zakochania… jakże absurdalnie proste się to okazało, nawet w przypadku rozsądnej, twardo stąpającej po ziemi dziewczyny.

Choć może należało winić za to jej brak doświadczenia.

Albo chodziło o te kanapki.

– Tego się obawiałem – westchnął. – Działa?

– Ani trochę.

Odwróciła się do niego plecami, wzięła jakiś rachunek i wpatrzyła się w cyfry i słowa, które równie dobrze mogłyby być zapisane po grecku, arabsku albo chińsku.

Usłyszała, jak Lisburne przecina pokój. Nie podniosła wzroku. Nie musiała. Czuła go tuż za sobą. – Co tutaj masz? – spytał miękko. – Rachunek od kupca bławatnego?

Skoncentrowała się.

– Będę musiała z nim pomówić. Ilości są dziwne i jestem pewna, że od zeszłego tygodnia podniósł ceny. Dziewięć szylingów i sześć pensów za lutestring?

– Ile tego lutestringu? – dociekał jeszcze głębszym głosem.

Czuła na karku jego oddech. Cały wysiłek wkładała w to, żeby nie zadrżeć. Przełknęła ślinę.

– Pięćdziesiąt sześć metrów. To na pewno robota Sophy. Ona zawsze…

– Pięćdziesiąt sześć metrów lutestringu po dziewięć szylingów sześć pensów za metr – powiedział tonem bardzo podobnym do tego, jakiego używał, trzymając ją w ramionach.

– Tak.

– Co jeszcze?

– A co za różnica?

– Czytaj dalej.

Jego głos rezonował głęboko w jej trzewiach. Nie dotykał jej, lecz mimo to jego ręce zdawały się być wszędzie. I usta także.

– Dziewięćdziesiąt osiem łokci armozyny – powiedziała. – Po jedenaście szylingów dziewięć pensów za łokieć.

– Za łokieć.

– Tak.

– Kontynuuj.

– Szesnaście metrów doskonałego aksamitu po piętnaście szylingów i trzy pensy za metr.

– Mhm. – Otarł się policzkiem o jej policzek. – Nie przerywaj.

– Sto dwanaście metrów…

– Sto dwanaście metrów. Tak dużo. – Pocałował wrażliwe miejsce za jej uchem.

Zadrżała.

– Nie przerywaj – powiedział.

– Sto dwanaście metrów czarnej princetty po dwanaście szylingów dziewięć pensów za metr.

Odczytywała na głos kolejne pozycje na rachunku, podczas gdy on całował ją i mruczał jej do ucha słowa zachęty.

– Więcej liczb – szeptał. – Więcej liczb.

Pocałował bok jej szyi, dłonie zamknął na jej piersiach. Czytała dalej, choć miękły jej kolana.

Trzysta pięćdziesiąt sześć metrów perskiego jedwabiu, dwadzieścia siedem metrów mody i tak dalej, i tak dalej, choć wzrok odmawiał jej posłuszeństwa z powodu jego wszędobylskich rąk.

– Leonie, Leonie – zamruczał. – Kiedy mówisz liczbami, doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Jego dłonie prześlizgnęły się niżej i materiał zaszeleścił, kiedy podciągał jej spódnice, ona zaś dostawała zeza, usiłując czytać dalej. Powinna go powstrzymać, ale nie chciała. Było to zbyt grzeszne i pragnęła się przekonać, dokąd prowadzi. Nie wiedziała, czy zdołałaby przestać, nawet gdyby musiała, ponieważ topiła się w jego dłoniach i pod urokiem jego

głosu. Podkasał jej spódnice i halkę. Później jego dłonie znalazły się na jej udach, sunęły po pantalonach.

– Jedwab – powiedział. – Jedwabne pantalony, ty niegrzeczna dziewczynko.

– Biały jedwab saraceński, trzy szylingi dziewięć pensów.

Całował jej kark. Słyszała jakieś dźwięki. To wełna z szeptem ocierała się o muślin.

Wsunął dłoń między jej nogi i jęknęła.

– Licz dalej – polecił.

– Satyna, dziewięć szylingów sześć pensów za metr. Aksamit z Genui, dwadzieścia siedem szylingów sześć pensów za metr. Och!

W międzyczasie wsunął palce w rozporek jej pantalonów. Pieścił ją, aż drżała. Zalało ją ciepło, jakby pływała w sadzawce, omywana gorącymi wodami mineralnymi.

– *Mon Dieu!* – Cichy, mimowolny okrzyk, kiedy przyjemność przemknęła przez nią i pchnęła ją prosto w górę, do tamtego miejsca, tamtej tryskającej radości.

Wszedł w nią wtedy i zaparła się o biurko. Policzkiem dotykał jej policzka.

– Niegrzeczna, niegrzeczna dziewczynka. – Głos miał chropawy, ciepłym oddechem omywał jej kark. – Tęskniłem za tobą. Miałem grzeszne myśli, kiedy leżałem w łóżku, żałując, że to nie twoje łóżko, twoje ramiona. Myślałem o tylu interesujących rzeczach, które moglibyśmy robić, tym wszystkim, czego chcę cię nauczyć i czego mógłbym dowiedzieć się o tobie, o sekretach twojej skóry i ust, i… – Wycofał się odrobinę i pchnął znowu. – I o tym tutaj. W tobie. Chciałem być w tobie.

A ona chciała mieć go tam, w sobie, mimo że było to niebezpieczne – a może właśnie dlatego. Była, kim była, i nie zmieniłyby tego wszystkie uszeregowane w kolumnach liczby świata. Była rozsądna, należała przecież jednak do Noirotów i DeLuceyów, a oni grzeszyli od pokoleń.

Wziął ją tutaj, przy biurku, i ona także go wzięła, bezwstydnie, ochoczo, nieomal się śmiejąc, kiedy żar i przymus narastały. Śmiała się nawet wtedy, gdy jęczała. Śmiała się z ich na pół zduszonych okrzyków rozkoszy. Śmiała się z głupich słów, które wymieniali szeptem, i z frywolności całej tej sytuacji.

To był wyśmienity żart i wielka radość, a w niej szczęście narastało i narastało, aż nie dało się pójść dalej i na jedną cudowną chwilę wszystko stało się absolutnie doskonałe.

Napawała się tą chwilą, dopóki trwała, i zapamiętała ją, gdy dobiegła końca. Wiedziała, że zawsze będzie o niej pamiętać, długo po tym, jak on zniknie z jej życia i zapomni o niej.

* * *

Później

Zamiary Lisburne'a…

… dopóki jego umysł nadal funkcjonował…

… zakładały, że będzie się do niej zalecał – lub ją uwodził – i stopniowo zaprowadzi do łóżka lub przynajmniej na szezlong na piętrze.

Ale kiedy stała przy biurku, marszcząc brwi nad rachunkiem i recytując ilości i ceny energicznym tonem kobiety interesu… Jego umysł doznał zaćmienia, pozostawiając całe myślenie temu drugiemu, znacznie mniejszemu mózgowi – znacznie niżej.

Później, po zbliżeniu, które kojarzyć by się mogło raczej z kurtyzanami i świadomymi wiejskimi dziewkami – na pewno nie z młodymi kobietami, które dopiero co przeszły inicjację – roześmiała się.

Pochylał się nadal nad jej plecami jak pies, usiłując złapać oddech i odzyskać rozum, a tymczasem ona wsparła się łokciami o biurko, zanurzyła twarz w dłoniach i wybuchła śmiechem.

Ten dźwięk chwycił go za serce, przemówił do tego, co zostało z jego mózgu, i Lisburne również się roześmiał.

Odwróciła się, dźwignęła z blatu, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go. Poczuł ten pocałunek aż po koniuszki palców u rąk i nóg, od korzonków po końcówki włosów, jakby uderzył w niego piorun.

Wtedy przerwała pocałunek i zarządziła:

– Chodźmy na górę.

* * *

Później

Gdy Lisburne się obudził, gładka, krągła pupa wciskała się w jego krocze. Do jego nozdrzy docierał rozkoszny zapach: lawendy i Leonie. Ramieniem opasywał ją w talii, dłoń spoczywała na jej brzuchu. Nagim, całkowicie.

Nie pamiętał zbyt jasno, jak się rozbierali, kiedy jednak otworzył oczy, zobaczył pokłosie orgii. Migotliwe światło samotnej świecy dobywało z mroku porozrzucane elementy przyodziewku, niektóre ciśnięte na krzesła, inne na podłogę, jeszcze inne zamotane wokół słupków łóżka.

Wtedy sobie przypomniał.

Pospieszne zrzucanie ubrań i długie, powolne uprawianie miłości.

Uśmiechnął się.

Cmoknął ją w bark, na co odwróciła się w jego ramionach i objęła go za szyję. Pocałował ją, a serce gwałtownie mu przyspieszyło, sam nie wiedział dlaczego. Powinien być usatysfakcjonowany. Zaspokojony. Ale tego uczucia nie rozpoznawał. Przypominało…

Przerwała pocałunek.

– Co to było? – spytała. Puściła go i uniosła się na poduszkach. – Ktoś puka do drzwi.

Musiał wytężyć słuch, żeby cokolwiek usłyszeć, i niewykluczone, że nie udałoby mu się to, gdyby nie otwarte okno. Daleko z dołu dobiegło kilka szybko następujących po sobie stuknięć, które rozbrzmiewały słabym echem na podwórzu. Ktoś dobijał się do tylnych drzwi butiku. Albo do drzwi po przeciwnej stronie ciasnego podwórza na tyłach numeru 56.

– Jest już chyba po północy – mruknął. – Kto, u diaska, składa ci wizyty o tej porze?!

Nim zdążył zebrać myśli, wyskoczyła z łóżka. Pospieszyła do szafy i coś z niej wyciągnęła. Niebieski aksamitny szlafrok, bardzo podobny do męskiego, z haftem w egzotyczne kwiaty. Ani trochę nie przypominał frywolnego peniuaru, który narzuciła na siebie pierwszej nocy. Bynajmniej nie zwiewny, obrębiony jedwabiem, krojem nawiązywał do Orientu. Kiedy się nim owinęła, skrył wszystko poza jej figurą. Z jakiegoś powodu w tym stroju wzbudzała w Lisburnie większe pożądanie niż w tamtym strzępku pajęczyny.

Usiadł.

– Chyba nie zamierzasz otwierać drzwi – powiedział. – W dodatku w tym. Wracaj do łóżka. Niech służba zajmie się intruzem, ktokolwiek to jest. Chyba że masz innego kochanka, który składa ci wizyty ciemną nocą.

– Niby kiedy miałabym znaleźć czas na kolejnego kochanka? Ledwie znajduję czas na pana.

Wyszła w pośpiechu.

Wygramolił się z łóżka i rozpoczął polowanie na koszulę. Zajęło mu to chwilę, gdyż po drodze się rozkojarzył. Natknął się na pończochy obojga, potem jej gorset i podwiązkę. Tylko jedną. Gdzie wsiąkła druga?

Nie mógł zostawić jej ubrań tam, gdzie leżały. Zbierał więc wszystko, podobnie jak pierwszej nocy, i sortował w nogach łóżka na rzeczy jej i swoje. Nim znalazł koszulę i wciągnął ją przez głowę, by następnie zastanowić się, gdzie podziały się jego spodnie, Leonie wróciła.

– Szybciej, szybciej! – popędziła go. – Nie ma chwili do stracenia.

Nadal trwał w oszołomieniu. Jej bielizna, udrapowana w nogach łóżka, przyćmiła mu umysł. Nie był gotów się spieszyć. Nie chciał się spieszyć. Chciał wciągnąć ją z powrotem do łóżka. Jeszcze z nią nie skończył. Do rana jeszcze zostało dużo czasu. Było mu tak dobrze. Jakby…

Jego umysł zrejterował przed kończeniem tej myśli.

– Kto przyszedł? – spytał. – Muszę wyskakiwać oknem? Dom się pali?

– Pali się, też coś. Proszę nawet nie mówić takich rzeczy.

Zrzuciła szlafrok i znów zaczęła szperać w szafie.

Jej plecy, jej piękne plecy… rozkoszne krągłości pośladków…

Zmusił się do myślenia.

– Leonie, kto przyszedł?

Odwróciła głowę, żeby nań spojrzeć. Burza ciemnorudych loków połyskiwała pasemkami ognia tam, gdzie padało światło świecy. Kosmyki zwijały się jej na skroniach i opadały na szyję… i na plecy, na te piękne plecy. Mgła znów zasnuła mu umysł i ruszał już w jej kierunku, zapomniawszy o wszystkim poza ciepłem jej ciała, dotykiem jej skóry stykającej się z jego skórą i…

– Czy to nie oczywiste? – zdziwiła się.

– Co? Nie.

– Wrócił Fenwick. Znalazł ją.

Rozdział 14

Czy powabną twarz jej i postać znajdujesz?
Szczęście ci sprzyja, żeś nie spotkał żadnej
Duszyczki z owej rasy, która plotkuje
Dzień cały na tej ulicy koszmarnej!
Im nigdy nie dosyć aluzji oszczerczych;
Gdy ja pochwały uwielbiam głosić w kółko.
A dama, co zachwyt budzi w tobie tak wielki,
Moją bardzo dobrą jest przyjaciółką!
– Maria Abdy, *Moja bardzo dobra przyjaciółka* (1833)

Okolice Tottenham Court Road
Tuż po północy z czwartku na piątek

Jak się okazało, Fenwick nie dotarł nawet do odrażającej kawiarni U Jacka. W drodze na miejsce robił przystanki na każdym postoju dorożek – tak na wszelki wypadek, wyjaśnił. Tym razem odnalazł Charliego Judda. Odkrywszy, że ten dobrze pamięta interesujący ich kurs, Fenwick uznał, że lepiej będzie nie zgubić go ponownie. Kazał się zawieźć do Maison Noirot i polecił dorożkarzowi zaczekać, na wypadek gdyby Leonie chciała przesłuchać mężczyznę osobiście.

Ponieważ dorożkarz nigdzie się nie wybierał, pospieszyła schodami na górę, żeby się ubrać i nakłonić do tego samego sceptycznego i niechętnego do współpracy Lisburne’a.

Kiedy znaleźli się przy pojeździe, wystarczyło kilka pytań, by Lisburne zmienił nastawienie. Mimo że Judd zabrał rzeczonych pasażerów w poniedziałkowy wieczór, a od tamtej pory przewiózł po całym Londynie i okolicy setki osób, wyraźnie pamiętał kobietę, dziecko i „dżentelmena”.

– Do Lambeth i nazad, co nie? – upewnił się. – Jeden raz, jak żem jechał do Vauxhall w tem ostatnim tygodniu, albo i dłużej. A napiwku wiela mi nie dał, co nie?

Wiedzieli zatem, że trafili na właściwy trop. Niewiele później Leonie, Lisburne i Fenwick jechali już dorożką.

Judd z łatwością przypomniał sobie także pensjonat, ponieważ często robił tu kursy. Było to miejsce chętnie odwiedzane przez ludzi teatru, a ci przychodzili i wychodzili o dziwacznych porach. Więcej niż raz zabierał stąd do domu wracających z popijawy przyjaciół aktorów.

To by wyjaśniało, dlaczego niechlujna pokojówka, która im otworzyła, nawet nie mrugnęła na widok gości o tak późnej porze i dlaczego, szybko otaksowawszy Leonie i Lisburne'a wzrokiem, skierowała ich do „wdówy na drugiem piętrze".

„Wdówa" ewidentnie spodziewała się kogoś innego. Stanęła na progu z wyrazem wyczekiwania na bladej twarzy. Oczy jej się rozszerzyły, gdy ujrzała, kto przyszedł, i próbowała zamknąć im drzwi przed nosem. Ale Lisburne zablokował je stopą, a Leonie powiedziała:

– Przyszliśmy pomóc.

– Znam panią, panno Noirot – odparła kobieta. – Była pani tamtego wieczoru w Vauxhall. Prosząc o pieniądze. Dla upadłych kobiet. Nie wie pani, że pomaganie takim tylko zachęca je do rozwiązłości?

Zaśmiała się krótko. Niemniej cofnęła się i wpuściła ich do środka, po czym zamknęła za nimi drzwi.

Leonie prędko zlustrowała wnętrze. Wynajmowane mieszkanie składało się chyba z dwóch pokoi. Ten, w którym stali, względnie duży i przestronny, służył jako salonik. Na wpół otwarte drzwi prowadziły, jak zgadywała, do mniejszego pomieszczenia w głębi. Biorąc pod uwagę okolicę i stan budynku, szacowała, że czynsz wynosi od siedmiu do dziesięciu szylingów tygodniowo.

Pomieszczenie było schludne – z całą pewnością schludniejsze niż pokojówka – aczkolwiek nie było w nim zbyt wielu mebli, które wymagałyby utrzymywania w czystości, a te nieliczne wyglądały na zużyte, jeśli nie doszczętnie wyeksploatowane. Na stole w pobliżu drzwi leżał otwarty album z wycinkami, a obok niego ulotka, strona z gazety, otwarta puszka z klejem i nożyczki.

Leonie podeszła do stołu, żeby przeczytać ulotkę. Zapowiadała wieczorny benefis, wielką czcionką wydrukowano nazwisko osoby, na której cześć się odbywał.

– Jest pani aktorką – skonstatowała. – Dulcinea Williams, zgadza się?

Kobieta zagrodziła jej drogę, wrzuciła gazetę i ulotkę do albumu, zamknęła tomiszcze i przycisnęła je do piersi.

– Zastanawiałam się, czy jest pani profesjonalistką – powiedziała Leonie. – Ten wdzięk, z jakim wygłaszała pani swą kwestię, nie mówiąc o tym, jak zręcznie trzymała pani dziecko, zarazem tak pięknie zaklinając lorda Swantona.

Twarz pani Williams nabrała rumieńców. Kobieta zadarła brodę.

– Publiczność uwierzyła.

Gdyby Leonie udało się wtedy podejść bliżej albo gdyby przynajmniej nikt jej nie zasłaniał, ona nie byłaby tak naiwna. Teraz, mimo panującego w pokoju półmroku, prawda stała się oczywista. Wszyscy Noirotowie i DeLuceyowie byli do pewnego stopnia aktorami, a kilkoro występowało wręcz na scenie. Nawet jednak pomijając rodzinne talenty, Leonie widziała dostatecznie wiele przedstawień teatralnych, żeby po postawie i sposobie mówienia kobiety rozpoznać osobę, która od najmłodszych lat stąpa po deskach sceny. Wielu aktorów nie potrafi do końca wyzbyć się teatralnych manieryzmów.

– Ktoś zapłacił pani za występ – stwierdziła. – A pani potrzebowała pieniędzy.

Zerknęła na Lisburne’a, który pilnował drzwi na schody w pozie zwodniczo swobodnej, z głupawym wyrazem pięknej twarzy.

Co dowodziło, jak bardzo jest niegłupi. Rozumiał, że Leonie stara się pozyskać zaufanie kobiety, toteż robił, co w jego mocy, żeby sprawiać wrażenie nieszkodliwego.

– Zawsze byłam w stanie troszczyć się o siebie i córkę – powiedziała pani Williams. – Należałam do dobrej trupy. Objeżdżaliśmy prowincję. Miałam pracę i nikt nie zadawał niezręcznych pytań na temat Bianki. Wprost przeciwnie. Stanowiła atrakcję. Publiczność uwielbia cudowne dzieci.

Powędrowała spojrzeniem w kierunku pokoju w głębi. Bez wątpienia spało w nim dziecko.

– No i zresztą byłam „panią” Williams – ciągnęła, zniżając głos. – Nikt z zespołu nie pytał, gdzie się podziewa pan Williams. Bianca nie wie. Myśli, że papa daje występy w Ameryce. Tamtego wieczoru, kiedy szłyśmy do Vauxhall, powiedziałam jej, że będziemy udawać. Ale tak naprawdę nie udawałyśmy.

Lisburne już miał odstąpić od drzwi, ale się zatrzymał.

– Tak naprawdę nie udawałyście?– powtórzył łagodnie.

Kobieta znów spojrzała w stronę pokoju, gdzie spało dziecko.

– Jeśli została pani skrzywdzona, lord Swanton pragnie to naprawić – zapewniła Leonie.

– Ale jego lordowska mość nie przyszedł, nieprawdaż? – rzuciła pani Williams.

– Chce pani, żeby przyszedł? – spytała Leonie.

Pani Williams przeniosła wzrok z niej na Lisburne'a. Następnie oddaliła się i delikatnie zamknęła drzwi sypialni.

Kiedy do nich wróciła, odłożyła album z wycinkami na stół.

– Gdybym kiedykolwiek wyobrażała sobie, że ojciec Bianki powiezie mnie w dal na białym rumaku, oczy otworzyłyby mi się w dniu, kiedy mu powiedziałam, że spodziewam się dziecka – stwierdziła.

– Nie zaproponował żadnej pomocy? – zdziwiła się Leonie.

Było to niepodobne do Swantona.

Pani Williams się roześmiała.

– Prędzej oczekiwałby jej ode mnie. Może i nie jestem dość dobra dla wspaniałych londyńskich teatrów, ale na tyle dobra, by z łatwością znaleźć pracę gdzie indziej. Na tyle dobra, żeby nie być na zawołanie jakiegokolwiek mężczyzny.

Rzuciła Lisburne'owi wyzywające spojrzenie. Zamrugał głupkowato jak nieszkodliwy arystokratyczny idiota, którym nie był.

Pani Williams mówiła coraz szybciej, jak czynią to ludzie, którzy zbyt długo tłamsili w sobie uczucia.

– Jak mówiłam, przyłączyłam się do dobrej trupy. Bianca i ja nieźle sobie radziłyśmy. Potem, w maju, zachorowałam i nie mogłam pracować. Koledzy pomagali, na ile byli w stanie, ale robiłam się coraz słabsza, nie nadawałam się do niczego. Musiałam od nich odejść. To było w Portsmouth. Kończyły mi się przedmioty, które mogłabym oddać w zastaw. Wykorzystałam tę resztkę na opłacenie podróży do Londynu. Pewnie nie myślałam jasno, ale nie przyszło mi do głowy nic innego, jak tylko zwrócić się o pomoc do ojca Bianki.

– Napisała pani do niego – podsunęła Leonie. – A on panią zignorował.

– Och, nie – odparła aktorka. – Wiem, jak wyglądają sprawy z takimi dżentelmenami i ich prawnikami. Nie mogłam dać się zbyć przez pełnomocnika pisemnymi oświadczeniami i groźbami, prawda? Poszłam do księgarni i znalazłam jego namiary w *Przewodniku dworskim Boyle'a*.

Udałam się do wynajmowanego przez niego mieszkania rano, kiedy miałam pewność, że będzie jeszcze w łóżku. Wcieliłam się w służącą, która przyniosła wiadomość do niewłaściwego domu. Tak uroczo się skonfundowałam. Jego służący zaczął ze mną flirtować, podjęłam więc flirt i dowiedziałam się, dokąd jego pan wybiera się tego dnia.

Tak samo postąpiłaby Sophie. Albo Leonie. Albo dowolny Noirot lub DeLucey. Udawać kogoś innego. Zagrać na cudzych słabościach.

Ponieważ myślała o siostrach, Leonie nie od razu spostrzegła zmianę w Lisburnie, sposób, w jaki uszło z niego napięcie. Później to do niej dotarło: czyjakolwiek była Bianca, na pewno nie była córką Swantona. Pomijając inne wskazówki, poeta nie mieszkał w wynajmowanym mieszkaniu, ale w pałacyku markiza Lisburne'a w Regent's Park.

– Zaczaiłam się na niego w Instytucie Brytyjskim – ciągnęła pani Williams. – Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że będzie tam taki tłum ludzi. Czekałam już, jak mi się zdawało, całą wieczność, próbując obmyślić sposób, jak dopaść go samego, kiedy on i jego przyjaciel oddzielili się od reszty. Państwo tymczasem wyszli, a lord Swanton i pozostali przeszli do następnego pomieszczenia. Mogą być państwo pewni, że moi dwaj dżentelmeni czym prędzej usunęli mnie sprzed oczu swoich szacownych przyjaciół. Później odbyliśmy długą rozmowę. Powiedział, że nie ma pieniędzy. Ja na to, że lepiej, żeby jakieś zdobył, albo zacznę urządzać sceny po całym Londynie, prześladując go jak duch Banka.

– Ale mógłby kazać panią aresztować – zauważyła Leonie.

Prawo zawsze stawało po stronie uprzywilejowanych. Nie wolno było ich drażnić ani nękać.

– Czułam się na tyle zdesperowana, by podjąć takie ryzyko, panno Noirot. On wie, na jakie sceny mnie stać. A ja wiedziałam, że nie będzie chciał, by ktokolwiek o mnie usłyszał. – Pani Williams uśmiechnęła się krzywo. – Nie żebym miała dość sił, by go prześladować, jak groziłam. Ale tego akurat nie wie. Kłopot w tym, że nawet najwspanialszy aktor dramatyczny z próżnego nie naleje. Powinnam była się domyślić, że on żeruje na innych i pożycza w nadziei na lepsze czasy, chociaż nie wiem, na jakiej podstawie się ich spodziewa. Jego idea planu finansowego to oczekiwanie na kolejny rzut kośćmi.

Stało się już jasne, kim byli winowajcy: ci sami mężczyźni, którzy chyłkiem uprowadzili panią Williams z Vauxhall.

Leonie zerknęła na Lisburne’a, który wędrował wzrokiem po pokoju, udając obojętność, mimo że jego postawa sygnalizowała co innego.

– Zrozumiałam, że sprawa z nim jest beznadziejna – mówiła dalej pani Williams. – Zrozumiałam, jaka byłam głupia, sądząc, że mi pomoże. Kiedy jego przyjaciel zasugerował, żebym odstawiła scenę z poetą, jaki miałam wybór? Twierdził, że lord Lisburne szczodrze zapłaci, żeby się mnie pozbyć.

– Za dziecko kogoś innego? – spytał. – Gdyby poszła fama, każda niezamężna matka w Londynie pukałaby do moich drzwi.

– Dwadzieścia funtów i zniknę – zadeklarowała. Uniosła brodę. – Już dawno wyjechałabym z Londynu, gdybym tylko mogła. Mam po dziurki w nosie jego, jego przyjaciół i ich błyskotliwych pomysłów. Obiecał, że załatwi sprawy z panem lub poetą. Jednak minęło kilka dni, a ja nie mam od niego żadnych wieści. Muszę zapłacić czynsz, córka i ja musimy jeść.

– Dam pani sto funtów – oznajmił Lisburne. – Ale jest pewien warunek.

Pani Williams była dobrą aktorką, tak jak deklarowała. Jeśli obawiała się zdemaskowania lub aresztu, dobrze to ukrywała, przynajmniej w ocenie Lisburne’a. Nie zdołała jednak ukryć szoku, kiedy zaproponował jej sto funtów.

W jej mniemaniu już dwadzieścia funtów stanowiło ogromną kwotę. Wiedział, że niektórzy mężczyźni płacą na swoje bękarty nie więcej niż dwadzieścia szylingów rocznie.

– Po pierwsze, chcę znać nazwisko ojca – rzekł Lisburne. – Wiemy, że to jeden z tych dwóch mężczyzn.

Na jej twarzy potrzeba zmagała się ze strachem.

– Jeśli panu powiem, stracę na niego haka – zaprotestowała. – Ostrzegli mnie…

– Oni lubią straszyć – wszedł jej w słowo Lisburne. – Proszę zostawić ich mnie.

– Zdemaskowanie go to dla mnie za duże ryzyko – odparła. – Według prawa dziecko należy do ojca. Mógłby ją zabrać. – Przygryzła wargę. – Bianca nic go nie obchodzi. Posłałby ją do szkoły dla ubogich i zapomniał o niej.

– Proszę pozwolić, żebym się nimi zajął – naciskał Lisburne.

– Mniejsza o to – wtrąciła Leonie. – Nie ma znaczenia, który to z nich.

Lisburne popatrzył na nią. Nie był pewien, co jej chodzi po głowie. Było natomiast jasne, że dotarła do tego dzięki logice i kalkulacjom.

– Ma pani rację – przyznał.

Uniosła brwi.

– Raz może pani mieć rację. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

Pani Williams koncentrowała się na Leonie.

– Panno Noirot, na pewno pani rozumie. Przysięgam, że od tamtego wieczoru w Vauxhall nieustannie nękało mnie sumienie. Biedny lord Swanton miał tak zdumioną minę. Ale tamci zapewniali, że mnie spłaci i sprawa zostanie wyciszona. – Załamywała ręce. – A teraz potwornie się zamotałam.

– Odmotamy panią – obiecała Leonie. – Nie musimy wiedzieć, który z tych dwóch jest ojcem. Wystarczy nam informacja, że współdziałali, by zniszczyć dobre imię lorda Swantona i zrujnować reputację innych osób. Trzeba nam tylko dowieść tego w taki sposób, żeby świat uwierzył.

Kiedy mówiła, w umyśle Lisburne’a ukształtował się pewien obraz.

– Mam pomysł – oznajmił.

Leonie patrzyła na panią Williams.

– Ja także.

Aktorka wpadła w panikę.

– Sto funtów, przypominam – rzekł. – Ale potrzebujemy pani pomocy.

– Nie mogę ryzykować utraty Bianki. Za żadną sumę.

– Markiz Lisburne zajmuje wyższą pozycję niż ci dwaj mężczyźni – przekonywała Leonie. – Co oczywiste, ma też znacznie więcej pieniędzy. Jak również armię prawników.

– Jeśli któryś z tych dwóch spróbuje zabrać dziecko, w co mocno wątpię, zadbam, żeby moi prawnicy go zaszczuli – obiecał Lisburne. – Ale sprawa wymaga omówienia i planu, a pora i miejsce nie są po temu stosowne. Pani Williams, zdaje się pani oczekiwać gości. Rzeczonych mężczyzn, jak przypuszczam?

– Obiecali załatwić sprawy z lordem Swantonem i przynieść mi pieniądze – wyjaśniła aktorka. – Za przedstawienie w Vauxhall dostałam zaledwie kilka szylingów, na zapłatę czynszu za ten tydzień i jedzenie. Czekam na nich od kilku dni.

– Teraz już pani nie pomogą – zauważyła Leonie. – Nie ma pani na nich haka. Raczej nie urządzi pani sceny prawdziwemu ojcu po tym, jak

w obecności kilkuset świadków wskazała pani lorda Swantona.

Pani Williams przez chwilę wytrzeszczała na nią oczy. Potem znów spojrzała na drzwi sypialni.

– Rozumiemy, dlaczego pani to zrobiła – rzekł łagodnie Lisburne. – Niemniej wpakowała się pani w niebezpieczną sytuację. Ci mężczyźni mogliby panią zdradzić i utrzymywać, że nie mieli nic wspólnego ze sceną w Vauxhall. Oczerniliby panią równie łatwo jak Swantona. Jakkolwiek on na pewno nie wniesie przeciw pani pozwu, wyobrażam sobie, że taki skandal utrudniłby pani znalezienie pracy.

Pani Williams chwiejnym krokiem podeszła do krzesła i osunęła się na nie.

– Nie pomyślałam…

Ukryła twarz w dłoniach. Jej poza stanowiła najdoskonalszy wyraz rozpaczy, godny najlepszej aktorki. Mimo to Lisburne miał pewność, że nie kłamie. Wierzył w jej miłość do dziecka i strach przed jego utratą. Każdy, kto stracił ukochaną osobę, by uwierzył.

– Bianca będzie bezpieczna – oświadczył. – Obiecuję. W pierwszej kolejności musimy zabrać was obie z tego miejsca gdzieś, gdzie nikt nie będzie was niepokoił.

* * *

Niełatwo jest zorganizować przeprowadzkę w środku nocy, zwłaszcza jeśli nie ma się pod ręką nowego lokum.

Jednakże za sprawą częstych wizyt w lombardach pani Williams nie miała wiele do spakowania. Niemal cały dobytek jej i córki zmieścił się w dużej torbie podróżnej. Podczas gdy Leonie pomagała im ją zapełnić, Lisburne zszedł do gospodyni domu i uregulował czynsz, dodając coś ekstra za odprawienie ewentualnych innych gości.

Co do nowego lokum, sprawa była raczej oczywista.

Leonie zabrała matkę i córkę do Clevedon House.

Wiedziała, że Halliday, kamerdyner księcia Clevedona, zdążył już przywyknąć do dziwnych nocnych wizyt i wypadów. Przeważnie były to wizyty i wypady Sophy, ale jeśli tym razem to Leonie pojawi się przed świtem, nie wytrąci tym z równowagi ani jego, ani nikogo innego. Jej

pojawienie się z Lisburne’em, nieznajomą młodą kobietą i dzieckiem bynajmniej nie zbiło Hallidaya z pantałyku. Nie pierwszy raz rezydencja księcia w Charing Cross służyła za schronienie ładnym kobietom w tarapatach, a kamerdyner nie sprawiał wrażenia, jakby pragnął, by więcej się to nie powtórzyło.

Co równie ważne, ponieważ cieszył się pełnym zaufaniem księcia, Halliday był świadom, że trwają poszukiwania pewnej osoby. Nikt nie musiał mu tłumaczyć, że jest nią właśnie jasnowłosa kobieta w czerni tuląca w ramionach śpiące dziecko. Wkrótce gospodyni prowadziła przybyłe do skrzydła dla gości.

Tymczasem Jego Książęca Wysokość, który niewiele wcześniej powrócił z własnego, mniej owocnego śledztwa, został natychmiast powiadomiony o wizycie. Wezwał Leonie i Lisburne’a do swojego gabinetu.

Clevedon nie zadawał irytujących pytań na temat tego, jakim sposobem Lisburne znalazł się pod ręką o tak późnej porze, kiedy Fenwick przyniósł do Maison Noirot doniosłe wieści. Nie próbował również udusić Lisburne’a. Niemniej raz po raz książę spoglądał na markiza nieprzyjaznym wzrokiem. Ten ostatni udawał, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi.

– Leonie, lepiej zostań tutaj na noc – zarządził Clevedon, kiedy już podsumowali najświeższe wydarzenia. – Butik może otworzyć Jeffreys. Nie jest przecież tak, że od rana przeżyjecie najazd klientek. Musisz odpocząć, a Marcelline będzie niespokojna, jeśli z tobą nie pomówi. Wiem, że się martwiła. – Kolejne piorunujące spojrzenie w kierunku Lisburne’a. – Na pewno i Lisburne’owi pilno jest wrócić do domu, żeby uspokoić kuzyna.

Czasami, kiedy Clevedon stawał się nadmiernie książęcy, jak w tej chwili, Leonie snuła fantazje, że go dusi albo wali w głowę jednym z wszechobecnych w tym domu marmurowych popiersi. Jako że nie mogła zranić męża siostry – choćby dlatego, że był zbyt wielki i twardogłowy – przeważnie reagowała udawaną tępotą i przekorą. Żaden Noirot nie lubi, gdy rozstawia się go po kątach.

Jednak tej nocy – czy też ranka – nie starczyło jej motywacji, żeby się z nim spierać. Siedziała w dorożce, patrząc, jak pani Williams na powrót usypia córkę, i mimowolnie dumała nad tym, co zrobi, jeśli się okaże, że nosi dziecko Lisburne’a.

Wiedziała, że on nie porzuciłby swojego potomka, jak zrobił to Theaker bądź Meffat. Ponieważ był honorowy i opiekuńczy, przypuszczenie, że

zaproponuje jej małżeństwo, nie wydawało się nierealne.

Ona jednak nie chciała wychodzić za mąż, żeby ugłaskać czyjś honor lub poczucie odpowiedzialności. Nie chciała stać się zamężnym przypadkiem nieszczęśliwej miłości.

Niemniej należałoby tak postąpić ze względu na dobro dziecka.

Ale butik. Argumenty, które mogłaby wysunąć przeciw porzucaniu butiku przez Marcelline i Sophy, w równym stopniu odnosiły się do niej samej.

Myśl o porzuceniu Maison Noirot zadawała jej fizyczny ból. Ten sklep był ostatnią nitką łączącą ją z ciotką Emmą. To ona zrobiła z nich rodzinę i nauczyła je, jak prowadzić życie prawdziwe, nie zaś oparte na oszustwie i fałszu. Nauczyła je każdego szwu. Każdy projekt opierał się na zasadach, które im wpoiła. Była największą inspiracją, ona sama i jej wielka miłość – do trzech dziewczynek, które wzięła pod swoje skrzydła, i do własnej pracy.

Jak Leonie mogła z tego zrezygnować? Byłoby to jak rezygnacja z części jej serca.

Przyłapała się na tym, że oczy napełniają jej się łzami. Na Junonę, co się z nią działo?! Nie miała czasu na łkania i żale. Ważne sprawy wymagały uporządkowania. Jej problem polegał na tym, że czuła się zmęczona. Tutaj, w Clevedon House, będą ją rozpieszczać. I będzie mogła zwierzyć się siostrze. A kiedy dobrze się wyśpi i zostanie należycie dopieszczona, poradzi sobie ze wszystkim.

Tylko matoł trwoniłby siły umysłowe i czas na zamartwianie się ciążą, nie zyskawszy pewności, że jest się czym zamartwiać. Tymczasem konkretny problem czekał na rozwiązanie, musiała też dopracować szczegóły planu. Pożądany był jasny umysł.

Toteż – ten jeden raz – zignorowała fakt, że Clevedon zachowuje się jak nadopiekuńczy brat. Uśmiechnęła się, ziewnęła, podziękowała mu i życzyła obu mężczyznom dobrej nocy, pozostawiając ich, by oddali się temu, co mężczyźni uważają za swoją powinność w tego rodzaju sytuacjach, cokolwiek to było.

* * *

Biblioteka Lisburne House

Niewiele później

– Nie moje? – powtórzył Swanton. – Jesteś pewien?

– Dziecko zostało poczęte w Anglii i tutaj się urodziło – odparł Lisburne. – Nie wiem, czy spłodził je Theaker, czy Meffat, ale niewątpliwie był to jeden z nich. Jakoś nie wyobrażam sobie, że zadawaliby sobie trud i pomagali przyjaciołom w tego rodzaju kłopotach. W ich stylu jest raczej wytykanie palcami i naśmiewanie się z głupców, którzy dali się złapać.

Lisburne znalazł Swantona w bibliotece. Poeta wyjaśnił, że nie mógł spać. W jego głowie formował się wiersz, wymknął mu się jednak, kiedy próbował go zapisać.

– Żal mi wobec tego pani Williams i jej córki – stwierdził Swanton. – Podoba mi się myśl, że byłbym dobrym ojcem. Taką żywię nadzieję. Miałem dobry przykład.

– Wątpię, by była to twoja jedyna szansa na ojcostwo – prychnął Lisburne.

– Wiem. Chodziło mi tylko… – Swanton westchnął. – Szczerze mówiąc, nie wiem, o co mi chodziło. Mam natłok myśli. To znaczy miałem. Ale teraz, kiedy wiem, że nie ja jestem odpowiedzialny, spodziewam się poprawy. Chociaż nadal nie mam pojęcia, co należy zrobić.

– W pilnym umyśle panny Noirot już waży się jakaś intryga – uspokoił go Lisburne. – Ja również mam pomysł i niecierpliwie wyczekiwałem pojedynku. Ale Clevedon mnie pogonił, ją zaś posłał do łóżka. A teraz, jeśli pozwolisz, sam udam się na spoczynek. To była męcząca noc.

Mimo ogromnego zmęczenia nie spodziewał się, że zaśnie. Zaprzątało go zbyt wiele kwestii. Godziny uprawiania miłości z Leonie i to dziwne poczucie szczęścia. I konfuzja. Był zbyt młody, żeby łatwo dopadało go wyczerpanie bądź otumanienie, a jednak ta noc wirowała mu w głowie, obrazy mknęły jeden za drugim. Ta mała dziewczynka, śpiąca na kolanach matki, kiedy jechali do Clevedon House… dziecko…

A gdyby Leonie urodziła mu dziecko? Odpowiedzi kłębiły mu się w głowie, krążyły w kółko, aż ogarnęło go znużenie i zapadł w sen.

Obudził się tuż po południu, a wtedy Polcaire wręczył mu liścik skreślony precyzyjnym, oszałamiająco kobiecym charakterem pisma.

Lisburne odczytał wiadomość kilka razy. Zadanie nie było szczególnie trudne, jako że przekaz wspinał się na wyżyny rzeczowej zwięzłości:

„Gdyby jego lordowska mość raczył przybyć do Clevedon House punktualnie o wpół do trzeciej w sprawach wcześniej omawianych”.

Podpisała się L.N.

To było wszystko, garstka konkretów i jej inicjały. Mimo to studiował liścik niczym jakiś starożytny tekst. Analizował go tak jak swego czasu Swanton „Poranne Zwierciadło”. Szukając… czego?

Czegoś więcej.

Gdybyż tak jeszcze miał choć blade pojęcie, jakiego „więcej” szuka.

* * *

Ogród zoologiczny w Regent’s Park
Piątkowe popołudnie, 24 lipca

– Nie, nie, Claro, nie wolno ci się denerwować – protestowała lady Gladys. – Nie widzisz, że ona jest dokładnie jak ten wiersz?

– Lady Alda Morris nie jest wierszem – oceniła lady Clara. – Przywodzi raczej na myśl okropną powieść.

– Nie, nie, jest jak wiersz pani Marii Abdy. Posłuchaj tylko.

Dwie kobiety stały w cieniu gęstej kępy krzewów. Czekały na resztę grupy, która została w tyle, żeby porozmawiać z opiekunem zwierząt.

Lady Gladys zerknęła szelmowsko w kierunku maruderów, po czym zatrzepotała rzęsami, uśmiechnęła się sztucznie i zaczęła recytować:

Jak uroczo wygląda – jej ciemne loki
Falami spływają tak n a t u r a l n i e.
Za perły niejeden wziąłby paciorki
Wplecione we włosy śliczne niebanalnie.
Koloru sugestia na jej pięknych rysach –
Że twarz b i e l i, zmyśla złośliwa spółka;
Gdy jej c z e r w i e ń tylko można przypisać –
Moja to bardzo dobra przyjaciółka!

A głos jej jakże boskim nam się zdaje,
Gdy śpiewa radośnie: „Muu…!”.

– Muu? – Lady Clara stłumiła chichot.

– Żebyś tak zobaczyła swoją minę – zganiła ją lady Gladys. – Och, ty niedobra.

– Ja? A cóż ja poradzę? Doskonale uchwyciłaś jej manieryzmy. Nie miałam pojęcia, że taka z ciebie świetna parodystka. Doprowadza mnie do furii, że tak długo kryłaś swój blask pod korcem.

– Korcem? Przy tych rozmiarach? Rzekłabym raczej, że potrzebna była spora beczka, moja droga.

– Och, mój Boże, jakbyś wyjęła jej te słowa z ust.

Wybuch śmiechu.

– Teraz rozumiesz, na czym polega sztuczka.

– Rozumiem, ale nie zrobiłabym tego ani w połowie tak dobrze jak ty. Nie myślę dostatecznie szybko. Po prostu stoję jak kołek i mam ochotę wydrapać jej oczy.

– Mnie już przeszło – stwierdziła lady Gladys. – Zapewnia mi zbyt wiele rozrywki. Wystarczy na przykład, żebym pomyślała o tym wierszu i nowych wersach, jakie mogłabym ułożyć, i nie jestem w stanie się denerwować. A najlepsze ze wszystkiego jest to, że ona nie ma pojęcia, jak bardzo mnie bawi.

– Chciałabym mieć twoje podejście – westchnęła lady Clara.

– Nonsens! Nie jest ci do niczego potrzebne. Wszyscy cię kochają i podziwiają, jak zresztą być powinno. Ja z kolei na swój sposób jestem równie potworna jak ona.

– Skądże, masz w sobie ledwie ułamek jej potworności. – Lady Clara się roześmiała. – Jeden procent. Może półtora.

– Ranisz mnie, kuzyneczko. To smutne, jak bardzo nie doceniasz mojej mocy. Jestem Gorgoną, straszliwym, przerażającym stworem. Mężczyźni uciekają, gdy się zbliżam. Przy czym słyszą moje nadejście z daleka, jak grzmot stada galopujących nosoroż… noso… niech cię licho, Claro. Zbijasz mnie z pantałyku, kiedy robisz zeza. Stado nosorożcy czy nosorożców?

– Słoni.

Obie kobiety wybuchnęły śmiechem.

Przekomarzały się w ten sposób przez kolejną minutę czy dwie, nim ramię w ramię oddaliły się od kępy krzewów.

Nie miały pojęcia, że po drugiej stronie zarośli stoi lord Swanton, zaciskając pięści.

Nie widziały, jak idzie pospiesznie wzdłuż ściany zieleni, próbując uchwycić więcej z ich rozmowy. Nie zobaczyły, jak się przygarbił, kiedy znalazły się poza zasięgiem jego słuchu.

* * *

Sobota, 25 lipca

Drogi Johnie!

Błagam, wybacz mi te bazgroły. Ręce trzęsą mi się tak bardzo, że ledwie jestem w stanie pisać. Musiałam w pośpiechu opuścić kwaterę. Gospodyni powiedziała, że wczoraj przyszli jacyś dziwni ludzie i zadawali pytania. Powiedziała, że nie życzy sobie kłopotów. Zrozumiałam, że w ten sposób sygnalizuje mi, iż odpowie na pytania w zależności od tego, kto dostarczy jej lepszych argumentów w postaci monet. Jak wiesz, ja nie mam żadnych. Mogłam jedynie bardzo ją przeprosić za niedogodność.

Nie uwierzysz, jak szybko mnie zdradziła. Nie minęły dwie godziny, a przyniosła liścik od prawnika lorda Swantona. Udałam, że nie rozumiem, o co chodzi, ale jestem przerażona. Powołuje się na prawo tyczące wywoływania skandalu wokół szlachcica i grozi mi więzieniem – i że Bianca trafi tam ze mną! W pośpiechu opuściłam mieszkanie, zabierając tylko naszą córkę, zostawiając natomiast większość rzeczy, żeby gospodyni nie zorientowała się, że uciekłam.

Piszę z Lambeth, usilnie prosząc cię o pomoc. Chcę tylko, żebyś opłacił mi podróż do Portsmouth i stamtąd do Ameryki. Z twojego milczenia w ostatnich dniach wnoszę, że nic nie wskórałeś u lorda Swantona. Gnębi mnie wręcz, czy nie narobiłeś więcej szkód niż pożytku. Mam nadzieję, że mnie nie zdradziłeś. Wiesz, że mogę wyjawić pewnym osobom parę niepochlebnych rzeczy na Twój temat. Zasmuca mnie, że naciskam na Ciebie w ten sposób, ale nie mam już czasu.

Tego wieczoru w Vauxhall jest festyn dla dzieci. Z tej okazji wcześnie otwierają podwoje i tam, z dzieckiem, przemknę niezauważona. Nie wątpię, że miejsce mojego najnowszego przedstawienia będzie ostatnim, gdzie spodziewaliby się mnie znaleźć moi prześladowcy. Zorganizowałam już mój wyjazd. Brakuje mi jedynie funduszy, zaledwie pięciu funtów. Ten sam mały

teatr będzie pusty do dziewiątej, a znajomy, który ostatnio dyskretnie nas tam wpuścił, zrobi to ponownie. Będę Cię oczekiwać o ósmej. Znajdziesz mnie przy drzwiach, którymi weszłam poprzednim razem. Nie zawiedź mnie, inaczej będę zmuszona do sięgnięcia po środki, przed którymi się wzdragam.

Twoja Dulcie

– A to suka – skomentował Theaker, podnosząc wzrok znad listu, który chwilę wcześniej podał mu przyjaciel. – To szantaż. Wrzuć to do ognia.

– Ale przecież obiecaliśmy – sprzeciwił się Meffat. – Obiecaliśmy porozmawiać ze Swantonem.

– Tak, kiedyś. Gdy ucichnie wrzawa.

Innymi słowy, gdy Lisburne ochłonie. W pierwszym przypływie gniewu miał bowiem tendencję do nieracjonalnych zachowań. A irracjonalny Lisburne z łatwością mógł nieoczekiwanie skrócić człowiekowi życie albo, w najlepszym razie, uczynić je wielce bolesnym.

Kiedy znajdzie się w nieco lepszym nastroju, złożą mu wizytę. Powiedzą, że urabiali rzeczoną damę i ta gotowa jest odpuścić za niewielką kwotę. Wyśle list do gazet, oczyszczając Swantona z zarzutów. Będzie utrzymywać, że pomyliła się co do tożsamości sprawcy.

Przestrzegli ją, nader jasno, żeby w trakcie tamtej sceny nie użyła nazwiska Swantona, inaczej znajdą się w wielkich tarapatach. Ale Dulcie Williams nie była głupia.

Niestety, okazała się znacznie mniej głupia, niż byłoby to dla nich wygodne.

Nie wiedziała – a może jednak? – jak chwiejna jest aktualnie ich pozycja w kręgach londyńskiej socjety, a to za sprawą skandalu z Adderleyem. Gdyby ich zdemaskowała, ci przyjaciele, którzy nadal pozostali im wierni, odwróciliby się do nich plecami.

Ostracyzm towarzyski oznaczałby katastrofę. Kupcy woleli udzielać kredytu posiadaczom pełnych portfeli, widoków na takież lub znajomych gotowych służyć pożyczką.

– Pięć funtów – powiedział Meffat. – Wiesz, że zaproponują jej więcej, żeby na nas doniosła, a sam widziałeś, jak świetnie potrafi kłamać. Musimy je skądś wytrzasnąć. Postawiła nas pod murem.

– Postawiła twojego fiuta, w tym cały problem – sarknął Theaker. – Nie mogłeś sobie znaleźć głupiej kobiety? Świat jest ich pełen.

– Grała głupią.

– Niech ją piekło pochłonie.

– Co zrobimy?

– Cicho bądź. Myślę.

Rozdział 15

A sezon, ach, sezon –
To pusta już szklanka;
Lecz mimo mych knowań
Wciąż nie mam kochanka.
Na wszelkie sposoby
Męża chwytałam;
A przy małżeńskim ogniu
Się nie ogrzałam.
Agnes Alicia, „The Court Journal”,

sobota, 25 lipca 1835 roku

Vauxhall
Sobotni wieczór, 25 lipca

Theaker i Meffat znaleźli Dulcie Williams nie zaraz przy bocznych drzwiach, jak obiecała, lecz na scenie, przed opuszczoną kurtyną. Upozowała się tak samo jak wówczas, kiedy grała przebraną za chłopaka Rozalindę w *Jak wam się podoba*. Torba podróżna zastępowała wykorzystane w przedstawieniu powalone drzewo, a Dulcie wspierała na niej stopę na ten w domniemaniu męski sposób, który swego czasu doprowadzał mężczyzn do szaleństwa, gdyż jej piękne nogi prezentowały się w tej pozycji wyjątkowo korzystnie. Tego wieczoru miała jednak na sobie zgrzebną czarną suknię zamiast spodni, które niegdyś tak nieodparcie przywabiły Meffata.

Kiedy weszli, zaskoczona podniosła wzrok.

– Jesteście wcześniej – skomentowała.

Theaker i Meffat przyszli wcześniej, licząc na to, że przyłapią ją na sztuczkach, jeśli takie planowała. Sprawdzili główne drzwi, obserwowali, kto wchodzi i wychodzi. Jakkolwiek nie zauważyli niczego podejrzanego, Theakera nie opuszczało poczucie, że coś jest nie w porządku.

– Zapomniałem nakręcić zegarek – powiedział.

– Byłam przekonana, że się spóźnicie. No i przyłapaliście mnie na udawaniu, że wróciłam tam, gdzie moje miejsce. Jakże za tym tęsknię! No, ale skoro już tu jestem, może dla was zagram? Gratis.

– Nie tak całkiem gratis – burknął Theaker. – Pięć funtów to lekka przesada nawet jak za prawdziwe przedstawienie, pełnej długości. Zejdź stamtąd, dobrze? Wystarczy tych błazeństw.

– John chętnie usłyszałby moją Rozalindę, nieprawdaż, John, ten jeden, ostatni raz?

– Wolałbym raczej zobaczyć twoje nogi – powiedział Meffat.

– Nie bądź idiotą – warknął Theaker, rozglądając się niespokojnie po tonącym w półmroku teatrze.

– Nie do końca się ze mnie wyleczyłeś, prawda, John? – spytała.

– Za pięć funtów mamy nadzieję wyleczyć się z ciebie permanentnie – uciął Theaker. – Zejdź stamtąd. Nie mamy czasu na gierki.

– Ależ wy, dżentelmeni, bywacie nerwowi! Nikt nam nie przeszkodzi przez co najmniej godzinę. Zauważyliście te hordy dzieciaków z mamusiami i tatusiami? Zwabiliby je tu wyłącznie żonglerzy i akrobaci. Nie żebyście wiedzieli wiele o dzieciach albo chcieli wiedzieć. Gwarantuję jednak, że w tej chwili nie znajdziecie w Vauxhall miejsca zapewniającego większą prywatność. Główne drzwi są zamknięte, jak bez wątpienia przekonaliście się sami. Słyszałam postukiwania.

– Prawdę mówiąc, Dulcie, on nie za bardzo ci ufa – przyznał Meffat.

– Podczas mojej ostatniej wizyty w tym teatrze jakoś ufał, że zagram zgodnie z jego życzeniem – wytknęła im. – W dodatku ledwie za parę szylingów, czyż nie?

– Parę! – obruszył się Meffat. – Wiesz, że to była cała nasza gotówka.

– Wnoszę jednak, że po otrzymaniu mojego listu wykombinowałeś, skąd zdobyć więcej? Ponieważ jeśli nie, postawisz mnie w niezręcznej sytuacji.

Chciała przez to powiedzieć, że sama postawi w niezręcznej sytuacji Theakera i Meffata. Theaker żałował, że nie pozwolił Meffatowi dać jej pieniędzy i odesłać w diabły, kiedy osaczyła ich po raz pierwszy w Instytucie Brytyjskim. Ale jako osoba z niejakim doświadczeniem na polu szantażu nie wątpił, że wróciłaby, by dalej im się naprzykrzać.

Dlatego uznał, że sprytniej będzie upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbawić Swantona wiatru w żaglach i zrobić z Dulcie wspólniczkę

zbrodni, by tak to ująć. Kto by jej uwierzył po tym, jak skłamała w obecności tylu świadków? Była przecież aktorką.

Nie docenił wszakże jej bezczelności i talentu do prowadzenia podwójnej gry.

– Nie dałaś nam wiele czasu na zgromadzenie gotówki – zauważył.

– Bo sama nie mam go wiele – odcięła się. – Nie mam też gdzie się ukryć. Tutaj – popukała stopą torbę podróżną – mieści się cały nasz dobytek, Bianki i mój. W dodatku nie wiem, kiedy jeden z detektywów lorda Lisburne'a zapuka do moich drzwi albo wyskoczy na mnie z zaułka. Wtedy w grę wejdą prawnicy i nakazy sądowe. Jeśli chcieliście mieć więcej czasu, trzeba było lepiej wszystko zorganizować.

– Gdybyś zachowywała się roztropniej, nie miałabyś tego problemu – odparował Theaker.

– A wy postępowaliście roztropnie? – odgryzła się. – Czy nie obiecaliście mi, że nie będzie żadnych kłopotów? Czy nie twierdziliście, że lord Lisburne…?

– Cicho – syknął Theaker, rozglądając się wkoło. – Ten twój głos piekielnie się niesie.

– Jeśli chcecie, żebym szeptała, będziecie musieli podejść bliżej – droczyła się.

– Przestań błaznować – warknął Theaker.

– Albo? Przyszlibyście tutaj, gdybyście wiedzieli, jak się z tego wykręcić? Troszkę większe wyzwanie, nieprawdaż, niż uniknąć zobowiązań wobec własnego dziecka.

– Nie mojego – zastrzegł Theaker. – A gdyby było moje, nie dałbym się tak łatwo podejść. Nie pojmuję, jak mogłeś się nie zorientować, jaka z niej szczwana sztuka – zwrócił się do przyjaciela. – Ale ty widziałeś wyłącznie jej piękny tyłek… i nadal tak jest, coś mi na to wygląda.

– Do diaska, Theaker, smarkula jest do mnie podobna! – zaoponował Meffat. – Sam to powiedziałeś. Moje oczy. Mój nos. To ty kazałeś mi trzymać się z dala tamtego wieczoru. Twierdziłeś, że jeśli zobaczą mnie obok dziewuchy, nigdy nie uwierzą, że jest Swantona.

– Przymkniesz się wreszcie! – krzyknął nerwowo Theaker. – Słowo daję, nawet teraz zmieniasz się przy niej w roztrzęsionego idiotę.

– *Miłość jest prostym szaleństwem i tak dobrze jak szaleństwo zasługuje na ciemną izdebkę i batogi* – zadeklamowała, wcielając się znów

w Rozalindę. – *Jeśli ludzie tak jej nie karcą i nie leczą, to stąd pochodzi, że rodzaj ten wariacji tak jest powszechny, iż i sami dozorcy są nią dotknięci*[8]. Czy ty mnie nadal kochasz, John?

– Ach, nie, nie, to nigdy nie było tak – zaprotestował Meffat. – Wiesz, że nie, Dulcie. Nigdy nie mówiłem, że cię kocham, ani niczego ci nie obiecywałem.

– Chciał cię tylko zaliczyć, o czym wiedziałaś równie dobrze jak on – uzupełnił Theaker.

– Miałam ledwie siedemnaście lat!

– Raczej dziewiętnaście udające siedemnaście – sarknął Theaker. – Tak czy siak, teraz jesteś starsza i mądrzejsza, czyż nie? – Podszedł do sceny i rzucił na nią monety. – Masz tu swoje pięć funtów. Czy musimy odprowadzać cię do dorożki, żeby się upewnić, że się ciebie pozbyliśmy?

– Nie, zabiorę córkę i już mnie nie ma – odparła. Podeszła na skraj sceny, ale nie schyliła się po monety. – Jedna rzecz…

– Niech diabli porwą ciebie i bachora! – wybuchł Theaker. – Tylko tyle udało nam się zebrać. Chcesz nam sprawdzić kieszenie?

Uśmiechnęła się.

– Chcę jedynie zaspokoić ciekawość. Dlaczego zapłaciliście mi, żebym spośród wszystkich mężczyzn w Londynie fałszywie oskarżyła…

– Co do tej kwestii, któż stwierdzi, kto był ojcem?

– Przecież doskonale wiecie, że nie było mnie we Francji, kiedy on…

– Mogłaś być.

– Ale ja nigdy nie wyjeżdżałam za granicę. Mam ulotki, które to potwierdzają. W moim albumie z wycinkami.

Znowu popukała stopą torbę podróżną.

Sekutnica prowadziła z nimi własną grę, bez wątpienia. O więcej pieniędzy. A może o coś innego? Theaker rozejrzał się i nasłuchiwał. Szkopuł w tym, że, jak powiedziała, tego wieczoru w Vauxhall panował spory hałas. Nawet przy zamkniętych drzwiach słyszał wrzaski dzieci na zewnątrz. Do tego bębny i muzykę. Ściany tłumiły ten jazgot, ale nie mogły go całkowicie wygłuszyć. Hałas zabaw na dworze utrudniał wychwycenie nieprzewidzianych dźwięków wewnątrz teatru.

– Może jednak cię odprowadzimy – zaproponował Theaker.

Poklepała torbę.

– Liczycie, że zerkniecie do środka? Ale tutaj go nie ma. Za mało miejsca. Zapraszam, możecie spojrzeć. Wiem, że John chętnie rzuci okiem na moją bieliznę.

Theaker ruszył ku scenie. Sięgnął po torbę podróżną, jednak kobieta kopnięciem posłała ją na drugą stronę podwyższenia.

Zaklął.

– Tak mi przykro, że sprawiam szlachetnemu panu zawód – zakpiła. – Okazuje się, że wolałabym, by nie obmacywał pan moich ubrań. Ale proszę się nie martwić o album. Oddałam go na przechowanie przyjaciółce.

Theaker cofnął się o krok, zmrożony.

– Jakiej znowu przyjaciółce, niech cię diabli?!

– Mowa o mnie – dobiegł ich kobiecy głos.

Kurtyna poruszyła się nieznacznie, po czym na scenę wystąpiła rudowłosa krawcowa. Trzymała duży album z wycinkami.

– Czy tego pan szukał, sir Rogerze? – zapytała.

* * *

Przez chwilę dwaj mężczyźni tkwili w absolutnym bezruchu, z rozdziawionymi ustami. Ich miny były tak doskonale teatralne, że Leonie musiała bardzo się starać, by nie parsknąć śmiechem. Meffat pobladł, podczas gdy twarz Theakera przybrała brzydki odcień czerwieni. Najwyraźniej jednak Meffat pozbierał się pierwszy, gdyż rzucił się ku drzwiom, którymi tu weszli, tyle że ta droga została odcięta. Drzwi pilnował jeden z występujących tego wieczoru artystów, cyrkowy siłacz.

– Przed czym uciekasz? – zakpił Theaker. – Przed francuską krawcową? Nie może ci nic zrobić. Nikt nie uwierzy ani jednemu jej słowu. Cały świat wie, że to…

– Może zechcesz jeszcze przemyśleć sprawę, nim dokończysz to zdanie – poradził mu Lisburne, wyłaniając się zza kurtyny.

Theaker cofnął się o krok i rozejrzał. Było oczywiste, że nie istnieje dla niego łatwe wyjście z sytuacji. Mógł albo się poddać, albo iść w zaparte.

Leonie obstawiała to drugie. W końcu trafiło na zbira.

Jego twarz jeszcze pociemniała.

– O, więc i ty tutaj? – rzucił donośniej. – Nie zaskakuje mnie to. Omotała cię, czyż nie, staruszku?

Leonie spojrzała szybko na Lisburne’a, on jednak tylko się uśmiechnął. Gdyby Theaker miał choć odrobinę oleju w głowie, na widok tego uśmiechu trzymałby język za zębami.

Jednak nie.

– Zamyślasz pójść w ślady Clevedona i Longmore’a? – ciągnął Theaker. – Może zechcesz jeszcze przemyśleć sprawę. Masz pojęcie, kim naprawdę jest ta twoja piękna lisiczka? Kim wszystkie one są, ta tutaj i jej knujące siostry? – Roześmiał się. – Widzisz, co to jest, Meffat? Akt desperacji. Nie mają nic. Co cię obchodzi album ze śmieciami Dulcie? Jak często drukuje się rok na ulotkach? To wszystko bujda, nie rozumiesz? Ich słowo przeciw naszemu.

– Gazety drukują rok – dobiegł zza kurtyny głos Clevedona, po czym na scenę wkroczył sam książę. – Panią Williams wychwalano w recenzjach w „Bath Chronicle and Weekly Gazette”, „Bristol Mercury” i innych angielskich gazetach w latach, kiedy to ponoć bawiła we Francji.

Theaker zbladł gwałtownie, czemu trudno się dziwić, zachował jednak butę.

– Wpakowałaś się w kłopoty, Dulcie – oznajmił. – Urządzać skandal wokół arystokraty. Wtrącą cię do więzienia i zapomną o tobie. – Splótł ramiona. – Jeśli Wasza Książęca Wysokość zamyślał mnie nastraszyć, czeka go rozczarowanie.

– Słyszeliśmy, jak przyznajecie, że zapłaciliście pani Williams, by oskarżyła lorda Swantona o to, że spłodził i porzucił dziecko – rzekł Clevedon. Skinął głową ku pozostałym osobom na scenie. – Słyszeliśmy to wszyscy.

– Słyszeliście. Ha! Cóż takiego słyszeliście albo wyobrażacie sobie, że słyszeliście? Jakieś tam przekomarzanki z Dulcie. Macie dowód jedynie na to, że kłamała.

– Przyznał pan, że zapłacił jej, by skłamała w sprawie lorda Swantona – wytknęła mu Leonie.

– Przyznałem? Nie przypominam sobie.

– Przyznał to pan w obecności świadków – powtórzyła Leonie.

– Nieszczególnie wiarygodnych świadków, śmiem twierdzić – zadrwił Theaker. – Wy troje macie interes w tym, żeby chronić poecinę. Po drugiej

stronie stoją wszyscy ci, którzy słyszeli, jak Dulcie twierdzi, że to on, żaden inny, zrobił jej bachora. Skoro skłamała wtedy, skłamie znowu. Przypuszczalnie nie wie, kto jest ojcem. Obwini pierwszego z brzegu.

Uchylił kapelusza w kpiącym pozdrowieniu.

– Szalenie mnie państwo ubawili, panowie, panie. – Ruszył w kierunku Meffata. – Jeśli to już wszystko, Meffat i ja będziemy się zbierać… – Umilkł, kiedy zobaczył, jak zmienia się wyraz twarzy jego kompana.

Oczy Meffata zaokrągliły się, rozdziawił usta.

– Na co tak wytrzeszczasz gały? – burknął Theaker.

Najwyraźniej jednak usłyszał za plecami jakiś hałas, ponieważ znów odwrócił się ku scenie.

Kurtyna podnosiła się powoli, ukazując lordów Herringstone’a, Geddingsa i Flintona, jak również lorda Valentine’a Fairfaksa, panów Batesa, Crawforda, Hemptona… oraz Toma Foxe’a z „Porannego Zwierciadła”. Ten ostatni dzierżył w dłoni notatnik stenograficzny, w którym coś pracowicie skrobał.

Później zza kulis wyszedł Swanton i stanął nieco na uboczu.

Pani Williams kopnięciem zmiotła monety ze sceny na podłogę.

– Będą wam potrzebne – powiedziała do Theakera. – Na opłacenie prawników.

– Ty zapluta, kłamliwa zdziro – warknął Theaker. Przeniósł wściekłe spojrzenie na Leonie. – Obie jesteście siebie warte. Szantażystki i…

– Ty draniu! – ryknął Swanton.

Rzucił się ze sceny na Theakera, przewracając go z takim impetem, że kapelusz spadł tamtemu z głowy i pofrunął w najciemniejszy kąt.

Swanton chwycił przeciwnika za włosy i tłukł jego głową o podłogę.

– Ty dwulicowy, sadystyczny oszuście! Co ja ci kiedykolwiek zrobiłem?

Przez chwilę wszyscy po prostu tkwili w osłupieniu.

Potem Meffat pobiegł przyjacielowi na odsiecz. Pozostali otrząsnęli się z oszołomienia i zeskoczyli ze sceny, żeby dołączyć do awantury.

– Nie zabijajcie ich! – krzyknęła Leonie. – Żadnej krwi! Obiecaliście!

Nie była pewna, czy ktokolwiek ją usłyszał.

Swanton próbował udusić Theakera, a pozostali mężczyźni dopingowali go albo zakładali się o wynik. Jednak Clevedon odciągnął Meffata, a Lisburne zdjął swojego kuzyna z Theakera.

– Na Jowisza – mruknął ktoś. – Nie wiedziałem, że Swantona stać na coś takiego.

Później

– Bawiłem się lepiej niż na jakimkolwiek przedstawieniu – oznajmił Crawford.

– Wmurowało mnie w ziemię, kiedy Swanton się na niego rzucił – powiedział Hempton.

Lisburne wątpił, czy ktokolwiek czuje się zaszokowany bardziej niż on sam.

No dobrze, może Theaker.

Markiz się uśmiechnął.

– Swanton skrywa niezbadane głębie – stwierdził. – Nie jest tak miękki, na jakiego wygląda.

W najmniejszym stopniu nie był miękki, uzmysłowił sobie Lisburne, jeśli nie liczyć uczuć, wrażliwości. Czyż w Toskanii poeta nie przemierzał u boku kuzyna skalistych górskich ścieżek? Przeprawili się przez Alpy przy podłej pogodzie, a Swanton ani razu nie został w tyle. Jeździł konno i fechtował. Ogólnie biorąc, był sprawny fizycznie, choć nie boksował się na tyle dobrze, żeby w normalnych okolicznościach rozłożyć Theakera na deskach, co sam pierwszy by przyznał.

Mężczyźni, którzy wcześniej znaleźli się na scenie, stali aktualnie wraz z Lisburne’em w pobliżu wejścia do Vauxhall. Obserwowali, jak Mistrz Ceremonii wyprowadza Theakera i Meffata z Ogrodów Królewskich. Czynność tę pan Simpson wykonywał ze swą zwykłą kurtuazją. Nie sprawiając wrażenia, że kogokolwiek wyrzuca, gładko prowadził szubrawców do bramy.

Niektórzy z gości przybyłych na festyn również się temu przyglądali i wieści zaczynały już obiegać ogrody.

Meffat szedł zawstydzony. Theaker kroczył zawadiacko, jakby absolutnie niczym się nie przejmował.

Kiedy zniknęli im z oczu, Clevedon się pożegnał. Lisburne wiedział, że księciu spieszno do domu, by złożyć żonie raport z wydarzeń wieczoru.

– Jaka szkoda, że Gladys tego nie widziała – powiedział Flinton, kiedy zawrócili w stronę festynu i gęstniejącego tłumu. – Od początku

utrzymywała, że cała ta sprawa jest mętna.

– Miałaby to widzieć! – oburzył się Geddings. – Oby nie. Rumieniłem się, słysząc niektóre uwagi Theakera. Szokujący język. Absolutnie niestosowny w mieszanym towarzystwie.

– Przypuszczam, że po Gladys by to spłynęło – zaoponował Crawford. – Na pewno słyszała gorsze słownictwo. Ojciec żołnierz i dom jak obóz wojskowy, czy nie tak mówiła?

– Przy lordzie Boulsworcie marynarze się rumienią – rzekł Hempton. – Z królem włącznie, jak mi się obiło o uszy.

Król jako kadet wstąpił do Królewskiej Marynarki Wojennej i spędził na morzu pokaźną część młodości.

– Lady Gladys wkrótce się o tym dowie – stwierdził Bates.

– Wszyscy wkrótce się dowiedzą – sprostował Lisburne.

Zanim jeszcze w niedzielny poranek ukaże się specjalne wydanie „Porannego Zwierciadła” Foxe’a, w eleganckim świecie będzie szumieć o szokujących ustaleniach i okrucieństwie, z jakim Theaker i Meffat wykorzystali desperację młodej matki.

– Stawiam pięć gwinei, że ci dwaj przed świtem będą już w drodze do Dover – oznajmił Bates.

– Przed północą – ocenił Hempton.

Zawierano zakłady co do pory wyjazdu tej parki – dopóki Herringstone nie zauważył, że nijak nie zdołają ustalić dokładnej godziny ich ucieczki z Londynu.

Bo nie ulegało wątpliwości, że ci dwaj czmychną na kontynent.

Do niedzieli przed Theakerem i Meffatem zamkną się wszystkie drzwi. Gdyby pokazali się na ulicy, ich dotychczasowi przyjaciele przechodziliby na drugą stronę, chcąc uniknąć spotkania. Dokądkolwiek by się udali, spotkaliby się z ostracyzmem. Byliby głupcami, pozostając w Londynie.

Wbrew prześmiewkom Dulcie prawnicy nie byli potrzebni, co Leonie stwierdziła już na wczesnym etapie planowania. Była przecież, zawsze i nieodmiennie, przede wszystkim kobietą interesu.

– Bez przyjaciół nie mają kredytu – argumentowała wtedy. – Bez kredytu nie mogą zostać w Londynie. Każdy umiarkowanie rozgarnięty kupiec śledzi bankructwa i skandale. Ja z pewnością tak robię. Podoba mi się koncept, że tych dwóch utknie na jakiś czas w wilgotnej, brudnej celi…

niemniej sądzę, że lord Swanton wolałby obejść się bez rozgłosu, jaki wiąże się z procesem o zniesławienie.

Nie dało się ukryć. Mimo to Lisburne z ogromną przykrością przyglądał się, jak Theaker i Meffat wychodzą z afery ze wszystkimi zębami. Zwłaszcza Theaker.

Jednakże sprawa została załatwiona, Leonie czuła się usatysfakcjonowana, a to ona miała najwięcej do stracenia.

Lisburne zaczął szukać jej wzrokiem.

Bates podążył za jego spojrzeniem.

– Ciekawe, gdzie się podział Swanton? – zagaił. – Sądziłem, że zostanie, aby życzyć im szerokiej drogi. Albo obrzucić ich butelkami. Lub przynajmniej zgniłymi warzywami.

Kiedy Lisburne ostatnio widział kuzyna, dwie kobiety wywlekały go z teatru bocznym wyjściem.

– Zapewne udał się na poszukiwanie ustronnego miejsca, żeby skomponować odę o odkupieniu lub objawieniu, lub śmierci złudzeń czy czymś w tym rodzaju – odparł.

– Ja tam na miejscu Swantona bym się ukrył – stwierdził Valentine. – Kiedy rozniesie się wieść o jego dzikim występie w roli mściciela, przyjdzie mu opędzać się od kobiet szpicrutą.

– A tu się mylisz – zaoponował Hempton. – Kochają go za wrażliwość. Teraz, kiedy pokazał, że ma jaja jak każdy z nas, będą musiały zdjąć go z piedestału i traktować jak każdego innego.

– Bzdura! – sprzeciwił się Crawford. – Jeśli tak sądzisz, ani trochę nie znasz kobiet. Czyżbyś zapomniał, jak bezlitośnie go porzuciły, gdy został fałszywie oskarżony?

– Nie wszystkie – sprostował Flinton. – Lady Gladys utrzymywała, że to mistyfikacja albo jakaś wariatka.

– No to wszystkie poza nią – przystał Crawford. – Ale pozostałe wrócą, zapłakane, zżerane wyrzutami sumienia… a jeśli uważasz, że kobiety mają coś przeciw mężczyźnie z jajami, powinieneś zarezerwować sobie miejsce w przytułku dla obłąkanych.

Rozpoczęły się zakłady.

Lisburne pozostawił ich przy tej rozrywce i wyruszył na poszukiwanie Leonie.

* * *

Zapadł zmrok i w Vauxhall zapłonęły tysiące lamp. Grała orkiestra. Część gości tańczyła. Inni jedli. Większość dzieci zagnano bliżej przeciwległego końca ogrodów, skąd roztaczał się świetny widok na fajerwerki.

Jakkolwiek Leonie chętnie obejrzałaby haniebny odwrót Theakera i Meffata, uznała, że najlepiej będzie zająć się panią Williams i Swantonem. A tak całkiem szczerze, nie uśmiechała jej się myśl o pozostaniu wśród tych mężczyzn po niedawnych słowach Theakera.

Swanton poszedł z kobietami dosyć potulnie – albo, co bardziej prawdopodobne, w oszołomieniu. Najwyraźniej zaskoczył sam siebie nie mniej niż innych. Bez słowa protestu towarzyszył Leonie i pani Williams do loży, żeby zjeść kolację, ale tylko bezmyślnie wpatrywał się w menu, aż poddały się i same coś zamówiły.

Cienka szynka przypomniała Leonie żart Lisburne’a. Wino nie zachwycało. Mimo to okazała się jednak bardziej głodna, niż sądziła, a przy tym, prawdę mówiąc, z ulgą przyjmowała towarzystwo dwojga ludzi, którzy nie wymagali od niej niczego, nawet uwagi.

Swanton jadł, co przed nim postawiono, aczkolwiek był wciąż rozkojarzony.

Pani Williams recenzowała swój niedawny występ i rozważała na głos, jak można by go przerobić na sztukę. Scena, w której lord Swanton skoczył na Theakera, poderwałaby widownię z krzeseł, utrzymywała.

– Zastanawiam się, czemu wasza lordowska mość nie pisze dla teatru – powiedziała.

– Próbowałem, ale sztuki to nie moja działka. Zbyt mozolnie mi idzie, zagłębiam się w zbędne szczegóły. Brak mi lekkości. Za to pani, pani Williams, powinna pisać. My wszyscy staliśmy tylko w milczeniu jak chór grecki. Clevedonowi przypadła najdłuższa kwestia, ale on nawykł do wygłaszania przemówień. Pani jednak… żeby tak improwizować w miarę rozwoju sytuacji… – Pokręcił głową. – Na moment tak mnie to pochłonęło, że zapomniałem… niech to zaraza! Przyszła lady Bartham z córkami. Zapomniałem, że będzie tu dzisiaj pół świata.

Przysłuchując się rozmowie towarzyszy, Leonie także na chwilę o tym zapomniała.

Nie wszystko tego wieczoru było grą. Faktycznie zorganizowano tu festyn dla dzieci, a wielu jego sponsorów zaczęło napływać niedługo po otwarciu. Wkrótce wieści o hańbie Theakera i Meffata zaczną obiegać restauracyjne loże i przemykać ścieżkami. Ze względu na festyn dobroczynny w Vauxhall pojawi się większa niż zwykle reprezentacja śmietanki towarzyskiej Londynu.

Pani Williams rozejrzała się wkoło.

– Wiecie państwo, w tych okolicznościach powinnam chyba dyplomatycznie się ulotnić – stwierdziła i prędko dopasowała czyny do słów.

W międzyczasie lord Swanton wezwał kelnera. Kiedy tylko zapłacił za ich posiłek, pożegnał się i podziękował w rozkojarzeniu, po czym także się ewakuował.

Gdy oboje zniknęli jej z oczu, Leonie niespiesznie podążyła ku uroczystościom. Wiedziała, że Lisburne będzie z pozostałymi mężczyznami. Ponieważ butik był wplątany w cały ten skandal, ludzie ze zrozumieniem przyjmą jej udział w zdemaskowaniu Theakera i Meffata.

Poza tym jednak postąpiłaby nad wyraz nierozsądnie, gdyby pokazała się w towarzystwie Lisburne’a. Po wydarzeniach tego wieczoru mogła oczekiwać powrotu klientek. Lepiej nie narażać tego na szwank, wywołując podejrzenia, że jej zaangażowanie nie wynikało wyłącznie z interesów.

Pozostawało jej mieć nadzieję, że Tom Foxe oprze się pokusie wydrukowania insynuacji Theakera na temat jej i Lisburne’a. Oddała Foxe’owi ogromną przysługę. Rzadko miał okazję być naocznym świadkiem wewnętrznych rozgrywek wytwornego świata.

Zapewne powinna wracać do domu. Kiedy jednak ostatnim razem gościła w Vauxhall, nie było jej dane nacieszyć się tą wizytą.

Mogła pofolgować sobie przez chwilę. Godzina była nadal wczesna, a ponieważ chodziło o imprezę charytatywną, obowiązywały wyższe ceny, toteż ryzyko napotkania pijanej hałastry…

Bieg jej myśli zakłócił znajomy śmiech.

Rozległ się niedaleko, choć miała trudności ze wskazaniem, skąd dokładnie nadpłynął. Przystanęła w pobliżu grającej orkiestry. Wiele osób tańczyło.

Zobaczyła lady Gladys tańczącą walca z lordem Flintonem.

Podeszła odrobinę bliżej tańczących.

Dama prezentowała się bardzo dobrze w miedzianym odcieniu, w którym niewielu kobietom byłoby do twarzy. Marcelline znowu stworzyła iluzję węższej talii, tym razem wykorzystując w wyważony sposób kształt V w górnej części i odwróconego V w dolnej, gdzie na sukni otwierała się wierzchnia szata. Surowość linii zmiękczały piękne zdobienia.

Równie istotną rolę odgrywał styl bycia lady Gladys. Wyczuwało się jej pewność siebie i szlachetność natury. Choć jej twarz nigdy nie stanie się ładna, taki właśnie był jej uśmiech, podobnie jak błysk w oczach.

Lord Flinton sprawiał wrażenie zauroczonego.

Na dzisiejsze przedstawienie Leonie, co oczywiste, ubrała się elegancko. Świadomość, że dobrze wygląda, zawsze dodawała jej pewności siebie. Co więcej, powinna reklamować towar butiku przy każdej nadarzającej się sposobności. Nigdy wcześniej nie miała jednak okazji przyglądać się swojej protegowanej podczas wydarzenia towarzyskiego. Dlatego też w wyuczony sposób wślizgnęła się pomiędzy widzów, żeby podziwiać dzieło własne i sióstr.

Kiedy taniec dobiegł końca, lord Flinton odprowadził lady Gladys do jej przyzwoitek – dwóch szacownych mężatek, które wyglądały na niewiele starsze od swoich podopiecznych – i reszty grupki.

W tym gronie znajdowała się lady Alda, w nietwarzowej fioletowobrązowej sukni, ewidentnym dziele pracowni krawieckiej pani Hortensji Downes – znanej też jako Wredna Pretensja – której roiło się, że jest rywalką Maison Noirot. Kiedy lady Gladys dołączyła do grupy, lady Alda wygłosiła jakiś komentarz, na który ta pierwsza odpowiedziała z uniesioną brwią.

Leonie podeszła bliżej, nie słyszała jednak, o czym mowa. Później lady Gladys się roześmiała, a cokolwiek mówiła, zwabiła do siebie resztę towarzystwa, które otoczyło ją wianuszkiem.

Leonie przysunęła się jeszcze bliżej.

Lady Gladys recytowała wiersz komiczny. Interpretowała go bardzo podobnie jak swego czasu Leonie *Drugiego syna* w Nowym Zachodnim Ateneum.

Dla tysiąca śpiewałam,

Z tysiącem tańczyłam,
Westchnienia me setka słyszała jak nic.
Lecz westchnień i piosnek
Tych efekt mizerny;
Palce me biedne
Ból cierpią bezmierny;
A sezon, ach, sezon –
To pusta już szklanka;
Lecz mimo mych knowań
Wciąż nie mam kochanka.
Łucznicze zawody
W zielonych…
W zielonych…

Zająknęła się i urwała, kiedy do grupy zbliżył się dżentelmen. Był to wysoki, smukły jegomość o nieco przydługich słomkowych włosach, ubrany z teatralną przesadą. Włosy, kiedy zdjął cylinder, okazały się nieco zmierzwione. Surdut miał odrobinę wymiętoszony, Leonie wiedziała też, że na kolanie jego spodni widnieje rozdarcie, rezultat spotkania z podłogą, kiedy rozprawiał się z sir Rogerem Theakerem.

Jako że orkiestra zrobiła sobie przerwę, Leonie słyszała co nieco z rozmowy, aczkolwiek głos lorda Swantona nie niósł się tak wyraźnie jak głos lady Gladys.

Zarazem bez trudu spostrzegła, że kiedy mówił, pozostali zachowywali się tak, jakby był zaklinaczem węży, oni zaś kobrami w koszyku. Widziała, jak rumieni się w miarę przemowy. Coś na temat „proszę uczynić mi ten honor”. Lady Gladys także się zarumieniła, głęboki róż rozlewał się po jej dobrze wyeksponowanym dekolcie.

Orkiestra znów zaczęła grać.

Lord Swanton poprowadził damę do tańca.

A wszyscy, którzy znali tych dwoje, po prostu stali, przyglądając się z niedowierzaniem, jak lord Swanton tańczy z lady Gladys Fairfax. Przez jakiś czas para milczała. W końcu dama coś powiedziała. Jego lordowska mość wpatrywał się w nią przez chwilę. Później się roześmiał. Widzowie, przyjaciele, krewni i znajomi popatrzyli po sobie.

Potem, stopniowo, zaczęli łączyć się w pary i ruszać do tańca. Wszyscy poza lady Aldą, która odeszła rozdrażniona.

Zza pleców Leonie dobiegł cichy, znajomy głos:

– No cóż, najwyraźniej jednak potrafi zawrzeć znajomość z dziewczyną.

* * *

Lisburne obserwował Leonie, tak jak swego czasu robił to w Instytucie Brytyjskim. Tam jednak wydawała się na swoim miejscu. Tutaj stała na obrzeżach tłumu, jakby zaglądała do środka z zewnątrz, niczym sklepikarka stojąca przed wspaniałym domem, w którym odbywa się przyjęcie.

Zdawało się, że nikt jej nie zauważa, co nie miało sensu, nawet uwzględniając niezwykły widok Swantona tańczącego z Gladys.

Jak ktokolwiek mógłby nie zauważyć Leonie? Tego wieczoru założyła niebieską suknię z jedwabiu lekkiego jak chmurka. Miała gigantyczne rękawy, jak zwykle, a jako uzupełnienie jeden z tych obszernych ni-to-szali, sprawiających, że kobiece barki nabierały monstrualnych rozmiarów. Szal znikał pod jej pasem, który, w kontraście do rękawów i spódnicy, obiegał talię nie szerszą od naparstka. Wokół szyi zawiązała, formując kokardę przy gardle, jakieś cudo z koronki, z rogów którego zwisały chwosty. Jej fryzura wznosiła się w fantastycznej kompozycji węzłów i warkoczy, przystrojonych wstążkami i kwiatami.

Oszałamiający widok, zwłaszcza gdy wiedział, co kryje się pod spodem. Znał zapach i smak jej skóry…

Ale jeśli będzie nad tym dywagował, zaraz w ogóle przestanie myśleć.

A wszystko wskazywało na to, że powinien.

Dlaczego nie tańczyła wraz z innymi? Powinna być jedną z nich. Jedna z jej sióstr została księżną. Druga hrabiną.

A ona… była damą.

Jakże rzucało się to w oczy, kiedy stała w teatrze z Dulcie Williams.

Dulcie była całkiem przyzwoitą aktorką i bez wątpienia świetnie się spisywała, grając damy. Nie była wulgarna. Wprost przeciwnie.

Ale nie była damą.

Leonie owszem.

Wydawało się to teraz takie oczywiste.

Ten wieprz Theaker.

Masz pojęcie, kim naprawdę jest ta twoja piękna lisiczka? Kim wszystkie one są, ta tutaj i jej knujące siostry?

Lisburne poznał tylko dwie z tego grona, lecz intuicja podpowiadała mu, że chodzi o trzy nadzwyczajne kobiety.

Przy czym tę przed nim cechowała zadziwiająca samokontrola.

Nie odwróciła się na dźwięk jego głosu, a gdyby Lisburne nie nabrał zwyczaju obserwowania jej z taką uwagą, nie dostrzegłby minimalnej zmiany w jej postawie.

– Pozostaje żywić nadzieję, że lady Gladys nie będzie igrać z jego uczuciami – powiedziała.

– To nie znaczy, że wygrała pani zakład – zastrzegł. – Po prostu Swanton zadurzył się ostatnio w jej głosie.

– Ach tak?

Wreszcie nań spojrzała szeroko rozwartymi niebieskimi oczami.

– Zakochuje się z zatrważającą częstotliwością – wyjaśnił. – Gdyby nie był tak zajęty opędzaniem się od wielbicielek i pisaniem kolejnych wierszy, żeby pokochały go miłością jeszcze bardziej beznadziejną… i tłumnie ruszyły rzucić się w przepaść… niechybnie zakochałby się do tej pory co najmniej tuzin razy. Ale sława rozprasza. Z wielką ulgą obserwuję jego powrót do normalności.

– Chce pan przez to powiedzieć, że bywał już gwałtowny?

– Gwałtownie uczuciowy.

– Kiedy ostatnio próbował zabić człowieka?

Krótka przerwa, choć Lisburne nie musiał przeszukiwać pamięci, by udzielić odpowiedzi.

– Nigdy – rzekł. – Nie sądziłem, że stać go na taką reakcję.

– Widzę już Botticellego na jednej z moich ścian.

– On się jej nie oświadczy, jeśli o tym pani myśli.

– Jeden z nich to zrobi.

– Przypuszczalnie tak – zgodził się. – Pewnego dnia. Ale sezon dobiega końca.

– *A sezon, ach sezon/To pusta już szklanka/Lecz mimo mych knowań/Wciąż nie mam kochanka.*

– Ależ masz – powiedział, zniżając głos.

– To wiersz. Lady Gladys recytowała go, doprowadzając do furii i konfundując lady Aldę… właśnie tak, jak jej sugerowałam. Może mnie pan nazywać Pigmalionem.

– Zatańcz ze mną, Pigmalionie.

Przeniosła spojrzenie na pary wirujące przed orkiestrą, po czym popatrzyła znów na niego.

– Nie mogę – odparła. – To z pewnością zaszkodziłoby interesom.

– Jesteśmy w Vauxhall, nie u Almacka. Kiedy tylko cię zauważą, wszyscy inni mężczyźni również poproszą o taniec. Ale ja chciałbym być… pierwszy.

Znowu.

Zawsze.

Właśnie wtedy dotarło do niego, w jakie wpadł tarapaty.

Rozdział 16

Walc! Ona – druga połowa,
Na mym ramieniu jej głowa,
Twarzy spotkanie, oczu witanie, serc bicie i tak
Wirujmy, skręty, obroty,
I figur tanecznych wzloty –
Niosą nas karuzelą, aż świat nam się jawi na wspak!
The Atheneum; or Spirit of the English Magazines (1826)

Lisburne ukłonił się z taką ekstrawagancją, że Leonie po prostu musiała się roześmiać. Zrewanżowała się ekstremalną wersją słynnego dygnięcia kobiet z rodu Noirot. Ten dyg sam w sobie mógł uchodzić za teatralne przedstawienie, gdy wśród poruszenia jedwabiu i koronki płynęła w dół, w dół, w dół, jak baletnica, a później wznosiła się znów w górę, „niczym Wenus wyłaniająca się z morskich fal", jak ktoś to kiedyś ujął.

Potem otoczył ją ramieniem w talii i zawirował z nią, wprowadzając pomiędzy tańczących, Leonie zaś uleciały z głowy wszystkie rozsądne myśli, pomknęły w górę, między gałęzie drzew i kolorowe latarnie, i jeszcze wyżej, ku gwiazdom, by spoglądać na nią z daleka.

Tego wieczoru odniosła więcej niż jeden triumf. Uratowała reputację butiku i Stowarzyszenia. Pomogła dziewczynie, która była na pozór beznadziejnym przypadkiem, zostać królową balu, tańczącą z – jeśli dokumentnie nie straciła umiejętności czytania w ludziach – obiektem swoich westchnień. Pomogła Dulcie Williams wykaraskać się z kłopotów.

Miała prawo to uczcić. Miała prawo zapomnieć o troskach, przynajmniej na czas tego jednego tańca.

– Ciągle jest z panią utrapienie! – odezwał się.

Zaskoczona, podniosła nań wzrok. Uśmiechał się.

– Enigma, a co najmniej łamigłówka – ciągnął. – Gdzie krawcowa nauczyła się tak dobrze tańczyć? Nie mówiąc o innych nieprawdopodobnych umiejętnościach, jak znajomość greckiej i rzymskiej mitologii czy poezji Byrona. No i kiedy znajduje pani czas na ćwiczenia?

– Wątpię, czy jakakolwiek kobieta musi dużo ćwiczyć, żeby dobrze tańczyć z panem.

– Czy oskarża mnie pani, że tworzę dobre tło dla moich partnerek?

– To walc. Mężczyzna przejmuje kontrolę nad dziewczyną, a ona musi iść tam, gdzie ją prowadzi. Tańczy pan walca z taką samą stanowczością, z jaką robi wszystko inne. Na pewno za nic by pan nie dopuścił, żebym potknęła się o pańskie stopy.

– I porysowała moje wypucowane do połysku buty?

– Wbrew mojej profesji niekiedy dopada mnie dzikie pragnienie…

– Brzmi obiecująco…

– Żeby podeptać pańskie buty, pomiąć halsztuk i…

– Ogromnie obiecująco. – Jego głos nabrał głębi.

– Ale wtedy myślę o Polcairze.

– Do diabła z Polcaire’em.

– Poza tym i tak nie mogę zrobić tego publicznie.

– Tu ma pani absolutną rację. Chodźmy w jakieś prywatne miejsce. Później. Wkrótce, ale dopiero po tym. Ponieważ ta suknia została zaprojektowana tak, by oglądano ją w ruchu. Stworzono ją z myślą o walcu, zwłaszcza walcu ze mną, ponieważ mój strój tak wspaniale uwypukla jej walory. Za co podziękowania należą się Polcaire’owi.

– Tak też zakładałam.

– Nie wie pani nawet połowy – zapewnił. – Kiedy uszykował dla mnie niebieską kamizelkę, powiedziałem: „Pewna dama zwróciła szczególną uwagę na elementy zieleni, które podkreślają piękno jej kreacji”. A on na to: „Ale wasza lordowska mość nie może nosić zieleni do tego surduta, dlatego przygotowałem niebieską kamizelkę”. Co dowodzi proroczych zdolności Polcaire’a, ponieważ oto ubrała się pani na niebiesko.

– Chyba zakochuję się w Polcairze.

– Wolałbym, żeby pani tego nie robiła. Nieustannie martwię się, że jakaś kobieta sprowadzi go na manowce albo wprawi w stan boleści na wszystko obojętnej.

– Wątpliwe, by zdobył się na obojętność – skonstatowała. – Podejrzewam, że jest swego rodzaju genialnym artystą, jak Marcelline. Dlaczego nie został krawcem męskim? Godziny pracy są krótsze, a ze swym artystycznym okiem zbiłby fortunę.

– Ponieważ, jak sądzę, nigdy nie miał temperamentu, by terminować u krawca. Albo dlatego, że tak wielu klientów krawców męskich przykłada nader skromną wagę do płacenia rachunków. Jak mi się zdaje, zmarły król doprowadził kilku sprzedawców do bankructwa. Wiem, że Beau Brummell był winien krawcom tysiące funtów. A to jeszcze nic w porównaniu z kwotami, jakie był dłużny przyjaciołom.

– To się działo dawno temu. W bardziej niewinnych czasach. Istnieją sposoby, które gwarantują opłacanie rachunków przez klientów. A może trzeba popracować trochę w Paryżu, żeby nabrać w tym wprawy. Tak czy owak, przyznaję, że zadanie wymaga niejakiej bezwzględności, której wielu artystów nie potrafi z siebie wykrzesać.

Na przykład Marcelline. Sophy. Jakkolwiek bywały wytrwałe w innych kwestiach, unikały tych wszystkich paskudnych spraw związanych z pieniędzmi.

– Tak jak podejrzewałem, walc poruszył w pani romantyczną strunę – skomentował.

Przełknęła ślinę.

– Nie jestem romantyczką.

– Tak też się pani oszukuje. Kiedy jednak mówi pani o bezwzględnych metodach radzenia sobie z klientami, serce mi przyspiesza.

Przypomniała sobie, jak nakłonił ją do odczytywania rachunku od kupca bławatnego… i co z tego wynikło. Skóra jej zapłonęła, żar pomknął żyłami. Zbierał się w jej brzuchu i topił mózg.

A skoro mózg jej się stopił, straciła wątek i nie znalazła bystrej odpowiedzi. Pozostawała nazbyt świadoma jego dłoni, jednej, tak ciepłej, na jej talii, drugiej ściskającej jej własną rękę. Wpatrywała się w jego halsztuk i usiłowała być rozsądna. Usiłowała myśleć o butiku i swoim prawdziwym życiu.

Ale znajdowała się w jego ramionach, a tańczenie walca tak niebezpiecznie przypominało uprawianie miłości. Widziała, jak unosi się i opada jego pierś, a kiedy mówił, słyszała przyspieszony rytm jego oddechu. Miała świadomość siły w jego długich nogach, które ocierały się o jej suknię, kiedy z taką pewnością i swobodą wirował z nią w tańcu. Otoczenie zaczęło się rozwiewać niczym we śnie, muzyka nadpływała jak przez mgłę, światła zmieniły się w kolorowe gwiazdy, a podobne cieniom

męskie stroje i tęcza letnich sukien kobiet wirowały wokół nich jak galaktyka.

Zrezygnowała z walki i dała się porwać zmysłowym radościom tej nocy. Na tę jedną chwilę pozwoli sobie zagubić się w otaczającym ją pięknym świecie fantazji, dostrojonym do muzyki, prawdziwej muzyki.

Oto tańczyła pośród mężczyzn i kobiet z wysokich i najwyższych sfer. Nie tańczyła z siostrą lub jedną ze szwaczek, lecz z mężczyzną, który w romantycznych marzeniach dowolnej dziewczyny doskonale wpisałby się w rolę księcia. Tańczyła z mężczyzną ze swoich snów. Mężczyzną, w którym się zakochała, ta nierozsądna ona.

– W Paryżu – odezwała się – tańczyłyśmy. W La Chaumière i Montagne Belleville, i w Prado, i w innych miejscach. Nawet szwaczki uczą się tańca. Z całą pewnością powinny i dbam o to, żeby moje dziewczęta ze Stowarzyszenia opanowały tę sztukę. Taniec daje gracje i poczucie fizycznej pewności siebie. Jest jedną z wielkich przyjemności życia, dostępną bez szczególnych nakładów czy trudności. Do tańca nie potrzeba specjalnego miejsca ani orkiestry. Wystarczy fortepian. Albo gitara. Można też śpiewać lub nucić. Moje siostry i ja tańczyłyśmy na ulicy, kiedy kataryniarze grali Rossiniego.

Nie odpowiedział od razu, a cisza między nimi rozbrzmiewała głośniej niż muzyka. Wreszcie odezwał się miękko:

– Myślę, że tańczysz tak dobrze, ponieważ kochasz taniec. Muzyka przemawia do twojego matematycznego umysłu. A także… – Potrząsnął głową. – Nie, wystarczy. Chyba otarłem się o poezję.

Ona zaś o włos nie wyjawiła mu zbyt wiele, o sobie, swojej przeszłości, świecie, z którego się wywodzi. O tym, kim jest naprawdę. Jakby ta noc nie była snem, chwilową aberracją w jej prawdziwym życiu kobiety interesu. Jakby mieli razem jakąś przyszłość.

Była zbyt rozsądna, żeby w to wierzyć. Lepiej odejść, niż zostać porzuconym, a im dłużej będzie to odkładać, tym trudniejsze okaże się rozstanie. Lepiej zacząć jak najszybciej, nauczyć samą siebie, jak się odkochać.

Ale zostało jej jeszcze tych kilka ostatnich chwil.

– Więc po prostu tańczmy – powiedziała.

* * *

Może lepiej było nie rozmawiać.

Kiedy Leonie mówiła o Paryżu, Lisburne poczuł ucisk w piersi. Przypomniał sobie, jak powiedziała, że spośród trzech sióstr ona spędziła tam największą część życia. A tego wieczoru wychwycił w jej głosie drobną, ulotną nutę w tonacji molowej, nutę straty.

Masz pojęcie, kim naprawdę jest ta twoja piękna lisiczka?

Do tej pory Lisburne sądził, że ją zna, czy też wie o niej wszystko, co powinien wiedzieć mężczyzna. Była ładna i zgrabna. Bystra i zaskakująco oczytana, sprytna i pewna siebie. Pozbawił ją dziewictwa i odkrył zmysłowość i namiętność, przyczajone pod zewnętrzną powłoką kobiety interesu.

Ale to mu nie wystarczało. Chciał wiedzieć, kim była przed przybyciem do Londynu. Poznać dziewczynę, którą Swanton spotkał w butiku w Paryżu.

Niemalże nienawidził kuzyna za to, że widział ją, kiedy miała… ile? Piętnaście, może szesnaście lat. Bez wątpienia była wówczas bardziej Francuzką niż Angielką, dziewczyną, która, Lisburne nie miał co do tego wątpliwości, śmiała się znacznie częściej niż teraz, a przy tym na różne sposoby, nie tylko owym cichym, intymnym śmiechem, który wślizguje się mężczyźnie pod skórę…

Cokolwiek wówczas zrobiła bądź powiedziała, wywarła na Swantonie wrażenie, czego nie udało się dokonać setkom innych kobiet.

W tamtych dniach na pewno uśmiechała się z większą swobodą i naturalnością, mówiła wyłącznie po francusku, była bardziej niefrasobliwa i nie nosiła takiej zbroi.

Lisburne pragnął trzymać w ramionach zarówno tamtą dziewczynę, jak i dzisiejszą kobietę.

Omal tego nie powiedział, tego i innych rzeczy, które krążyły mu po głowie.

Pragnął wierzyć, że Leonie tańczy tak dobrze po części dlatego, że tańczy z nim, oni zaś byli sobie pisani, jak również, że spotkali się przed obrazem przedstawiającym Wenus i Marsa, ponieważ mieli zostać kochankami. Zadziałało przeznaczenie. Nieuniknione.

Stał się świadom jej zapachu i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nachyla się zbyt blisko, o wiele za blisko jak na taniec w miejscu publicznym. Odsunęła się nieznacznie, na moment przed tym, nim sam to zrobił.

– Obserwują Swantona i Gladys – uspokoił ją.

– I niby nikt nie zauważa pana? – spytała i się roześmiała.

Muzyka właśnie umilkła i więcej niż jedna z pobliskich głów zwróciła się w stronę jej niskiego, głębokiego śmiechu.

Wystarczyło mu przytomności umysłu, żeby wypuścić ją z objęć, lecz już nie na to, by ugryźć się w język.

– To na ciebie wszyscy patrzą – rzekł cicho. – Najpiękniejszą dziewczynę w tym miejscu.

Popatrzyła nań roziskrzonym wzrokiem.

– Doskonały tekst – oceniła. – Doskonałe zakończenie.

– Zakończenie?

– *Adieu*, milordzie.

Odsunęła się, a on nie mógł jej złapać i przyciągnąć z powrotem na oczach całego świata. Moment później już jej nie było, zniknęła w tłumie, zanim jego umysł nadążył za tym, co się dzieje. Co się stało.

A kiedy tak tkwił w miejscu, zdumiony i bliski gniewu, znajomy głos powiedział:

– Lisburne, jeśli mnie nie ocalisz, podle się zemszczę.

Spojrzał w bok i nie zanadto w dół, głos należał bowiem do jego kuzynki Clary. Nie była może Amazonką, choć niektórzy mężczyźni tak ją postrzegali, niemniej zdecydowanie zaliczała się w poczet wysokich.

Wieloletnie nawyki przybyły mu z odsieczą. Zebrał swoje opanowanie, maniery i zdolności oratorskie.

– Oczywiste, że cię ocalę – zapewnił. – Komu mam złamać szczękę, kuzyneczko, i dlaczego Val tego nie zrobi?

– Nie chodzi o tego typu sprawę. To sir Henry Jaspers.

Wykonała nieznaczny ruch głową. Lisburne dyskretnie zerknął we wskazanym kierunku – spostrzegł młodego, rumianego mężczyznę o proporcjach byczka – po czym znów skupił uwagę na Clarze.

– Nastaje na mnie – poskarżyła się. – I znam ten wyraz jego oczu. Oznacza mnóstwo pięknej poezji i zachwytów nad moim tym czy owym, i czy uczyniłabym mu ten zaszczyt i została jego żoną. Oświadcza się raz na

tydzień i nawet mama nie potrafi ostudzić jego żarliwości. No a trudno być wobec niego okrutną, ponieważ jest taki słodki. Ale tutaj! Akurat w Vauxhall. Nie ma złych intencji, wiem, ale jeśli napotkam spojrzenie Gladys, za nic nie zachowam powagi, nie wolno zaś śmiać się z zakochanych dżentelmenów, choćby i niepożądanych. Och, nadchodzi. Bądź kochany, Simonie, i zatańcz ze mną, błagam.

Przywołał na twarz właściwy uśmiech.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności – oświadczył.

* * *

Ponieważ opieranie się pokusie nie leżało w jej naturze, Leonie musiała znaleźć się od tejże jak najdalej. Gdyby poszła do domu, do Maison Noirot, a Lisburne podążyłby tam za nią, nijak nie wytrwałaby przy swoim postanowieniu. Brakowało jej siły charakteru, by go odprawić.

Dlatego też prosto z Vauxhall udała się do Clevedon House, gdzie często spędzała sobotnie wieczory.

Tego wieczoru Marcelline wyglądała dobrze, naprawdę dobrze, po raz pierwszy od tygodni. Jej Książęcej Wysokości dopisywał również dobry nastrój. Po części wynikało to z lepszego samopoczucia, po części zaś z faktu, że dziś Lucie nie czepiała się jej jak pijawka – co zwykła robić, odkąd u Marcelline pojawiły się pierwsze symptomy ciąży.

Lucie przestała tak lgnąć do matki, ponieważ w środku nocy do domu przybyła w tajemniczy sposób Bianca Williams, „jak złocista księżniczka wróżek”, by zacytować dziewczynkę.

– Bianca jest idealną towarzyszką zabaw – wyjaśniła Marcelline, kiedy ona i Leonie przeszły do bawialni księżnej. – Potrafi godzinami siedzieć nieruchomo, podczas gdy Lucie układa jej włosy. Założy choćby i najbardziej ekstrawagancki strój, jaki Lucie obmyśli. Lucie traktuje ją jak lalkę, Bianca zaś, jak na dobrą aktorkę przystało, gra Lalkę. Wcieli się również w każdą inną rolę. Odgrywały sceny z *Tysiąca i jednej nocy* i wybrały się, by zapolować jako Indianie. Grały żołnierzy i urządziły uroczystą herbatkę dla uczczenia stoczonej bitwy. Zrobiły kostiumy… i doprowadziły do ruiny pokój dziecinny, nie wspominając o jednej z moich sukien. Bianca nie ma zdolności krawieckich Lucie, ale nadrabia świetnym

pojęciem na temat tego, jak powinien wyglądać dobry kostium. Oraz rekwizyty.

– Zdaje się, że występowała na scenie, odkąd nauczyła się chodzić – zauważyła Leonie. – Albo i wcześniej.

– Dla Lucie to cudowna sprawa – stwierdziła Marcelline. – Clevedon twierdzi, że doskwierała jej tutaj samotność.

– Przecież służba ją ubóstwia – zdziwiła się Leonie.

– Lucie wielbi Clevedona i podoba jej się bycie księżniczką we wspaniałym domu pełnym służby, ale nie do tego przywykła – wyjaśniła Marcelline. – Po wiosennych wydarzeniach… – Zmarszczyła brwi. – On wydaje się rozumieć ją na jakimś niedostępnym dla mnie poziomie i kiedy przebywa w pobliżu, Lucie jest spokojniejsza i szczęśliwsza. Pod jego nieobecność zmienia się czasami w małą bestię. Ale Bianca ma na nią chyba pozytywny wpływ. Przykro mi będzie pożegnać się z panią Williams. Aczkolwiek nieprędko zgodzimy się je stąd wypuścić. Pani Williams nie jest tak silna, na jaką pozuje. Clevedon rozgląda się za czymś dla niej odpowiednim. – Roześmiała się. – Ale zanudzam cię domowymi opowieściami! – Dolała brandy do szklaneczki Leonie. – Co z tobą, kochanie? Chcesz mi coś powiedzieć?

Ostatnio było tyle do zrobienia, a kiedy z kolei znalazła się wolna chwila, Marcelline źle się poczuła. Tym sposobem Leonie dopiero teraz mogła złożyć siostrze pełną relację z ostatnich dwóch i pół tygodnia. Nie płakała. Nigdy nie miała tendencji do zalewania się łzami. A mimo to omal nie popłakała się w Vauxhall.

„To na ciebie wszyscy patrzą. Najpiękniejszą dziewczynę w tym miejscu”.

Wtedy pękło jej serce.

Ona i jej siostry miały prezencję, bez wątpienia, i do maksimum wykorzystywały swoje atuty, nie były jednak piękne w sensie dosłownym. Z nich trzech Leonie uważała siebie za najmniej piękną, z garbatym nosem, zbyt ostrą linią szczęki i rudymi włosami.

Niemniej Lisburne nazwał ją najpiękniejszą dziewczyną w okolicy i powiedział to w taki sposób, że nie ulegało wątpliwości, iż w to wierzy, co mógł zrobić jedynie mężczyzna zadurzony.

– Masz wyśmienity gust, jak zresztą być powinno – skwitowała Marcelline. – Jest do bólu przystojny. – Poklepała Leonie po dłoni. –

Zaczynałam się o ciebie martwić. Obawiałam się, że czekasz na szanowanego człowieka interesu i zachowujesz dziewictwo na noc poślubną… a wtedy nasi przodkowie przewróciliby się w grobach.

Rozchichotała się i Leonie również nie zdołała powstrzymać śmiechu.

Kiedy się uspokoiły, Marcelline powiedziała:

– Clevedonowi się to nie spodobało, ponieważ twierdzi, że Lisburne jest śliski.

– Śliski – powtórzyła tępo Leonie.

Marcelline się uśmiechnęła.

– To chyba oznacza, że Lisburne przypomina poniekąd Noirotów i DeLuceyów. Czarujący, lecz zwodniczy. Traktuje kobiety pięknie, jak mówi Clevedon, i zostaje z nimi na tyle długo, by uwierzyły, że zostanie na zawsze. Później równie pięknie je porzuca, ofiarowując kosztowne świecidełka na ukojenie złamanych serc.

– Sama do tego doszłam – przyznała Leonie. – Od pierwszej chwili wiedziałam, że to uwodziciel, któremu nie sposób się oprzeć. Szalenie niebezpieczny.

– I dlatego tu jesteś.

– Lepiej porzucić, niż zostać porzuconą. No i wolałam odejść u szczytu chwały.

– Bez świecidełek? – zdumiała się prześmiewczo Marcelline. – Czy ty aby na pewno jesteś Noirot? Może jednak Cyganie zabrali naszą prawdziwą siostrę, a ciebie zostawili nam na progu na pocieszenie, jak swego czasu twierdziła Sophy?

– Och, dostanę świecidełko. Ale lepsze niż biżuteria, *chérie*. Mój prezent pożegnalny od niego będzie bezcenny.

* * *

Lisburne House

W specjalnym niedzielnym wydaniu „Porannego Zwierciadła” ukazała się drobiazgowa relacja Toma Foxe’a ze zdemaskowania Theakera i Meffata w Vauxhall. Jakkolwiek w miejsce nazwisk wstawiono znaczki, nikt w towarzystwie nie wątpił już w niewinność lorda Swantona, jego

pokaz męstwa, kiedy obrażono kobiety obecne przy scenie, czy też w niegodne zachowanie dwóch mężczyzn będących, jak przypomniało czytelnikom „Zwierciadło”, bliskimi przyjaciółmi szlachcica, który niedawno okrył się niesławą.

W całym wydaniu, skądinąd pełnym plotek i aluzji, nie pojawiła się ani jedna przebiegła insynuacja na temat pewnej krawcowej i markiza. Sam festyn dla dzieci doczekał się jednakowoż należytej uwagi, a w jego kontekście w przyprawiających o ostry ból głowy szczegółach opisano kreacje panny Noirot, lady Gladys, lady Clary i innych stałych klientek Maison Noirot.

Ponieważ Swanton spóźniał się z zejściem na śniadanie, Lisburne miał aż nadto czasu, by dwukrotnie przeczytać „Zwierciadło” od deski do deski. Tak jakby w gazecie mógł znaleźć wskazówkę odnośnie do tego, co wydarzyło się między nim a Leonie.

Co przydarzyło się jemu. Kiedy odeszła.

Tkwił w miejscu, ślepy, głuchy i sparaliżowany, dopóki Clara nie upomniała się o jego uwagę.

Po długiej, ciężkiej walce z własną dumą poszedł do Maison Noirot. Leonie powinna była przybyć tam na długo przed nim, ale jej nie zastał. Drzwi otworzył Fenwick i powiedział: „Mysz lałem co jeż panem” lub coś w tym rodzaju.

Hałas przy drzwiach przywołał Lisburne’a do rzeczywistości.

Wszedł Swanton, cały w skowronkach. Wręcz wyświergotał powitanie. Nucił, nakładając sobie na talerz.

Lisburne chętnie rzuciłby w niego dzbankiem z kawą.

Zamiast tego cisnął na stół „Zwierciadło”.

– Z radością dowiesz się, że znowu jesteś anielską istotą, której wszystkie damy winne są cześć i uwielbienie.

Swanton usiadł.

– Nie cieszy mnie widok twojego przygnębienia – stwierdził. – Ostatecznie to głównie dzięki tobie dostąpiłem odkupienia.

– Dzięki pannie Noirot – sprostował Lisburne. Poczuł ostre ukłucie w piersi. Zignorował je. – Gdyby nie okazała się tak sprytna, by wypuścić tego dziwnego chłopca na ulice Londynu, niewykluczone, że nigdy nie namierzylibyśmy pani Williams. Albo może podziękowania należą się jej siostrze, za to, że w ogóle znalazła Fenwicka.

– Widziałem cię w tańcu z panną Noirot – powiedział Swanton. – Wyglądałeś jak mężczyzna za…

– Widziałem, że tańczyłeś z Gladys – wszedł mu w słowo Lisburne.

– Tak.

Swanton opuścił głowę i zajął się śniadaniem. Gdyby Lisburne przyglądał mu się uważniej, odnotowałby wspinający się po szyi kuzyna rumieniec.

Ale Lisburne błądził myślami gdzie indziej. Nie tylko Swanton tańczył z Gladys w Vauxhall. Nie została bez partnera ani razu przez cały czas, który spędził tam Lisburne – bardzo długi, jak mu się zdawało. Po tańcu z Clarą tańczył i flirtował z innymi młodymi damami. Bo dlaczegóż by nie, skoro Leonie go porzuciła? Nie żeby ją winił, gdy jej butik dopiero co odzyskał reputację. Rozumiał, że sklepikarki, a zwłaszcza krawcowe damskie, muszą zachować ostrożność w kwestii tego, jak opinia publiczna postrzega ich moralność, przy czym ona powinna być ostrożna podwójnie ze względu na młode kobiety, które wspierała. Mimo to mogła przynajmniej…

– Ale zajdę tam jutro – mówił tymczasem Swanton. – I chciałbym pożyczyć kariolkę. Myślę, że jeśli będę kuł żelazo, póki gorące, zgodzi się ze mną pojechać.

– Oczywiście, że się zgodzi.

– Czyli mogę?

– Co?

– Pożyczyć kariolkę – powtórzył Swanton. – Nie chcę dopuścić, żeby inni mnie ubiegli.

– Absolutnie nie. Nie krępuj się.

Lisburne opuścił pokój śniadaniowy i udał się na górę do sypialni, gdzie czekał Polcaire, by ubrać swego pana. Pan sumiennie odegrał swoją rolę: zachował spokojną niefrasobliwość podczas całej przydługiej, acz nieodzownej procedury, dostarczył też konieczny bon mot, którym Polcaire będzie mógł podzielić się z innymi lokajami w ulubionym pubie.

* * *

Środa, 29 lipca

Lisburne mówił sobie, że nie ma powodu do złości. Zamierzał uwieść Leonie Noirot. Udało mu się. Dzięki niej jego przymusowy pobyt w Londynie stał się doprawdy wielce interesujący. Od początku jednak wiedział, że wróci na kontynent, co oznaczało, że prędzej czy później będą musieli się rozstać.

Nie spodziewał się jednak, że nastąpi to tak szybko.

Powtarzał sobie, że tego należało się spodziewać, skoro nie miał do czynienia z kurtyzaną bądź wesołą wdówką, lecz z prowadzącą butik kobietą interesu, która nie może pozwolić sobie na to, by postrzegano ją jako osobę wątpliwej cnoty czy kochankę arystokraty. Rozumiał to doskonale. Lepiej niż ktokolwiek z jego sfery pojmował reguły prowadzenia interesów. Tak przecież postrzegał swoje rozległe włości. Z racji tego, że nadzorował je z zagranicy, tym większą wagę przykładał do szczegółów.

Rozumiał, naprawdę.

Nie zmieniało to faktu, że czuł się zgnębiony i zły i już w połowie tygodnia złamał się i zaszedł do sklepu.

Zjawił się w środowy ranek, niedługo po otwarciu, kiedy istniało najmniejsze prawdopodobieństwo, że natknie się na damy z towarzystwa.

Nie wziął jednak pod uwagę żon obrzydliwie bogatych prawników i ich przeklętych córek, które ubzdurały sobie zaręczyć się w najmniej odpowiednim momencie i potrzebowały tysiąca przymiarek swoich ślubnych strojów.

Krótko mówiąc, przybył dziesięć minut po tym, jak pani Sharp przywiozła swoją drugą pod względem starszeństwa córkę, wskutek czego madame absolutnie nie miała czasu.

– Bardzo mi przykro, milordzie – powiedziała Selina Jeffreys – ale trudno mi ocenić, kiedy madame będzie dostępna. Pani Sharp była jedną z naszych pierwszych klientek i madame musi zająć się nią osobiście. Może za godzinę, najwyżej dwie, madame znajdzie wolną chwilę.

Opuścił butik i przeszedł kilka kroków w górę i na drugą stronę ulicy St. James, do klubu Whithe’a. Tam zmitrężył nieco czasu w sali kawiarnianej, słuchając plotek i co rusz gubiąc wątek. Następnie czmychnął do sali porannej, gdzie czytał gazety, nie rejestrując ani słowa.

Obiecywał sobie, że dziś już nie wróci do butiku. Może jutro. Albo w piątek. W piątek będzie musiała się z nim zobaczyć. To był ostatni dzień

lipca, dzień podsumowania.

Wnosząc z plotek w gazetach z ostatnich dni, ryzyko, że straci Botticellego, wzrosło. Ocalić go mogło jedynie to, że żaden z licznych wielbicieli Gladys nie spełni wymogów zakładu.

Podejrzewał, że podziękowania za to należą się jej ojcu. Jedną sprawą było uzyskać zgodę Gladys. Zupełnie inną – zmierzyć się z Boulsworthem i wizją zostania jego zięciem.

Na taką perspektywę struchlałby niejeden silny mężczyzna.

Jeżeli zaś Lisburne wygra zakład, otrzyma swoje dwa tygodnie z Leonie, przy czym, oczywiście, zachowa się bardzo dyskretnie i obmyśli sposób, żeby wywieźć ją stąd, nie prowokując plotek.

A jeśli nie będzie chciała jechać?

No cóż, był dżentelmenem, nigdy nie przymusił żadnej kobiety. Zaproponuje jej alternatywę, aczkolwiek nie znajdował innej rzeczy, której mógłby od niej chcieć, a na myśl o tym, że miałaby nie życzyć sobie z nim być, czuł się… chory.

Rzucił gazetę, w którą się wgapiał. Chwycił cylinder i laskę i ruszył w górę ulicy, w kierunku Piccadilly. Dotarł na róg i tkwił tam przez chwilę. Następnie odwinął się na pięcie i wrócił do Maison Noirot.

Stała nieopodal drzwi, poprawiając kapelusz na manekinie. Miała na sobie suknię z organdyny barwy kości słoniowej, haftowaną w jakieś niebieskie detale. Jej rękawy można by wziąć za balony na ogrzane powietrze, ale zamiast jednej z tych gigantycznych pelerynek nosiła obrębioną koronką chustę z satyny, zawiązaną w stylu cenionym kilka pokoleń temu. W przeciwieństwie do jakże wielu dziennych kreacji ta pozwalała dostrzec aksamitną skórę jej szyi… a pamiętał zapach tej skóry, jej smak, doznanie, gdy dotykał jej ustami.

I mimo że wyruszał tutaj w przekonaniu, że zaproponuje jej alternatywne rozwiązanie, jego umysł zaczął obmyślać, jak ją uwieść.

Kiedy go spostrzegła, przywołała na twarz uprzejmy uśmiech i podeszła.

– Milordzie. – Dygnęła. Nie był to ten dyg, lecz stosownie profesjonalny wyraz szacunku. – Jeffreys mówiła, że pan zaszedł. Żałowałam, że się rozminęliśmy.

– Doprawdy?

– Och, tak – zapewniła. – Jest jedna czy dwie zawodowe kwestie…

Rozbrzmiał sklepowy dzwonek i do butiku wpadło, zdać by się mogło, stado młodych kobiet.

Były to jednak tylko Gladys i Clara, i córka Morrisów – nie żmija Alda, tylko ta druga, ciemnowłosa – oraz przypominająca buldoga pokojówka Clary, Davis.

– Lisburne – powiedziała Gladys z nieznacznym uśmiechem i skinieniem głowy.

– Simonie – przywitała się Clara. Odwróciła się do dziewczyny Morrisów. – Lady Susan, zapewne zna pani mojego kuzyna, markiza Lisburne’a.

Dziewczyna była ciemnowłosa, ładna i sympatyczna – swego rodzaju cud, biorąc pod uwagę jej matkę i siostrę – a Lisburne życzył jej i dwóm swoim kuzynkom, żeby je piekło pochłonęło.

Powiedział, co było konieczne, gdyż takie rzeczy robił nawykowo, bez angażowania umysłu – i całe szczęście, czuł się bowiem zbyt zły i sfrustrowany na to, by myśleć.

Gladys zbliżyła się do niego, przez co lady Susan musiała cofnąć się o krok.

– Bardzo cię przepraszam, Lisburne – rzekła półgłosem Gladys. – Za nic nie chciałabym przerywać waszego sam na sam. Możemy chwilę pochodzić po sklepie, jeśli sobie życzysz. Albo przespacerujemy się pod pałac i spróbujemy spojrzeniami wytrącić wartowników z równowagi.

– Nie ma takiej potrzeby – zaczął, ale urwał, by przemyśleć odpowiedź, gdyż przekrzywiła głowę i przyglądała mu się bacznie.

Choć był pewien, że nie wyczyta nic z jego twarzy, poczuł się obnażony. Jednocześnie zyskał pojęcie, co niektórzy mężczyźni w niej widzą: inteligentne oczy, doskonała cera… i zadziwiająca życzliwość, z jaką na niego patrzyła.

– Bardzo to miłe z twojej strony – powiedział. – Ale moja sprawa może zaczekać do jutra.

– Nie powinnyśmy były przychodzić tak wcześnie – stwierdziła Gladys. – Ale przyjęcie, sam rozumiesz. W piątek. Cały wytworny świat tam będzie, a teraz każdy chce mieć kreację z Maison Noirot, przyszłyśmy więc z samego rana, żeby uniknąć tłumów. Madame i jej wspólniczki stworzyły dla mnie jeszcze jedną piękną suknię i można by sądzić, że wystarczy, jeśli do przymiarki wezmą pierwszą z brzegu beczkę, ale nie, są tak

drobiazgowe, że każą mi tkwić nieruchomo, podczas gdy one wbijają szpilki i coś tam wykańczają, mamrocząc pod nosem.

– Przyjęcie – powtórzył tępo.

– Przyjęcie mamy – wyjaśniła Clara. – No tak, ty i lord Swanton toniecie w zaproszeniach, więc pewnie wypadło ci z głowy. W każdym razie mama co roku wydaje wielki bal na zakończenie sezonu. Ostatniego dnia lipca. Gigantyczna, wyszukana uroczystość, która ma przyprawić inne dostojne gospodynie o ból zębów.

– W tym roku zapowiada się wielce szokująco – dodała konspiracyjnym szeptem Gladys. – Po pierwsze, ja tam będę. – Roześmiała się. – Obleczona w złotawy brąz lub zachód słońca, czy jak tam one zwą ten kolor. I opromienię całą salę balową.

– Ma się też pojawić moja nowa siostra – uzupełniła Clara. – Lady Longmore przyjeżdża. I będzie również księżna. Jeszcze tylko przekonamy Leonie… i znajdziemy się na ustach całego Londynu!

Popatrzył na Leonie. Na jej policzkach dostrzegł bardzo blady rumieniec.

– Tak, tak, omówimy tę kwestię później – skwitowała. – W tej chwili, gdyby szanowna pani była tak miła przejść do przymiarki… Mamy mnóstwo do zrobienia, a czasu nie zostało zbyt wiele, nieprawdaż? Dalej, dalej. Żadnego guzdrania się, jeśli łaska.

W tym oto władczym stylu popędziła damy w głąb zakładu, a Jeffreys pospieszyła za nimi.

Kiedy kobiety opuściły salon sprzedaży, przechodząc do prywatnych pomieszczeń, Leonie zagaiła:

– Zgaduję, dlaczego pan przyszedł.

– Czemuż miałbym nie przyjść? – zdziwił się. – Sądzisz, że zapominam tak łatwo jak ty?

Znieruchomiała.

– Rozumiem twoje powody – zapewnił. – Rozumiem je aż do obrzydzenia. Interesy. Wiem. Muszę to uszanować, inaczej nie szanowałbym ciebie. Ale moja duma mocno ucierpiała i dlatego nie zachowuję się tak, jak by należało. Powinienem trzymać się z dala i nie mówić nic więcej. Powinienem skorygować warunki naszego zakładu…

– Które konkretnie warunki? – spytała cicho, z napięciem w głosie.

– Nikt się jej nie oświadczy – oznajmił, również zniżając głos. – W każdym razie nie tak prędko. Nie z jej winy, dokonałaś przy niej cudów.

Nawet mnie się podoba.

– Ubrałam ją – sprostowała. – Resztę zrobiła sama.

– Korzystając z twoich porad, nie wątpię. I miłosnych eliksirów, które warzysz w piwnicy. Niemniej ktokolwiek się jej oświadczy, będzie musiał zmierzyć się z jej ojcem, sądzę więc, że potrzeba sporo czasu, by któryś z jej obecnych adoratorów zapłonął tak dziką, ślepą namiętnością, żeby zdecydować się na taki krok. Nie wątpię, że w części z nich zrodziło się uczucie… ale nieokiełznana namiętność, taka, która skłania mężczyznę, by wstąpił do jaskini lwa lub podjął się prac Herkulesa? To zupełnie inna sprawa.

– Czyli miłość nie wystarczy?

– Musi być to zaiste potężna miłość.

Splotła ręce na wysokości talii.

– Obawia się pan, że przegram nasz zakład?

– Tak, w istocie – przyznał. – Zgoda, nadal możesz wygrać. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały. Choćby przemiana Gladys. Ale najprawdopodobniej, owszem, przegrasz, a wtedy… – Umilkł.

– Na pańskim miejscu bym się nie martwiła. Wiem już nawet, gdzie powieszę Botticellego.

Był to dobry tekst na zakończenie i zaczęła się oddalać, a on prawie pozwolił jej odejść, ale…

– Leonie.

Zatrzymała się i odwróciła ku niemu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Idziesz na bal? – spytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Lady Warford jakoś przełknęła Sophy, a Marcelline zniesie, głównie dlatego, żeby zirytować przyjaciółki. Ja jednak nie mam tytułu, a do tego nadal pracuję w butiku i większość dam na balu to moje klientki, które obsługiwałam w tym tygodniu. To niedorzeczny układ.

Podszedł do niej.

– Powiem ci, co jest niedorzeczne. Stanęłaś na rzęsach, żeby dokonać przemiany Gladys… a wiem, że to nie mogło być proste, ponieważ ją znam. Czy też znałem tę dawną Gladys. Masz szansę zobaczyć swoje dzieło.

– Widziałam je w Vauxhall.

– Vauxhall się nie liczy.

– Nie liczy – powtórzyła z nikłym uśmiechem.

– Zostałem tam jeszcze po twoim odejściu. Gladys była królową drobnego przyjęcia. Wręcz pikniku. Widziałaś obszar do tańca. Niewielka przestrzeń, z drzewami pośrodku. Mieszane towarzystwo, w lożach tłumy gapiów, którzy przyszli coś zjeść. Całkiem tam romantycznie, zwłaszcza pod gwiazdami, gdy tańczy się z piękną dziewczyną. Ale to nie wielki bal w Warford House z samą śmietanką londyńskiej socjety wystrojoną w najpiękniejsze stroje, pijącą szampana i tańczącą przy akompaniamencie najdroższych muzyków w mieście. Musisz zobaczyć swoją protegowaną w jej naturalnym środowisku. I powinnaś też choć raz pokazać we właściwym środowisku jedną ze swoich pięknych sukien.

Uchwycił w jej oczach wyraz tęsknoty, nim zdążyła go zamaskować.

– Słyszę głos węża w ogrodzie – powiedziała. – Wie pan, że mnie nie kusiło, naprawdę, dopóki nie wspomniał pan o pokazaniu sukni?

– Reklama – podsunął. – Czy kiedykolwiek nadarzyła ci się taka okazja?

– Nigdy. O czym pan doskonale wie.

– A żeby uczynić pokusę jeszcze bardziej nieodpartą, obiecuję, że zrobię ci ten wielki zaszczyt i zatańczę z tobą.

Przewróciła oczami i westchnęła teatralnie.

– Leonie.

– Och, no dobrze, tylko proszę mnie już nie nękać.

Następnie odwróciła się, wyrzucając rękę w górę w geście odprawy, i wyszła.

Pragnął skoczyć za nią i przyciągnąć z powrotem.

Pozwolił jej odejść.

Rozdział 17

Partnera, och, pod rozkazy wezmę rada,
Lecz partner bez domów, ziem, bogactw mi się nie nada;
W krąg patrzę, na salę balową rzucam zaklęcia –
Jednego choćby kawalera do wzięcia!
Maria Adby, *Kawaler do wzięcia* (1835)

Piątek, 31 lipca

Lisburne nie zaliczyłby tego dnia do najbardziej udanych.

Zaczęło się rankiem, od najnowszego „Porannego Zwierciadła". Markiz wylał kawę na jajka, gdy przeczytał:

Czyżby to pewnego cieszącego się ostatnio pięściarską sławą poetę podpatrzono wczoraj, jak wślizgiwał się do sklepu jubilerskiego Rundella i Bridge'a? I cóż takiego subiekt umieścił w pudełeczku, które zniknęło w kieszeni kamizelki rzeczonego dżentelmena?

Lecz świat nie powinien się dziwić, niechybnie też za pierwszą próbą odgadnie tożsamość damy, dla której zawartość pudełeczka jest przeznaczona.

Życzymy owemu dżentelmenowi powodzenia, zarówno w sensie g e n e r a l n y m, jak i konkretnie w zdobyciu ręki wybranki.

Na wypadek gdyby ktokolwiek żywił jeszcze wątpliwości, kalambur „generalny" topornie dawał do zrozumienia, o którą damę chodzi.

Tymczasem Swanton wcześnie zjadł śniadanie i już wyszedł.

Następnie, w klubie Whithe'a wczesnym popołudniem, Lisburne natknął się na Longmore'a, ten zaś wyznał, że wieści o Swantonie i Gladys powaliły go na deski.

– Kiedy opisałem jej Gladys po raz pierwszy, Sophy powiedziała: „Niech no tylko Maison Noirot dostanie ją w swoje ręce" – rzekł Longmore. – No dobrze, co ja tam wiem o sukniach poza tym, że ostatnimi czasy piekielnie trudno je zdjąć? Niemniej byłem pewien, że potrzeba więcej niż byle

kiecki, żeby Gladys stała się znośna. Słowo daję, kiedy ją zobaczyłem, nie mogłem uwierzyć, że to ta sama dziewczyna. Pomyślałem, że zabiły oryginał i podstawiły w to miejsce inną. Ale, z drugiej strony, nie widziałem Gladys od wieków.

– Ja widziałem ją po raz pierwszy po długiej przerwie parę tygodni temu – odparł Lisburne. – Nie odnotowałem wówczas szalonej poprawy. Nie licząc cery.

– Co sądzisz?

Lisburne wzruszył ramionami.

– To dla mnie zagadka.

Nieco mijał się z prawdą, wahał się jednak, czy dzielić się swoimi przemyśleniami z Longmore'em, który do delikatnych nie należał.

Niewykluczone, że wszystkim, czego Gladys brakowało, były piękne stroje, przydające jej pewności siebie, oraz kilka wskazówek na temat, nazwijmy to, wdzięcznego sposobu bycia. Czy nie mogło być tak, że jej opryskliwość wynikała ze świadomości własnego wyglądu – oraz udręk, jakie fundował jej ojciec? Lisburne przypomniał sobie dziewczynę, którą widział na pogrzebie swego ojca. Może wiedziała, że generał usiłuje właśnie przemocą wcisnąć ją pogrążonemu w żałobie młodzieńcowi. Nastoletnia dziewczyna – już świadoma samej siebie – niewątpliwie cierpiała katusze.

– Ale pierścionek! – zdumiewał się Longmore. – Najwidoczniej Swanton jest ulepiony z twardszej gliny, niżbym kiedykolwiek przypuszczał, skoro zamierza stawić czoło Boulsworthowi. Widziałeś księgę zakładów?

Za sprawą dzisiejszego „Zwierciadła" Lisburne zajrzał wreszcie do księgi zakładów w klubie Whithe'a. Swanton i Gladys pojawiali się w całym szeregu wpisów.

Lisburne czytywał „Poranne Zwierciadło" każdego ranka. Aż do dzisiaj równie dobrze mógł je czytać po chińsku. Ostatnie dni spędził we mgle, zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Od środy niebo zasnuło się i deszcz siąpił prawie że nieustannie, gdy zaś dawał sobie chwilę wytchnienia, ciemne i ciężkie chmury, wiszące nad Londynem, przywodziły na myśl gigantyczne głazy, miażdżące miasto.

Kiedy dziś się rozchmurzyło, najwyraźniej oczyścił się także jego umysł, ponieważ Lisburne uzmysłowił sobie, że Swanton bez wątpienia mu się zwierzył – kto wie, czy nie kilkakrotnie – tyle że on nie słuchał. Wszystkie

wypowiedzi Swantona brzmiały jak poezja, a ta śmiertelnie Lisburne’owi obrzydła.

W ten oto sposób spędził paskudny dzień.

Nadal jednak z radością wyczekiwał balu u Wafordów.

Gdzie będzie Leonie. W najgorszym razie przynajmniej z nią zatańczy.

* * *

Warford House
Tego wieczoru

Tym razem wydawało się mało prawdopodobne, by siostry Noirot spróbowały wślizgnąć się na bal chyłkiem, zresztą większość gości zgodziłaby się, że w ich przypadku niewidzialność nie wchodzi w rachubę.

To tutaj miał się przecież odbyć ich faktyczny debiut towarzyski – i to pod auspicjami lady Warford!

Powszechnie znanym faktem było, że lady Warford żywi niechęć do księżnej Clevedon. Mimo że Jej Książęca Wysokość została przedstawiona królowi, lady Warford zachowała dystans. Kiedy jej najstarszy syn, Longmore, ożenił się z siostrą księżnej, dama okazała Sophy nieco większą przychylność, ale nic ponadto.

Jakąkolwiek mentalną rewolucję przeszła markiza, musiało to nastąpić krótko po ostatnim incydencie w Vauxhall, a wieści o tym, że wzgardzone siostry otrzymały zaproszenia na bal, obiegły Londyn lotem błyskawicy. Za żadne skarby świata nie przegapiono by takiej sensacji. A skoro nikt nie chciał uronić ani minuty, towarzystwo stawiło się punktualnie.

Krawcowe, jakżeby inaczej, idealnie wybrały moment. Przybywszy jako ostatnie, zatrzymały się przy wejściu na salę balową w chwili, kiedy muzycy zakończyli uwerturę z *Kopciuszka* Rossiniego.

Ciemnowłosa lady Clevedon prezentowała się spektakularnie w różowej satynie i czarnej koronce.

Blondynka, lady Longmore, o jasnej karnacji Angielki, założyła cieplejszy róż z zielonymi i czarnymi zdobieniami.

Leonie zaś wybrała kremową biel, suknię, którą można by uznać za wyraz prostoty w najczystszej postaci, gdyby nie śmiałe linie, egzotyczny

wzór złotych haftów oraz widowiskowy ozdobnik – czarny koronkowy szal, udrapowany na ramionach.

Przez chwilę przez salę balową przetaczał się dźwięk przywodzący na myśl gnane wiatrem jesienne liście: szepty wzbierały i opadały, po czym wzbierały na nowo.

Później trzy siostry dygnęły – na swój wyjątkowy sposób – a ów teatralny, baletowy popis wprawił w rozedrganie żaboty i kokardy u ich sukni, podczas gdy światło gazowych lamp tańczyło na jedwabnej koronce, haftach i klejnotach.

Na ten widok zebrani wciągnęli powietrze w płuca. Na sali zapadła cisza.

Następnie siostry się podniosły, pośród tego samego poruszenia materiałów, a sala balowa zaczęła szumieć – spekulacje, podziw, zazdrość i co tam jeszcze.

Lisburne nie miał swego udziału w tym szumie. Stał niemy i znieruchomiały. To, co się z nim działo, zachodziło w jego wnętrzu, gdzie wszystko brzęczało jak struny wiolonczeli.

Swym pięknem niemalże doprowadzała go do łez.

Była niczym żywy poemat.

Kochała się poetycko.

I pasowali do siebie jak strofy idealnego wiersza.

Nie wiersza Swantona.

Ale… cóż, Byrona.

Idzie w Piękności, jak noc, która kroczy
W cichym gwiazd gronie przez bezchmurne kraje
(…)[9].

Przez umysł Lisburne’a przemknęły obrazy, Leonie stojąca przed Botticellim, opuszczająca go energicznie, żeby zająć się Gladys, kłócąca się z nim w Hyde Parku i całująca go, całująca, całująca… sposób, w jaki oplatała ramionami jego szyję… w jaki śmiała się, kiedy uprawiali miłość… jej śmiech… i to, jak się z nim droczyła… i jak była… „zbyt zajęta”.

– Niech cię, Simonie, co trzeba zrobić, żeby pozyskać twoją uwagę?

Żywa poezja zdawała się płynąć wzdłuż powitalnego szeregu, podczas gdy wszyscy mężczyźni na sali pożerali ją wzrokiem.

Każdy z nich jej pragnął.

Każdy z nich pragnął zrobić jej – z nią – to samo, co on z nią robił.

Na moment umysł zasnuła mu czerwona mgła. Otrząsnął się.

– Chyba się… – W ostatniej chwili zdołał ugryźć się w język.

Niemożliwe, by faktycznie o mały włos nie powiedział tego, co mu się zdawało, że byłby powiedział.

Napotkał rozbawione spojrzenie Swantona.

– Bądź łaskaw tym razem się skupić – poprosił Swanton. – Nie życzę sobie narzekań, że dowiadujesz się jako ostatni.

– Kiedy tak właśnie jest – odparował Lisburne. – Mieszkam z tobą pod jednym dachem i o niczym nie mam pojęcia, podczas gdy ty chyłkiem przemykasz po Londynie.

– Co rano mówiłem ci o moich zamiarach – oświecił go Swanton. – I co rano odpowiadałeś: „Doprawdy? No, na pewno świetnie się spiszesz”.

– Miałem na głowie różne sprawy.

– Zorientowałem się.

– „Poranne Zwierciadło” twierdzi, że wczoraj kupiłeś pierścionek. Nie wydaje ci się, że to nadmiar optymizmu?

– Gdybyś słuchał, wszystko byś wiedział – odciął się Swanton. – Wiedziałbyś, że otrzymałem zachęcające sygnały. I chcę, żebyś teraz bardzo się skoncentrował, ponieważ przed momentem twoja kuzynka, lady Gladys Fairfax, zgodziła się uczynić mnie najszczęśliwszym z mężczyzn. – Zamrugał gwałtownie. – Na pewno tego nie rozumiesz i sądzisz, że zwyczajnie zaślepia mnie moja nadmierna wrażliwość. Powiesz, że ledwie się znamy. Patrząc przez pryzmat dni i godzin, to prawda. Czuję się jednak tak, jakbym znał ją całe życie. Odkąd po raz pierwszy usłyszałem jej głos, wiedziałem, że łączy nas pokrewieństwo dusz.

Lisburne przypomniał sobie słowa Gladys na temat poetyckiego temperamentu. Podejrzewał, że jej dziewczęce lata były nad wyraz trudne, dostatecznie, żeby uczynić ją zgorzkniałą i jadowitą. A jednak jakimś sposobem znalazła w sobie siłę, by wznieść się ponad te przywary. Bez wątpienia Leonie znacząco przyczyniła się do rozkwitu Gladys, ale nie mogła stoczyć za nią jej bitew. Gladys podjęła walkę – heroiczną, uznał, biorąc pod uwagę przeciwności – i ten bój uwypuklił w niej to, co najlepsze.

– Błagam, nie łkaj – powiedział Lisburne. – Życzę ci szczęścia. Nie wątpię, że je znajdziesz. Gladys wspaniale zatroszczy się o twoje sprawy

i będzie cię chronić przed samym sobą. Czy może o szloch przyprawia cię perspektywa konfrontacji z jej ojcem?

Swanton przełknął ślinę.

– Łzy szczęścia, to wszystko. Co do jej ojca, na pewno przygna do Londynu jak burza, kiedy tylko dostanie listy mój i lorda Warforda. Upoważnił jednak lorda Warforda do występowania *in loco parentis*, ja zaś uzyskałem jego zgodę.

– Wiesz, że Boulsworth stanie na uszach, żeby zniszczyć w tobie wolę życia – przestrzegł go Lisburne. – Pamiętasz, jak mówiłeś, że wrogowie uciekają z wrzaskiem na sam dźwięk jego głosu?

– Tak, ale będę miał Gladys, nieważne, co powie – oznajmił Swanton. – No i opracowaliśmy kilka strategii, żeby pomieszać wrogowi szyki. – Uśmiechnął się. – Przećwiczyliśmy wspólnie tuzin scenariuszy. Ona tak bardzo mnie rozśmiesza i tak mnie prowokuje… och, mniejsza z tym. Widzę, że od słuchania moich wynurzeń zbiera ci się na mdłości.

Cokolwiek dokuczało w tej chwili Lisburne’owi, nie były to mdłości. Prędzej lekka ślepota, kiedy gwałtownie go oświeciło.

– Rozśmiesza cię – powtórzył. – I prowokuje. Pokrewna dusza, mówisz.

– Tak, wszystko to i jeszcze więcej. Ale dosyć się nagadałem. Teraz już wiesz i możemy poinformować resztę świata. Niech to diabli, Simonie, nigdy bym nie zgadł, że można być tak szczęśliwym!

Kiedy Swanton oddalił się sprężystym krokiem, zamyślony Lisburne wybrał się na poszukiwanie Leonie, która zniknęła w tłumie, wykorzystując swoją tajemniczą technikę ukrywania się w pełnym słońcu. Jego wysiłki co rusz ktoś utrudniał, wypytując o Swantona albo w inny sposób zawracając mu głowę.

Tymczasem Warfordowie nie zwlekali z podaniem wieści do publicznej wiadomości. Tuż przed rozpoczęciem tańców ubawiony lord Warford ogłosił zaręczyny. Lady Warford puchła z dumy.

Zapadła martwa cisza.

Wtedy Lisburne zaczął klaskać. Zobaczył, jak Gladys strzela w jego stronę spojrzeniem. Uśmiechnęła się i w tym momencie była – nie, nie piękna. Ale tak promieniała, że łatwo przychodziło zrozumieć, co Swanton w niej widzi.

Pozostali goście również zaczęli klaskać.

A świeżo upieczonych narzeczonych poproszono, by poprowadzili pierwszy taniec.

* * *

– Mama jest wniebowzięta – poinformowała Leonie lady Clara. – Nie masz pojęcia, jakie to dla niej zwycięstwo. Lady Bartham wspięła się na wyżyny nikczemności, okazując nam współczucie z powodu tego, że musimy gościć Gladys i zapewniać jej rozrywki. A jednak lady Bartham coś nie może wydać za mąż choćby jednej ze swojej parki ładnych córek, tutaj zaś, proszę, nie minęła chwila, a Gladys zdobywa mężczyznę, którego pragnie każda dziewczyna.

– Nie każda – zaprotestowała Leonie.

– Racja, kochana, i ja również go nie pragnę, mimo że to taki przystojny, możny posiadacz ziemski, a przy tym całkiem słodki. Ale ta jego poezja! – Lady Clara rozejrzała się i zniżyła głos. – Im jest smutniejsza, tym większą mam ochotę krzyczeć. Niemniej Gladys twierdzi, że ma piękną duszę, no a on… sama widziałaś, jak na nią patrzy.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby ktoś patrzył w ten sposób na mnie – przyznała Leonie. – Zapewne któregoś dnia to nastąpi.

Clara cofnęła się odrobinę, zaskoczona.

– Czy ty jesteś ślepa? Właśnie tak patrzy na ciebie mój kuzyn Lisburne.

Ale Lisburne wyćwiczył ten sposób patrzenia na dziewczynę, a może instynktownie wiedział, jak to się robi. Leonie również opanowała tę sztukę. Mogła spoglądać mężczyźnie w oczy tak, by uwierzył, że świata poza nim nie widzi.

Nie powiedziała tego lady Clarze. Spotkało ją ostatnimi czasy dostatecznie wiele rozczarowań.

Niemniej pewnego dnia jakiś dżentelmen skieruje na tę piękną dziewczynę takie właśnie rozkochane spojrzenie, przy czym będzie ono bez wątpienia szczere. I pewnego dnia okaże się, że to ten jedyny, a lady Clara odwzajemni jego uczucie. I odda mu serce bez skrępowania, ponieważ…

– Powinienem był się domyślić, że przyczaiłyście się w jakimś kącie, żeby spiskować – rozległ się niski męski głos, wywołując mrowienie na karku Leonie.

– Simonie – powiedziała lady Clara. – Mówiłyśmy o tobie. Płonęły ci uszy?

– Jeśli nawet, nic dziwnego, że nie zauważyłem, skoro wszyscy wkoło niemiłosiernie je fatygują – odparł. – Gdziekolwiek się ruszę, ktoś odciąga mnie na bok, żeby zwierzyć się z czegoś albo zapytać, co planuję teraz zrobić, albo poinformować mnie, że doznał takiego szoku, iż powaliłbym go piórkiem. Gdybym tak miał piórko, połowa ludzi w tym domu leżałaby rozciągnięta na podłodze.

Popatrzył na Leonie, a jego spojrzenie nabrało miękkości, od której serce zatrzepotało jej jak u pensjonarki.

– Znalezienie pani trwało wieki. Obiecała mi pani taniec.

– Na ile pamiętam, to pan obiecał uczynić mi ten wielki zaszczyt – sprostowała.

– Wobec tego oto jestem. Zapewniono mnie, że kolejny będzie walc, a w moim mniemaniu w walcu pani suknia zaprezentuje się wielce korzystnie.

– Widzę, że szuka mnie lord Geddings – powiedziała lady Clara. – Ogromnie chciałabym się przekonać, do czego dojdziecie, ale kiedy obiecało się komuś taniec, z danego słowa zwalnia tylko złamana ręka lub noga… a i to tylko wtedy, gdy złamanie jest wielokrotne.

I oddaliła się, zjawisko w kolorze lila.

– Wygrałaś – stwierdził.

– Tak. Nie cieszy się pan?

– Jeśli ma to być żart, jest wyjątkowo okrutny. Dwa tygodnie. Miałbym pełne dwa tygodnie sam na sam z tobą, gdyby tylko mój głupi kuzyn poczekał dzień dłużej, niech go diabli!

Szukała w jego oczach i głosie nuty przekory. Ale nie.

Najwidoczniej zdał sobie z tego sprawę, gdyż zaśmiał się krótko.

– Wychodzi na to, że nie umiem przegrywać, a sądziłem, że umiem. Wszystko jest… – Umilkł i pokręcił głową. – Proszę, zaczynają grać. Skorzystam z obiecanego tańca… i zobaczymy, co jeszcze uda mi się osiągnąć.

– Jeśli mnie pan oczaruje, być może podaruję panu dwa tańce.

Nie powinna tego robić, wiedziała. Nie wiedziała natomiast, jak oprzeć się pokusie, kiedy ta stała tuż przed nią.

Uśmiechnął się.

– Pójdź no tu, niegodziwa dziewczyno. Jesteś dziś zbyt piękna. Prawie że nie do zniesienia. Nie sposób dłużej się boczyć.

– „Pójdź no tu”? – powtórzyła z oburzeniem.

On jednak tylko zaśmiał się cicho, wziął ją w ramiona i pociągnął na parkiet, między inne tańczące pary.

A wtedy…

A wtedy…

Magia.

Miał rację. W porównaniu z tym olśniewającym wydarzeniem ogrody Vauxhall przywodziły na myśl samotnego robaczka świętojańskiego w bezksiężycową noc.

Wytworne towarzystwo wypełniało elegancką salę balową. Nad głowami gości z płytkich kopuł zwisały trzy wspaniałe żyrandole, których niezliczone kryształy strzelały tęczowymi iskrami. Pod migotliwymi światłami płynęły suknie z najróżniejszych muślinów i jedwabi, w każdym odcieniu bieli i dowolnym kolorze. Podobnie jak w Vauxhall, mężczyźni byli niczym cienie, wokół których wirowały barwne kwiaty. Tutaj jednak każdego widoku, dźwięku, uczucia było jeszcze więcej. Zamiast kilkudziesięciu, wokół Leonie wirowało nieprzebrane mrowie tancerzy. Tej nocy rolę wielobarwnych świateł grały cenne klejnoty. Perły i diamenty, szafiry, rubiny i szmaragdy, i kamienie w każdym innym kolorze migotały we włosach dam, w ich uszach i na szyjach, na nadgarstkach i palcach, na sukniach.

Muzyka brzmiała niebiańsko, a na drugim planie płynął dźwięk przywodzący na myśl letni wietrzyk i szeptane sekrety: szum poruszających się muślinów i jedwabi. Taniec tego wieczoru był jak sen, ten dźwięk zaś kojarzył się momentami z szelestem pościeli.

Jedną obleczoną w rękawiczkę dłonią Lisburne przytrzymywał Leonie w talii, w drugiej zaciskał jej dłoń, wprowadzając ją na nieznany jej dotąd poziom istnienia. Tańczyła już tego wieczoru z innymi mężczyznami, ale to nie było to samo. Nie mogło być, nigdy. Pozostawała go świadoma od momentu ich pierwszego spotkania, potężnie, fizycznie świadoma, przy czym to doznanie jedynie zyskiwało na sile, zdawało się krążyć w jej żyłach i pulsować w sercu.

Posiadł ją i teraz najwyraźniej należała do niego. Jej rozum mógł twierdzić co innego, lecz ciało nie słuchało. Serce nie słuchało.

Kiedy tańczyli, przyciągnął ją bliżej. Gdyby była w stanie słuchać głosu rozsądku, odsunęłaby się na stosowną odległość. Ona jednak chciała iść tam, dokąd ją prowadził. Boleśnie tęskniła za tym, by się z nim spleść, poczuć jego usta na swoich, jego dłonie na swojej skórze.

Nigdy nie przypominał rzymskiego boga bardziej niż w tej chwili. Migotliwe światła tańczyły wokół jego głowy i połyskiwały w zielonozłotych oczach. Opuściła wzrok, ponieważ przyglądając się jego twarzy, głupiała i niewybaczalnie – był wszak tylko mężczyzną – pogrążała się w marzeniach, a wtedy zamrugał do niej szmaragd w jego halsztuku.

Kątem oka dostrzegła lady Gladys w tańcu z lordem Swantonem, ale tych dwoje równie dobrze mogłoby przebywać w innym świecie. Chociaż goście wypełniali salę balową i wylewali się do przyległych pomieszczeń, wszyscy zdawali się znajdować gdzieś daleko, daleko w dole. Stąpali twardo po ziemi, podczas gdy Leonie szybowała między gwiazdami. Miała złamane serce, a mimo to nie przypominała sobie, kiedy ostatnio czuła się tak szczęśliwa.

A, tak, poprzednim razem w jego ramionach.

– Kiedy weszłaś na salę, zaparło mi dech – wyznał.

– My trzy naraz niejeden umysł wytrącamy z równowagi.

– Mówię tylko o tobie. Pozostałe równie dobrze mogłyby być kotarami u futryn.

– Och, w porządku – ustąpiła. – Pan także zapiera mi dech. Nie ma tutaj drugiego mężczyzny, którego strój tak dobrze podkreślałby zalety mojej sukni.

Westchnął teatralnie.

– Niech diabli porwą Polcaire’a! I niech Bóg mu błogosławi! Oburzyłem się na widok tej białej kamizelki: „Oszalałeś? Kość słoniowa i złoto? Na dzisiejszy wieczór?”, na co odrzekł, że śnił mu się koszmar, jak to z kimś nie harmonizuję. Z kim, tego nie wyjawił, domyślam się jednak, że wie, jak wie wszystko, będąc wyrocznią. Wyjdź ze mną do ogrodu.

– Wykluczone. Wiem, jakie rzeczy dzieją się w ogrodach podczas balów. Dziewczęta tracą zdrowy rozsądek. I cnotę.

Tej ostatniej nie została jej co prawda choćby odrobina, niemniej zachowała co nieco rozsądku. Jeśli znów mu się odda, będzie zmuszona zacząć od nowa cały proces dochodzenia do siebie.

– Ubierasz w słowa moje najgłębsze nadzieje – stwierdził. – Chodź. Taniec dobiega końca, na sali panuje zaduch, a połowa towarzystwa wyślizgnęła się na zewnątrz, żeby zaczerpnąć powietrza. Musisz dać mi szansę, bym wkradł się na powrót w twoje łaski, albo… albo oszaleję, Leonie.

Muzyka już umilkła, lecz nadal trzymał jej dłoń.

– Cokolwiek panu doskwiera, gwarantuję, że pan wydobrzeje – powiedziała z łomotem serca.

– Ze wszystkich kobiet na świecie akurat ty powinnaś wiedzieć, że nie należy sądzić po wyglądzie. Nie wierzysz w moją desperację, gdyż Polcaire dokłada starań, aby moje uczucia nie stały się widoczne. Gdyby pozostawić mnie samemu sobie, nie prezentowałbym się tak nienagannie. Moje pończochy nie miałyby podwiązek, guzików moje rękawy, rzemyków trzewiki, a cała moja osoba nosiłaby ślady boleści na wszystko obojętnej. Ale tak się nie dzieje, ponieważ mój lokaj do tego nie dopuszcza. Mogę jedynie… niech zaraza pochłonie tego człowieka, chyba nie zamierza z tobą tańczyć!

W ich kierunku z determinacją zdążał lord Flinton.

– Spotkał go potworny zawód – wyjaśniła. – Próbuje lekarstwa w postaci tańca z każdą dziewczyną na sali.

– Tym bardziej więc stąd wyjdźmy – zarządził Lisburne.

Jego dłoń była ciepła, uchwyt – stanowczy.

Puściłby ją, gdyby stawiła opór, ale nadal była zakochana.

W dodatku było to takie romantyczne, noc, którą zapamięta, przypuszczalnie, na zawsze.

No i, ostatecznie, wywodziła się z Noirotów.

* * *

Leonie stała się niewidzialna na tyle, na ile było to możliwe – niełatwe zadanie z Lisburne’em u boku – on jednak chyba także opanował sztukę gładkiego przemieszczania się w tłumie: zauważał znajomych, zamieniał z tym i owym po kilka słów, lecz nigdy nie przyciągał uwagi ani nie przystawał na długo w drodze do wyjścia z sali balowej. Zresztą cały dom był w ruchu, goście krążyli między pomieszczeniami w poszukiwaniu

napojów i przekąsek, gry w karty lub chociażby miejsca do spokojnej rozmowy. Przeszła wraz z nim przez kolejny pokój, niewielki, lecz efektowny. Jak wyjaśnił jej Lisburne, stanowił dzieło „Ateńczyka” Stuarta. Temat brzmiał *Triumf Miłości*. Z chęcią zostałaby tu chwilę, gapiąc się na złocone głowice kolumn korynckich i kopie antycznych malowideł. Jeszcze chwilę temu chciała posłać ostrożność w diabły. Jeszcze chwilę temu nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się z nim sam na sam.

Gdy jednak weszli do tego pokoju, coś się zmieniło. Lisburne przez dłuższy czas wpatrywał się we fryz na gzymsie kominka, przedstawiający scenę ślubu.

Mimo to poszła z nim schodami w dół i do ogrodu. Goście tłoczyli się na tarasie nad ich głowami, niektórzy spacerowali też po ogrodzie. Nie był duży, ledwie lichy ułamek terenów wokół Clevedon House, aczkolwiek ten ostatni stał w Charing Cross, w otoczeniu domów towarowych i sklepów. Niewielki spłachetek zieleni Warfordów obejmował otwartą owalną przestrzeń, pośrodku której połyskiwała dekoracyjna sadzawka. Teren, wciśnięty między okazały dom i granicę Green Parku, dobrze oświetlono z okazji dzisiejszego przyjęcia.

Zarazem drzewa i krzewy osłaniały ogród przed ciekawskimi spojrzeniami z zewnątrz, a przy ścieżce wiodącej przez zarośla Lisburne znalazł ustronną ławeczkę, której strzegła marmurowa nimfa.

Usiadł obok Leonie i ponownie ujął jej dłoń.

W tejże chwili wszystkie instynkty podszepnęły jej, że popełniła błąd. Nie przyprowadził jej tutaj, żeby flirtować i grzeszyć.

Spociła się, serce biło jej jak szalone, z chęcią by uciekła. Głupia, tchórzliwa reakcja. Powiedziała sobie, że ponosi ją wyobraźnia na skutek szoku wywołanego faktem, że znalazła się pośród najwytworniejszego londyńskiego towarzystwa choć raz nie jako ta, która usługuje i bierze miarę.

Popatrzyła na posąg z marmuru.

– Nimfa – powiedziała, a jej głos zabrzmiał nierówno.

– Tak. Leonie…

Och, ten ton, ten dziwny ton w jego głosie, któremu także brakowało pewności.

– A może to muza? – spytała lekko. – Czy to nie wspaniałe, że starożytni Grecy mieli bóstwa, które wzywali, gdy potrzebowali inspiracji?

W błagalnym geście wzniosła rękę ku nimfie i wyrecytowała:

Muzo! Męża wyśpiewaj, co święty gród Troi
Zburzywszy, długo błądził i w tułaczce swojej
Siła różnych miast widział, poznał tylu ludów
Zwyczaje, a co przygód doświadczył i trudów!
A co strapień na morzach…[10]

– …strapień na morzach… – Przeczesywała umysł w poszukiwaniu kolejnych wersów, lecz nie umiała wydobyć ich z chaosu.

– Niech to licho, Leonie, skąd wiesz takie rzeczy?! – zapytał.

Chciała mówić dalej, o Zeusie i Kalipso, i… kim jeszcze? Nie mogła sobie przypomnieć. Zabrakło jej spokoju, ponieważ on… ponieważ to tutaj było… nie tym, czego się spodziewała. Nie romantycznym interludium, które ujrzała w wyobraźni – choć nie potrafiła stwierdzić, o co chodzi ani skąd to wie, po prostu wszystkie instynkty Noirotów pokrzykiwały ostrzegawczo, ponaglając ją do ucieczki.

– Zdarzyło mi się przeczytać książkę – odparła, walcząc z palącym przymusem, żeby zabrać dłoń z jego uścisku.

– Zdarzyło się – powtórzył. – Ile krawcowych cytuje *Odyseję*?

– Otrzymałam wykształcenie – broniła się. – Czytam książki. Nie po łacinie czy grecku. Tłumaczenia. Ponieważ zapragnęłam napełnić głowę czymś, co nie jest krawiectwem ani interesami. Czymś… pięknym. – Ku jej przerażeniu ścisnęło ją w gardle.

– Jak Botticelli – dopowiedział.

Skinęła głową, bojąc się odezwać, ponieważ bez wątpienia by się rozpłakała. A nad czym miała płakać tej nocy samych triumfów?

– Jest twój – rzekł. – I ja także. Całkowicie. Ko…

– Nie! – Wyszarpnęła mu rękę i poderwała się z ławki, zasłaniając sobie uszy. – Nie, nie, nie.

– Leonie.

– Nie, nie, nie. – Potrząsała głową z dłońmi przy uszach jak dziecko.

Odciągnął jej ręce od uszu.

– Leonie, kocham cię.

– Nie. Jak możesz? Och, nie rób tego. To nie do zniesienia. Pragnęłam wyłącznie twojego ciała. I… i przystojnej twarzy. Choć nie, tak naprawdę

przez cały czas chciałam jedynie Botticellego i byłam gotowa zrobić wszystko, powiedzieć wszystko…

– Nieważne. Wyjdź za mnie.

Zrobiło jej się zimno. A potem gorąco. Cofnęła się.

– Czyś ty kompletnie oszalał?

– Będę ci recytował wiersze. No i Homera. (…) *trzymała w skale wydrążonej/Nimfa Kalypso, z bogiń najcudniejsza kształtem,/Pragnąca go małżonkiem przy sobie mieć gwałtem*[11].

– Nie! Nie!

– Będę ci nawet, Boże dopomóż, recytował Swantona. Cokolwiek zechcesz. I będziesz mieć piękne rzeczy. Każdą piękną rzecz, jakiej mogłabyś zapragnąć, miłości moja, a obdarowywanie cię nimi mnie uszczęśliwi.

Zamierzał ją zmiękczyć. Stopi się w jego ramionach. Zatraci rozsądek. Zaczęła odchodzić. Chwycił ją za ramię.

– Wysłuchaj mnie – poprosił.

– Nie mogę! Nie rozumiesz? Nie mogę cię słuchać. Jesteś jak… jak syreny. Mam obowiązki. Przez ciebie o nich zapominam. Straciliśmy Marcelline i Sophy. Zostałam tylko ja. Jeśli i ja odejdę, nie będzie nikogo, kto mógłby przejąć sprawy butiku.

– Butik? – zdumiał się. – Chodzi o butik? Do diaska, Leonie, nie mów mi, że chodzi o interesy!

– Kiedy chodzi o interesy! – Zamachała rękami. – Tym właśnie jestem. Zawsze chodziło o interesy. Lady Gladys i ty… i wszyscy. Kocham mój butik. Wszystkie go kochamy. Nikt tego nie rozumie, a już zwłaszcza mężczyźni, teraz zaś…

Nie była w stanie mówić dalej. Dławiły ją łzy, przed którymi tak się wzbraniała.

– Rozumiem – rzekł ciszej. – Oczywiście. Nie możesz zrezygnować z butiku.

– Nawet dla ciebie – powiedziała zdławionym głosem. – Nawet gdybym kochała cię bardziej, niż ty kiedykolwiek mógłbyś pokochać mnie czy dowolną inną osobę.

– Nawet gdybyś – powtórzył.

Ze zniecierpliwieniem machnęła ręką.

– Och, doskonale. Kocham cię. Musisz być ślepy i głupi, jeśli o tym nie wiesz. Ale może do tego stopnia przywykłeś, że dziewczęta się w tobie zakochują, że nawet tego nie zauważasz.

– No cóż, prawdę mówiąc, zapomniałem, jak to jest, ponieważ wszystkie zaczęły się zakochiwać w Swantonie. Ku mej wielkiej zgryzocie.

Podniosła nań wzrok.

– Zabrać cię do domu? – spytał.

* * *

Spojrzenie, które mu posłała, było nieomal komiczne.

Może nawet rozbawiłoby go, gdyby ze wszystkich sił nie próbował zachować spokoju.

– Chyba że wolałabyś wrócić na przyjęcie – dodał z wielkim opanowaniem.

Pokręciła głową.

– Nie. Będę musiała udać, że… Och, na zodiak, krzyczałam, prawda?! I wszyscy słyszeli. Cudownie. Mój pierwszy występ w towarzystwie i już zrobiłam z siebie widowisko.

Nakryła dłońmi policzki. Przypuszczał, że są rozpalone. Pragnął położyć tam ręce. I nie tylko tam. Desperacja nie pozbawiła go jednak inteligencji.

– Nie ma szans, żeby ktoś nas usłyszał w tym gwarze – uspokoił ją. – A gwar narasta wraz z wypitym alkoholem. Cud, że goście słyszą własne myśli. Nikt nie zwraca na nas uwagi. Mogę zostawić wiadomość lokajowi, kiedy będę posyłał po mój powóz.

Odjęła dłonie od policzków.

– Maison Noirot jest tuż za rogiem. Możemy pójść pieszo.

– W tych butach? – zbulwersował się. – Polcaire mnie zabije.

Spojrzała na jego trzewiki do tańca.

– Mogę iść sama – zadeklarowała.

– Nie w tej sukni. Ale mniejsza o to. Do diabła z moimi butami! Poniosę cię.

– Ani się w… uf! Markizie! – krzyknęła, kiedy zgarnął ją w ramiona.

– Cicho. Zmiażdżyłaś wszystkie moje nadzieje i marzenia. Jeśli będziesz na tyle łaskawa, by dać się ponieść, bohatersko oprę się pokusie wrzucenia

cię do sadzawki.

* * *

Kiedy poprzednim razem niósł Leonie do butiku, zadanie nie nastręczyło mu trudności. Jakkolwiek nie określiłby jej mianem kieszonkowej Wenus, był znacznie silniejszy, niż na to wyglądał. Tak czy owak, zaniósłby ją choćby i na Księżyc, gdyby było to konieczne. Ale nie było. Musiał jedynie pokonać niewielki odcinek, w dodatku z górki. I mówić, żeby odwrócić jej uwagę.

Udawało mu się, ale tylko przez pewien czas.

– Markizie, upił się pan? – spytała. – Do butiku w drugą stronę.

– Ale tędy na postój dorożek.

– Och, czyli jestem dla pana za ciężka? Proszę mnie postawić, pójdę sama.

– Nie.

Nastąpiła napięta chwila milczenia, a później dziewczyna spytała:

– Dokąd mnie pan zabiera?

– Do domu.

– To zaledwie kilka kroków w górę ulicy.

– Nie mówiłem, do czyjego domu.

* * *

Jak mogła być tak głupia i uwierzyć, że on tak łatwo się podda?

Był arystokratą. Kiedy tacy wbiją sobie coś do głowy, wszystkie konie ze stajni Augiasza, ciągnąc jednocześnie, nie zdołałyby tego wyrwać.

– Nie żyjemy w średniowieczu – zaprotestowała. – Nie może mnie pan zanieść do swojego leża.

– Patrz i ucz się.

Próbowała się z nim siłować.

– Niech mnie pan postawi!

Jedynie wzmocnił uchwyt.

– Niech mnie pan postawi albo zacznę krzyczeć.

– Mam pomysł, jak powstrzymać ten krzyk.

Pocałuje ją, a ona stopi się i ulegnie, i porzuci wszystkich, którzy od niej zależeli. Porzuci samą siebie.

Wykręcała się, okładała go pięściami, odpychała i dała taki popis szału, że musiał postawić ją na ziemi. Zanim jednak miała szansę ruszyć ulicą, zarzucił ją sobie na ramię i pomaszerował w kierunku Pałacu Św. Jakuba.

– Markizie, niech mnie pan postawi! – rozkazała.

– Simonie – poprawił.

– Nigdy tak pana nie nazwę, milordzie! Postaw mnie, ty… ty…

– Brutalu – podsunął. – „Brutal” dobrze tutaj pasuje. Troszkę stereotyp, ale stereotypy trafiają w sedno, inaczej nie stawałyby się stereotypami. Ach, jesteśmy.

Zatrzymał się przy pierwszej dorożce w kolejce i szarpnięciem otworzył drzwi.

– Uprowadzają mnie! – zawołała. – Pomocy!

Lisburne cisnął ją do środka.

– Moja żona – wyjaśnił dorożkarzowi – za dużo wypiła, niestety. Bardzo się wtedy ożywia.

Rzucił mężczyźnie monetę. Prawdopodobnie gwineę, niech go diabli!

– Regent’s Park – polecił.

Rozdział 18

Próżno nam szukać wielu arbitrów elegancji
z wyższych sfer, jako że ci stopniowo znikają; i choć
nie rzeklibyśmy jeszcze, że miasto opustoszało, wyludniło się
w zauważalny sposób; tych kilku zaś maruderów
umyka od nas pospiesznie, chcąc dogonić swych
modnych kamratów w rozmaitych miejscach
letniego pobytu.
„La Belle Assemblée” (1823)

Ponieważ noc była ciepła, poprzedni pasażerowie opuścili okno w dorożce. Wiedząc, że bez większego kłopotu dosięgnie klamki, Leonie udała, że osuwa się w kąt siedzenia, podczas gdy Lisburne ulokował się naprzeciw. Kiedy jednak poderwała się, by otworzyć drzwi, on także momentalnie znalazł się na nogach i pociągnął ją z powrotem.

Przypomniała sobie, jak błyskawicznie ją złapał, kiedy potknęła się w Instytucie Brytyjskim. Że też musiał ją uprowadzić mężczyzna o tak nieprawdopodobnym refleksie.

– Szybciej! – zawołał do dorożkarza. Następnie podciągnął okno na ponad połowę wysokości. – Niezłe by to było uprowadzenie, gdybyś uciekła, ledwie ruszyliśmy – stwierdził, sadowiąc się znów na swoim miejscu.

O tej porze ulice nie były zatłoczone i dorożkarz popędził konie. Nawet gdyby Leonie udało się dostatecznie szybko opuścić okno, przy próbie skoku skręciłaby kark.

Panikowała, nie oznaczało to jednak, że obudziły się w niej skłonności samobójcze.

Oparła się wygodnie i splotła ramiona. Myśl, poleciła sobie. Była Noirot. I DeLucey. Wykaraska się z tego.

Do myślenia potrzebowała jednak wewnętrznego spokoju, a tego nie potrafiła odzyskać. Na próbę oszacowała liczbę gości na balu, proporcję mężczyzn względem kobiet, procent dam, które nie miały na sobie kreacji z Maison Noirot. Nie podziałało. Skupiła się więc na planowaniu.

Powóz jechał Piccadily i skręcił w Quadrant, Leonie zaś kolejno odrzucała nasuwające jej się plany jako niewykonalne lub szalone. Czuła się zagubiona, nienawidziła tego stanu umysłu. W oczach wzbierały jej łzy, co tylko spotęgowało złość. Im bardziej oddalali się od St. James, tym trudniej będzie jej się dostać do domu. Nie miała pieniędzy na dorożkę. Trasa powrotna do pokonania pieszo wydłużała się z każdą minutą, a światło gazowych lamp nie rozpraszało całkowicie ciemności. Oświetlona czy nie, ulica Regent nie była o tej porze bezpieczna dla samotnej kobiety.

Dla przeciętnej kobiety – być może, ale nie dla Leonie Noirot. Czyż nie przemieszczała się samotnie w znacznie bardziej podejrzanych rejonach Paryża i innych miast?

Wtedy była jednak dzieckiem, młodą dziewczyną, ubraną tak, by nie przyciągać uwagi. W tamtych czasach nie zdarzało jej się nosić równie wytwornych strojów czy kosztownej biżuterii. Marcelline nalegała, że pożyczy jej perły, no i szyję Leonie otaczał aktualnie sznur gigantycznych kamieni. Nawet gdyby ukryła biżuterię…

Głupie. Bezcelowe. Samotna wędrówka nie wchodziła w rachubę.

– Nienawidzę pana – oznajmiła.

– Ależ, madame, stać panią na więcej.

– Brzydzę się panem. Budzi pan we mnie odrazę. Żaden z pana dżentelmen.

– Teraz już lepiej.

Czuła się głupio i bezradnie, pragnęła rzucić mu się w ramiona, płacząc jak dziecko, którym wszak nie była. Była dorosłą kobietą, prowadziła interes, przypuszczalnie najprężniej rozwijający się butik z damską modą w Londynie. Poznała życie lepiej niż dwukrotnie starsze od niej damy z wyższych sfer. Bywała już w sytuacjach znacznie gorszych niż obecna.

Ale rozpadała się na kawałki.

Toteż obudziła w sobie jeszcze większy gniew i przerzuciła się na francuski, by dotkliwie go tym smagać. Po francusku łatwiej znajdowała gorzkie słowa; nie wyczerpała jeszcze zasobów przekleństw, kiedy dorożka zatrzymała się przy wejściu do pałacyku Lisburne’a w Regent’s Park.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

Co mogła zrobić? Uciec? Na pewno nie była tchórzem. Przywiózł ją tutaj, żeby wykorzystać jej słabości, to wszystko.

Miała do niego słabość, niewątpliwie. Co oznaczało, że powinna spodziewać się uwodzenia. Fizycznego i finansowego. Pokaże Leonie swój wspaniały dom – a był to zaledwie jeden z kilku – i uświadomi jej, jak niedorzecznie się zachowuje, odmawiając mu swojej ręki.

Dosłownie każdy uznałby, że oszalała.

Ponieważ nikt jej nie rozumiał.

Doskonale. Niech Lisburne pokaże, na co go stać. Przeżyła epidemię cholery w Paryżu. Przetrwa i to.

Uniosła brodę, chwyciła jego dłoń i łaskawie skorzystała z pomocy przy wysiadaniu z dorożki.

Popatrzyła na fronton pałacyku – nowoczesnego, jak oceniła, nie miał nawet dziesięciu lat. Z portykiem w klasycystycznym stylu oraz surowymi, eleganckimi liniami, przywodzącymi na myśl greckie i rzymskie świątynie, stanowił nadzwyczaj godną siedzibę dla rzymskiego boga.

Lisburne także podniósł wzrok.

– Dzieło Burtona, podobnie jak wiele innych pięknych konstrukcji w Londynie. Zbudował go mój ojciec. Kochał ten dom. Wielka szkoda, że cieszył się nim tak krótko.

Wychwyciła w jego głosie dziwną nutę napięcia i spojrzała na niego, ale na jego twarzy malował się dystans.

Czy ona za to odpowiadała?

Czy naprawdę go zraniła?

Zalało ją poczucie winy i zrobiło jej się wstyd, tak bardzo wstyd.

Miała własne kłopoty, całkiem spore. Jednak on nigdy jej nie zranił. Ani razu, odkąd go poznała, Lisburne nie był niemiły. Irytujący, owszem, ale nigdy przykry.

Co było z nią nie tak?

– Jest pan absolutnie pewien, że nie chce mnie wrzucić do dorożki i odesłać z powrotem?

– Pokusa jest nieomal przemożna – przyznał. – Zamierzam wszakże z determinacją się jej oprzeć. Ach, oto i mój kamerdyner, Edkins, który czyni nam nieoceniony zaszczyt, osobiście otwierając drzwi. Bez wątpienia ktoś ze szpiegującej przez okna służby poinformował go, że pan przybył z piękną młodą kobietą nieznanej tożsamości. Mam nadzieję, że nie zemdleje. Nigdy nie przyprowadzam do domu pięknych młodych kobiet.

Przypuszczam, że taka okazja jest dobra jak każda inna, nieprawdaż, Edkins?

– Wasza lordowska mość raczy żartować – odparł Edkins. – Nie mdlałem od kilku dni.

Tymczasem Lisburne przekazał mu swój cylinder i rękawiczki.

– Prześlij jak najszybciej lekki poczęstunek do mojego gabinetu – rzucił przez ramię, zmierzając ku okazałym schodom.

Leonie przez chwilę ślepo podążała za nim, po czym raptownie się zatrzymała.

– Do gabinetu?

Przystanął i odwrócił się, by spojrzeć na nią z uniesioną brwią.

– Sądziłaś, że po twoich niedawnych popisach zabiorę cię do sypialni? – spytał półgłosem. – Nie, gabinet nada się w sam raz, przy czym na poły mam chęć wykorzystać go do tego samego celu, do jakiego swego czasu mój ojciec wykorzystywał gabinet w naszej miejskiej rezydencji, czyli żeby wygłosić wykład i wysmagać cię rózgą. – Zmierzył ją wzrokiem. – Więcej niż na poły. – Jeszcze bardziej zniżając głos, dodał: – Powinienem przełożyć cię przez biurko, podkasać ci spódnice i halki, a później… – Umilkł i potrząsnął głową. – Kusi mnie nieznośnie, ponieważ odrażająco mnie wykorzystałaś. Ale musimy się zająć interesami.

Podążył dalej wspaniałymi marmurowymi schodami i zagłębił się w korytarz, podczas gdy jej umysł zamotał się w podkasanych spódnicach i halkach, i… laniu? Cała płonęła.

Przystanął przed jakimiś drzwiami i otworzył je.

Zajrzała do środka. Regały pełne książek. Biurko, kilka foteli, piękny dywan. Wszystko kosztowne i wygodne, i bez wątpienia składające się na wyposażenie gabinetu.

– Przywiózł mnie pan aż tutaj… dla interesów – powiedziała.

– Nie sądzisz chyba, że przywiozłem cię tutaj dla przyjemności? Po tym, co mówiłaś w dorożce…

– Co do tego…

– Części tych słów nawet nie znałem.

Szerzej otworzył drzwi i gestem zachęcił ją, by weszła do środka.

Przeszedł za biurko, odsunął fotel, ale nie usiadł. Otworzył szufladę biurka i wyjął trzy kartki papieru. Stuknął nimi o blat, żeby zrównać krawędzie. Przesunął podstawkę na kałamarz i pióra tak, by łatwo było do

niej sięgnąć. Z innej szuflady wyjął trzy zaostrzone ołówki i ułożył je schludnie obok podstawki, idealnie wyrównując ich końce. Wyjął linijkę i umieścił ją obok papieru. Następnie przesunął ją o dwa centymetry w prawo. Poprawił podstawkę, tak by leżała idealnie równolegle do papieru.

– Proszę bardzo – rzekł. – Czy może jeszcze narysować ci linie na kartkach?

Wpatrywała się w uszykowane przezeń artykuły piśmiennicze.

– Co to za gra? Przywiózł mnie pan tutaj, żebym zajęła się jego rachunkami? Myślałam, że pański sekretarz…

– Nie wygaduj nonsensów – wszedł jej w słowo. – Przywiozłem cię tutaj, żebyś mi wytłumaczyła, w logiczny i zwięzły sposób, dlaczego za mnie nie wyjdziesz. Możesz zechcieć narysować dwie kolumny, w jednej wymieniając „za”, w drugiej „przeciw”. Jeśli będzie ci czegoś trzeba, zadzwoń. – Wskazał sznurek od dzwonka niedaleko kominka. – Albo otwórz drzwi i powiedz lokajowi na korytarzu, czego sobie życzysz. Ma na imię John.

Podszedł do drzwi i przystanął.

– Mógłbym przysłać do ciebie Uttridge’a z listą moich aktywów i zobowiązań, ale jestem pewien, że całkiem dobrze oszacowałaś moją wartość finansową.

– Och, Lisburne, jakby mnie to obchodziło! – zdołała wreszcie wykrztusić.

– Teraz przemawiają przez ciebie emocje – skonstatował. – Gdybym był inwestycją, którą rozważasz, obchodziłoby cię. Podejdź do kwestii jak do inwestycji… w twoje życie.

I wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

* * *

Lisburne czekał długo, lecz po upływie dwóch godzin jego siła woli się wyczerpała.

Otworzył drzwi gabinetu. Taca z przekąskami wyglądała na przetrzebioną. Podobnie jak Leonie.

Siedziała, podpierając głowę na jednej ręce, podczas gdy w drugiej trzymała pióro i sunęła nim wolno po papierze. Jej dolna warga drżała.

Podniosła wzrok. Oczy miała pełne łez.

– Och, Simonie!

Poderwała się z fotela i rzuciła ku niemu. Otoczył ją ramionami.

„Simonie”. Nareszcie.

– Kocham cię – wyznała w jego halsztuk. – Jak ująć coś takiego w kolumnie? Dwa metry tego i sześć łokci owego. Jak zmierzę miłość albo to, co się na nią składa? Wiesz, jak to się dzieje. Ten wredny chłoptyś, Kupidyn czy Eros, czy kimkolwiek jest. Wypuszcza strzałę i po tobie. Miłości nie da się zważyć ani zmierzyć. To nie jest tyle tego jedwabiu i tyle tamtego, taka liczba kokard i ten wzór haftu. Co mam umieścić pod „za”? Jego piękne oczy. Brzmienie jego głosu. Zapach skóry. Sposób, w jaki wiąże halsztuk. Zapisałam to wszystko, ale to bez sensu.

Węzeł w jego piersi się poluzował.

– Mogłabyś dopisać do listy jego gotowość do poruszenia nieba i ziemi, żeby uczynić cię szczęśliwą. – Pocałował ją w czubek głowy, bacząc, żeby nie nadziać się okiem na którąś ze sterczących z jej fryzury dekoracji. – Mam nadzieję, że uwzględniłaś moje aktywa.

– Wszystkie – odparła z łkaniem. – Włącznie z tymi, o których nie wspomina się publicznie.

Roześmiał się. Nie zdołał się powstrzymać. Nie wiedział, dlaczego ją kocha ani jak i kiedy zaczęło się w nim budzić to uczucie. Trafnie to ujęła: nie sposób było znaleźć w tym sens lub wskazać konkretnie ten czy tamten element. Niemniej rozśmieszała go i wystawiała na próbę jego intelekt, a on nie czuł się autentycznie szczęśliwy, dopóki jej nie znalazł. Swego czasu sądził, że już nigdy nie zazna prawdziwego szczęścia.

– No dobrze, wobec tego wybaczam ci te wszystkie okropieństwa, które wygadywałaś w dorożce.

– Byłam podenerwowana.

– Ach tak? Leonie Noirot w ogrodzie lorda Warforda, zakrywająca sobie uszy jak dziecko i wrzeszcząca, żeby mnie zagłuszyć. To tak kompletnie do ciebie nie pasowało, że szczerze się zaniepokoiłem.

Odsunęła się odrobinę i podniosła nań wzrok.

– Dlatego zabrałeś mnie stamtąd w tak despotycznym stylu?

– Ktoś musiał twardo stąpać po ziemi. Ktoś musiał pomóc ci odzyskać punkt oparcia.

Zamknęła oczy.

– To dlatego posadziłeś mnie z zaostrzonymi ołówkami, linijką i papierem.

– Gdyby to nie odniosło skutku, planowałem zaaplikować ci laudanum. Kłopot w tym, że trzeba bardzo ostrożnie dobierać dawkę. Nie ekscytowała mnie perspektywa odegrania tragedii. *Romea i Julię* świetnie ogląda się na scenie, gdyby jednak odnieść to do rzeczywistości, człowiek jest zdumiony ich głupotą.

Otworzyła oczy, w świetle lampy miały barwę nieba o zmierzchu.

– Zdaje się, że byli dosyć młodzi – zauważyła. – W pewnej fazie młodości wszystko jest tragedią.

– Stąd popularność mojego kuzyna – skonstatował. – I jakież to typowe dla Swantona: znaleźć miłość życia i zdobyć ją w parę dni, podczas gdy ja tygodniami mozolę się w pocie czoła i nie potrafię poruszyć z moją dziewczyną zasadniczej kwestii.

Pokręciła głową.

– Przepraszam. Tragizowanie jest takie zawstydzające. Ale zapisałam je. Moje „przeciw”. Skoro zamierzasz poruszyć niebo i ziemię, będziesz przynajmniej wiedział, od czego zacząć.

Wyprostowała się i wyślizgnęła z jego objęć. Wróciła do biurka i podniosła trzy kartki papieru, zapisane po obu stronach jej osobliwie precyzyjnym, nieodparcie kobiecym charakterem pisma. Podała mu je, podeszła do okna i wyjrzała w mrok.

Szybko przebiegł tekst wzrokiem.

– To cokolwiek… przytłaczające – skomentował.

– Ostrzegałam, że temat jest skomplikowany.

– Tak. Aż zapragnąłem się położyć. I żeby ktoś obmył mi czoło wodą lawendową.

Odwróciła się od okna.

– Tyle mogę zrobić – zadeklarowała.

* * *

Gdzie Lisburne miałby się położyć, jeśli nie w swoim łóżku? A jeżeli Leonie niewiele zdziałała w kwestii obmywania mu rozpalonego czoła wodą lawendową, wynikało to wyłącznie z faktu, że ledwie zaczęła, pociągnął ją w ramiona i pocałował, a wtedy upuściła szmatkę. Trzymane przezeń papiery, te same, nad którymi tak się natrudziła, szybowały przez chwilę, zanim także spłynęły na podłogę. Moment później uprawiali miłość, nagląco, zbyt niecierpliwi, by zawracać sobie głowę zrzucaniem ubrań. I cóż to było za doświadczenie, z całym tym jedwabiem i koronkami pieniącymi się wokół nich, i perłami, które uderzały go w głowę, aż zaklął i przestał mocować się z jej halką, żeby je zdjąć.

Nie było to najelegantsze zbliżenie w jego życiu. Jej pieczołowicie ułożona fryzura nieomal wykłuła mu oczy, ale przetrwał. Umiarkowanie prosta była kwestia rozpięcia spodni i podkasania jej spódnic i halek. Mimo to nie oddałby tej nocy za nic, żeby być w niej, obserwować jej twarz, gdy poruszali się razem, słyszeć jej głos – cichy jęk, westchnienie, mamrotane po francusku słowa, przyglądać się, jak otwiera te wspaniałe niebieskie oczy, czytać w nich rozkosz, miłość i grzeszny śmiech.

– Kocham cię – powiedział. – Kocham cię.

Mówił jej to raz za razem, jak zaklęcie, jednocześnie obserwując jej twarz, śledząc, jak się zmienia, gdyż w łóżku nie umiała niczego ukryć. Wreszcie zobaczył, że zbliża się do szczytu. Wtedy zrezygnował z samokontroli i oddał się gwałtownej fali przyjemności, i usłyszał, jak wyrywa jej się cichy okrzyk, w tym samym momencie, gdy w niej wytrysnął.

* * *

Sobota, 1 sierpnia

Nie poprzestali na jednej rundzie miłosnych zmagań. Ostatecznie pozbyli się ubrań. I w końcu, wycieńczeni, zasnęli w swoich objęciach.

Z tego też powodu Leonie po przebudzeniu zaskoczył nie tyle widok promieni słońca, wlewających się przez świetlik, co fakt, że przebyły już tak długą drogę. Ani chybi minęło południe. W ten sposób pojmowali wczesny ranek arystokraci, nie ona. Bez względu na to, jak późno się

położyła, w dni robocze wstawała zawsze o tej samej porze, wpół do ósmej, żeby wykąpać się, ubrać i zjeść śniadanie przed przybyciem szwaczek o dziewiątej.

Przez chwilę zastanawiała się, czy Lisburne jednak nie podał jej laudanum.

Ale nie. Najwidoczniej to głęboka ulga sprawiła, że spała tak głęboko. Ulga, że doszła do swego rodzaju porozumienia z nim i z samą sobą. Źródłem spokoju i radości było także kochanie się z nim w tak całkowitym zatraceniu, bez troski o to, że powinien wyjść przed nastaniem dnia, zanim któryś z przyjaciół mógłby zauważyć, jak opuszcza Maison Noirot. Spała jak dziecko, mimo że nie rozwiązała żadnego ze swoich problemów.

Spała w jego ramionach. Kiedy odwracała się w nocy, był tam, tuż obok, a ta wiedza koiła jej serce.

Ale teraz go zabrakło.

Była jednak zbyt zadowolona, żeby się martwić. Przeciągnęła się leniwie, a następnie usiadła, podciągając przykrycia, by osłonić swoją nagość, na wypadek gdyby jakiś obcy służący bez ostrzeżenia wparował do pokoju.

Szczerze mówiąc, przydałby jej się teraz służący, obcy czy nie. Przywykła ubierać się sama, ale dotyczyło to strojów na co dzień. Jej suknia balowa stanowiła zbyt wielkie wyzwanie dla jednej osoby.

Przez chwilę nasłuchiwała kroków na korytarzu, a potem ostrożnie wygramoliła się z łóżka, ze stosu byle jak poskładanych ubrań wygrzebała halkę i narzuciła ją na siebie. Popatrzyła na swój gorset i westchnęła. Był to jeden z jej najpiękniejszych gorsetów, zaprojektowany tak, by dało się go założyć samodzielnie, ale Lisburne go rozsznurował, co zniweczyło cały zamysł.

Podniosła gorset i zaraz go odłożyła. Gdzieś w pobliżu na pewno mieści się garderoba Lisburne’a, w której niewątpliwie znajdzie się jakiś szlafrok.

Zmierzała właśnie ku drzwiom o obiecującym wyglądzie, kiedy za plecami usłyszała hałas.

– Widzę, że przybywam w samą porę – stwierdził Lisburne. – Jeszcze chwila, a weszłabyś do mojej garderoby, czegoś byś tam dotknęła i Polcaire by się po tym nie pozbierał. Zejdziesz na śniadanie?

– W czym? W halce?

– W tym.

Tak ją zaabsorbowało wpatrywanie się z rozmarzeniem w jego piękną twarz, że nie zauważyła, iż przyszedł z czymś przewieszonym przez ramię.

Zbliżył się.

– Znalazłem suknię poranną mojej matki. Niemodna od dekady, spodziewam się jednak, że łatwiej ją założyć niż twoją wspaniałą balową kreację.

Wzięła od niego suknię i przytrzymała w górze. Ciemnozielona, wykonana z saraceńskiego jedwabiu o skośnym splocie, wyglądała na mocno dopasowaną.

– Jakież to wąskie! – wykrzyknęła.

– Niegdyś kobiety chętniej pokazywały swoje kształty. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Na szybko nie znalazłem niczego lepszego. Lokum kawalera, rozumiesz. Służące do pomocy mógłbym wziąć tylko z kuchni, a wątpię, czy akurat one śledzą na bieżąco damską modę.

– Jest subtelna – orzekła. – Piękna robota. Twoja matka ma nieskazitelny gust.

– Tak, myślę, że ją polubisz.

– Och, Lisburne.

– Simon – poprawił. – Na pewno umierasz z głodu. Pomogę ci się ubrać.

* * *

Czuła się bardzo dziwnie w tej sukni, dopasowanej w ramionach i biodrach i opadającej luźno do ziemi, musiała bowiem zrezygnować z usztywnianej półhalki, zbyt szerokiej i o niewłaściwym kształcie. Nie czuła się w pełni ubrana.

Co nie stanowiłoby wielkiego problemu, gdyby nie gromada służących, których napotkała po drodze.

Potem zaś, gdy weszła do pokoju śniadaniowego, zobaczyła swoje siostry w towarzystwie mężów.

Stała przez chwilę, rozważając, czy pognać do kredensu, złapać nóż i dźgnąć nim Lisburne’a.

Ale takie zachowanie byłoby w stylu Sophy. Leonie Noirot nie przejawiała skłonności do dramatyzowania. W każdym razie na zewnątrz nie okazała zaskoczenia, a tym bardziej morderczej furii.

Jak on śmiał?!

Czy sądził, że to zadziała? Gdy rozreklamuje swój podbój? Uważał, że szwagrowie zmuszą ją do ślubu?

Jakby byli w stanie.

Uśmiechnęła się.

– Markizie, cóż za cudowna niespodzianka. Jakież to urocze, że pomyślał pan o zaproszeniu na śniadanie mojej rodziny.

– To śniadanie w interesach – wyjaśnił. – Dlatego są tutaj wszyscy.

Z kieszeni kamizelki wyjął znajome trzy kartki papieru, cokolwiek sfatygowane.

– O nieprzyzwoicie wczesnej godzinie udałem się do Clevedon House na konsultacje z księciem – powiedział. – A on posłał po Longmore'a. Po licznych sporach osiągnęliśmy coś w rodzaju porozumienia.

– Zwracam uwagę, że z nami się nie konsultowali – wtrąciła Marcelline. – Ani niczego nam nie wyjawili. Dlatego Sophy i mnie możesz zarzucić wyłącznie ciekawość. A skoro o tym mowa, wielce interesująca suknia.

Wstała i podeszła, żeby przyjrzeć się jej z bliska.

Przez chwilę tkwiła w miejscu, marszcząc brwi. Następnie chwyciła Leonie za przegub i bacznie zlustrowała rękaw.

– Ależ, kochanie, przecież to suknia Emmeline – powiedziała. – Chodź tu, Sophy. Poznajesz te satynowe lamówki? Dałabym głowę, że suknia pochodzi z butiku ciotki Emmy. Wielkie nieba, chyba sama przyszywałam te satynowe taśmy! Skąd ją wzięłaś?

– Ciotki Emmy? – spytała Leonie. – Ta suknia jest dziełem ciotki Emmy?

Oczy napełniły jej się łzami i ścisnęło ją w gardle, aż musiała usiąść na najbliższym wolnym krześle.

– Ciotka Emma? – zainteresował się Lisburne.

– Emmeline to nazwa paryskiego butiku – zmusiła się do odpowiedzi. – Tego, w którym poznał mnie lord Swanton. Cholera zabrała naszą ciotkę Emmę i zdziesiątkowała Paryż. Zabiła nasze szwaczki i klientki. Zniszczyła nasz interes. Były rozruchy. Butik splądrowano. Miałyśmy chore dziecko i bałyśmy się, że tłum dowie się o tym i podpali sklep, z nami w środku. Opuściłyśmy Paryż z pustymi rękami. Ani skrawka muślinu. Choćby jednej jedwabnej wstążki. Nie pozostało nam nic z dzieła Emmy. Ze wszystkich jej pięknych prac. To właśnie usiłowałam wytłumaczyć. – Ruchem głowy wskazała kartki w jego dłoni. – Co to dla nas znaczyło. Co znaczyło

otwarcie naszego własnego butiku. Bardzo trudno to opisać, a cóż dopiero uszeregować schludnie w kolumnach. Ale moje serce jest tam, w butiku. Marcelline i Sophy… one są artystkami. Mogą się spełniać artystycznie na inne sposoby. Ja nie mogę. Ja jestem kobietą interesu.

– Kochanie – zaczęła Marcelline, jakże łagodnie, tak samo, jak robiła to, gdy rodzice porzucali je po raz setny.

– Nie – powstrzymała ją Leonie, unosząc dłoń. – Lubię liczby. Lubię przeglądać rachunki od kupców, wszystko kalkulować, negocjować ceny. Lubię zarządzać butikiem. To daje mi szczęście. Chciałabym, żebyście ty i Sophy nadal tam były…

– Nigdzie nie odeszłyśmy.

– Ale to zrobicie. Musicie. To kompletnie niedorzeczne. Księżna nie może usługiwać klientkom, Marcelline! Rusz głową. Hrabina również nie, Sophy, więc wyrzuć tę fantazję ze swojego rozgorączkowanego umysłu. Butik będzie nadal funkcjonował, ale nie z wami. To zbyt wyniszczające. Muszę wiedzieć, że mogę na was polegać, a dłużej nie mogę. Lada moment Sophy także zajdzie w ciążę i będzie nieustannie wymiotować.

– A ty? – prychnęła Marcelline. – Czyżbyście z Lisburne’em tylko notowali w księgach i trzymali się za ręce? A może wyobrażasz sobie, że jesteś odporna na prawa natury?

– No dobrze – wmieszał się Lisburne. – Gdybyśmy tak mogli wrócić do interesów? Chcę złożyć właścicielkom Maison Noirot pewną propozycję.

Leonie skierowała nań wzrok. W rzeczy samej, prezentował się w tej chwili jak człowiek interesu. Bez wątpienia swoje robiła kamizelka – Polcaire doprawdy był geniuszem – ale i sam Lisburne roztaczał aurę władzy, a jego piękna twarz przybrała surowy wyraz.

Uznała, że to bardzo urocze.

– Marcelline i Sophy, usiądźcie, proszę – powiedziała. – Nałożę sobie tylko coś do jedzenia i zaraz będę do pańskiej dyspozycji, markizie. Ale, naprawdę, nie zniosę więcej emocji na pusty żołądek.

– *Ma pauvre!* – zawołała Marcelline. – Nie ruszaj się. Przyniosę ci jedzenie.

Chwilę później postawiła przed Leonie kopiasty talerz.

Leonie nie powinna mieć apetytu.

Ale Lisburne wyglądał tak imponująco, że trudno było niepokoić się o cokolwiek. Być może się oszukiwała, jednak martwiła się w tej chwili

znacznie mniej niż w dowolnym momencie ostatnich miesięcy. Chwyciła sztućce i zabrała się do spożywania posiłku.

* * *

Choć Lisburne sporządził notatki na jej kartkach, miał wszystko w głowie. Wystarczyło, że dziś rano porozmawiał krótko z Clevedonem, a fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować.

– Po pierwsze – rzekł – zajęliśmy się zagadnieniem waszego powołania. Trzy wielce utalentowane kobiety, dla których praca jest pasją i od których nie sposób oczekiwać, że znajdą zadowolenie w bezczynności. Książę Clevedon proponuje magazyn dla pań…

– Och, Clevedon – jęknęła księżna. – Znowu magazyn? To cudowny pomysł, ale…

– Okaż trochę cierpliwości, kochanie, i daj Lisburne’owi powiedzieć swoje – poradził książę. Potoczył wzrokiem wokół stołu. – Wiem, że bywa piekielnie irytujący, a w dodatku lubi udawać idiotę. Tak naprawdę jest jednak o wiele sprytniejszy, niż na to wygląda. Sugeruję, żebyśmy wysłuchali go w ciszy, a zastrzeżenia wnieśli na koniec. – Skinął głową Lisburne’owi. – Kontynuuj, proszę.

– Drogi magazyn, z dużą liczbą kolorowych rycin – podjął Lisburne. – Z naciskiem na damską modę. Jej Książęca Wysokość dostarczy projekty sukni, a lady Longmore zadba o kapelusze i czepki, jak również opisy, anegdoty i historyjki w jej własnym, niepowtarzalnym stylu. Panna Noirot przejmie na siebie cały ciężar zarządzania przedsięwzięciem.

Zrobił krótką przerwę. Twarze trzech sióstr pozostały nieprzeniknione. Zanotował w myślach, żeby nigdy nie grać z nimi w karty – lub przynajmniej nie ze wszystkimi trzema naraz.

– Po drugie, butik – ciągnął. – Trzy właścicielki zachowają prawo własności, nadal będą również dostarczać projekty elementów stroju stosownie do swojej specjalizacji, przy czym celem będzie utrzymanie Maison Noirot w awangardzie mody damskiej. Zarazem nadzór nad codzienną pracą butiku przejmie nadzwyczaj wykwalifikowana Selina Jeffreys. Znajdą w nim także zatrudnienie najbardziej utalentowane profesjonalistki dostępne na rynku, a ponadto będą się w nim szkolić zdolne

ubogie kobiety, zaproponowane przez Stowarzyszenie. Co się tyczy wykwalifikowanych profesjonalistek, Jego Książęca Wysokość i ja pozwalamy sobie zarekomendować uwadze pań Dulcineę Williams. Żywimy przekonanie, że pani Williams sprzeda każdą rzecz dowolnej osobie.

Na twarzach trzech sióstr nadal malował się zaledwie wyraz uprzejmej życzliwości, ale Lisburne wyczuwał natężenie uwagi. Wskazywał na to choćby fakt, że Leonie wolniej operowała sztućcami.

– Dzięki tym zmianom właścicielki będą mogły poświęcić więcej czasu Stowarzyszeniu – kontynuował. – Na przykład wykorzystując swoją pozycję towarzyską, by pozyskać kolejnych sponsorów i datki, co doprowadzi, jak ufamy, do wybudowania większego obiektu, który to projekt będą nadzorować.

Leonie odłożyła sztućce. Trzy siostry wymieniły spojrzenia, lecz nadal niczego nie dawały po sobie poznać.

– Jako że przy tym wszystkim talenty panny Noirot mogą nadal nie być dostatecznie wykorzystywane – dodał – proponuję jej pozycję markizy Lisburne i zarządzanie moimi licznymi włościami oraz interesami.

Złożył kartki i wepchnął je do kieszeni. Polcaire posłałby mu pełne udręki spojrzenie, ale mniejsza z tym.

Zapadła cisza, kiedy trzy kobiety przetrawiały jego podsumowanie, przy czym, nie wątpił, przynajmniej jedna z nich starała się rozpracować implikacje i konsekwencje, zapełniając w myślach kolejne strony księgi.

Po pewnym czasie księżna spojrzała na siostry i oznajmiła, że muszą przejść do innego pokoju, żeby omówić temat. Wstały zgodnie i wyszły.

Nie było ich bardzo długo.

Po półgodzinie znudzony Longmore wybrał się na spacer. Clevedon oddalił się do biblioteki.

Godzinę później damy wróciły do śniadalni. Wezwano mężczyzn, żeby wysłuchali ich decyzji.

Trzy kobiety ustawiły się przed kominkiem, gdzie popołudniowe światło korzystnie opływało ich suknie.

– Jako najstarsza zostałam wyznaczona, by mówić w imieniu pozostałych – odezwała się księżna. – Uznałyśmy waszą propozycję za zasadniczo satysfakcjonującą i zgodziłyśmy się ją przyjąć.

– W całości? – upewnił się Lisburne. – Księżno, sądzę, że co do jednego punktu nie może się pani wypowiadać w imieniu strony zainteresowanej. Panno Noirot, czy zgodzi się pani zostać moją żoną?

– To zależy – odparła. – Czy Botticelli nadal będzie mój?

* * *

To Clevedonowi Lisburne zawdzięczał, że na ślub przyszło mu czekać cały tydzień.

Markiz pognał do Doctors Commons, stowarzyszenia prawników od spraw cywilnych, jeszcze tego samego dnia, kiedy Leonie nareszcie wyraziła zgodę. Czekał tam, jak się zdawało, całą wieczność, po czym kazano mu zapłacić mnóstwo pieniędzy za świstek papieru, na którym mu zależało. Następnie znów czekał.

Ale specjalna licencja czy nie, Clevedon nie zgadzał się, żeby jego szwagierka wyszła za mąż, dopóki Lisburne nie spotka się z prawnikami, ci zaś walczyli ze sobą do momentu, w którym Lisburne podpisał intercyzę.

Botticelli miał się znaleźć wśród prezentów ślubnych, dzięki czemu stawał się wyłączną własnością Leonie. Poczyniono stosowne zapisy na rzecz potomstwa i na wypadek choroby, śmierci, bankructwa tudzież mnóstwa innych zdarzeń. Leonie musiała mieć pieniądze na drobne wydatki i dom na czas ewentualnego wdowieństwa.

Wspaniale, powiedział Clevedon, kiedy mężczyzna obiecuje dziewczynie, że nieba jej przychyli, ale prawo nieszczególnie chroni kobiety, a niech go diabli, jeśli nie zatroszczy się o przyszłe bezpieczeństwo siostry swojej żony, skoro nie zdołał ochronić jej cnoty!

A potem Jego Książęca Wysokość zaprosił na ślub swoje ciotki! To oznaczało, że Leonie musiała zatrzymać się w Clevedon House, żeby przebywaniem pod dachem narzeczonego nie gorszyć starszych dam.

Piątek wszakże w końcu nadszedł i wzięli dość cichy ślub w Clevedon House, z udziałem, jak się zdawało, setek ciotek Clevedona i tysięcy Fairfaksów, a także Swantona i Gladys oraz wszystkich dżentelmenów, którzy pomogli im w Vauxhall, ponieważ gdyby nie oni, Lisburne uratowałby może kuzyna, ale nie reputację Maison Noirot i Stowarzyszenia dla Edukacji Pokrzywdzonych Kobiet.

Uroczystości dobiegły wreszcie końca i Lisburne wraz z Leonie oddalili się do jego pałacyku, gdzie służba przygotowała dla nich skromne przyjęcie, a Polcaire mężnie się trzymał w obliczu perspektywy, że pani domu i jej nieuniknione pokojówki zaburzą jego doskonale uporządkowany świat.

Następnie Lisburne'owi pozostało tylko wypełnić obowiązek nocy poślubnej, co zrobił najpierw z gorączkową niecierpliwością, a potem w bardziej leniwym tempie. Później, gdy leżeli w łóżku, wyciszając się, zagaiła:

– Nie powiedziałeś nic na temat ostatniej pozycji.

Głowił się nad tym przez chwilę.

– Ostatniej pozycji?

– W kolumnie „przeciw" – wyjaśniła.

Zastanowił się. Ach, tak. Ostatnią pozycją byli „Koszmarni DeLuceyowie", podkreśleni dwukrotnie.

Koszmarni DeLuceyowie.

Uśmiechnął się.

– Nic nie powiedziałeś – naciskała.

– Ty również nie. Odniosłem się do wszystkich pozostałych punktów, a ty nie spytałaś, co zamierzam zrobić w tej kwestii.

– Zapomniałam – usprawiedliwiła się. – Byłam tak zajęta dochodzeniem do ładu z całą resztą, tak tym pochłonięta, że zapomniałam. I nie pomyślałam o tym ani przez sekundę aż do dzisiaj, kiedy staliśmy przed pastorem, lecz tamten moment wydał mi się niezręczny na wyciąganie tej sprawy.

– Tak, cóż, co do tego… – Podparł się na łokciu i spojrzał na nią z góry. – Nie byłem wobec ciebie w pełni uczciwy.

– Nie w pełni uczciwy? Chodzi ci o to, że udawałeś głupca, którym nie jesteś? Że utrzymywałeś, że troskę o interesy pozostawiasz Uttridge'owi? Że wywabiłeś mnie do ciemnego ogrodu nie po to, żeby ze mną zgrzeszyć, ale żeby się oświadczyć? Tego rodzaju oszukańcze praktyki masz na myśli?

– A ty? – odbił piłeczkę. – Twierdziłaś, że nie jesteś oczytana i nie wiesz nic o poezji…

– Przyznałam już, że nie można mi ufać. Ty natomiast jesteś zupełnie kimś innym, niż się wydajesz, pod każdym względem. W rzeczy samej,

zastanawiałam się czasami, czy aby nie jesteś z Noirotów… ponieważ to francuskie wydanie Koszmarnych DeLuceyów, rozumiesz. Ty zaś…

– Moją prababką ze strony matki była Annette DeLucey – wyznał. – Kiedy mój pradziadek się z nią ożenił, jego ojciec groził, że go zabije, żeby nie mógł dziedziczyć. Ostatecznie jednak Annette podbiła teścia.

Usiadła.

– Wiedziałam!

– Oczywiście, że wiedziałaś. Swój zawsze pozna swego, jeden złodziej złapie drugiego.

– Ściśle rzecz biorąc, nie jesteśmy złodziejami – sprostowała. Umościła się na łóżku i podniosła nań wzrok. – To znaczy nie wszyscy. Niemniej przejawiamy skłonność do krętactwa i nie przesadzamy z uczciwością… nic dziwnego, że miałam poczucie, jakbym cię znała od wieków!

– Od wieków! – obruszył się. – Jak łysego konia?

– Ponieważ mnie rozumiesz. I korzystasz ze swoich DeLuceyowskich mocy głównie w szlachetnych celach, a także dla bardzo miłych nieprzyzwoitości.

– Bardzo miłych – sarknął. – Jedynie na tyle cię stać?

Roześmiała się i wyciągnęła do niego rękę, a jemu aż ścisnęło się serce.

– Moją domeną są liczby, szanowny panie. Jeśli pragnie pan, bym wspięła się na literackie wyżyny, musi mnie pan zainspirować.

– Jak muza – podsunął z uśmiechem, zbliżając twarz do jej twarzy.

– Tak, jak muza.

– To by trochę potrwało – mruknął. – Dopóki wszakże nie jesteś zbyt zajęta…

Epilog

Jednakowoż dzięki specjalnej licencji lub dyspensie Arcybiskupa Canterbury śluby, zwłaszcza osób wysoko urodzonych, odbywają się częstokroć w ich własnych domach, poza godzinami kanonicznymi, wieczorem, przez innych zaś zawierane są w kościołach w miejscu zamieszkania jednej ze stron, poza godzinami nabożeństw itp.
Słownik Prawa (1810)

Bedford Square
Sobota, 15 sierpnia

Madame Ecrivier, kierowniczka pracowni krawieckiej pani Downes, ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na niskiego, krągłego mężczyznę, który chwilę wcześniej zawadiacko wkroczył do sklepu.

– Nie pojmuję, o co panu chodzi – powiedziała.

– Błagam, żeby mamłazel się nie troskała – odparł. – Chcę tylko zobaczyć się z szefową, jeśli to nie kłopot.

Mężczyzna trzymał w dłoni oficjalnie wyglądający dokument. Doświadczenie podpowiadało madame Ecrivier, że oficjalne dokumenty oznaczają kłopoty. Zwłaszcza gdy doręczają je oślizgli mężczyźni w przyciasnych zielonych surdutach, z czerwonymi fularami wokół szyi.

Pani Downes opłacała dwóch typów, Farleya i Paytona, żeby radzili sobie z wszelkiego autoramentu natrętami. Podczas gdy madame Ecrivier rozważała, czy nie należy ich wezwać, do sklepu wszedł drugi mężczyzna – wysoki i przygarbiony, nosił się na czarno.

– No i jak? – odezwał się. – Nie ma jej?

– Nie wiem – odparł ten pierwszy.

– Posłuchaj no, panienko – rzekł wysoki mężczyzna. – Chcemy się zobaczyć z szefową. Ważna sprawa. Panienka zaniesie jej mój bilet… – Wyciągnął w kierunku madame gruby, brudny bilet wizytowy, który ta, nie

znajdując alternatywy, chwyciła między opuszki palców. – I powie jej, że ciągle możemy załatwić sprawy tak, żeby wszystkie strony były kontente.

Madame spiesznie opuściła salon sprzedaży. Pobiegła do pracowni, gdzie dowiedziała się, że żadna ze szwaczek przez cały dzień nie widziała ani Farleya, ani Paytona. Wbiegła po schodach do prywatnych pokoi pani Downes. Służący poinformował ją, że pani wyszła przed dwiema godzinami. Na obiad, jak mniemał.

Madame, której przyszło żyć w Paryżu w koszmarnych czasach, umiała dodać dwa do dwóch – w tym przypadku mężczyzn przynoszących oficjalne dokumenty i pracodawczynię, która wyszła, nie informując o tym swojej prawej ręki. Przeszła do sypialni pani Downes. Żadnych ubrań. Żadnych kosmetyków. Żadnych pudeł na kapelusze, walizek, kufrów.

Wytropiła pokojówkę pani Downes, którą zastała przy pakowaniu toreb.

– Posłała mnie dzisiaj ze setką sprawunków, a jak – wyjawiła pokojówka. – Coby mnie trzymać z dala. – Wepchnąwszy do walizy fartuszki, halki, pończochy i tak dalej, zaczęła ogałacać swój ciasny pokoik z wyposażenia. – Nie płaciła mi od czerwca, no nie? Pani tak na mnie nie patrzy. Też będzie pani chwytać, co się da. Chyba pani nie myśli, że zostawiła dla niej wypłatę, no nie?

– Na dole są jacyś mężczyźni – poinformowała ją madame Ecrivier.

Ciągle nie mogła tego zrozumieć. Tak ciężko pracowała, żeby zdobyć nową klientelę i utrzymać kilka starszych klientek, które nadal regularnie odwiedzały sklep. Walczyła o wyższe płace, by przyciągnąć bardziej utalentowaną pomoc. Przypuściła atak na niekompetencję i bylejakość i widziała oznaki poprawy, nawet jeśli, owszem, powolnej. Potrzeba było tylko cierpliwości. I czasu.

– Pewno przyszli z nakazem egzekucji – stwierdziła pokojówka.

Madame złapała się za gardło.

Dziewczyna prychnęła z rozdrażnieniem.

– Ale cymbał z pani, nie mówię przecie o gilotynie. To znaczy, że zrobią spis inwentarza, a potem przyjdzie więcej mężczyzn i zabiorą wszystko, co nie będzie przybite gwoździami. Nasza pani pożyczyła od kogoś furę pieniędzy, no i nie oddała.

– Kiedy to niemożliwe! – wykrzyknęła madame. – A wszystkie moje klientki? Moje zamówienia?

– No, pewnikiem przepuściła, cokolwiek pani dla niej zarobiła, nie wydaje się pani? Na ten swój pikny powóz i proszone kolacje, i lożę w operze, i licho wie, co jeszcze. Ja tam wiem tyle, że nikt z nas tutaj nie widział ostatnio pieniędzy. Tak że radzę pani brać, co się da, i ulotnić się tylnym wyjściem, zanim ci mężczyźni się zorientują, że pani nawiała.

Madame Ecrivier przybyła z Paryża do Londynu, żeby zacząć wszystko od nowa. Dość szybko uświadomiła sobie, że niemądrze wybrała pracodawczynię. Niemniej w tamtym okresie rozpaczliwie potrzebowała pracy, a pani Downes zaproponowała jej odpowiedzialne stanowisko i płacę wyższą niż to, co dostawały szwaczki.

Aktualnie madame Ecrivier znów znalazła się w rozpaczliwym położeniu. Oszczędzała, ile się dało, ale Londyn był drogi, a jej płaca nie tak znów wysoka.

Dzisiaj nie dostanie nic.

Mimo to nie była złodziejką.

Wróciła do sklepu i poinformowała nieprzyjemnych mężczyzn, że pani Downes uciekła. Następnie powiedziała szwaczkom, że zostały bez pracy. Zrobiła, ile było w jej mocy, żeby pocieszyć je i służyć im radą.

Następnie wzięła swój kapelusz i szal i wyruszyła do Maison Noirot.

* * *

Warford House
Środa, 26 sierpnia

– Włochy, też mi coś! – grzmiał lord Boulsworth. – Kto to słyszał o takich nonsensach?

Przechadzał się w tę i z powrotem po dywanie w gabinecie lorda Warforda, jakby dokonywał inspekcji wojsk, z których nie był zadowolony. Te obejmowały jego córkę i lorda Swantona.

Jakkolwiek lord Boulsworth oddelegował swego kuzyna Warforda do pełnienia zań ojcowskich obowiązków, ten ostatni był zbyt mądry, żeby zezwolić na przygotowania do ślubu, zanim pojawi się Boulsworth i da swoje błogosławieństwo. Lordowi Warfordowi wystarczyło pokazów temperamentu w wykonaniu żony. Nie chciał dostarczać Boulsworthowi

powodu, by ten wparował do Warford House i nawrzeszczał na wszystkich. Nie żeby powód był mu aż tak niezbędny.

– Mój dom pod Manchesterem stoi pusty, z bandą próżniaczej służby, której pilnie przyda się dyscyplina – ciągnął generał. – Ponieważ obowiązki wzywają mnie gdzie indziej, przekazuję ci dowodzenie. Twój ojciec dzielnie się sprawił pod Waterloo. Dawno już pora, żebyś poszedł w jego ślady, zamiast klecić rymowanki dla głupich dziewcząt i szwendać się po kontynencie. Ty i Gladys osiądziecie w Lancashire.

– Lancashire? – powtórzył Swanton. I zemdlał.

– Co, u diabła?! – zakrzyknął generał.

Gladys uklękła przy ukochanym, uniosła mu głowę i przytuliła do swej obfitej piersi. Płonącym wzrokiem spojrzała na ojca.

– Jak mogłeś, papo!

– Ja? A co ja, u diabła, zrobiłem?! Co za niedołędze dałaś się zdobyć?

– Ten n i e d o ł ę g a o mało co nie zabił człowieka gołymi rękami!

Lord Boulsworth z powątpiewaniem zmierzył spojrzeniem powalonego bohatera.

– Widocznie miał w nich wtedy cegły. Inaczej…

– Gladys. – Poeta zamrugał i otworzył oczy. – Kochana. Wybacz mi, proszę. Szok mnie pokonał. Lecz tylko na chwilę. Pozwól mi wstać.

Łagodnie odsunął jej pomocne dłonie, dźwignął się do pozycji siedzącej, po czym stanął na nogi.

Usztywnił plecy i wysunął brodę.

– Szanowny panie, wydaje się pan tkwić w błędzie. Za trzy dni Gladys zostanie moją żoną. Udamy się w podróż do Włoch, gdzie będę dalej tworzył poezję… lepszą poezję, żywię nadzieję, mając ją za muzę…

– Muzę! Co za niedorzeczność! Nie pozwolę jej włóczyć się po kontynencie, bo taką ma fantazję cherlak mdlejący z byle powodu.

– Szok wywołany faktem, iż ośmielił się pan rozkazywać zarówno mnie, jak i damie, która wkrótce zostanie moją żoną, przelotnie pozbawił mnie zmysłów – odparł Swanton. – Nie wierzyłem własnym uszom. Wasza lordowska mość zdaje się zapominać, że Gladys złoży świętą przysięgę, iż będzie kochać i okazywać posłuszeństwo swojemu m ę ż o w i. Czy chce ją pan zmusić, by pogwałciła święte śluby? Chce pan zmusić mnie, bym pogwałcił moje? Czy nie jestem zobowiązany kochać ją i szanować? Czy ta

miłość nie domaga się ode mnie respektowania jej życzenia, bym kontynuował moje powołanie?

Generał wpatrywał się w niego, a jego twarz przybrała odcień czerwieni, która wzbudzała paniczny strach w oficerach niższych stopniem.

Swanton jedynie uśmiechnął się z anielską cierpliwością.

– Nie ma znaczenia, czy to się panu podoba – oświadczył. – Uczynię, cokolwiek okaże się konieczne, żeby Gladys została moją żoną.

Lord Boulsworth stoczył i wygrał zbyt wiele bitew, by łatwo zaakceptować porażkę. Parskał śliną, argumentował, groził. Swanton znosił to stoicko, powtarzając jedynie raz po raz, że zamierza być głową swojej własnej rodziny. Zapewne opierałby się cierpliwie dalej, jednak Gladys, która wiedziała, jak wytrwałym tyranem bywa jej ojciec, opadła na fotel i się rozpłakała.

Swanton popatrzył na nią, a następnie na jej ojca. Zacisnął pięści i szczęki.

– Doskonale – oznajmił. – Próbowałem walczyć uczciwie. Nie pozwolę wszakże denerwować Gladys.

Po czym przystąpił do recytacji:

W daleką, acz szczęśliwą uszliśmy krainę,
Od krewnych naszych władzy, wrogów nienawiści;
Naszą zbrodnią miłość – gdy tę uznać za winę,
W niej ma nadzieja, niech los nasz się ziści.

Wiersz ciągnął się i ciągnął.

Gdy wreszcie dobiegł końca, lord Boulsworth ze łzami w oczach – efektem furii lub rozpaczy, a może nawet wzruszenia – poddał się.

* * *

Dwudziestego dziewiątego sierpnia lord Swanton i lady Gladys Fairfax pobrali się na specjalnej licencji w Warford House, gdzie w jednym z pokoi ustawiono ślubny podest.

Cytując „Poranne Zwierciadło”: *panna młoda przywdziała suknię z białej satyny, z dopasowanym, ostro zakończonym gorsecikiem i wyszywanymi*

falbanami z krepy, a także bogato zdobioną pelerynką, narzuconą na krótkie rękawki. Włosy miała przystrojone kwiatami oraz strzałą, z obu stron której opadały jasne wstęgi.

Nazajutrz lady Warford napisała do matki Lisburne'a, donosząc, że ślub przebiegł bez zakłóceń. Generał, informowała, wydawał się dziwnie poskromiony.

Gladys, w rzeczy samej, wyglądała bardzo dobrze – pisała lady Warford. *Promieniała szczęściem, co ogromnie mnie cieszy. Wiem, że dobrze się zaopiekuje twoim siostrzeńcem Swantonem, on zaś okazał się zaskakująco opiekuńczy wobec niej. Wkrótce ich zresztą zobaczysz i będziesz mogła sama wyrobić sobie zdanie. Ale, och, moja droga, cóż mam począć z Clarą? Lękam się, że jeśli nadal będzie postępować tak jak do tej pory, dżentelmeni dadzą sobie z nią spokój. Kto by pomyślał, że taka piękna dziewczyna tak długo pozostanie niezamężna? Według Sophy jedyny problem polega na tym, że żaden mężczyzna nie jest jej wart, sama jednak wiesz, że Clara zawsze miała w sobie buntowniczą żyłkę, jak matka jej ojca. Więcej niż raz znalazła się o krok od katastrofy i lękam się – ogromnie się lękam – że znów popełni błąd, przy czym tym razem nikt nie zdoła wydobyć jej z tarapatów i będzie skompromitowana na wieki względnie wyjdzie za jakiegoś Potwora jak Tamten Mężczyzna, którego nazwiskiem nie zbrukam swego pióra. (Nawiasem mówiąc, otrzymaliśmy potwierdzenie, że jego sojusznicy, te łotry Theaker i Meffat, podążyli w jego ślady, umykając przed wierzycielami, jak również kompromitacją, żeby, czego szczerze im życzę, błąkać się po kontynencie bez pensa przy duszy).*

W każdym razie Clarze ci dwaj już nie zagrożą, ja zaś żywię desperacką nadzieję, że okropne doświadczenie pani Williams czegoś ją nauczyło. Wiem, że bezcelowym jest naciskać na moją córkę w kwestii ślubu. Wpada w irytację i nie słucha ani słowa – lecz, moja droga Enid, nie mam już pojęcia, co robić. Chciałabym, żebyś rozejrzała się, czy w twoim otoczeniu nie znalazłby się dżentelmen dojrzały i stanowczego charakteru, ponieważ do niej trzeba silnej ręki. I doprawdy, nie dbam już o to, czy będzie pochodził z najwyższych sfer, byleby zapewnił jej wygodę.

Och, lecz o cóż ja proszę? Mniejsza z tym, moja droga. Zaczynam sądzić, że moja najstarsza córka to stracony przypadek. Powiesz mi zapewne, że mądrzej zrobię, kierując energię na pozostałe.

Później następowały różne sprawy domowe, mało interesujące dla kogokolwiek poza autorką i adresatką listu.

* * *

W lutym księżna Clevedon urodziła zdrowego chłopczyka. Jego siostra i jej najlepsza przyjaciółka, Bianca Williams, uszyły dla niego czepek do chrztu.

Nota autorki

Później wzrokiem toczy po książkach swoich,
Kradzieży pamięć duszę miło koi,
Jak tutaj uszczknął, tam zmyślnie splądrował
I do cna wyssał, pracowity robal.
Alexander Pope, *Duncjada*, Księga I

Zacznijmy od tego, że ukradłam dzieło sztuki, włączając *Wenus i Marsa* (tu i ówdzie znanych też jako *Mars i Wenus*) Botticellego do kolekcji mojego fikcyjnego lorda Lisburne'a, przy tej okazji nadając obrazowi współczesny tytuł. Ta kwestia pozostawała sporna i niewykluczone, że nie miał on nawet angielskiego tytułu, dopóki nie przybył do Anglii w latach 50. XIX wieku (pozdrawiam anachronizm!). Londyńska National Gallery zakupiła dzieło w 1874 roku i tam można je podziwiać do dzisiaj. Jednakże mała popularność Botticellego w okresie, kiedy toczy się opowieść, nie stanowi akurat wytworu mojej rozbuchanej wyobraźni. Po śmierci artysta wypadł z łask i uznaniem zaczął cieszyć się dopiero w drugiej połowie XIX wieku.

Zarazem *Między Cnotą a Występkiem* Veronesego rzeczywiście można było obejrzeć w trakcie letniej wystawy Instytutu Brytyjskiego w 1835 roku.

Całą poezję ukradłam, głównie z magazynów dla pań z początku XIX wieku, tym samym pozostając w zgodzie z ówczesną wspaniałą tradycją podkradania od siebie nawzajem. Zapytajcie Charlesa Dickensa o naruszenia praw autorskich, a będziecie świadkami, jak rwie sobie włosy z głowy i zgrzyta zębami.

Ponieważ tom baśni Hansa Christiana Andersena, w którym po raz pierwszy znalazły się *Nowe szaty cesarza*, ukazał się dopiero w 1837 roku, jest raczej mało prawdopodobne, by ktokolwiek w Anglii nawiązał do nich dwa lata wcześniej. Nagięłam więc troszkę fakty, ale żaden inny koncept nie pasował mi tutaj tak dobrze.

A skoro mowa o strojach…

Dawno, dawno temu dysponowaliśmy jedynie naturalnymi materiałami, wykonanymi z bawełny, lnu, wełny, jedwabiu i ich kombinacji. Taki jedwab na przykład występował w odmianach, których nazwy odeszły już w zapomnienie. Poniższe definicje zostały zaczerpnięte ze *Słownika tekstyliów* Louisa Harmutha (wydanie z 1920 roku). Informacje w nawiasach kwadratowych podaję dzięki uprzejmości modystek i krawcowych damskich z Colonial Williamsburg. Moje komentarze zamieszczam w nawiasach okrągłych.

Armozyna[12] – lekka i cienka tafta jedwabna na podszewki; wykonywana we Włoszech i Francji, we wzory geometryczne, paski lub kropki. Cięższa, prążkowana a. była przeznaczona na zasłony i kapy. Współcześnie Indie Wschodnie produkują dwa rodzaje a., jeden zwany adamaszkiem, ze wzorem roślinnym, i drugi, w paski lub w kratkę.

Aksamit z Genui – 1. bardzo szlachetny jedwabny brokat aksamitny na spodzie satynowym, z dużymi wzorami: wykonywany przed wiekami w Genui, Włochy; 2. aksamit bawełniany z wątkiem runowym, na spodzie o splocie skośnym [– z Włoch, mógł to być aksamit bawełniany, lecz najprawdopodobniej był to jedwab. Jako najlepszy aksamit jedwabny na rynku był kopiowany przez resztę Europy].

Perski jedwab – bardzo lekka jedwabna tkanina na podszewki, używana w Anglii w XVIII wieku. (Tutaj Harmuth okazuje się wielce niezadowalający. Termin „perski jedwab” często występuje w powieściach z XIX wieku, z dziełami Dickensa włącznie). [Perskie jedwabie są to jedwabie lekkie, podobne do chińskich. Wyróżniamy sześć klas, wykorzystywane są głównie na podszewki. Pochodzą z Turcji i Persji].

Lutestring – prążkowane jedwabne materiały z przeznaczeniem na suknie najwyższej jakości. [Doskonały, nieco sztywny jedwab, podobny do dzisiejszej tafty].

Moda – (Tutaj Harmuth rozczarowuje jeszcze bardziej, ponieważ nie wymienia tej tkaniny, w każdym razie nie pod tą nazwą). [Kolejny lekki jedwab, pierwotnie czarny lub biały, wykorzystywany głównie na okrycia wierzchnie, choć także na podszewki].

Princetta – angielska XIX-wieczna tkanina z wełny czesankowej, o osnowie z przędzy jedwabnej i wątku z przędzy czesankowej; pierwotnie wyłącznie z przędzy czesankowej.

Jedwab saraceński – archaiczna, lekka, miękka i cienka tkanina jedwabna, używana w Anglii na podszewki. [Cienki, przywierający jedwab].

Szczegółowe opisy mody (inne niż te ukazywane z męskiego punktu widzenia) zostały zaczerpnięte/zaadaptowane z ówczesnych żurnali. Ubrania kobiet oparłam na rycinach strojów.

Kim są ci ludzie?

Jako trzeci tom z serii, *Szelma w aksamicie* przywołuje postaci z pierwszych dwóch książek. Historię Marcelline znajdziecie w *Kuszeniu w jedwabiu*. Sophy jest gwiazdą *Skandalu w atłasach*.

Podziękowania

Dziękuję:

May Chen: zabawnej, mądrej i wyrozumiałej redaktorce, której cierpliwość przekracza ludzkie pojęcie;

Nancy Yost: błyskotliwej, pracowitej, sprytnej i inspirującej agentce;

Isabelli Bradford: pokrewnej duszy, która wraz ze mną propaguje historię dla dziwaków;

Paulowi i Carol: dostarczycielom idealnego schronienia dla pisarza na Cape Cod;

Valerie Kerxhalli: konsultantce w sprawach języka francuskiego;

modystkom, krawcowym damskim i krawcom męskim z Colonial Williamsburg, o rety!: ekspertom od sukien historycznych, którzy nieustannie odkrywają tajemnice dawnych strojów;

Cynthii, Vivian i Kathy: siostrom, czirliderkom, powierniczkom, przyjaciółkom;

Walterowi: mężowi, producentowi, operatorowi filmowemu i rycerzowi w lśniącej zbroi.

[1] (fr.) Proszę uprzejmie.
[2] (fr.) Wystarczy.
[3] W wypowiedź wplecione fragmenty wiersza Andrew Marvella *Do cnotliwej damy*, tłum. Artur Międzyrzecki.
[4] Por. William Shakespeare, *Hamlet*, akt III, tłum. Józef Paszkowski.
[5] #8197;William Shakespeare, *Romeo i Julia*, akt III, tłum. Józef Paszkowski.
[6] Tłum. Leon Ulrich.
[7] George Byron, *Don Juan*, tłum. Edward Porębowicz.
[8] William Shakespeare, *Jak wam się podoba*, akt III, scena II, tłum. Leon Ulrich.
[9] George Byron, *Idzie w piękności*, tłum. Stanisław Egbert Koźmian.
[10] Homer, *Odyseja*, pieśń I, tłum. Lucjan Siemieński.
[11] Tamże.
[12] Ze względu na brak polskich odpowiedników użyto nazwy oryginalnej (lutestring, princetta) lub jej spolszczonej wersji (armoisine, mode).

Odkąd cała odpowiedzialność za butik spoczęła na jej barkach, Leonie Noirot jest osobą ogromnie zajętą. Aby pozyskać nowe klientki, podejmuje się zadbać o wizerunek niezbyt urodziwej i mało kobiecej lady Gladys i zapewnić damie powodzenie towarzyskie. Współpraca okazuje się jednak nadzwyczaj trudna, a w dodatku Leonie wpadła w oko lordowi Lisburne'owi, arystokracie znudzonemu przymusowym pobytem w Londynie. A przecież ona absolutnie nie ma czasu na nierozsądne zauroczenia! Gdy jednak niepostrzeżenie nadciąga katastrofa, Leonie i lord Lisburne muszą połączyć siły – a to zbliży ich do siebie bardziej, niż Leonie planowała…

www.wydawnictwobis.com.pl